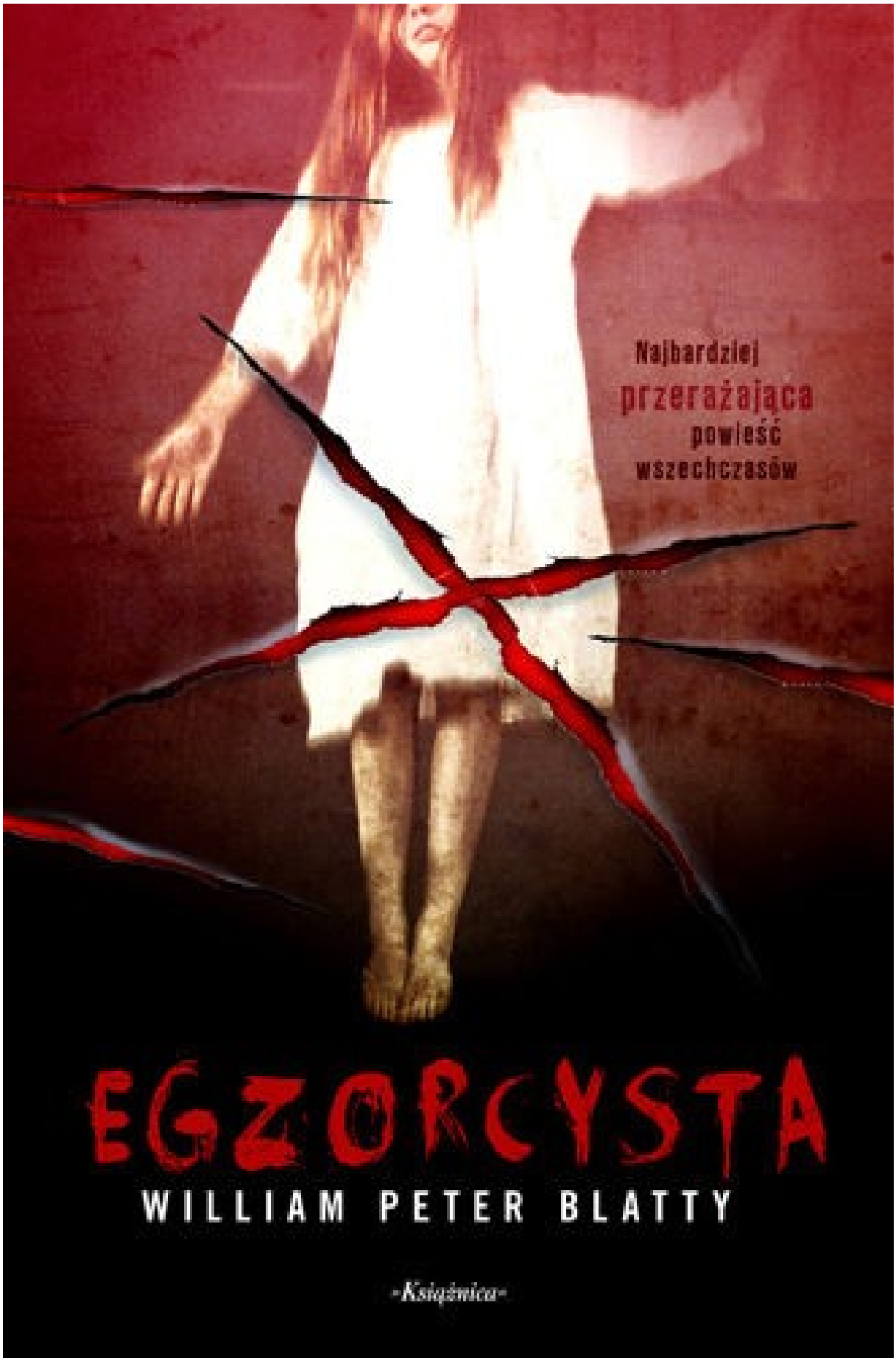
Najbardziej
przerażająca
powieść
wszechczasów
EGZORCYSTA
WILLIAM PETER BLATTY
Książnica

Peter William Blatty

EGZORCYSTA

Pragnę serdecznie podziękować za nieoceniona pomoc udzieloną mi podczas pracy nad tą książką p. dr. Herbertowi Tanney'owi, p. Josephowi E. Jeffsowi, bibliotekarzowi Georgetown University, p. Annie Harris oraz wydawnictwu Harper and Row. Chciałbym również wyrazić swoją wdzięczność ojcu Thomasowi V. Berminghamowi, prowincjałowi Towarzystwa Jezusowego w okręgu nowojorskim za podsunięcie tematu, a także p. Marcowi Jaffe, który był uprzejmy zaufać w wartość mojej książki. Do tej listy pragnę także dołączyć p. dr. Bernarda M. Wagnera, który nauczył mnie pisania, oraz jezuitów, którzy nauczyli mnie myślenia.

AUTOR

P.S. Pozwoliłem sobie na pewne dowolności w opisie terenu Georgetown University, zmieniłem mianowicie położenie Instytutu Języków Obcych i Językoznawstwa, (o więcej dom przy Prospect Street nie istnieje, a opis wnętrza pensjonatu jezuitów jest również niezgodny z rzeczywistością.

Fragment prozy przypisywany Lankesterowi Mcrrinowi nic jest moim wymysłem: wykorzystałem kazanie J.H. Newmana „Druga wiosna".

PROLOG

PÓŁNOCNY IRAK

Na czole starego człowieka pojawiły się krople potu. Mimo nieznośnego upału obejmował filiżankę gorącej, słodkiej herbaty, jakby pragnął się rozgrzać. Nic potrafił zagłuszyć w sobie przeczucia nieuchronnego zła. Przeszywały go zimne dreszcze.

Prace wykopaliskowe były ukończone. Cały teren zbadano dokładnie, warstwa po warstwie; wdarto się do wnętrza ziemi i wydobyto na powierzchnię, a potem załadowano na statki: spinki, naszyjniki, amulety, pokryte ochrą fragmenty kamiennej budowli, dzbany z wypalanej gliny. Nic specjalnego. Asyryjska szkatułka z kości słoniowej. I człowiek. Szczątki człowieka. Kruche wspomnienie kosmicznej męki; kiedyś na widok podobnych obrazów ogarniało go zwątpienie, czy zło rzeczywiście zaczęło się od buntu Lucyfera przeciwko Bogu. Ale od tamtych dni wiele przeżył. Zapach lukrecji i tamaryszku sprawił, że spojrzał na porośnięte makami wzgórza, na przestrzenie pokryte trawą, na krętą, poszarpaną wstęgę drogi prowadzącą tam, skąd lęk brał swój początek. Na północnym zachodzie leżało miasto Mosul; na wschodzie Erbil; na południu Bagdad i Kirkuk, rozpalony piec Nabuchodonozora. Pił herbatę na tarasie przydrożnej kafeterii. Wyciągnął nogi pod stołem i patrzył na poplamione sokiem trawy spodnie koloru khaki i długie skórzane buty. Upił mały łyk. Skończyły się wykopaliska, ale co się zaczęło? Nie potrafił wyzwolić się od tych myśli.

Ktoś zawołał z wnętrza restauracyjki; zmierzał ku niemu ubrany na biało właściciel wzbijając tumany kurzu przydeptanymi wojskowymi butami. Jego cień padł na stolik.

— *Kaman chay, chuwagu?*

Człowiek w khaki potrząsnął przecząco głową; wpatrywał się w buty restauratora: oblepione grubą warstwą suchej gliny, bez sznurowadeł, popękane — odpady materii. „Tworzywo kosmosu", przemknęła mu przez głowę myśl. Materia, ale obdarzona duchem. Duch i buty były dla niego aspektami czegoś bardziej fundamentalnego. Pierwotnego, nieznanego tworzywa.

Cień przesunął się. Kurd czekał cierpliwie niczym zjawa z przeszłości. Stary człowiek podniósł wzrok i ujrzał przed sobą oczy, wilgotne i wyblakłe jak skorupka jajka oglądana od wewnątrz. Jaskra. Kiedyś nie umiałby miłować tego człowieka.

Wyciągnął portfel, aby poszukać drobnych monet pomiędzy wymiętymi banknotami, starym, wydanym w Iraku prawem jazdy, złamanym na pół plastikowym kalendarzykiem sprzed dwunastu lat. Na odwrocie kalendarzyka widniał napis: „Naszą jałmużnę dla biednych zabieramy w chwili śmierci". Takie kalendarzyki rozprowadzała misja jezuitów. Zapłacił za herbatę i zostawił napiwek na stoliku pokrytym farbą w kolorze smutku.

Ruszył do dżipa. Odgłos kluczyka przekręcanego w stacyjce zmącił ciszę. Odczekał chwilę spoglądając na szczyty wieżyczek i zdobione dachy Erbilu wyłaniające się w oddali ponad chmurami niby kamienne figury. Nadal miał dreszcze. Coś czekało.

- *Allah ma'ak, chawaga.*

Zepsute zęby. Uśmiechnięty Kurd żegnał go, machał ręką. Wydobył z siebie odrobinę życzliwości i odpowiedział uśmiechem i skinieniem dłoni. Gdy ponownie spojrzał przed siebie, uśmiech znikł z jego twarzy. Zapalił silnik, ruszył, wziął ostry zakręt i odjechał w kierunku Mosulu. Kurd stał ciągle w tym samym miejscu patrząc za nim, zdziwiony uczuciem pustki, jaka go ogarniała w miarę oddalania się auta. Kim był ten człowiek, który właśnie odjeżdżał? Czym było to, co czuł w jego obecności? Skąd się wzięło to poczucie bezpieczeństwa i spokoju, które teraz opuszczało go wraz ze znikającym w oddali dżipem. Poczuł się dziwnie osamotniony.

Parę minut po szóstej skończyli nużące zajęcie polegające na inwentaryzacji eksponatów. Mosulski konserwator zabytków. Arab o obwisłych policzkach, starannie wpisywał do rejestru ostatnią pozycję. Przerwał na chwilę i zanurzając pióro w kałamarzu spojrzał na przyjaciela. Człowiek w khaki był

pogrążony w rozmyślaniach. Stał przy stole trzymając ręce w kieszeniach, jakby zasłuchany w odgłosy przeszłości. Kustosz zamarł w bezruchu obserwując go z zaciekawieniem. Potem wrócił do rejestru; pisał starannie i uważnie. W końcu westchnął, sprawdził godzinę i odłożył poro. Pociąg do Bagdadu odjeżdżał o ósmej. Kustosz osuszył bibułą zapisaną stronę i zaproponował herbatę.

Stary człowiek potrząsnął głową; jego wzrok uparcie przyciągał jeden z leżących na stole przedmiotów. Arab nieco się speszył. Coś wisiało w powietrzu. Co to było? Wstał i podszedł do starca. Poczuł na szyi zimny powiew, gdy jego przyjaciel niespodziewanie poruszył się i sięgnął po amulet spoczywający pomiędzy innymi drobiazgami. W zamyśleniu ważył go w dłoni. Głowa demona Pazuzu wyrzeźbiona w zielonym kamieniu; uosobienie południowego wiatru. Panował nad chorobami i złym losem. Amulet miał przewiercony otwór: noszono go jako tarczę.

— Zło przeciwko złu — cicho powiedział kustosz wachlując się francuskim czasopismem pokrytym tłustymi plamami.

Jego przyjaciel nie poruszył się, nie odpowiedział.

— Czy coś się stało? Starzec milczał.

— Ojcze?

Człowiek w khaki wydawał się nie słyszeć, zajęły amuletem, swoim ostatnim odkryciem. Po chwili usiadł i podniósł zdziwiony wzrok. Czyżby zadawano mu jakieś pytania?

— Nie, nic.

Ciche słowa pożegnania.

Przy drzwiach kustosz z niezwykłą delikatnością ujął dłoń starego człowieka:

- Moje serce ma jedno pragnienie, ojcze: abyś nie odchodził.

Usłyszał wówczas, że jego przyjaciel musi załatwić jeszcze kilka spraw. Nie może zostać. Nie ma czasu.

— Nie, nie o tym myślałem: chciałbym, żeby ojciec nie odjeżdżał do

swojego domu.

Stary człowiek patrzył na kąciki ust kustosza, ale wzrok jego błądził gdzieś dalej.

— Do domu - powtórzył. Coś się skończyło.

— Do Stanów — dodał kustosz zastanawiając się. dlaczego to wszystko mówi.

Człowiek w khaki umiał przeniknąć jego najskrytsze myśli; pokochał go bez trudu.

— Do widzenia — wyszeptał, a potem szybko się odwrócił i wyszedł w zapadający zmrok, rozpoczynając podróż do domu; nie potrafił określić, ile czasu zajmie mu powrót.

— Mam nadzieję, że za rok znów się zobaczymy — zawołał Arab, gdy stary człowiek przestępował próg. Ale człowiek w khaki nigdy nie oglądał się za siebie. Kustosz widział, jak przechodził przez wąską uliczkę skręcając za róg, gdzie omal nie zderzył się z rikszą wiozącą korpulentną Arabkę o twarzy przesłoniętej luźnym kwefem. Domyślił się. że spieszy na jakieś sekretne spotkanie. Wkrótce stracił z oczu postać przyjaciela.

Stary człowiek szedł szybkim krokiem. Wydostał się z centrum, dotarł do granic miasta i minął most na rzece Tygrys. W pobliżu ruin zwolnił. Z każdym krokiem niejasne przedtem przeczucie stawało się coraz silniejsze i coraz bardziej przerażające. Musiał jednak wiedzieć. Musiał się przygotować.

Drewniana kładka przerzucona nad bagnistym potokiem Khosr zatrzeszczała pod jego ciężarem. W końcu dotarł do celu. to tutaj: twierdza Niniwa o pięćdziesięciu bramach. Kiedyś opierała się hordom Asyryjczyków. Teraz miasto leżało w gruzach, spowite krwawym oparem przeznaczenia. Powietrze było gęste i nieruchome. Nieznane wyszło mu naprzeciw.

Kurdyjski strażnik wychylił się zza rogu. odbezpieczył karabin i począł biec w jego kierunku. Gdy rozpoznał starca, zatrzymał się, uśmiechnął i kiwając ręką ruszył w swoją stronę.

Stary człowiek wspiął się na kamienne rumowisko. Świątynia Nabu. Świątynia Isztar. Wstrząsały nim dreszcze. Przy pałacu Assurbanipala przystanął; wzrokiem odszukał kamienną figurę stojącą w centrum: rozpostarte skrzydia. szponiastc stopy, guzowaty, sterczący penis, wargi rozciągnięte w szyderczym grymasie. Demon Pazuzu.

Nagle opadło z niego napięcie.

Już wiedział.

To nadchodziło.

Obserwował pokryte pyłem ruiny. Przemykające cienie. Słyszał w oddali ujadanie dzikich psów buszujących po śmietnikach. Tarcza słońca zniknęła już za horyzontem i wokół panowała ciemność, nieco tylko rozpraszana mdłym światłem księżyca. Odwinął rękawy koszuli i zapiął je na nadgarstkach. Od południa powiało chłodem.

Ruszył w stronę miasta; do odjazdu pociągu zostało niewiele czasu. Serce starego człowieka zmroziła pewność, że już wkrótce będzie musiał stawić czoła odwiecznemu wrogowi.

Część I

POCZĄTKI

Rozdział I

Na pewien czas przed burzą pojawiają się na niebie łagodne, małe chmurki, które w nikim nie wzbudzają lęku i nikt nie uważa ich za oznaki nadchodzącej grozy. O tych pierwszych symptomach wobec późniejszych wypadków zapomniano i być może nikt nie łączył ich z tragedią.

Wynajęty dom był czysty i schludny. Zbudowany z czerwonej cegły, obrośnięty bluszczem, mieścił się w Georgetown pod Waszyngtonem. Naprzeciwko ciągnęły się zabudowania Georgetown University; tył domu opierał się na ostrej skarpie, u podnóża której biegła ruchliwa M Street. Opodal płynęła błotnista rzeka Potomak.

Wczesnym rankiem pierwszego kwietnia w domu panowała cisza. Chris MacNeil leżała w łóżku wsparta na łokciu i przeglądała scenariusz na kolejny dzień zdjęciowy. Regan, jej córka, spała w sypialni obok; na dole, w pokoju blisko spiżarni, spali Willi i Karl — małżeństwo w średnim wieku — którzy zajmowali się prowadzeniem domu. Mniej więcej dwadzieścia pięć minut po północy Chris podniosła znad skryptu zdziwiony wzrok. Usłyszała pukanie. Było to niezwykłe: stłumione, głębokie, rytmiczne. Jak tajemniczy szyfr przekazywany z zaświatów.

Śmieszne.

Słuchała przez chwilę. Potem próbowała nie zwracać na to uwagi, ale stukot nie ustawał i nie mogła się skoncentrować. Odłożyła scenariusz.

Jezu, oszaleję!

Wstała, by sprawdzić, co się dzieje. Wyszła na korytarz i rozejrzała się. Miała wrażenie, że dziwny dźwięk dobiega z sypialni Regan.

Co ona tam robi?

Przeszła kilka kroków korytarzem; stukot stał się głośniejszy i szybszy. Kiedy popchnęła drzwi i weszła do pokoju córki, nagle ustał.

Co się dzieje, u licha?

Śliczna jedenastoletnia dziewczynka spała grzecznie, przytulona do pluszowego misia pandy o wielkich oczach, wytartego od ciągłych pieszczot.

Chris zbliżyła się do niej na palcach, pochyliła i szepnęła:

— Rags, nie śpisz?

Regularny oddech. Spokojny. Głęboki.

Chris omiotła pokój spojrzeniem.

Blade, przyciemnione światło z korytarza padało na rysunki Regan, na jej rzeźby i pluszowe zwierzątka.

No dobrze. Rags. Napędziłaś mi stracha. Rozumiem prima aprilis.

Ale Chris dobrze wiedziała, że tego rodzaju żart nie pasuje do jej córki. Dziecko było z natury nieśmiałe i skryte. W takim razie kto sobie zażartował? A może była tak zmęczona, że przejęła się hałasami w rurach kanalizacyjnych albo centralnego ogrzewania? Kiedyś w Indiach przez kilka godzin wpatrywała się w buddyjskiego mnicha, który ze skrzyżowanymi nogami siedział na ziemi pogrążony w medytacji. W końcu wydało jej się, że mnich lewituje. Być może tak było. Później, opowiadając o tym znajomym, mimowolnie dodawała to „być może". I być może ten stukot był wytworem jej tak podatnego na fantazję umysłu.

Do cholery! Przecież słyszałam.

Szybko zerknęła na sufit. Tam! Ciche drapanie.

Szczury na poddaszu! No przecież, szczury!

Westchnęła z ulgą. *To pewnie to. Dlugoogoniaste Tup, tup, tup.*

Poczuła nagłe odprężenie. Potem zdała sobie sprawę, że marznie.

Pokój był lodowato zimny.

Sprawdziła okno. Zamknięte. Dotknęła kaloryferów. Gorące!

Co to znaczy?

Zdziwiona podeszła do łóżka i dłonią dotknęła policzka Regan. Był gładki i lekko wilgotny

Chyba jestem chora.

Spojrzała na córkę, na jej zadarty nosek i piegowatą buzię. Pod wpływem nagłego impulsu pochyliła się nad łóżkiem i pocałowała ją.

— Tak bardzo cię kocham - szepnęła. Potem wróciła do swego pokoju i położyła się do łóżka. Znów zajęła się scenariuszem.

Przez chwilę czytała. Film był komedią muzyczną, adaptacją książki „Pan Smith jedzie do Waszyngtonu'". Dodano do niego wątek o zamieszkach studenckich. Chris grała główną rolę — była nauczycielką psychologii, która trzyma stronę rebeliantów. Zdążyła już to znienawidzieć. *To bzdura! Ta scena jest kompletną bzdurą!* Choć nie była w tych sprawach biegła, intuicyjnie potrafiła odróżnić slogan od prawdy i przebić się przez wielosłowie, odnajdując ukryty sens. Dlatego właśnie uzasadnienie zamieszek wydało jej się bzdurne. To nie trzymało się kupy. „Co im przyszło do głowy? zastanawiała się. Konflikt pokoleń? Kretyni; mam dopiero trzydzieści dwa lata. To przecież czysta bzdura, to...!"

Spokojnie. Jeszcze tylko tydzień.

Skończyli zdjęcia studyjne w Hollywood. Zostało tylko kilka scen w miasteczku uniwersyteckim, których kręcenie mieli zacząć tego ranka. Studentów nie było. wyjechali na Wielkanoc.

Poczuła senność. Ciężkie powieki. Odwróciła stronę. Jaka poszarpana. Uśmiechnęła się rozbawiona. Jej brytyjski reżyser, kiedy był zdenerwowany, odrywał trzęsącymi się rękoma kawałki kartki i przeżuwał je tak długo, dopóki nie utworzył z nich w ustach papierowej kuli.

Kochany Burke.

Westchnęła. Obejrzała z czułością brzeg skryptu. Strony wyglądały jak wygryzione. Przypomniała sobie o szczurach. *Te małe skurwiele umieją wybijać rytm.* Musi pamiętać, aby rano powiedzieć Karłowi, że trzeba zastawić na nie pułapki. Odprężyła się.

Scenariusz wysuwa się z rąk, ale pozwala, żeby spadł na podłogę. *To bzdura. Bzdura.* Ręka błądzi w poszukiwaniu wyłącznika światła. *Tam.*

Westchnęła. Przez moment leżała nieruchomo. Prawie zasypiała. Potem jednym ruchem zrzuciła z siebie kołdrę. *Okropnie gorąco.*

Małe kropelki pary spływają powoli po szybach okna.

Chris śpi. Śni o śmierci. Śmierci ostatecznej, nieodwracalnej. Dzwony. Ale przecież wtedy nic się już nie słyszy. Nic nie widzi. Wszystko rozkłada się w nicość. *Nie będzie mnie. Umrę. Nie będzie mnie już na zawsze. Och, tatusiu! Nie pozwól im tego zrobić. Nie pozwól, żeby mnie nie było.* Świdrujący dzwonek.

Telefon.

Poderwała się czując, jak okropnie wali jej serce. Sięgnęła do telefonu jeszcze drżąc z przerażenia. Podniosła słuchawkę; drugi reżyser.

— W garderobie o szóstej, złotko.

— Będę.

— Jak się czujesz?

— Jeśli dam radę dowlec się do łazienki, to dalej może jakoś pójdzie.

Zachichotał.

— No, to na razie.

— Dobra. I dziękuję.

Położyła słuchawkę. Przez chwilę siedziała nieporuszona myśląc o swoim śnie. O śnie? Bardziej przypominał jawę. Ta przerażająca wyrazistość. Nagła jasność w głowie. Niebyt. Nieodwracalny. Nie potrafiła sobie tego wyobrazić. *Boże, to niemożliwe!*

Myślała intensywnie. Wreszcie pokiwała głową. *Ale tak jest.*

Poszła do łazienki. Włożyła szlafrok i szybko zeszła do kuchni. Widok skwierczącej na patelni szynki sprowadził ją do rzeczywistości.

— Dzień dobry pani.

Siwowłosa Willie wyciskała sok z pomarańczy. Miała podkrążone oczy, w jej głosie przebijał obcy akcent. Szwajcarski, tak jak u Karla. Chris wytarła dłonie w papierowy ręcznik i podeszła do kuchenki.

— Sama to zrobię, Willie - oznajmiła. Współczująca jak zawsze,

dostrzegła zmęczone oczy służącej. Kiedy Willie odwróciła się do zlewu, nalała kawę do filiżanek. Usiadła przy nakrytym stole. Uśmiechnęła się, gdy spojrzała na swój talerz. Purpurowa róża. Regan. *Mój aniołek.* Często rankiem, kiedy Chris szła na zdjęcia, Regan cichaczem wysuwała się z łóżka, zakradała do kuchni i kładła na jej talerzu kwiat. Potem mrużąc zaspane oczy wracała do siebie. Chris poczuła skruchę: przypomniała sobie, że omal nie nazwała córki Gonerillą. *To by dopiero było!* Uśmiechnęła się do swoich wspomnień. Wypiła nieco kawy, ale kiedy ponownie spojrzała na różę, nagle posmutniała. Jej duże zielone oczy napełniły się łzami. Przypomniał jej się inny kwiat, synek, Jamie. Umarł dawno temu, kiedy miał trzy latka, a Chris była młodą nieznaną chórzystką na Broadwayu. Przysięgła sobie wtedy, że już nigdy nikomu nie odda się tak bez reszty jak Jamiemu. I jak jego ojcu, Howardowi MacNeil. Odwróciła wzrok od róży i skojarzyła mgiełkę pary nad kawą z koszmarem niedawnego snu. Zapaliła papierosa. Willie podała sok. Chris przypomniała sobie o szczurach.

— Gdzie jest Karl? — zapytała służącą.

— Jestem tutaj, proszę pani.

Cicho niczym kot pojawił się w drzwiach. Gotowy na rozkazy, pełen szacunku, sprawny. Zimny. Zacięcie po goleniu zakleił kawałkiem papierowej chusteczki.

— Słucham — powiedział cicho. Błyszczące oczy. Jastrzębi nos. Łysy. Dobrze zbudowany.

— Słuchaj, Karl! Zalęgły się szczury na poddaszu. Przygotuj kilka pułapek.

— Szczury?

— Przecież mówię.

— Ale poddasze jest czyste.

— W porządku. Więc mamy schludne szczury.

— Nie ma szczurów.

— Karl, słyszałam je w nocy — tłumaczyła cierpliwie Chris powstrzymując irytację.

— Może to coś w rurach — Karl nie ustępował. — A może deski w podłodze.

— A może szczury?! Może jednak kupisz te cholerne pułapki i przestaniesz się spierać.

— Tak jest, proszę pani. — Odwrócił się do drzwi. — Pójdę teraz.

— Nie teraz, Karl! Sklepy jeszcze zamknięte.

— Są zamknięte — powtórzyła za nią Willie strofującym tonem.

— Zobaczę. Wyszedł.

Chris i Willie wymieniły spojrzenia. Potem Willie pokiwała głową i zajęła się patelnią. Chris uniosła do ust filiżankę. Dziwny człowiek. Było w nim coś, co powodowało, że w jego obecności czuła się nieswojo. Jak to nazwać? Subtelny odcień arogancji? Przekora?

Nie, to coś innego. Coś, co trudno określić. Ci ludzie pracowali u niej prawie od sześciu lat, a Karl ciągle stanowił zagadkę — chodził, oddychał i był niezrozumiały jak hieroglif, bez szemrania wykonywał jej polecenia. Pod tą maską jednak coś żyło, ruszało się; czasami wydawało jej się, że słyszy szmer ukrytego w nim mechanizmu. Zgasiła papierosa. Dobiegł ją odgłos otwieranych drzwi frontowych.

— Sklepy są zamknięte — zamruczała Willie.

Chris zjadła kawałek szynki, potem wróciła do swojego pokoju. Włożyła sweter, spódnicę i marynarkę. Spojrzała w lustro krytycznie oceniając swoje krótkie, rude włosy, których nigdy nie udawało jej się doprowadzić do porządku, i drobną twarz otoczoną niesfornymi kosmykami. Przymknęła oczy i idiotycznie zachichotała. *Cześć, maleńka. Czy mogę porozmawiać z twoim mężem? kochankiem? alfonsem? Co? Już jest w przytułku? Czy powinnam zatelefonować?* Pokazała sobie język. Zrobiło się jej smutno. *Och, Chris, co za życie!* Zabrała pudełko z peruką, zeszła na dół i znalazła się na ulicy wysadzanej

wysokimi drzewami.

Na chwilę przystanęła przed domem, odetchnęła porannym powietrzem. Spojrzała w prawo; z boku domu stare kamienne schody prowadziły stromo po skarpie aż do M Street. Nieco z tyłu znajdował się górny wjazd do garażu, dawnej zajezdni tramwajowej. Śródziemnomorski dach, rokokowe wieżyczki, stylizowane na antyk cegły. Dom tchnął spokojem. *Śmieszna uliczka. Cholera! Zdecyduj sie. Kup ten dom. Zacznij żyć!* Z dala dobiegł ją dźwięk dzwonów. Odwróciła głowę. To zegar na wieży uniwersytetu. Melancholijny ton odbijał się echem ponad rzeką, poruszał jej zmęczony umysł. Ruszyła do pracy na planie, do tej okropnej zgrai, dekoracji pokrytych sztucznym brudem.

Weszła przez główną bramę do miasteczka uniwersyteckiego i jej nastrój poprawił się. a gdy zbliżyła się do zaimprowizowanych garderób pod murem, prawie zupełnie opuściło ją przygnębienie. Przed ósmą, podczas pierwszych ujęć, była już sobą: rozpoczęła sprzeczkę z powodu scenariusza.

— Słuchaj, Burke. Rzuć okiem na len przeklęty kawałek, dobrze?

— O, widzę, że masz nawet skrypt! To bardzo miłe z twojej strony. — Reżyser Burkę Dennings, zawsze zadbany, mrużył lewą powiekę, jakby z niedowierzaniem. Z chirurgiczną wprawą oderwał drżącymi palcami wąski pasek papieru z jej scenariusza. — Chyba sobie pozuję — zażartował.

Stali na placu przed budynkiem administracji; dokoła tłoczyli się aktorzy, operatorzy, technicy, statyści, pomocnicy. Tu i ówdzie na trawniku stali gapie, w większości ludzie z pobliskiego kolegium jezuitów. I mnóstwo dzieci. Znudzony kamerzysta, gdy tylko zobaczył, że Dennings zaczyna żuć, zabrał się do czytania gazety. Od reżysera lekko zalatywało dżinem.

Okropnie się cieszę, że ktoś dał ci do przeczytania scenariusz.

Był szczupłym, dobiegającym pięćdziesiątki, dość wątłym mężczyzną o przebiegłej twarzy. Mówił bardzo starannie z czarującym brytyjskim akcentem, tak wytwornym i wyszukanym, że w jego ustach nawet najokropniejsze przekleństwa brzmiały elegancko. Kiedy pił, był zwykle o krok od wywołania

skandalu, sam jednak zawsze zachowywał zimną krew.

— No, powiedz mi dziecinko, o co chodzi? Co nie gra?

Nie odpowiadała jej scena, w której dziekan wydziału zwracał się do studentów, chcąc powstrzymać ich od wywołania rozruchów. Chris miała wbiec na schody budynku, strącić dziekanowi z głowy biret i wskazując palcem na budynek uczelni zawołać: „Rozwalmy to!"

— Przecież to nie ma sensu — powiedziała Chris.

— Ależ jest całkiem zrozumiałe — zełgał Dennings.

— Po jaką cholerę oni mają burzyć budynek. Burke? Po co?

— Podpuszczasz mnie?

— Nie, tylko pytam: po co?

— Bo on tam stoi, kochanie!

— W scenariuszu?

— Nie, na ziemi!

— To nie ma sensu. Burkę. Ona nie mogłaby tak postąpić.

— Mogłaby.

— Nie, nie mogłaby.

— No to może zaskarżymy pisarza? Zdaje się, że jest w Paryżu!

— Ukrywa się?

— Nie. Pieprzy się!

Wypowiedział te słowa z nienaganną dykcją. Jego lisie oczka błyskały figlarnie niby szkiełka rozety ujętej w gotycki łuk twarzy. Chris śmiejąc się oparła głowę na jego ramieniu.

— O, rany, Burke, jesteś niemożliwy!

— Tak — odrzekł tonem Cezara odmawiającego po trzykroć wieńca.

— W takim razie możemy jechać dalej?

Chris nie słuchała go. Pochwyciła zdziwiony wzrok stojącego nieopodal jezuity. Być może słyszał ich rozmowę. Ciemna twarz o nieregularnych rysach, jak u boksera. Mógł mieć około czterdziestki. W jego oczach czaił się jakiś

smutek, może nawet ból, ale mimo to obdarzył Chris ciepłym spojrzeniem. Słyszał na pewno. Uśmiechnął się, spojrzał na zegarek i odszedł.

— Pytałem, czy możemy jechać dalej? Odwróciła się do Denningsa.

— Co? Tak, tak. Oczywiście.

— Dzięki Bogu!

— Nie, poczekaj.

— O, Chryste!

Powróciła do krytyki sceny. Uważała, że powinna ją zakończyć wybiegając z budynku.

— Potem już nic nie trzeba dodawać — powiedziała. — To już niepotrzebne.

— O tak, kochanie — zgodził się szczerze Burkę — ale producent nalega, żebyśmy to zrobili ciągnął. I nic nie poradzimy, rozumiesz?

— Nie, nie rozumiem.

— Nie, oczywiście, to głupie. Zobacz, następna scena zaczyna się wejściem Jeda, więc producent uważa za konieczne, żebyś wcześniej wyszła.

— Bzdura.

— Oczywiście! Chce mi się rzygać. Flaki się wywracają. Ale posłuchaj, damy mu to nakręcić, a potem polegaj na mnie. Wytnę ten kawałek i będzie dobrze.

Chris zaśmiała się. A potem przystała na propozycję reżysera. Burkę zerknął na producenta, zaborczego egoistę z upodobaniem do wdawania się w zbędne dyskusje. Rozmawiał teraz z kamerzystą. Dennings odetchnął z ulgą.

Czekając, dopóki operatorzy nie ustawią świateł, Chris przyglądała się Denningsowi, który obrzucał przekleństwami jakiegoś niefortunnego asystenta; chłopak wysłuchiwał reżysera z widocznym odprężeniem. Wydawało się, że Dennings rozkoszuje się własnym ekscentryzmem. Kiedy pił — Chris dobrze o tym wiedziała — jego temperament nagle potrafił eksplodować. Czasem o trzeciej nad ranem telefonował do różnych ważniaków i ostro im wygarniał;

uwielbiał prowokacje. Chris przypomniała sobie, jak obraził kierownika wytwórni, którego cała wina polegała na tym, że kiedyś zwrócił uwagę na pogniecioną koszulę Denningsa. Dla Burke'go to wystarczyło, zatelefonował o trzeciej w nocy i zwymyślał gościa od gburów, sugerując, że jego ojciec na pewno skończył w domu wariatów. Następnego dnia symulował zanik pamięci i wydawał się bardzo uradowany, kiedy kierownik wytwórni szczegółowo opisywał mu nocny telefon. Ale gdy chciał, pamiętał. Chris pamiętała noc, kiedy w pijanym szale zdemolował biura wytwórni. Później, gdy przedstawiono mu rachunek za straty, poparty zdjęciami, nazwał to bezczelnym fałszerstwem, bo szkody, jego zdaniem, musiały być wiele większe. Chris wiedziała, że Dennings nie był ani alkoholikiem, ani też nie szukał w piciu rozwiązania problemów; pił, bo tego się po nim spodziewano. Żył według krążącej o nim legendy.

„To chyba sposób na nieśmiertelność" — pomyślała.

Odwróciła się i ujrzała jezuitę, który uśmiechnął się przedtem do niej. Przechadzał się w oddali, przygnębiony, z opuszczoną głową. Niczym samotna czarna chmura w oczekiwaniu na deszcz.

Nigdy nie lubiła księży. Troskliwi, niosący zawsze otuchę. Bezpieczni we własnym świecie. A teraz ten...

— Jesteś gotowa, Chris? — zapytał Dennings.

— Tak, gotowa.

— W porządku. Cisza na planie!

— Kręcimy!

Statyści wiwatowali, gdy Chris wbiegła na schody. Dennings patrząc na nią zastanawiał się, o czym teraz myśli. Według niego zbyt szybko ustąpiła. Przeniósł wzrok na pomocnika, który otworzył przed nim usłużnie skrypt, jak podstarzały ministrant podający Biblię kapłanowi podczas uroczystej mszy.

Pracowali w pełnym słońcu. Kolo czwartej chmury przesłoniły niebo i asystent reżysera ogłosił koniec zdjęć na ten dzień.

Chris ruszyła do domu. Była zmęczona. Na rogu ulicy 36 i O, dała autograf

włoskiemu sprzedawcy warzyw, który zatrzymał ją przed wejściem do sklepu. Napisała swoje nazwisko na brązowej torebce dodając najlepsze życzenia. Zatrzymały ją światła na skrzyżowaniu. Po przeciwnej stronie ulicy wznosił się kościół pod wezwaniem jakiegoś tam świętego. Prowadzony przez jezuitów. Tu właśnie John F. Kennedy, jak słyszała, brał ślub z Jackie i składał przysięgę. Próbowała sobie to wyobrazić: John F. Kennedy pomiędzy wotywnymi świecami w kościele pełnym dewotek, pogrążony w modlitwie: *Wierzę, wierzę...* w porozumienie z Rosją; *Wierzę, wierzę...* w Apollo IV w przestworzach; *Wierzę... w odkupienie i życie wieczne...*

Tak. To właśnie jest zachłanność.

Minęła ją z brzękiem ciężarówka załadowana wilgotnymi, pokrytymi mgiełką, apetycznymi butelkami z piwem.

Przeszła przez skrzyżowanie. Poszła w dół O Street i minęła budynek seminarium. Wyprzedził ją jakiś ksiądz z rękami w kieszeniach ortalionowej kurtki. Młody. Skupiony. Źle ogolony. Skręcił w prawo wchodząc na dziedziniec za kościołem.

Chris zatrzymała się przed wjazdem patrząc zaciekawiona. Wydawało się jej, że ksiądz zmierza ku białej zachrystii. Szklane drzwi zaskrzypiały i ukazał się w nich jeszcze jeden kapłan. Posępny, wyraźnie rozdrażniony. Skinął głową młodemu i spuściwszy wzrok spiesznie podszedł do wrót kościelnych. Ponownie otworzyła się zachrystia. Następny ksiądz. Wygląda jak... *To przecież ten. Ten, który się uśmiechnął, kiedy Burkę powiedział „pieprzyć".* Ale teraz był zasmucony, gdy cicho pozdrawiał nowego przybysza i delikatnym, jakby ojcowskim gestem otoczył go ramieniem. Odprowadził go do wrót kościoła.

Chris opuściła głowę, była nieco zdziwiona. *O co tu chodzi?*

Przyszło jej na myśl, że może jezuici przychodzą w to miejsce do spowiedzi.

Cichy pomruk grzmotu. Podniosła głowę: czy będzie padać? *Żywot wieczny...*

Tak, tak, na pewno. Następny wtorek. Gdzieś w oddali błyskawice rozdzierały niebo. *Nie dzwoń do nas. To my zatelefonujemy.*

Podniosła kołnierz i ruszyła przed siebie. Miała nadzieję, że w końcu lunie.

Niebawem była w domu. Weszła do łazienki. Potem zajrzała do kuchni.

— Cześć, Chris! Jak się masz?

Przy stole siedziała ładna blondynka w wieku około dwudziestu lat. Sharon Spencer. Świeżutka. Pochodziła z Oregonu. Przez ostatnie trzy lata pracowała jako guwernantka Regan i prywatna sekretarka Chris.

— Och, zwykłe zamieszanie.

Chris ciężko opadła na krzesło i sięgnęła po korespondencję.

— Jest coś interesującego?

— A czy interesuje cię kolacja w Białym Domu? W przyszłym tygodniu?

— Nie bardzo. Po co miałabym tam iść?

— Żeby objeść się słodyczami, a potem dostać mdłości.

Chris zachichotała.

— A propos, gdzie jest Regan?

— Bawi się w swoim pokoju.

— Co robi?

— Rzeźbi ptaka. Zdaje się, że to ma być prezent dla ciebie.

— Świetnie. Akurat czegoś takiego potrzebuję — mruknęła Chris. Nalała sobie kawy. — Czy to był żart? Z tą kolacją?

— Nie, oczywiście, że nie. W czwartek.

— Jakieś duże przyjęcie?

— Nie, najwyżej pięć, sześć osób.

— Nie żartuj.

Była zadowolona, ale niezbyt zaskoczona. W jej otoczeniu pojawiali się taksówkarze, poeci, profesorowie, monarchowie. Co oni w niej widzą? Styl? Chris przysiadła na skraju stołu.

— Jak ci idą lekcje?

Sharon zapaliła papierosa marszcząc brwi.

— Znowu kłopoty z matematyką.

— Och, to nawet zabawne.

— Wiem, wiem: to jej ulubiony przedmiot - powiedziała Sharon.

— No tak, ta nowa matematyka. Dobry Boże, nigdy nie wiedziałam, kiedy autobus, który wyjechał...

— Cześć, mamusiu!

Wyciągnięte ramiona. Rude kucyki. Miła, jasna buzia, usiana piegami.

— Cześć, skunksiku!

Radość, Chris mocno przytula małą i głośno całuje w policzek. Nie może powstrzymać nagłej eksplozji miłości:

— Mu, mu, mu, musia! — Całuje ją znowu, odsuwa trochę i obrzuca uważnym spojrzeniem. - Co dzisiaj robiłaś? Coś ciekawego?

— Eee, tam.

— No więc co?

— No, sama wiesz. — Przyciskała kolana do kolan matki, lekko kołysząc się przy tym. — No, oczywiście uczyłam się.

— Aha.

— I malowałam.

— Co namalowałaś?

— No, wiesz, kwiatki. Chyba stokrotki. Ale tylko różowe. A potem... Och! Ten koń! — Nagle ożywiła się. Jej źrenice rozszerzyły się. — Ten człowiek miał konia. Wiesz, tam w dole rzeki. Byłyśmy na spacerze, mamusiu. A potem przyszedł ten koń. Był piękny. O, mamo! Musisz go zobaczyć. A ten pan pozwolił mi na nim posiedzieć. Ale tylko przez chwilę.

Chris mrugnęła do Sharon za plecami córki.

— Ten sam? — spytała unosząc brew. Kiedy wyjechała do Waszyngtonu na zdjęcia, jej blondwłosa sekretarka, która praktycznie była członkiem rodziny — mieszkała w domu zajmując pokój na piętrze — poznała jeźdźca z pobliskiej

stadniny i zależało jej na niekrępującym mieszkaniu. Chris wynajęła dla niej luksusowy apartament w hotelu i nalegała, że będzie go opłacać.

— Ten sam — Sharon uśmiechnęła się.

— To był szary koń - dodała Regan. — Mamo, czy możemy mieć konia? To znaczy, czy mogłybyśmy?

— Zobaczymy, kochanie.

— To kiedy mi go kupisz?

— Jeszcze o tym pomówimy. A gdzie jest ten ptak, którego rzeźbisz?

Regan zamarła na moment. Potem odwróciła się do Sharon z wyrzutem. Na twarzy miała wyraz głębokiego zawodu.

— Wygadałaś! To miała być niespodzianka — odwróciła się do matki.

— To znaczy...?

— Z takim długim, śmiesznym dziobem, jakiego chciałaś.

— O, Rags, to cudowne! Mogę zobaczyć?

— Nie, jeszcze nie. Muszę go pomalować. Kiedy będzie obiad, mamusiu?

— Jesteś głodna?

— Umieram z głodu.

— Ależ nie ma jeszcze piątej. O której był lancz? — zapytała Sharon.

— Koło dwunastej — odpowiedziała dziewczyna.

— A kiedy wracają Willie i Karl? Mieli dziś wolne popołudnie.

— Myślę, że o siódmej — powiedziała Sharon.

— Mamo, czy możemy iść do restauracji? — zapytała Regan. Chris wzięła ją za rękę. Uśmiechając się czule pocałowała małą.

— Biegnij na górę, przebierz się i możemy iść.

— Och, mamusiu, jesteś cudowna! Regan wybiegła z kuchni.

— Kochanie, załóż tę nową sukienkę! - zawołała za nią Chris.

— Chciałabyś mieć znowu jedenaście lat? —spytała Sharon.

— Czy to propozycja?

Chris sięgnęła po pocztę. Bezładnie przerzucała koperty.

— Zgodziłabyś się?

— Z tym całym balastem? Wszystkimi wspomnieniami?

— Oczywiście.

— Żadnych szans.

— Przemyśl to.

— Myślę właśnie — Chris wzięła do ręki skrypt z listem przypiętym do tytułowej strony. Jerris. Jej menażer. Przecież prosiłam go, żeby przez jakiś czas nie przysyłał nowych tekstów!

— Powinnaś to przeczytać — powiedziała Sharon.

— O, doprawdy?

— Tak. Ja to przeczytałam dziś rano.

— Dobre?

— Fantastyczne.

— I pewnie mam grać pielęgniarkę, która odkrywa, że jest lesbijką, co?

— Nie, nie masz niczego grać.

— Cholera, filmy są coraz lepsze! O czym, u diabła, mówisz, Sharon? Co znaczy ten uśmiech?

— Chcą, żebyś reżyserowała!

— Co?!

— Przeczytaj list.

— O rany, Sharon! Chyba żartujesz!

Chris pochłaniała słowa: „... nowy scenariusz... tryptyk... studio Sir Stephana Moore'a... angażuje pod warunkiem..."

— Mam zrobić odcinek!

Chris triumfalnie wyrzuciła w górę ramiona, wydając dziki okrzyk radości. Potem przycisnęła list do piersi.

— Och, Steve, jesteś aniołem; pamiętałeś o mnie!

Kręcili w Afryce. Z rozkładanych foteli podziwiali krwawy zachód słońca. „Mam już tego dosyć. Aktorstwo to hazard.

Choć lubię to. Czy nie wiesz, jak zrobić, by się nie wycofywać i czuć się dobrze? Reżyseria'? No tak, wtedy robi się coś naprawdę własnego. Coś, co żyje. Kiedyś próbowałam, ale nikt tego nie chciał. Dlaczego nie? Och, przecież wiesz, oni myślą, że się do tego nie nadaję". Ciepłe wspomnienia. Ciepły uśmiech. Drogi Steve...

— Mamusiu, nie mogę znaleźć sukienki! — krzyczała z piętra Regan.

- Jest w szafie! — zawołała Chris.

— Już szukałam!

— To musi być w drugiej — odkrzyknęła jej Chris. Przez moment przeglądała scenariusz. Pierwszy entuzjazm opadł. — To pewnie do niczego.

— Och, przestań, Chris. To naprawdę dobre.

— I ja mam się bawić w te klocki? Sharon uśmiechnęła się.

— Mamusiu?

— Już idę!

Chris powoli wstała od stołu.

— Masz randkę, Shar?

— Tak.

Chris spojrzała na stos listów.

— Zajmiemy się tym rano. Sharon zbierała się do wyjścia.

— Och, nie. Poczekaj — powiedziała Chris przypominając sobie o czymś. — Jest jeden list, który trzeba wysłać dziś wieczorem.

— Cóż, jeśli trzeba... — Sharon sięgnęła po notes.

— Mamooo!

— Poczekaj, zaraz wrócę — powiedziała Chris. Wychodząc z kuchni dojrzała, że Sharon spogląda na zegarek.

— Chris, już czas na moją medytację — powiedziała. Chris popatrzyła na nią z ukosa, z niemym wyrzutem. Przez ostatnie sześć miesięcy była świadkiem, jak jej sekretarka staje się wyznawczynią filozofii szukania spokoju. Zaczęło się to jeszcze w Los Angeles: najpierw była autohipnoza, potem buddyjskie mantry.

Od ostatnich paru tygodni, kiedy Sharon opuściła swój pokój na piętrze, w domu brakowało monotonnego, ciągłego zaśpiewu: *Nam myocho renge kyo.* „Po prostu ciągle to powtarzasz, Chris, i wtedy osiągasz spokój myśli". Mantra rozbrzmiewała nieprzerwanie, godzinami, zwykle wtedy, gdy Chris uczyła się nowej roli. „Możesz włączyć sobie telewizor", powiedziała kiedyś Sharon, mnie jest wszystko jedno. Mogę śpiewać nawet wtedy, gdy jest hałas; ani trochę mi to nie przeszkadza. Nazywała to medytacją transcendentalną.

— Czy ty naprawdę myślisz, że to może ci pomóc, Sharon? — zapytała zrezygnowana Chris.

— To mi zapewnia spokój umysłu - odpowiedziała Sharon.

— W porządku — odpowiedziała Chris. Odwróciła się życząc Sharon dobrej nocy. Nie wspomniała już o liście. Wychodząc z kuchni zamruczała pod nosem: *Nam myocho renge kyo.*

— Powtarzaj to przez piętnaście albo dwadzieścia minut — zawołała za nią Sharon - i, być może, pomoże ci.

Chris przystanęła i przez chwilę zastanawiała się nad ciętą ripostą. Potem machnęła ręką. Weszła po schodach, minęła sypialnię Regan i znalazła się w garderobie. Regan stała na środku pokoju wpatrując się w sufit.

— Co robisz? — zapytała ją Chris rozglądając się za sukienką z niebieskiej wełny. Kupiła ją przed tygodniem i nie pamiętała, gdzie ją powiesiła.

— Dziwne dźwięki — powiedziała Regan.

— Ja też je słyszałam. Mamy gości. Regan spojrzała na nią pytająco:

— Co?

— Wiewiórki, kochanie. Wiewiórki na poddaszu.

Jej córka panicznie bała się szczurów, nawet myszy ją przerażały. Poszukiwania sukienki okazały się bezowocne.

— Widzisz, mamo, nie ma jej tutaj.

— Rzeczywiście. Może Willie zabrała ją razem z praniem.

— Zniknęła!

Włóż w takim razie tę granatową. Też jest ładna.

Wstąpiły do Hot Shoppe. Chris zamówiła sałatkę, a Regan zupę, roladę, pieczonego kurczaka, gorącą czekoladę, jagodowe ciasto i kawę ze śmietanką. „Gdzie ona to mieści?", zastanawiała się Chris. „W nadgarstkach?" Dziecko było chude jak przecinek.

Przy kawie Chris zapaliła papierosa, a potem wyjrzała przez okno restauracji; rzeka była ciemna i nieruchoma.

— Obiad był bardzo dobry, mamo.

Chris odwróciła się do niej; nagle boleśnie uderzyło ją ogromne podobieństwo małej do Howarda. Tak samo jasna. Popatrzyła na talerz stojący przed Regan.

— Zamierzasz zostawić ten kawałek ciasta?

Regan spuściła oczy.

— Najadłam się przedtem cukierków.

Chris zaśmiała się gasząc papierosa.

— Chodźmy już.

Były w domu przed siódmą. Willie i Karl już wrócili. Regan pobiegła do swojego pokoju chcąc szybko skończyć rzeźbę ptaka. Chris zajrzała do kuchni, żeby zabrać swój scenariusz. Naburmuszona Willie parzyła kawę; przygotowywała dzbanek. Wyglądała na poirytowaną.

— Dobry wieczór, Willie. Jak było? Dobrze się bawiliście?

— Proszę nie pytać. — Dodała żółtko i szczyptę soli do wrzątku w dzbanku. Okazało się, że byli w kinie. Willie chciała obejrzeć film w Beatlesami, ale Karl uparł się na studyjny obraz o Mozarcie. — Straszne, okropne — wzdychała regulując płomyk gazu. — Co za uparciuch.

— Przykro mi — Chris wsadziła scenariusz pod pachę. — Aha, czy widziałaś może tę sukienkę, którą kupiłam dla Regan w zeszłym tygodniu? Tę niebieską?

— Tak, widziałam ją w garderobie. Dziś rano.

— I gdzie ją położyłaś?

— Ciągle tam jest.

— Może przez przypadek zabrałaś ją razem z praniem?

— Musi tam być.

— W praniu?

— Nie, w garderobie.

— Nie ma, szukałam.

Willie miała coś jeszcze dodać, ale nagle ściągnęła wargi i pochyliła się nad dzbankiem. Do kuchni wszedł Karl.

— Dobry wieczór pani. — Podszedł do zlewu, wziął szklankę i nalał sobie wody.

— Czy zastawiłeś pułapki? — spytała Chris.

— Nie ma żadnych szczurów.

— Pytam, czy zastawiłeś pułapki?

— Oczywiście, ale poddasze jest czyste.

— Powiedz mi, Karl, jak było w kinie?

— Wspaniale. — Jego postać, także jego twarz; były doskonale nieruchome.

Chris podeszła do drzwi nucąc przebój Beatlesów. Po chwili odwróciła się. *Jeszcze jeden strzał!*

— Czy miałeś jakieś kłopoty z kupieniem pułapek?

— Nie, żadnych.

— O szóstej rano?

— Dostałem je w nocnym sklepie.

Jezu!

Chris pozwoliła sobie na luksus długiej kąpieli. Gdy wstąpiła potem do swojej garderoby po szlafrok, znalazła zaginioną sukienkę Regan. Leżała zmięta na podłodze. Chris podniosła ją. *Co ona tu robi?*

Metka była jeszcze nie oderwana. Przez chwilę Chris zastanawiała się.

Przypomniała sobie, że w dniu. kiedy kupiła sukienkę, robiła też sprawunki dla siebie. *Na pewno zabrałam wszystko razem.*

Chris zaniosła sukienkę do pokoju Regan i powiesiła na wieszaku w szafie. Popatrzyła na ubrania Regan. Milutkie. *Tak, Rags, lepiej patrz na to, nie oglądaj się na tatusia, który nigdy nie pisze do ciebie listów.*

Wychodząc zawadziła boleśnie stopą o biurko. *Och, jak boli!* Kiedy podniosła stopę, aby ją rozmasować, zauważyła, że biurko było przesunięte o prawie pół metra. *Nic dziwnego, że się potknęłam; Willie musiała je przestawić odkurzając.*

Zeszła do gabinetu ze scenariuszem w ręce. W przeciwieństwie do rozległego salonu o wnękowych oknach, gabinet dawał poczucie przytulności. Meble z okuciami, wysoki kominek z cegły, dębowa boazeria. Drobne współczesne akcenty polegały na dostawieniu barku oraz ułożeniu kilku jasnych poduszek i skóry leoparda przed kominkiem. Na niej się wyciągnęła podpierając głowę ramieniem. Jeszcze raz przeczytała list od swojego menażera. „Wiara", „Nadzieja", „Miłość": trzy różne części. Każda z inną obsadą i reżyserem. Jej miała być „Nadzieja". Ten pomysł spodobał się jej. Także tytuł brzmiał nieźle. Pozornie banalny, ale jakże wymowny. *Pewnie potem i tak go zmienią na coś w rodzaju: „Miłość cię nigdy nie zawiedzie".*

Zadźwięczał dzwonek u drzwi. Burke Dennings. Był samotny, często więc wpadał z wizytą. Chris uśmiechnęła się smutno i pokiwała głową, słysząc jak Burkę arogancko zwraca się do Karla, którego nie znosił i nie przepuszczał żadnej okazji, by go obrazić.

— Cześć! Jest coś do wypicia? — zażądał wchodząc do pokoju i skierował się do barku; zmrużone oczy, ręce wciśnięte do kieszeni wygniecionego prochowca.

Usiadł na stołku barowym. Świadomie prowokujący. Chytre oczka. Wiecznie niespokojne.

— Znowu na trasie? - zapytała Chris.

— Co u diabła, masz na myśli? - prychnął.

— Zabawnie wyglądasz. — Widziała go już takiego, kiedy pracowali razem na planie w Lozannie. Pierwszej nocy spędzonej w hotelu nad Jeziorem Genewskim Chris nie mogła zasnąć i koło piątej nad ranem wstała z łóżka. Ubrała się i postanowiła zejść do hallu, aby poszukać kawy i towarzystwa. Czekając w korytarzu na windę spojrzała przez okno i zobaczyła reżysera spacerującego sztywnym krokiem nad brzegiem jeziora, z rękami głęboko wciśniętymi w kieszenie płaszcza. Kiedy zjechała do hallu, właśnie wchodził do hotelu. „Żadnego szwaba, żeby się przypieprzyć", warknął obrzucając ją taksującym spojrzeniem. Potem wszedł do windy i pojechał na górę. Kiedy później ze śmiechem wspominała ten incydent, obruszył się i oskarżył ją o rozpuszczanie plotek, bo przecież ludzie „mogą jej uwierzyć dlatego, że jest gwiazdą". Powiedział też, że jest „stuknięta i ma omamy". Potem jednak, aby jej zbytnio nie rozdrażniać uznał, iż „być może, mimo wszystko, kogoś widziała i pomyliła z jego osobą". Kiedy indziej powiedział: „Ostatecznie, moja praprababcia była Szwajcarką".

Chris stanęła za barkiem i przypomniała mu o tym zdarzeniu.

— Och, nie bądź głupia — warknął Dennings. - Czasami tak bywa, że cały wieczór muszę się przenudzić na jakimś cholernym zebraniu popijając tylko herbatę.

Chris pochyliła się nad barkiem.

— Czy właśnie wracasz z herbatki?

— Och, daj spokój; sztywniactwo!

— I uwaliłeś się tak na herbatce — powiedziała oschle — z jezuitami?

— Nie, jezuici byli trzeźwi.

— Czy oni nie piją?

— Znowu pleciesz bzdury! - wrzasnął.- Oni ciągną jak smoki. Ale w życiu nie widziałem takich mocnych głów.

— Lepiej zmieńmy temat, Burke. Regan może usłyszeć.

— A, tak, Regan — szepnął Dennings. — Ale gdzie, u diabła, jest moja szklanka? — spytał nie podnosząc głosu.

- Czy zdradzisz mi, co robiłeś na kościelnej herbatce?

— Umacniałem moje cholerne stosunki. Coś co ty powinnaś też robić.

Chris podała mu dżin z lodem.

— O rany, jak oni taplają się we własnym szambie — mruknął Burkę i ostrożnie podniósł kieliszek do ust. — Tak, dalej, śmiej się. Tylko to potrafisz — śmiać się i pokazywać tyłek.

— Tylko się uśmiecham.

— No dobrze. Ostatecznie ktoś ich musiał tam zabawiać.

— A ile razy mówiłeś o pieprzeniu?

— Kochanie, to by było nie na miejscu — wypomniał jej spokojnym tonem. — Lepiej powiedz, co u ciebie?

Wzruszyła ramionami.

— Co cię gnębi? Śmiało, powiedz.

— Wolę nie.

- Powiedz swojemu wujkowi, dalej.

- Cholera, chyba też się napiję — powiedziała sięgając po szklankę.

- Jasne, to dobre na żołądek. A teraz mów, o co chodzi? Wolno nalewała wódkę.

- Czy myślałeś kiedyś o śmierci?

- Czy ja myślałem o...?

- Śmierci — przerwała mu. — Czy kiedyś o tym myślałeś? Czyni ona jest? To znaczy, czym jest naprawdę?

- Nie wiem — odpowiedział niepewnie. — Nie, nigdy o tym nie myślałem. Ale teraz właśnie zacząłem. Po co, u diabła, to powiedziałaś?

— Sama nie wiem — powiedziała miękkim głosem. Wrzuciła kawałek lodu dc swojej szklanki i patrzyła w zamyśleniu, jak się topi. — Ale jednak powiedziałam — przyznała przepraszającym tonem. — Wiesz... myślałam o

tym dziś rano... taki sen... obudziłam się. Nie wiem. Ale to mnie tak jakoś poruszyło. Czym jest śmierć? Koniec, koniec wszystkiego! Tak jakbym o tym wcześniej nie wiedziała. — Potrząsnęła głową. — O, Jezu! Jak mnie to ruszyło! Czułam się, jakbym spadała z jakiejś cholernej gwiazdy z prędkością milionów mil na godzinę.

— Bzdura. Śmierć to luksus — sapnął Dennings.

— Nie dla mnie, świętoszku.

— No cóż, ty będziesz żyła poprzez swoje dzieci.

— Daj spokój, moje dzieci nie są mną.

— Dzięki Bogu. Jeden taki egzemplarz wystarczy.

— Ależ Burkę, pomyśl o tym! Nie ma cię, na zawsze. To...

— Przesadzasz. Pokaż kawałek tyłka na następnej takiej herbatce, a oni odpuszczą ci wszystkie grzechy.

Z brzękiem odstawił szklankę.

— Napijmy się jeszcze.

— Wiesz, nie wiedziałam, że oni piją.

— Bo jesteś głupia.

Jego oczy nabrały dziwnego wyrazu. Czyżby osiągnął stan, z którego nie ma powrotu? Miała wrażenie, że dotknęła jakiejś ukrytej rany, poruszyła nerw w jego ciele. Może rzeczywiście tak było?

— Czy oni chodzą do spowiedzi? - zapytała go.

— A skąd miałbym wiedzieć? — ryknął nagle.

— No, przecież sam miałeś zostać...

— Gdzie ta zasrana szklanka!

— Może byś się napił kawy?

— Nie bądź taka. Chcę się jeszcze napić.

— Napij się kawy.

— Muszę już iść. Jednego na drogę.

— Twoją drogę?

— To wstrętne. Nie lubię być tak urżnięty. Do licha, daj spokój i nalej mi.

Przysunął swoją szklankę; napełniła ją.

— Zastanawiam się, czy nie powinnam zaprosić kilku z nich do siebie — powiedziała cichu Chris.

— Zaprosić kogo?

— Któregoś z nich - wzruszyła ramionami. - No wiesz, z księży.

— Oni nie przyjmują zaproszeń. To pieprzone dusigrosze — powiedział ze złością i przełknął kolejny haust dżinu.

— „Oho, zaczyna się wściekać" - pomyślała Chris i szybko zmieniła temat: opowiedziała mu o scenariuszu i o propozycji reżyserowania odcinka.

— To dobrze — mruknął Dennings.

— Mam tremę.

— Głupstwo. Posłuchaj, moja mała, jedyna tajemnica reżyserii polega na tym, aby to wszystko odpowiednio zagmatwać.

Sam nie wiedziałem na początku, jak to się robi, ale, jak widzisz, wyszedłem na swoje. W sumie to dziecinnie proste.

— Burkę, będę z tobą szczera. Teraz dają mi szansę, na którą długo czekałam, ale nie wiem, czy dam sobie radę. To znaczy nie jestem pewna, czy uda mi się odpowiednio poprowadzić tych wszystkich ludzi z obsługi technicznej; obawiam się, że miałabym trudności nawet z przeprowadzeniem przez ulicę własnej babci.

— Nie przejmuj się. Zostaw to kierownikowi produkcji, kamerzystom i sekretarce planu. Ta trójka musi być rzeczywiście dobra, wtedy zrobią wszystko za ciebie. Dla ciebie najważniejsze trzymać w garści aktorów, a ty się do tego nadajesz. Nie potrafisz im powiedzieć, jak mają się ruszać czy mówić, ale przecież potrafisz im to pokazać. Przypomnij sobie Paula Newmana w „Racheli" i przestań histeryzować.

Patrzyła na niego z powątpiewaniem.

— Ale ten cały personel — zamartwiała się. Pijany czy trzeźwy,

Dennings był najlepszym reżyserem, jakiego znała. Chciała zasięgnąć jego rady.

— Co na przykład? — zapytał.

Przez prawie godzinę wypytywała go o różne szczegóły techniczne. Mogła to łatwo znaleźć w tekście, ale wczytywanie się w scenariusz było ponad jej siły. Za to rozumiała poszczególne role doskonale. To nie była lektura, w której bohaterowie co innego mówią i co innego robią. Tutaj człowiek stwarzał człowieka.

— Kochanie, wszystko, czego potrzebujesz, to błyskotliwy producent — zaśmiał się obejmując ją. — Myślę o kimś takim, kto będzie wyważał tylko naprawdę zamknięte drzwi.

Stał się naraz czuły i opiekuńczy. Wyglądało na to, że minął niebezpieczny punkt jego upojenia.

— Przepraszam, że przeszkadzam. Czy pani sobie czegoś życzy? — W drzwiach gabinetu stanął Karl.

— O, cześć, Thorndike — zachichotał Dennings. — Czy to może Heinrich? Nigdy nie mogę zapamiętać.

— To jest Karl.

Och, tak, rzeczywiście. Zapomniałem. Powiedz no, Karl. czy to ty mi opowiedziałeś o swojej współpracy z gestapo? Karl odpowiedział grzecznie:

— Nie, proszę pana. Ja jestem Szwajcarem.

— Ach, tak — reżyser udał zaskoczonego. - Więc nigdy nie grałeś w kręgle z Goebbelsem, jak przypuszczam?

Lekceważąc zaczepkę Karl odwrócił się do Chris.

— I nigdy nie leciałeś samolotem z Rudolfem Hessem?

— Co mam podać, proszę pani?

— Sama nie wiem. Burke, chcesz kawy?

— Pieprzę kawę.

Reżyser nagle wstał i chwiejąc się na nogach opuścił gabinet,. a potem w ogóle sobie poszedł. Chris pokiwała głową i zwróciła się do Karla: — Wyłącz

wszystkie telefony - poleciła.

— Tak, proszę pani. Coś jeszcze?

— Może przynieś mi trochę mineralnej. Gdzie jest Rags?

— Bawi się w pokoju na dole. Czy mam ją zawołać?

— Tak, już pora, żeby się położyła. Albo nie, sama pójdę do niej i obejrzę tego ptaka. I przynieś mi, proszę tę wodę.

— Oczywiście, proszę pani.

— Znów muszę cię przeprosić za Burke'a.

— Nie zwracam na to uwagi.

— Wiem, dlatego właśnie tak go to prowokuje.

Chris wyszła na korytarz, minęła hali i otworzyła drzwi do pokoju zabaw.

— Jak się masz, skunksiku! Co robisz? Czy skończyłaś już rzeźbić?

— Tak, popatrz: jest gotowy.

Bawialnia była kolorowa; ściany wyłożone boazerią, sztalugi, obrazki, gramofon, stoliki do gier i stolik do rzeźbienia. Biało-czerwona piłka pozostawiona przez dziesięcioletniego syna poprzednich lokatorów.

— Coś wspaniałego! — zawołała Chris. kiedy córka pokazała jej rzeźbę. Nie była jeszcze zupełnie sucha. Przedstawiała smutnego ptaka pomalowanego w całości na pomarańczowo.

prócz dzioba, który był długi i biało-zielony. Na głowie ptak miał przylepiony czub z piór.

— Podoba ci się? — zapytała Regan.

— Oczywiście, kochanie, naprawdę. Czy już go jakoś nazwałaś?

— No...

— Jakie by tu wybrać imię...

— Nie wiem — Regan wzruszyła ramionami.

— Poczekaj, muszę chwilę pomyśleć. — Chris zadumała się przykładając dłoń do ust. — Co byś powiedziała, gdyby go nazwać Głuptak? Hm, co ty na to?

Regan parsknęła śmiechem, ale natychmiast podniosła rękę, by zasłonić

ortodontyczne druty na zębach. Skinęła twierdząco głową.

— Tak, Głuptak, to świetne imię. Zostawię go tutaj, żeby wysechł, a potem zaniosę do swojego pokoju.

Kiedy Chris odkładała rzeźbę, rzucił się jej w oczy talerzyk spirytystyczny, tuż obok na stoliku. Zapomniała, że w ogóle go miała. Kiedyś kupiła go w nadziei, że uda jej się poznać ukryte prądy podświadomości. Raz czy dwa bawiła się nim z Sharon, raz z Dennigsem, który zręcznie sterował plastikową planszą. Oczywiście, przekazy z za światów były pełne przekleństw, za które Burkę obwiniał „pieprzone duszyczki".

— Bawisz się tym?

— Aha.

A skąd wiesz, jak to się robi?

— To bardzo proste. Mogę ci pokazać — powiedziała Regan.

— Ależ, kochanie, do tego potrzeba dwóch osób.

— Wcale nie, mamusiu. Cały czas robię to sama. Chris przysunęła sobie krzesło.

— Zagrajmy razem, dobrze?

Regan zawahała się.

— No, dobrze. — Ułożyła czubki palców na białej planszecie. Gdy Chris wyciągnęła rękę, aby dołączyć swoje palce, planszeta odwróciła się nagle wskazując słowo NIE.

Chris lekko uśmiechnęła się.

— Mamo, chyba lepiej, żebym grała sama.

— Czy nie chcesz, żebym bawiła się z tobą?

— Ależ skąd! Chcę! Tylko, że kapitan Howdy powiedział „nie".

— Jaki kapitan?

— Kapitan Howdy.

— Kochanie, kto to jest kapitan Howdy?

— No, nie wiesz? Ja go pytam, a on mi odpowiada.

— O?

— Tak, jest dla mnie bardzo miły.

Chris starała się ukryć nagłe uczucie niepokoju, które ją ogarnęło. Dziecko bardzo kochało ojca, ale nigdy nie zdradzało jakichkolwiek reakcji na rozwód rodziców. Chris martwiła się, że może Regan płacze po nocach w poduszkę, a ona nic o tym nie wie. Obawiała się, że kiedyś te emocje mogą ujawnić się ze szkodą dla małej. Wymyślony towarzysz zabaw... To nie jest zdrowe zachowanie. Dlaczego Howdy? Od Howarda? Jej ojca? *Całkiem prawdopodobne.*

— Jak to, kochanie, nie mogłaś wymyśleć imienia dla swojego ptaka, a tutaj zaskakujesz mnie kapitanem Howdym. Dlaczego akurat tak go nazwałaś?

— Bo on się tak nazywa — zaśmiała się Regan.

— Kto ci to powiedział?

— On sam, oczywiście.

— Na pewno?

— Na pewno.

— I co ci jeszcze powiedział?

— Wszystko.

— Jak to wszystko?

— No, wszystko.

— Na przykład?

— O, pokażę ci. Zadam mu kilka pytań.

- Dobrze, zrób to.

Regan położyła palce na planszecie, w skupieniu wpatrywała się w blat stolika.

— Kapitanie Howdy, czy nie uważasz, że moja mama jest piękna?

Upłynęła sekunda... pięć... dziesięć... dwadzieścia...

— Kapitanie Howdy?

Czas mijał. Chris była zdziwiona. Spodziewała się, że córka sama ustawi

planszetę na TAK. *Co to znaczy? Podświadoma nienawiść? Och, to bez sensu.*

— Kapitanie Howdy, to naprawdę nie jest uprzejmie! — powiedziała Regan.

— Kochanie, może on już poszedł spać.

— Tak myślisz?

— W każdym razie ty już powinnaś być w łóżku.

— Już?

— Tak, tak. Idziemy na górę.

— Ale z niego świntuch — zamruczała Regan idąc z matką po schodach.

Chris ułożyła ją w łóżku i przysiadła na skraju.

— Kochanie, w niedzielę nie pracuję. Co chciałabyś robić?

— A co możemy robić?

Kiedy przyjechały do Waszyngtonu, Chris starała się znaleźć dla niej koleżanki. Znalazła jedną, dwunastolatkę Judy. Ale teraz Judy wyjechała z rodzicami na święta i Chris martwiła się, że Regan czuje się osamotniona.

— No, nie wiem — powiedziała Chris. — Cokolwiek, może chcesz pójść do parku, zobaczyć jak kwitną wiśnie? Najładniej wyglądają rankiem. A wieczorem pójdziemy do kina, dobrze?

— Jesteś cudowna, mamusiu!

Regan ucałowała ją, a Chris oddała pocałunki szepcząc z czułością: — Och, Rags, tak bardzo cię kocham.

— Możesz, jeśli chcesz, zabrać z nami pana Denningsa. Chris cofnęła się zaskoczona: — Pana Denningsa?

— Tak, ja nie mam nic przeciwko temu.

Chris roześmiała się z wysiłkiem: — Nie, to nie ma sensu. Dlaczego miałybyśmy go zabierać?

— Przecież go lubisz.

— Oczywiście, że go lubię. A ty nie?

Regan nie odpowiedziała.

— Kochanie, co się dzieje — dotknęła jej ramienia.

— Ty chcesz wyjść za niego, mamo, prawda? — To nie było pytanie, ale stwierdzenie wypowiedziane pewnym tonem.

Chris wybuchnęła śmiechem. — Ależ dziecko, oczywiście, że nie! O czym ty w ogóle mówisz? Pan Dennings? Co też ci przyszło do głowy?

— Ale lubisz go.

— Lubię także pizzę, a nie zamierzam za nią wychodzić! Kochanie, on jest po prostu przyjacielem, starym dobrym przyjacielem.

— To znaczy, że nie lubisz go tak, jak lubiłaś tatusia?

— Tatusia kocham. I zawsze będę go kochać. Pan Dennings przychodzi do nas tak często, ponieważ jest samotny, to wszystko! Jest moim przyjacielem.

— Aleja słyszałam...

— Co słyszałaś? Od kogo?

W jej oczach zamigotał błysk niepewności; potem obojętnie wzruszyła ramionami: — Nie wiem, po prostu, pomyślałam sobie.

— To niemądre. Zapomnij o tym.

— Dobrze.

— A teraz zaśnij.

— Czy mogę poczytać? Nie jestem śpiąca.

— Oczywiście. Poczytaj tę nową książkę, dopóki nie poczujesz się senna.

— Dziękuję, mamusiu.

— Dobranoc, kochanie.

— Dobranoc.

Już stojąc w drzwiach Chris posłała córce całusa, a potem zeszła na dół. *Dzieciaki! Skąd one biorą te pomysły?* Za stanawiała się, czy Regan łączy Denningsa *z* jej rozwodem *Och, nie, to bzdura.* Regan wiedziała tylko, że Chris odeszła. Ale to przecież Howard tego chciał. Miał kompleks niższości wobec żony — gwiazdy. Naturalnie wymyślił inny powód, choć Regan nic nie wiedziała na ten temat. *Och. Skończ z tą amatorską psychoanalizą i postaraj się*

spędzać z nią więcej czasu.

W gabinecie zajęła się scenariuszem. Gdy była w połowie tekstu, nagle ujrzała przed sobą Regan.

— Co tam, kochanie? Czy coś się stało?

— Te hałasy są naprawdę dziwne, mamusiu.

— W twoim pokoju?

— Przypomina to pukanie. Nie mogę spać. *Gdzie, u diabla, podziały się te pułapki!*

— Kotku, idź spać do mojego pokoju, a ja sprawdzę, co się dzieje.

Chris zaprowadziła małą do swojej sypialni i położyła do łóżka.

— Czy mogę pooglądać telewizję, zanim zasnę?

— A gdzie jest twoja książka?

— Nie mogę jej znaleźć. Czy mogę oglądać?

— Dobrze, proszę. — Chris włączyła przenośny telewizor.

— Dobrze słyszysz?

— Tak, mamusiu.

— Spróbuj zasnąć.

Chris zgasiła światło i zeszła do hallu. Potem po wąskich schodach wspięła się na poddasze. Otworzyła drzwi i poczęła szukać wyłącznika macając ręką po ścianie. Znalazła kontakt, nacisnęła i przecisnęła się przez niskie drzwi.

Rozejrzała się. Kartonowe pudła pełne wycinków z gazet i starej korespondencji ustawione na podłodze z sosnowych desek. I nic poza tym, prócz sześciu pułapek. Otwartych. Strych był czysty, nawet powietrze przepełniała świeżość. Poczuła chłód; poddasze było nieogrzewane. Żadnych rur. Żadnych kaloryferów. Nawet najmniejszej szczeliny w dachu.

— Tu nic nie ma.

Chris omal nie zemdlała. *Dobry Jezu!* Zaparło jej dech w piersiach. Odwróciła się szybko trzymając rękę na trzepoczącym sercu.

— Karl! Nie rób nigdy takich rzeczy! Karl stał na schodach.

— Bardzo przepraszam, ale widzi pani sama. Tutaj jest czysto.

— Tak, jest czysto, dziękuję.

- Może by spróbować z kotem.

— Co?

— Żeby łapał szczury.

Nie czekając na odpowiedź skinął głową i odszedł. Przez chwilę Chris patrzyła za nim. Albo Karl nie ma żadnego poczucia humoru, albo ma tak dziwne, że nie zrozumiała żartu. Nie potrafiła się zdecydować.

Znowu pomyślała o zagadkowych hałasach. Potem popatrzyła na ukośny dach. Ulica była obsadzona drzewami, większość pni oplotło dzikie wino. Konary potężnej lipy dotykały frontowej ściany domu. Może to rzeczywiście wiewiórki? *Na pewno. Albo gałęzie. Dobrze. To mogą być gałęzie.* Ostatnio noce były wietrzne.

Może by spróbować z kotem?

Przeniosła wzrok na drzwi. Dowcipniś. Nagle uśmiechnęła się do swoich myśli. Zeszła do sypialni Regan, podniosła jakąś rzecz z podłogi i ponownie wspięła się na strych. Gdy potem wróciła do siebie, Regan już spała. Zaniosła dziewczynkę do jej pokoju i ułożyła na łóżku. Wyłączyła telewizor, a później poszła spać.

Do rana panował spokój.

Podczas śniadania Chris jakby od niechcenia oznajmiła Karłowi, że wydawało jej się w nocy, iż słyszy trzask zamykającej się pułapki.

— Może byś poszedł i sprawdził? — powiedziała pijąc kawę i udając, że jest pochłonięta bez reszty poranną gazetą. Karl poszedł na górę.

Chris spotkała go, kiedy wracał wpatrując się bez wyrazu w dużą pluszową mysz. Znalazł ją uwięzioną w pułapce. Chris mijając go uniosła w zdziwieniu brwi.

— Ktoś jest dowcipny — mruknął Karl. Odniósł zabawkę do pokoju Regan.

— Tak, tak, dzieją się dziwne rzeczy — potwierdziła Chris wchodząc do sypialni. Zdjęła szlafrok i rozpoczęła przygotowania do wyjścia z domu. *Tak, mój drogi, może by lepiej spróbować z kotem.* Zawsze, gdy się uśmiechała, na jej twarzy pojawiały się dołeczki.

Tego dnia zdjęcia szły dobrze. Rano przyszła na plan Sharon i podczas przerwy załatwiły zaległą korespondencję: list do menażera (musiała myśleć o scenariuszu), potwierdzenie wizyty w Białym Domu, depesza do Howarda przypominająca o telefonie w dniu urodzin Regan, potem telefon do agenta z pytaniem, czy może pozwolić sobie na roczne porzucenie pracy aktorskiej. Na koniec omówiły szczegóły przyjęcia, które zamierzała wydać dwudziestego trzeciego kwietnia.

Wieczorem Chris wzięła Regan do kina, a następnego dnia wybrały się na przejażdżkę, żeby wypróbować nowego jaguara XKE. Pomnik Lincolna. Kapitol. Kwitnące wiśnie. Lancz. A potem za rzekę, na cmentarz Arlington, do Grobu Nieznanego Żołnierza. Regan była poważna, a przy grobie Kennedy'ego wyraźnie posmutniała i się zamyśliła. Długo się wpatrywała w wieczny płomień; nagle chwyciła Chris za rękę.

— Mamusiu, dlaczego człowiek musi umrzeć? — zapytała po chwili.

Chris poczuła dreszcz przerażenia. *Och, Rags, ty takie? Nie, nie!* Co mogła jej odpowiedzieć? Okłamać dziecko? Na to nie potrafiła się zdobyć. Spoglądała na córkę wzrokiem zmętniałym od cisnących się do oczu łez. Regan odwróciła się. Czyżby mała odgadła jej własne myśli? Zdarzało się to często. Często... Ale już dawno.

— Kochanie, po prostu ludzie są zmęczeni życiem — powiedziała czule Chris.

— Dlaczego Bóg na to pozwala?

Wpatrywała się w córkę zdziwiona i zmieszana. Jako ateistka nigdy nie mówiła Regan o religii. Uważała, że byłoby to nieuczciwe.

Kto ci opowiedział o Bogu? — spytała.

— Sharon.

— Ach, tak. — Musi porozmawiać z Sharon.

— Mamusiu, dlaczego Bóg pozwala, aby ludzie się męczyli? Widziała oczy córki pełne bólu i poddała się: nie potrafiła jej teraz wyłożyć swoich poglądów. Widzisz, Rags, po jakimś czasie Bóg zaczyna za nami tęsknić i chce. żebyśmy do niego wrócili.

Wtedy Regan zamknęła się w sobie na resztę dnia. Podobnie było w poniedziałek.

Zmiana nastąpiła we wtorek, dzień urodzin Regan. Chris wzięła ją ze sobą na plan, a kiedy się skończył dzień zdjęciowy, aktorzy i ekipa techniczna odśpiewali małej „Sto lat" i wniesiono tort. Dennings, który jeśli nie pił. był przemiłym człowiekiem, kazał włączyć światła i sfilmował Regan podczas dzielenia ciasta. Powiedział, że to zdjęcia próbne, a potem obiecał, iż zrobi z niej kiedyś gwiazdę. Mała wydawała się całkiem wesoła.

Ale po obiedzie, gdy już obejrzano prezenty, nastrój się popsuł. Ani słowa od Howarda. Chris dzwoniła do Rzymu i portier w hotelu poinformował ją. że pana MacNeil nie ma w pokoju od kilku dni i nie wiadomo, gdzie go szukać. Wypłynął jachtem.

Chris starała się go wytłumaczyć przed Regan.

Regan przytaknęła zawiedziona ale nie chciała już iść do Hot Shoppe na koktail. W milczeniu zeszła na parter do swojej bawialni i pozostała tam do wieczora.

Następnego ranka, kiedy Chris otworzyła oczy. zobaczyła przed sobą na pół rozbudzoną Regan.

— Co się... Co ty tutaj robisz?

— Moje łóżko się trzęsło.

— Bujasz. — Chris pocałowała ją i ściągnęła z niej kołdrę.

— Idź do siebie spać. Jest jeszcze wcześnie.

Ten poranek był początkiem nie kończącej się nocy.

Rozdział II

Stał na skraju pustego peronu metra wsłuchując się w odgłos nadjeżdżającego pociągu, jakby chciał w ten sposób zagłuszyć rozdzierający go ból. Przełożył torbę do drugiej ręki i popatrzył w głąb tunelu. Punkciki świateł. Ich promienie rozcinały ciemność niczym drogowskazy prowadzące do miejsca, gdzie znajduje się kraniec nadziei.

Odkaszlnął i zerknął w lewo. Włóczęga o poszarzałej, nieogolonej twarzy siedział pod ścianą w kałuży moczu. Podniósł żółte oczy na księdza, zwracając ku niemu przepite, ponure oblicze.

Ksiądz odwrócił wzrok. Podejdzie. Będzie skamlał. *Wesprzyj starego ministranta, ojczulku.* Pokryte wymiocinami policzki oprze na jego ramieniu. Nerwowe poszukiwanie monety w kieszeni. Odór oddechu zapamiętany z tysięcy spowiedzi; cuchnący winem, czosnkiem i przypominanymi sobie naprędce grzechami śmiertelnymi, szeptanymi do ucha, a potem pocieszenie... pocieszenie...

Usłyszał, jak włóczęga podnosi się z ziemi.

Nie podchodź!

Zbliżające się kroki.

Boże, daj mi siłę!

— Jak się masz, ojczulku.

Drgnął i dał za wygraną. Ale nie mógł zdobyć się na to, by odwrócić głowę i odnaleźć Chrystusa w tym człowieku, cuchnącym, o pustych źrenicach. Chrystusa zaropiałych oczu i krwawych oczodołów, Chrystusa, jakiego nie ma. Mimowolnie namacał swój rękaw, jakby szukając niewidocznej opaski żałobnej. Z trudem przypomniał sobie innego Chrystusa.

— Hej, ojczulku!

Zgrzyt nadjeżdżającego pociągu. Potem pisk hamulców. Spojrzał na włóczęgę. Zbliżał się stawiając niepewnie słabe nogi; powodowany nagłym

niewytłumaczalnym impulsem, pchnął go na ławkę pod ścianą.

— Jestem katolikiem — wymamrotał pijak. — Katolikiem. Ksiądz ułożył go na ławce, zerknął na pociąg. Wyjął dolara i włożył włóczędze do kieszeni marynarki. Po chwili przyszło mu na myśl, że pijak może go zgubić. Przełożył dolara do przemoczonej tylnej kieszeni spodni włóczęgi, podniósł swoją torbę i wsiadł do pociągu.

Wcisnął się w kąt przedziału udając, że śpi. Z końcowej stacji ruszył pieszo do budynku Fordham University. Dolar oddany włóczędze był przeznaczony na taksówkę.

Kiedy wszedł do poczekalni dla gości, wpisał się do księgi przyjęć: Damien Karras. Przeczytał. Coś było nie tak. A potem zorientował się i dodał — S.I.

Otrzymał pokój w Weigel Hall i po godzinie mógł się już położyć do łóżka.

Następnego dnia wziął udział w posiedzeniu Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego wygłaszając referat zatytułowany: „Psychologiczne aspekty rozwoju duchowego". Wieczorem pozwolił sobie na kilka drinków i przekąskę w towarzystwie kilku lekarzy, którzy zapłacili za niego. Wyszedł wcześniej, bo musiał zobaczyć się z matką.

Wszedł do bramy odrapanej kamienicy czynszowej na Manhattanie przy 21 ulicy. Przystanął na schodach. Obok na tarasie bawiła się grupka dzieci. Rozczochrane, źle ubrane, bez miejsca do zabawy. Jego dzieciństwo: niedostatek, poniżenia; te powroty do domu, gdy idąc ze swoją dziewczyną ze szkoły napotykał matkę grzebiącą w śmietniku za rogiem. Wspiął się po schodkach i otworzył drzwi rozdrapując świeżą jeszcze ranę. Kuchenne odory: słodki zapach zgnilizny. Przypomniał sobie wizyty u pani Choirelli; trzymała w mieszkaniu osiemnaście kotów. Ruszył dalej, przytłoczony narastającym poczuciem winy. Nigdy nie powinien był zostawiać jej samej.

Przywitała go z radością, ucałowała i natychmiast pobiegła zagotować kawę. Otyła, schorowane nogi. Przysiadł w kuchni i słuchał jej głosu. Obskurne

ściany i brudna podłoga spotęgowały w nim uczucie winy. To mieszkanie, ta nora. Opieka społeczna! Brat co miesiąc przysyłał parę dolarów.

Usiadła przy nim na taborecie. Ta pani, tamta pani, wuj. Wciąż ma obcy akcent. Unikał jej oczu, tych ścian płaczu. Oczu, całymi dniami wyglądających przez okno. Nigdy nie powinien był zostawiać jej samej.

Później napisał dla niej kilka listów. Nigdy nie opanowała sztuki pisania i czytania po angielsku. Resztę czasu spędził naprawiając głośnik zniszczonego plastikowego radia. Jej świat. Wiadomości dziennika. Burmistrz Lindsay...

Poszedł do łazienki. Pożółkłe gazety oklejające kafelki. Plamy rdzy na rurach i zlewie. Na podłodze porzucony stary gorset. Ziarno powołania. To tutaj nauczył się kochać. Teraz miłość wystygła. Nocami błądziła w zakamarkach jego serca jak bezdomny podmuch wiatru.

Wybiły trzy kwadranse na jedenastą, gdy ucałował matkę na pożegnanie. Obiecał, że przyjedzie, jak tylko czas mu pozwoli. Kiedy wychodził, przez radio podawali wiadomości.

W swoim pokoju w Weigel Hall powrócił myślami do listu, który musiał napisać do prowincjała Towarzystwa Jezusowego w Maryland. Już przedtem przygotował grunt, wysyłając prośbę o przeniesienie do Nowego Jorku, aby znaleźć się bliżej matki. Teraz prosił o posadę nauczyciela i zwolnienie z obowiązków konsultanta. Motywował to nieprzystosowaniem do takich zajęć.

Prowincjał Marylandu przyjął jego pierwszą prośbę podczas dorocznej inspekcji w Georgetown University. Obowiązek ten polegał między innymi na wysłuchiwaniu wszystkich zwierzanych w zaufaniu skarg i narzekań. Kiedy Damien Karras wspomniał o matce, prowincjał skinął głową i wyraził swoje współczucie, ale gdy ksiądz napomknął o swoim nieprzystosowaniu, wydało mu się, że na twarzy zwierzchnika zagościł sprzeciw. Karras próbował go przekonać:

— Posłuchaj, Tom, to coś więcej niż psychiatria; dobrze o tym wiesz. Niektóre ich problemy sprowadzają się do powołania, dotyczą sensu życia. I

wierz mi, że nie chodzi tu tylko o seks. To sprawa ich wiary, a z tym nie potrafię sobie radzić. To zbyt wiele. Nie mogę podołać, mam własne problemy. To znaczy, własne wątpliwości.

— A któryż myślący człowiek ich nie ma. Damien? Prowincjał był człowiekiem żyjącym w ciągłym pośpiechu, wciąż ktoś na niego czekał. Nie nalegał na wyjaśnienia; Karras był mu za to wdzięczny. Wiedział, że jego odpowiedzi brzmiałyby jak słowa obłąkanego: „Konsumpcja, wydalanie, dziewięć pierwszych piątków mojej matki, brudne skarpetki, dzieci kalekie po thalidomidzie, wzmianka w gazecie o młodym ministrancie, czekającym na przystanku autobusowym, na którego napadli nieznani sprawcy, oblali benzyną i podpalili". Nie. To zbyt emocjonalne. Niejasne, egzystencjalne. Lepiej zacząć od problemu milczenia Boga. Tyle jest zła na świecie. A większość zła wynika z wątpliwości, które ogarniają coraz więcej ludzi dobrej woli. Dlaczego Bóg w to nie ingeruje? Dlaczego nie przemówi?

Panie, daj nam znak...

Wskrzeszenie Łazarza — stare dzieje. Nikt z żywych nie widział jego radości.

Czemu nie dajesz znaku, Panie?

Wiele razy ksiądz marzył o życiu u boku Chrystusa. Móc Go widzieć, dotykać, patrzeć w Jego oczy! *O, Boże mój, pozwól, abym Cię ujrzał i poznał. Nawiedź mnie w snach.*

Przemożne pragnienie spalało jego duszę.

Teraz siedział przy biurku z piórem w ręce, pochylony nad kartką papieru. Być może już nie musi niepokoić prowincjała. Może już zrozumiał, że wiara oznacza miłość.

Prowincjał obiecał rozważyć jego prośbę, ale jak dotąd nie dał odpowiedzi. Karras napisał list i udał się na spoczynek.

Obudził się, półprzytomny, o piątej nad ranem. W kaplicy w Weigel Hali poświęcił hostię, a potem wrócił do swego pokoju, by odprawić mszę.

— *Et clamor meus ad te veniat* — z udręką wypowiadał słowa modlitwy. — A wołanie moje niech do Ciebie przyjdzie...

Uniósł hostię z bolesnym, dojmującym wspomnieniem radości, jaką kiedyś odczuwał podczas konsekracji. Jak każdego ranka, podczas mszy ogarnęło go niespodziewanie wspomnienie utraconej miłości. Przełamał hostię nad kielichem.

— Pokój mój zostawiam wam, pokój mój wam daję... Wsunął opłatek do ust i przełknął go. Papierowy smak zawodu...

Kiedy skończył, wyczyścił kielich i staranie ułożył go w torbie. Potem udał się na stację, by złapać poranny pociąg do Waszyngtonu.

Unosił swój ból w czarnej walizce.

Rozdział III

Wczesnym rankiem dwunastego kwietnia Chris zatelefonowała do swojego lekarza w Los Angeles prosząc o skierowanie Regan do miejscowego psychiatry.

— Och! Co jej dolega?

Chris zaczęła od urodzin Regan, gdy zabrała ją na zdjęcia. W ciągu następnych dni, kiedy wciąż nie było telefonu od Howarda, zauważyła ogromną zmianę w zachowaniu córki. Bezsenność, rozdrażnienie, wybuchy złości, rzucanie różnymi przedmiotami, tupanie, płacz, brak apetytu. W dodatku dziewczynka przejawiała anormalną energię. Bez przerwy biegała po domu, wszędzie było jej pełno; bębniła palcami o blat stołu. Opuściła się w nauce. Urojony towarzysz zabaw. Ekscentryczne próby zwrócenia na siebie uwagi.

— Na przykład jakie? — zapytał lekarz.

Opowiedziała mu o stukaniu. Od kiedy przeszukała poddasze, słyszała je jeszcze dwa razy. I zawsze, kiedy rozlegały się dziwne odgłosy, Regan była w swoim pokoju. Gdy Chris wchodziła, pukanie ustawało. Po drugie, powiedziała lekarzowi Chris, Regan zapodziewa różne rzeczy. Sukienkę, książkę, szczoteczkę do zębów, buty. Skarży się, że kłoś przesuwa jej meble. Następnego dnia po przyjęciu w Białym Domu Chris przyłapała w sypialni Regan Karla, gdy przesuwał biurko. Mebel stał na środku pokoju. Karl mruknął tylko: Ktoś jest dowcipny.

Nie chciał o tym więcej mówić, ale wkrótce potem Regan pewnego ranka weszła do kuchni i poskarżyła się, że ktoś w nocy, kiedy spała, poprzesuwał wszystkie jej meble. Wtedy

Chris upewniła się w swoich podejrzeniach. To musi być sprawka małej.

— Myślisz, że w grę wchodzi somnambulizm? Że robi to we śnie?

— Nie. Marc, ona to robi świadomie, aby zwrócić na siebie uwagę.

Chris wspomniała także o drgającym łóżku. Wypadek ten powtarzał się

trzy razy; zawsze potem Regan upierała się, żeby spać u matki.

— Może jakieś zjawisko fizyczne? — zaryzykował lekarz.

— Nie, Marc. Nie powiedziałam, iż łóżko się trzęsło; powiedziałam, że według Regan trzęsie się.

— A czy masz pewność, że się trzęsło?

— Nie.

— W takim razie mogą to być drgawki kloniczne — mruknął lekarz.

— Co?

— Gorączkuje?

— Nie. Co o tym myślisz? — zapytała Chris. — Może powinnam być bardziej wymagająca wobec niej?

— Chris, wspomniałaś o nauce Regan. Jak jej idzie matematyka?

— Dlaczego pytasz?

— Jak z matematyką? — upierał się.

— Okropnie. To znaczy, nagle pogorszyła się.

Marc odchrząknął.

— Dlaczego pytałeś?

— To może być jeden z objawów.

— Czego?

— Niczego poważnego. Wolałbym nie zgadywać przez telefon. Czy masz tam coś do pisania?

Zamierzał podać jej adres jednego z waszyngtońskich internistów.

— Marc, czy możesz przyjechać tutaj i zbadać ją osobiście? Jamie. Chroniczna infekcja. Ówczesny lekarz Chris przepisywał nowy antybiotyk o szerokim spektrum działania. Gdy realizowała receptę, farmaceuta ostrzegł ją: ..Nie chciałbym pani straszyć, ale wie pani, to jest zupełnie nowy lek na rynku i w Georgii zanotowano po nim przypadki białaczki..." Jamie. Jamie. Nie żyje. Od tego czasu Chris nie wierzyła lekarzom. Tylko Marcowi. Aby się na to zdobyć, potrzebowała wielu lat.

— Marc, może jednak? — błagała.

— Nie, nie mogę, ale nie martw się. Ten lekarz jest wspaniały. Najlepszy. A teraz notuj.

Zawahała się przez chwilę.

— Dobrze, jak chcesz. Zapisała nazwisko lekarza.

— Zaprowadź do niego małą, a potem poproś, żeby do mnie zadzwonił — powiedział Marc. – I nie myśl o psychiatrze.

— Jesteś pewien?

Zacytował jej fragment błyskotliwego artykułu, który wykazywał, że ludzie chętnie stwierdzają dolegliwości psychosomatyczne, zapominając zupełnie o chorobach ciała jako najczęstszej przyczynie niedomagań psychicznych.

— A co byś powiedziała — dodał dla poparcia swoich słów — gdybyś, Boże uchowaj, była moim lekarzem i gdybym przyszedł do ciebie skarżąc się na bóle głowy, nocne koszmary, nudności, bezsenność i zaburzenia wzrokowe? Że czuję się rozbity i że na śmierć zamartwiam się swoją pracą? Czy nazwałabyś mnie neurotykiem?

— Nie musisz mnie pytać, Marc. Wszyscy wiedzą, że jesteś postrzelony.

— Te symptomy są charakterystyczne dla guza mózgu, Chris. Po pierwsze, trzeba ją zbadać, a potem zobaczymy.

Chris zatelefonowała do poleconego przez Marca lekarza i umówiła się z nim na popołudnie. Mogła dowolnie dysponować swoim czasem: zdjęcia były już skończone, przynajmniej dla niej. Dennings zajmował się teraz dokrętkami; przede wszystkim chodziło o ujęcia z helikoptera terenów wokół miasteczka, a także zdjęcia plenerowe. Nie brał w nich udziału żaden z ważniejszych aktorów. Burkę pilnował jednak wszystkiego osobiście — chciał, aby film był doskonały w każdym calu.

Doktor przyjmował w Arlington. Nazywał się Samuel Klein. Zostawiwszy Regan w gabinecie, poprosił Chris do pokoju obok i wysłuchał krótkiej historii choroby. Opowiedziała mu o kłopotach. Słuchał, potakiwał głową, zapisywał

coś w notesie. Kiedy wspomniała o drgającym łóżku, zmarszczył brwi. Ale Chris zmieniła już temat:

— Wydawało mi się, że Marc uznał za ważne kłopoty Regan z matematyką. Czy może mi pan wyjaśnić, co miał na myśli?

— Chodzi pani o szkołę?

— Tak, o szkołę, ale przede wszystkim o matematykę. Czy to ma jakieś znaczenie?

— Poczekajmy, dopóki jej nie zbadam, pani MacNeil. Potem przeprosił Chris i dokładnie zbadał małą. Wykonał analizę moczu i krwi, aby sprawdzić wątrobę i nerki, a także wykluczyć cukrzycę. Kiedy skończył, usiadł i przez chwilę rozmawiał z Regan badając jej zdolności kojarzenia. Potem wrócił do Chris i wypisał receptę.

— Wygląda na to, że ma hiperkinetyczne zaburzenia w zachowaniu.

— Co takiego?

— Zaburzenia nerwowe. Tak przynajmniej myślę. Nie znamy dokładnie przyczyn, ale jest to częste we wczesnej fazie dojrzewania. Występują wszystkie typowe objawy. Niepokój ruchowy, zmiany nastroju, kłopoty z matematyką.

— No właśnie. Ta matematyka. Na czym to polega?

— Zaburzenia koncentracji. — Lekarz wyrwał receptę z małego niebieskiego bloczka i podał Chris. — Zapisałem ritalin.

— Co?

— Metylofenidat.

— Aha.

— Dziesięć miligramów dwa razy dziennie. Radziłbym o ósmej rano i o drugiej po południu.

Patrzyła na receptę.

— Co to takiego? Środek uspokajający?

— Nie, stymulujący.

— Stymulujący? Ależ ją przecież roznosi!

— Jej zachowanie może wprowadzać w błąd — wytłumaczył Klein. — To może być forma wtórnej reakcji na depresję.

— Depresję?

Klein potwierdził.

— Depresja... — powtórzyła cicho Chris i zamyśliła się.

— Wspominała pani o jej ojcu — podjął Klein. Chris podniosła wzrok.

— Czy myśli pan, że powinnam ją zaprowadzić do psychiatry?

— Och, nie. Trzeba raczej zaczekać i przekonać się, jak podziała lek. Spodziewam się, że to rozwiąże sprawę. Poczekajmy dwa lub trzy tygodnie.

— Więc uważa pan, doktorze, że to wszystko na tle nerwowym?

— Tak przynajmniej podejrzewam.

— A te wszystkie kłamstwa, które ciągle opowiada; czy przestanie?

Reakcja Kleina zaskoczyła ją. Zapytał, czy Regan kiedykolwiek przeklinała i używała wulgarnych słów.

— Nie, nigdy — odpowiedziała Chris.

— Widzi pani, to jest tak jak z tymi kłamstwami: bardzo do niej niepodobne, wnioskując z tego, co pani mówi. Choć przy pewnych zaburzeniach nerwowych może...

— Chwileczkę — przerwała mu zbita z tropu Chris. — Skąd pan wie, że ona używa wulgarnych słów? To znaczy, pan tak powiedział, czy ja źle zrozumiałam?

Patrzył na nią zdziwiony; zastanawiał się. Potem ostrożnie zauważył: — Tak, mógłbym stwierdzić, że używa wulgarnych słów. Czy nie wiedziała pani o tym?

— I dalej nie wiem. O czym pan mówi?

— Kiedy ją badałem, pani MacNeil, puściła niezłą wiązankę.

— Żartuje pan, doktorze! Co powiedziała?! Unikał jej wzroku.

— No, cóż, powiedziałbym, że jej słownik jest raczej bogaty.

— Ale co? Proszę mi podać jakiś przykład! Wzruszył ramionami.

— Czy powiedziała „gówno" albo „pieprzyć"? Wyraźnie odprężył się.

— Tak, użyła tych słów.

— I co jeszcze powiedziała?

— Doprawdy nic szczególnego, pani MacNeil... Poradziła mi, żebym trzymał swoje parszywe łapy z daleka od jej cipki.

Chris podskoczyła na krześle.

— I ona użyła tych słów?!

— Tak, to na pewno niezwykłe, ale proszę się nie przejmować. Po prostu to jeden z objawów.

Oglądała czubki swoich butów.

— Nie mogę uwierzyć.

— Widzi pani, myślę, że ona nie rozumie tego, co mówi.

— Och, mam nadzieję — wyszeptała Chris.

— Proszę dać jej ritalin. I zobaczymy, jak się to rozwinie. Chciałbym ją zbadać znowu za dwa tygodnie. — Wertował kalendarz na biurku. — Zaraz... Powiedzmy w środę dwudziestego siódmego. Czy to pani odpowiada? — spytał wstając.

— Tak, oczywiście — wymamrotała podnosząc się z krzesła. Zmięła receptę w kieszeni płaszcza. — Najzupełniej mi odpowiada.

— Jestem pani wielbicielem — powiedział Klein otwierając drzwi na korytarz.

Zatrzymała się w progu zastanawiając się nad czymś. Musnęła palcem usta. Spojrzała na lekarza:

— Więc mówi pan, żeby nie iść do psychiatry?

— Sam nie wiem. Ale najprostsza diagnoza zwykle okazuje się tą najlepszą. Poczekajmy i zobaczymy. — Uśmiechnął się pocieszająco.

— A tymczasem proszę spróbować się nie martwić.

— Ale jak mam to zrobić?

W drodze powrotnej Regan spytała, co powiedział lekarz.

— Mówił, że to tylko nerwy.

Chris postanowiła nie wspominać jej o słownictwie. Burke. Nauczyła się od niego.

Potem porozmawiała z Sharon; zapytała ją, czy słyszała, aby Regan przeklinała.

— Owszem — odpowiedziała Sharon. - Nawet nie tak dawno. Zdaje się, że to nauczyciel rysunku zwrócił jej uwagę. Ten korepetytor.

— Co masz na myśli mówiąc „niedawno"?

— To znaczy - w zeszłym tygodniu. Ale przecież znasz ją, powiedziała pewnie „cholera" albo „psia krew", lub coś podobnego.

— A tak przy okazji, Shar, czy rozmawiałaś z nią na temat religii?

Sharon zarumieniła się.

— Tak, trochę. Nie da się tego uniknąć. Sama wiesz, zadaje tyle pytań... — Wzruszyła bezradnie ramionami. — Są trudne. Czy mogę nie odpowiadać lub kłamać?

— Mów tak, żeby sama mogła wybrać.

W ciągu dni poprzedzających przyjęcie Chris pilnowała, aby Regan regularnie zażywała lekarstwo, jednak nie zauważyła żadnej poprawy. Raczej nieznaczne, lecz wciąż postępujące pogorszenie: dziewczynka była coraz bardziej roztargniona, niechlujna, raz powtórzyły się nudności. Ponieważ zawiodły jej dotychczasowe sposoby zwrócenia na siebie uwagi, wymyśliła coś nowego: skarżyła się na nieprzyjemny zapach w sypialni. Upierała się przy tym, więc Chris poszła sprawdzić, ale nic nie poczuła.

— Naprawdę nic nie czujesz?

— A ty, w tej chwili, czujesz coś? - spytała Chris.

— No pewnie!

— Co ci ten zapach przypomina?

Regan zmarszczyła nosek.

— Tak jakby coś się paliło.

— Ach, tak — westchnęła Chris.

— Czy naprawdę tego nie czujesz?

— Teraz trochę czuję, kochanie — skłamała. — Otwórzmy okno i wpuśćmy świeże powietrze.

Oczywiście nie czuła nic, ale postanowiła, że będzie grała na zwłokę, przynajmniej do umówionej wizyty u Kleina. Poza tym pochłaniało ją wiele innych spraw. Przygotowania do przyjęcia. Jej scenariusz. Była zachwycona perspektywą reżyserowania własnego filmu, ale rozsądek powstrzymywał ją od pochopnych decyzji. Codziennie dzwonił menażer Chris. Powiedziała mu, że oddała skrypt Denningsowi do oceny i ma nadzieję, że ten zdąży go przeczytać, zanim skonsumuje.

Po trzecie — i najważniejsze — uwaga Chris była zaprzątnięta niepowodzeniami w dwóch operacjach finansowych: nagły spadek wykupionych akcji spółki naftowej w południowej Libii. Na inwestycję nałożono ogromny podatek rządowy, ale nie to było najgorsze — okazało się, że nie ma ropy i wartość akcji spadła niemal do zera.

Doradca finansowy Chris miał nietęgą minę, gdy przyleciał do Waszyngtonu specjalnie, by omówić tę sprawę. Przybył w czwartek, rozmowa przeciągnęła się do piątku. W końcu wymyślił rozsądny sposób pokierowania akcjami, ale sprzeciwił się, kiedy Chris wspomniała o kupnie ferrari.

— Czy myślisz o kupnie nowego wozu?

— Kiedyś jeździłam takim w filmie. Może gdybyśmy przypomnieli o tym producentom, daliby mi rabat. Co o tym sądzisz? Nie był zachwycony jej pomysłem: uważał, że jest rozrzutna.

— Ben, zarobiłam w zeszłym roku osiemset tysięcy dolarów, a ty mówisz, że nie mogę sobie pozwolić na to auto. Nie wydaje ci się to śmieszne? Gdzie idą te pieniądze?

Przypomniał jej, że większość zainwestowała. A potem wykazał, co uszczupla majątek: rządowy podatek dochodowy, podatek wyrównawczy,

podatek stanowy, podatek od nieruchomości, dziesięć procent dla menażera, pięć dla niego, pięć na reklamę, sto dwadzieścia pięć tysięcy współudziału w Motion Picture Welfare, wydatki na nowe kreacje, pensje Willie, Karla i Sharon, pensje nadzorców posiadłości w Los Angeles, koszty licznych podróży i w końcu jej wydatki osobiste.

— Czy w tym roku nakręcisz jeszcze jakiś film? — zapytał. Wzruszyła ramionami — Sama nie wiem; a czy powinnam?

— Tak, myślę, że będzie to najlepsze wyjście.

Podparła brodę dłońmi i popatrzyła na niego smutnym wzrokiem.

— No to może honda?

Przez resztę wieczoru Chris starała się nie myśleć o kłopotach, zajęła się przygotowaniami do przyjęcia.

— Zrobimy bufet stojący zamiast sadzać gości przy stole — powiedziała do Karla i Willie. — Możemy przygotować bufet w salonie.

— Doskonale, proszę pani — odpowiedział szybko Karl.

— Jak myślisz, Willie? Na deser sałatka ze świeżych owoców?

— Świetnie — powiedział Karl.

— Dziękuję, Willie.

Zaprosiła bardzo zróżnicowane towarzystwo. Oprócz Denningsa („Cholera, nie będę się mógł upić"), także młodego reżysera drugiej części tryptyku, senatora (z żoną), astronautę z Apolla (z żoną), dwóch jezuitów z Georgetown University, kilku sąsiadów, a także Mary Jo Perrin i Ellen Cleary.

Mary Jo Perrin, pulchna i siwowłosa, była jasnowidzem. Chris spotkała ją na obiedzie w Białym Domu i natychmiast polubiła. Spodziewała się, że będzie poważna, nieprzystępna, ale kiedy ją poznała bliżej, musiała stwierdzić: — Ależ pani wcale taka nie jest. — W rzeczywistości Mary Jo Perrin była bowiem bezpretensjonalna i emanowała ciepłem.

Ellen Cleary — osoba w średnim wieku — pracowała jako sekretarka w departamencie stanu, kiedy Chris zwiedzała Rosję. Poznała Ellen w

moskiewskiej ambasadzie Stanów

Zjednoczonych. Bardzo wtedy pomogła Chris i dołożyła wielu starań, by uprzyjemnić jej pobyt.

Chris przez te lata zawsze miło ją wspominała i odnalazła ją po przyjeździe do Waszyngtonu.

— Shar, jacy księża przyjdą? — zapytała.

— Nie jestem całkowicie pewna. Zaprosiłam rektora i dziekana, ale myślę, że rektor przyśle kogoś w zastępstwie. Jego sekretarka dzwoniła dziś rano, że być może będzie musiał wyjechać.

— Jak myślisz, kogo przyśle? - spytała zaciekawiona Chris.

— Poczekaj, sprawdzę.

Sharon wertowała notatnik.

— Aha, mam, Chris. Jego asystent, ojciec Dyer.

— Z uczelni?

— Nie wiem dokładnie.

— No, dobrze.

Wydawała się nieco rozczarowana.

— Pilnuj Burke'a jutro wieczorem — poradziła.

— Wiem.

— Gdzie jest Rags?

— Na dole.

— Słuchaj, może przeniosłabyś tam swoją maszynę do pisania? Mogłabyś wtedy być przy niej, kiedy pracujesz, w porządku? Nie chcę, żeby dłużej pozostawała sama.

— Niezły pomysł.

— To potem. Na razie idź do domu. Pomedytuj, zajmij się sobą.

Przygotowania do przyjęcia nie zdołały uspokoić Chris. Ciągle myślała o Regan. Włączyła telewizor, ale nic do niej nie docierało. Była zdenerwowana. Coś niewytłumaczalnego unosiło się w powietrzu. Przytłaczająca atmosfera.

Przed północą domownicy już spali.

Ta noc upłynęła spokojnie. Jeszcze ta noc.

Rozdział IV

Chris włożyła na przyjęcie jasnozielony kostium z długimi, obszernymi rękawami. Czuła się w tym ubraniu swobodnie i miała nadzieję, że jej dobry nastrój utrzyma się przez resztę wieczoru.

Pierwsza przyszła Mary Jo Perrin wraz ze swoim kilkunastoletnim synem Robertem. Ostatni pojawił się ojciec Dyer. Młody, gładko ogolony, drobny mężczyzna o bystrych oczach, spoglądających zza szkieł w metalowej oprawie. W progu przeprosił za spóźnienie: — Nie mogłem dobrać odpowiedniej koloratki — powiedział poważnym tonem do Chris. Przez moment patrzyła na niego nie rozumiejąc, a potem wybuchnęła śmiechem. Przygnębienie poczęło ją opuszczać.

Drinki zrobiły swoje. Przed dziesiątą zebrali się w salonie na kolacji.

Chris stojąc przy bufecie poszukała wzrokiem Mary Jo Perrin. O tam, na sofie. Siedziała razem z ojcem Wagnerem, dziekanem jezuitów. Chris dotąd rozmawiała z nim tylko przez chwilę. Miał łysą głowę, okoloną rzadkimi kosmykami włosów; zachowywał się uprzejmie, ale z pewnym dystansem. Chris podeszła do nich i usiadła na podłodze przed stolikiem do kawy. Jasnowidząca była rozbawiona.

— I co dalej, Mary Jo? — zapytał dziekan z uśmiechem, nakładając sobie porcję curry.

— Tak, mów dalej — zawtórowała mu Chris.

— O, i pani tutaj. Wspaniałe przyjęcie.

— Nie za ostre curry?

— Nie, w sam raz. Mary Jo opowiadała mi właśnie o pewnym jezuicie, który był medium.

— A on mi nie wierzy! — zaśmiała się Mary Jo.

— O, wcale nie — poprawił ją dziekan — powiedziałem tylko, że trudno w to uwierzyć.

— Masz na myśli prawdziwe medium? — zapytała Chris.

— Oczywiście; potrafił nawet kwitować.

— Och, ja to robię każdego ranka — powiedział jezuita poważnym tonem.

— A czy przeprowadzał seanse spirytystyczne? — wypytywała dalej Chris.

— Tak. W dziewiętnastym wieku był bardzo sławny. Chyba jedyny spirytysta w tamtych czasach, którego nigdy otwarcie nie oskarżono o szarlatanerię.

— Więc tak jak powiedziałem, nie mógł być jezuitą — wtrącił dziekan.

— Ależ był — uśmiechnęła się Mary Jo. — Kiedy skończył dwadzieścia dwa lata, wstąpił do zakonu i obiecał, że nigdy nie będzie już występował jako medium. Ale zmuszono go do opuszczenia Francji — zaśmiała się głośniej — zaraz po seansie w Tuileries. Wiecie, co zrobił? W połowie seansu powiedział cesarzowej, że poczuje ona dotyk rąk ducha dziecka, które za chwilę się zmaterializuje. Gdy ktoś niespodziewanie wniósł światło — krztusiła się ze śmiechu — zebrani zobaczyli, że dotyka ramienia cesarzowej swoją nieobutą stopą. Wyobrażacie to sobie?

Jezuita uśmiechnął się i odłożył talerzyk: — Jest to jeszcze jeden dowód, że wszyscy oszukujecie, Mary Jo.

— Och, przecież w każdej rodzinie może się znaleźć czarna owca.

— Tak jak u nas; mówią, że sprzedaliśmy Medyceuszom papieski stołek.

— Wiecie — zaczęła Chris - ja też sobie coś przypominam.

Dziekan przerwał jej: — Czy mam to traktować jako spowiedź?

Chris uśmiechnęła się i powiedziała: — Nie, nie jestem katoliczką.

— Jezuici też nie są — zachichotała pani Perrin.

— Dominikańskie przesądy — odparował dziekan. Potem zwrócił się do Chris: — Przepraszam, moja droga, o czym pani mówiła?

— Kiedyś zdawało mi się, że widzę lewitującego człowieka. To było w Bhutanie.

Opowiedziała im całą historię.

— Myśli ojciec, że to jest możliwe? — spytała na koniec. — Ale tak na poważnie?

— Kto to wie? — wzruszył ramionami. — Kto wie, czym jest naprawdę grawitacja albo materia, jeśli już o tym mówimy.

— Chciałby ojciec usłyszeć moje zdanie?- wtrąciła Mary Jo.

— Nie, Mary Jo. Wystarczą mi moje własne wątpliwości.

— Mnie też — oświadczyła Chris.

— Coś panią dręczy? — zapytał dziekan pochylając się w jej stronę.

— Ach, nic takiego. Ale jest coś, o co chciałabym zapytać. Czy zna ojciec tę małą kaplicę na tyłach kościoła po drugiej stronie ulicy?

— Świętej Trójcy? — domyślił się.

— Tak, właśnie. Co tam się dzieje?

— Po prostu odprawiają w niej czarne msze — powiedziała pani Perrin.

— Czarne co?

— Czarne msze.

— Co to takiego?

— Ona sobie żartuje — wtrącił dziekan.

— Tak, wiem, ale jestem zupełną ignorantką. To znaczy, czym jest właściwie czarna msza?

— Odwrócenie mszy katolickiej. Jest związana z siłami nieczystymi i kultem diabła.

— Naprawdę? I myśli ojciec, że takie rzeczy się zdarzają?

— Trudno powiedzieć. Choć słyszałem, że statystyki mówią o osiemdziesięciu tysiącach czarnych mszy, które odprawiane są każdego roku w Paryżu.

— W dzisiejszych czasach? — zdziwiła się Chris.

— Tak słyszałem.

— Oczywiście od specjalnej jezuickiej służby wywiadowczej — zaśmiała

się pani Perrin.

— Wcale nie. Tak słyszałem — powiedział dziekan.

— Wiecie — zauważyła Chris — w Los Angeles opowiada się mnóstwo historii o różnych praktykach związanych z siłami nieczystymi. Często się zastanawiałam, czy są one prawdziwe.

— Już mówiłem, że nie jestem pewny, ale mogę powiedzieć, kto się w tym orientuje: Joe Dyer. Gdzie on jest? — Rozejrzał się po salonie. — O, tam stoi — wskazał na księdza, który odwrócony tyłem do nich nakładał sobie przy bufecie kolejną porcję. — Hej, Joe!

Młody ksiądz obejrzał się: — Wzywałeś mnie, o, wielki dziekanie? Jezuita skinął na niego ręką.

— Zaraz przyjdę, moment — Dyer ponowił atak na kurczaka i sałatkę.

— To nasz dobry duszek — powiedział dziekan. Wypił łyk wina. — Zdarzyło się kilka przypadków profanacji w kościele Świętej Trójcy podczas ostatniego tygodnia i Joe twierdzi, że jeden z nich przypomina praktyki stosowane podczas czarnej mszy. Myślę więc, iż jest zorientowany w temacie.

— Co takiego się wydarzyło? — spytała Mary Jo Perrin.

— Och, doprawdy, to zbyt odrażające — powiedział dziekan.

— Niech ojciec powie; już skończyliśmy jeść.

— Nie, proszę. To naprawdę nie nadaje się do opowiadania!

— Ale prosimy!

— Zatem nie może pani wyczytać tego w moich myślach, Mary Jo?

— Mogłabym — odpowiedziała — ale nie jestem godna przenikać tego najświętszego z umysłów — zachichotała.

— Ale to naprawdę będzie niesmaczne — zastrzegł się dziekan.

Opisał profanację: stary zakrystian znalazł na ołtarzu ludzkie ekskrementy, dokładnie naprzeciwko tabernakulum.

— Och, to rzeczywiście niesmaczne — pani Perrin zmarszczyła brwi.

— Drugi wypadek jest jeszcze okropniejszy — podjął dziekan. Musiał

użyć dwuznaczników i eufemizmów, by powiedzieć, że do posągu Ukrzyżowanego na bocznym ołtarzu dolepiono uformowany z gliny masywny fallus.

— Wystarczy? — zakończył swoją opowieść.

Chris spostrzegła, że Mary Jo była bardzo zmieszana, gdy odpowiadała dziekanowi.

— Tak, rzeczywiście dosyć. Przepraszam, że nalegałam. Zmieńmy proszę temat.

— A ja jestem zafascynowana! — oświadczyła Chris.

— Rozumiem panią. Jestem fascynującym człowiekiem. To był ojciec Dyer. Właśnie zbliżył się z talerzykiem w ręce.

— Jedną minutkę i wracam do państwa. Mam coś do obgadania z naszym kosmonautą.

— Cóż takiego? — zapytał dziekan.

Ojciec Dyer zmrużył filuternie oczy: — Co powiecie o pierwszym misjonarzu na Księżycu? Wybuchnęli śmiechem.

— Masz akurat odpowiednie wymiary — powiedziała pani Perrin. — Mogliby cię wcisnąć w dziób rakiety.

— Nie, nie mnie — sprostował poważnym tonem. — Chcę to zostawić dla ojca Emory'ego. — Jest naszym stróżem dyscypliny — dodał po chwili. — A tam w górze nie ma nikogo i panuje zupełny spokój. On właśnie o czymś takim marzy.

— Kogo w takim razie będzie nawracał? — spytała pani Perrin.

— Jak to? — Dyer spojrzał na nią zdziwiony. — Kosmonautów, rzecz jasna. On uwielbia pracować w małych grupach. Jedna lub dwie osoby, nie więcej. Najlepiej tylko we dwoje. Dyer poszukał wzrokiem kosmonauty. — Przepraszam

— powiedział i odszedł.

— Podoba mi się — powiedziała pani Perrin.

— Mnie także — przytaknęła Chris, a potem zwróciła się do dziekana: — Nie powiedział mi ojciec jeszcze, co się dzieje w kaplicy. Czy to wielka tajemnica? Kim jest ten ksiądz, którego tam widziałam? Musi go ojciec znać — taki śniady brunet.

— To ksiądz Karras — powiedział dziekan. Jego głos brzmiał teraz cicho i był pełen współczucia.

— Co robi u was?

— Jest naszym lekarzem. Psychiatrą. — Postawił szklankę na stole i obracał ją w palcach. — Zeszłej nocy przeżył bolesny wstrząs. Biedny człowiek.

— Co się stało? — zapytała Chris z zainteresowaniem.

— Zmarła jego matka.

Chris doznała dziwnego, niepojętego dla niej uczucia.

— Jakże mi przykro — powiedziała.

— Zdaje się, że to bardzo go przygnębiło — dodał jezuita.

— Mieszkała sama i, jeśli się nie mylę, znaleziono ją dopiero w kilka dni po śmierci.

— To straszne — powiedziała cicho pani Perrin.

— Kto ją znalazł? — spytała Chris.

— Dozorca. Myślę, że nie odnaleźliby jej do dziś, gdyby... No, po prostu sąsiedzi zaczęli uskarżać się na grające bez przerwy radio.

— To smutne — powiedziała Chris.

— Przepraszam, proszę pani.

Podniosła wzrok na Karla. Przyniósł tacę zastawioną szklankami.

— Postaw ją tutaj, Karl. Dziękuję.

Chris lubiła sama podawać gościom napoje. Jej zdaniem stwarzało to bardziej intymną atmosferę, której, jak zauważyła, brakowało często na innych przyjęciach.

— Zaczniemy od was — podała szklanki dziekanowi i pani Perrin. Potem obeszła pokój przyjmując zamówienia i zaspokajając życzenia pozostałych

gości. Zanim ukończyła rundę, towarzystwo przemieszało się; tylko Dyer i kosmonauta nadal rozmawiali z wyraźną zażyłością. Nie, naprawdę nie jestem księdzem — słyszała, jak Dyer mówił poważnym tonem obejmując kosmonautę ramieniem. — Teraz jestem awangardowym rabinem. — W chwilę potem podsłuchała, jak wypytywał kosmonautę: — Co to jest kosmos? — A kiedy kosmonauta wzruszył ramionami i powiedział, że naprawdę nie wie, Dyer spojrzał na niego z wyrzutem: — A powinieneś.

Chris podeszła do Ellen Cleary, by powspominać moskiewskie czasy. Nagle usłyszała ostry, piskliwy krzyk, nabrzmiały gniewem; dochodził z kuchni.

O, Jezu! Burke!

Obrzucał kogoś przekleństwami. Chris przeprosiła gości i pobiegła do kuchni, gdzie Dennings wrzeszczał zajadle na Karla, a Sharon nie mogła go uspokoić.

— Burke! — zawołała Chris — przestań natychmiast! Reżyser nie zwrócił na nią uwagi. Gdy krzyczał, z kącików jego ust tryskały kropelki śliny. Karl stał nieruchomo z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, oparty o zlew, nie zmieniając wyrazu twarzy, z oczyma wbitymi w Denningsa.

— Karl! — zawołała Chris. — Czy nie mógłbyś stąd wyjść? Wyjdź! Nie widzisz, co się z nim dzieje?

Ale Szwajcar nawet nie drgnął, dopóki Chris nie wypchnęła go z kuchni.

— Nazistowska świnia! — krzyczał za nim Dennings. Potem z filuterną miną odwrócił się do Chris i składając prosząco dłonie zapytał przymilnie: — A co z deserem?

— Deser! — krzyknęła Chris łapiąc się za głowę.

— No właśnie, jestem głodny — jęknął.

Chris zwróciła się do Sharon: — Nakarm go! Ja muszę iść do Regan i położyć ją spać. A ty, Burke, na miłość boską, zachowuj się jakoś — poprosiła. — Są tu przecież księża — dodała.

Uniósł brwi, a jego oczy wyrażały nieukrywane zainteresowanie: — O, ty

także to zauważyłaś? — spytał niewinnie.

Regan spędziła w swoim pokoju cały dzień. Chris znalazła ją bawiącą się spodeczkiem spirytystycznym. Mała wydawała się spokojna, lecz posępna i zamknięta w sobie. „Cóż, przynajmniej nie jest agresywna", pomyślała Chris i w nadziei, że po zażyciu lekarstw nastąpiła poprawa, zaprowadziła ją do salonu, by przedstawić gościom.

— Czyż to nie urocze dziecko? — zachwycała się żona senatora.

Regan zachowywała się dziwnie poprawnie, prócz jednego momentu, kiedy nie chciała podać ręki ani się odezwać do pani Perrin. Ale jasnowidzka zamieniła to w żart.

— Ona wie, że jestem do niczego — powiedziała puszczając oko do Chris. Ale potem, tknięta nagłym przeczuciem, podeszła do Regan i złapała ją delikatnie za rękę, jak gdyby sprawdzała puls. Regan gwałtownie rzuciła się do tyłu i popatrzyła na nią wrogo.

— Ojej, ależ ona musi być zmęczona — powiedziała pani Perrin; wciąż obserwowała Regan badawczo. Doznawała dziwnego niepokoju.

— Jest nieco chora — powiedziała Chris przepraszająco. Spojrzała na Regan: — Prawda, kochanie?

Regan nie odpowiedziała. Uparcie wbijała wzrok w podłogę. Została już przedstawiona wszystkim gościom, oprócz senatora i Roberta, syna pani Perrin; Chris pomyślała, że lepiej ich pominąć. Wzięła Regan za rękę i odprowadziła na górę.

— Czy będziesz mogła zasnąć?

— Nie wiem — odpowiedziała dziewczynka słabym głosem. Przewróciła się na bok i patrzyła nieobecnym wzrokiem w ścianę.

— Czy chcesz, żebym ci poczytała? Potrząsnęła głową.

— W takim razie spróbuj zasnąć — pochyliła się i pocałowała ją. Potem zgasiła światło.

— Dobranoc, moja mała.

Zamykała drzwi, gdy Regan zawołała cicho:

— Mamusiu, co złego się ze mną dzieje?

W jej głosie brzmiało przerażenie i gorycz, tak dziwna u dziecka. Przez chwilę Chris, wstrząśnięta i zmieszana, milczała. Ale po chwili opanowała się.

— Kochanie, już ci mówiłam: to tylko nerwy. Musisz przez dwa tygodnie regularnie brać lekarstwa i potem poczujesz się na pewno lepiej. A teraz spróbuj zasnąć, dobrze, kochanie?

Żadnej odpowiedzi. Chris odczekała moment.

— Dobrze? — powtórzyła.

— Dobrze — szepnęła Regan.

Chris poczuła nagle gęsią skórkę na ramionach. *Dobry Jezu, jak tu zimno. Skąd te przeciągi?*

Podeszła do okna i sprawdziła je. Nic nie zauważyła. Odwróciła się do Regan: — Czy nie jest ci zimno, kochanie?

Cisza.

Podeszła do łóżka małej. — Regan, śpisz już? - szepnęła.

Jej oczy były zamknięte, oddychała równomiernie. Chris na palcach wyszła z pokoju.

Już na korytarzu usłyszała śpiew, a kiedy zeszła na dół, z przyjemnością zauważyła, że młody ojciec Dyer grał na pianinie, a dokoła niego zebrało się sporo gości. Gdy weszła do salonu, właśnie skończyli piosenkę *Till We Meet Again.*

Chris chciała do nich dołączyć, ale zatrzymał ją senator i jego żona. Mieli narzucone płaszcze i wydawali się nieco zdenerwowani.

— Wychodzicie tak wcześnie? — spytała Chris.

— Och, bardzo żałuję, ale musimy już iść, moja droga. To był wspaniały wieczór — powiedział senator kordialnie — ale biedną Martę rozbolała głowa.

— Bardzo mi przykro, ale okropnie się czuję — dodała żona senatora. — Przeproś od nas wszystkich. To było naprawdę cudowne przyjęcie.

— Przykro mi, że musicie iść — odpowiedziała Chris. Odprowadziła ich do drzwi. Za plecami słyszała głos Dyera:

— Czy ktoś zna słowa do *I'll Bet You're Sorry Now Tokyo Rose?*

Pożegnali się. Wracając do salonu napotkała Sharon.

— Gdzie Burke?

— Tam — powiedziała Sharon wskazując drzwi gabinetu.

— Musi trochę pospać. Czy senator coś ci powiedział?

— O czym myślisz? — spytała Chris. — Właśnie wyszli.

— No tak, to było do przewidzenia.

— Sharon, o co chodzi?

— Och, znów Burke. — Sharon ściszyła głos i opisała zajście pomiędzy senatorem i reżyserem. Dennings zaczepił go w przejściu, by powiedzieć, że czyjeś włosy łonowe pływają w jego dżinie. Potem zwrócił się do senatora oskarżycielsko:

— Jeszcze takich nie widziałem, a pan? — Chris zachichotała, a Sharon mówiła dalej opisując zmieszanie senatora, które sprowokowało Denningsa do następnego żartu w jego stylu. Wyraził mianowicie swoją bezgraniczną wdzięczność Opatrzności za to, że istnieją politycy, gdyż bez nich nie można by było odróżnić prawdziwych patriotów.

Kiedy oburzony senator zamierzał odejść, Burke odwrócił się do Sharon i powiedział z dumą: — No widzisz, możesz zaświadczyć, wcale nie przeklinałem; uważam, że byłem nawet delikatny.

Chris nie mogła powstrzymać śmiechu. — Daj mu pospać. Ale zostań przy nim na wypadek, gdyby się obudził, zgoda?

— Jasne — powiedziała Sharon wracając do gabinetu.

W salonie Mary Jo Perrin siedziała sama, z dala od innych, zamyślona; wyglądała na lekko wzburzoną. Chris chciała podejść do niej, ale sekundę wcześniej uczynił to ktoś z gości. Przyłączyła się więc do towarzystwa przy pianinie. Dyer przerwał grę: — Jakie ma pani życzenie, młoda damo? Właśnie

mamy koncert życzeń.

Chris zaśmiała się: — Chciałabym dowiedzieć się czegoś o czarnych mszach. Ojciec Wagner powiedział, że to ojciec jest w tym ekspertem.

Rozmowy w pobliżu ucichły, ludzie patrzyli na nich z nagłym zainteresowaniem.

— Och, nie, doprawdy — powiedział Dyer muskając klawisze. — Dlaczego pani interesuje się czarną mszą? — spytał nagle poważniejąc.

— No, po prostu rozmawialiśmy o tym wcześniej. O tych wypadkach w Świętej Trójcy i...

— Ach, myśli pani o profanacjach —-przerwał Dyer.

— No właśnie, czy ktoś nam wreszcie powie, o co chodzi? — wtrącił się kosmonauta. — Też bym chciał wiedzieć.

— Ja też się zupełnie pogubiłam - zauważyła Ellen Cleary.

— Kościół na tej ulicy został sprofanowany — wyjaśnił Dyer.

— W jaki sposób? — spytał kosmonauta.

— Daj spokój — przerwał mu Dyer. - Po prostu profanacja.

— Ojciec Wagner mówił, że ojciec może opowiedzieć o czarnej mszy — upierała się Chris. — Nic na ten temat nie wiem. Jak to się odbywa?

— Naprawdę, mało o tym wiem. Specjalistą w tej dziedzinie jest ojciec Karras.

Chris ożywiła się. — Ten ksiądz ze Świętej Trójcy?

— Pani go zna? — zapytał Dyer.

— Nie. Słyszałam, jak ktoś o nim wspominał, to wszystko.

— Jeśli sobie przypominam, napisał kiedyś artykuł o czarnych mszach. Wiecie państwo, ujęcie problemu od strony psychiatrycznej.

— Więc on jest psychiatrą?

— Myślałem, że pani wie.

— Czy ktoś wreszcie mi powie - zażądał zniecierpliwiony kosmonauta — jak przebiega czarna msza?

— Zwyczajne zboczenie - Dyer wzruszył ramionami — wulgaryzmy, bluźnierstwa, niesmaczna parodia mszy, gdzie zamiast Boga czci się Szatana, a czasami składa się ofiary z ludzi.

Ellen Cleary odchodząc potrząsnęła głową: — Dla mnie to robi się za mocne — uśmiechnęła się blado.

Chris nie zwróciła na nią uwagi. Niepostrzeżenie dołączył dziekan. — Ale skąd wy o tym wiecie? — spytała Chris.

— Jeśli nawet zdarzają się takie rzeczy jak czarna msza, to kto o nich opowiada?

— Podejrzewam, że informacje pochodzą od tych, których ujęto i przesłuchano.

— O nie — powiedział dziekan — te zeznania były bezwartościowe. Tych ludzi torturowano.

— Tylko opornych — sprostował Dyer.

Parę osób zaśmiało się nerwowo. Dziekan spojrzał na zegarek. — Zdaje się, że muszę już iść. O szóstej rano odprawiam mszę w kaplicy Dahlgren.

— A ja mam mszę dla młodzieży — Dyer był w radosnym nastroju. Jego spojrzenie przesunęło się w kąt salonu i nagle twarz jezuity spoważniała. — Zdaje się, że mamy gościa, pani MacNeil.

Chris odwróciła się i skamieniała: zobaczyła Regan w nocnej koszuli. Dziewczynka stojąc oddawała na dywan mocz. Wpatrywała się nieruchomym wzrokiem w kosmonautę. Nagle przemówiła matowym głosem: — Umrzesz tam, na górze.

— O Boże! — krzyknęła Chris rzucając się w jej stronę.

— O Boże! Chodź, moje dziecko, chodź ze mną!

Ujęła za ramię Regan i wyprowadziła ją z salonu równocześnie przepraszając pobladłego kosmonautę: — Och, bardzo mi przykro, przepraszam pana. Ona jest trochę chora i zdaje się, że lunatykuje. Sama nie wie, co mówi.

— Może byśmy już poszli? — to był głos Dyera.

— Nie, nie, zostańcie! — zapotestowała Chris. — Wszystko w porządku, bardzo proszę, nie odchodźcie.

Zajrzała do kuchni, aby powiedzieć Willie o plamie na dywanie. Potem zaprowadziła Regan do sypialni, umyła ją, przebrała w świeżą koszulę i dopiero wtedy zapytała: — Kochanie, dlaczego to zrobiłaś? — Powtarzała pytanie kilka razy, ale wydawało się jej, że do Regan nic nie dociera. Mamrotała tylko coś niezrozumiale pod nosem, jej oczy były bez wyrazu, nieprzytomne.

Położyła ją do łóżka i wydawało się, że Regan natychmiast zasnęła. Chris wsłuchiwała się przez chwilę w jej oddech, a potem wyszła z pokoju.

U podnóża schodów spotkała Sharon i młodego asystenta, wyprowadzających Denningsa z gabinetu. Zadzwonili wcześniej po taksówkę i zamierzali odwieźć reżysera do jego apartamentu w Sheraton Park.

— Nie przejmujcie się nim — poradziła im Chris, kiedy wychodzili z domu prowadząc pomiędzy sobą Denningsa.

Na pół przytomny reżyser powiedział: — Pieprzę to! — zniknął w taksówce.

Chris wróciła do salonu. Goście, którzy jednak zdecydowali się pozostać, wyrazili swoje współczucie, kiedy w skrócie opowiedziała im o chorobie Regan. Gdy wspomniała o pukaniu i innych niewytłumaczalnych zjawiskach, pani Perrin popatrzyła na nią z uwagą. Chris pochwyciła jej wzrok spodziewając się, że coś powie, ale jasnowidzka milczała.

— Czy ona często chodzi we śnie? — zapytał Dyer.

— Nie, dziś wieczorem pierwszy raz, przynajmniej pierwszy raz to widziałam. Podejrzewam, że chodzi o jeden z objawów choroby. A jakie jest ojca zdanie?

— Doprawdy, nie wiem — powiedział ksiądz — słyszałem, że lunatykowanie występuje często w okresie dojrzewania. Chyba że... — przerwał niespodziewanie. — Nie, nie wiem, lepiej proszę zapytać lekarza.

Pani Perrin siedziała bez ruchu wpatrując się jak zahipnotyzowana w taniec

płomieni w kominku. Podobnie zachowywał się kosmonauta. Chris wiedziała, że wytypowano go do lotu na Księżyc jeszcze w tym roku. Obracał w dłoni swoją szklankę, od czasu do czasu podnosząc wzrok, jakby chcąc zaznaczyć swoje zainteresowanie rozmową. Wszyscy, jakby przestrzegając cichej umowy, nie wspominali o wróżbie Regan.

— Muszę jednak odprawić tę mszę — powiedział dziekan powstając z miejsca.

Był to sygnał do zakończenia wizyty. Dziękowano za przyjęcie i miły wieczór.

Na pożegnanie ojciec Dyer ujął Chris za rękę i spoglądając jej ciepło w oczy, spytał: — Czy w którymś z pani filmów nie znalazłaby się mała rola dla niskiego księdza, który potrafi grać na pianinie?

— Jeśli takiej nie ma, napiszę ją specjalnie — uśmiechnęła się Chris.

— Och, myślałem o swoim bracie — powiedział skromnie.

— Zawsze taki sam — śmiała się Chris, życząc mu dobrej nocy.

Chris odprowadzała Mary Perrin i jej syna. Wiedli zdawkową rozmowę. Jednak cały czas doznawała wrażenia, że myśli Mary Perrin krążą gdzieś daleko, że jasnowidzka coś przed nią ukrywa. Aby opóźnić jej wyjście, Chris zapytała, co sądzi o zabawie Regan spodeczkiem spirytystycznym i o fascynacji małej kapitanem Howdym. — Myśli pani, że to może być niebezpieczne?

Spodziewając się wymijającej odpowiedzi, Chris była zaskoczona, kiedy pani Perrin zmarszczyła brwi i skierowała wzrok na podmurówkę schodów. Nie odwracając głowy wyszła z domu i dołączyła do syna, który czekał na ganku.

Kiedy wreszcie podniosła wzrok, oczy miała bardzo smutne.

— Powinna pani jej to zabrać — powiedziała cicho. Podała synowi kluczyki. — Bobby, rozgrzej silnik. Na pewno jest zimny.

Wziął kluczyki, powiedział Chris, że uwielbia jej filmy, i ruszył w kierunku starego, poobijanego forda, zaparkowanego nieopodal.

Oczy Pani Perrin wciąż wyrażały smutek.

— Nie wiem, co pani o mnie myśli — rozpoczęła niezdecydowanie. — Wielu ludzi łączy moją osobę ze spirytyzmem, ale to mylny osąd. Wydaje mi się, że posiadam pewien dar, lecz nie ma on nic wspólnego z okultyzmem. Mnie wydaje się to zupełnie naturalne. Jako katoliczka wierzę, że należymy do dwóch światów: tego obecnego, którego jesteśmy świadkami, i tego innego. Czasami ludzie tacy jak ja dostrzegają znaki stamtąd. I myślę, że tamto to... wieczność. Wieczność, w której przyszłość jest teraźniejszością. Dlatego, kiedy zaglądam w tamten świat, wierzę, że czytam przyszłość. Zresztą, kto wie? Może to tylko zbieg okoliczności — wzruszyła ramionami. — Ale ja myślę, że jednak prawda. Jeśli tak jest, uważam to za naturalne. Natomiast okultyzm... — przerwała dobierając słowa — okultyzm jest zupełnie czymś innym. I od tego trzymam się z daleka. Myślę, że paranie się nim może być niebezpieczne. Do tego należą także wygłupy ze spodeczkiem. Dotąd Chris uważała ją za osobę o niezwykłym umyśle; teraz poczuła się w jej obecności niepewnie. Miała nieprzyjemne wrażenie, że jasnowidzka próbuje ją zbyć niczym.

— Och, Mary Jo — uśmiechnęła się Chris — czy pani nie wie, jak działa taki spodeczek? To tylko podświadomość.

— Być może — odpowiedziała pani Perrin ..... być może.

Wszystko może być tylko sugestią. Ale we wszystkich historiach z takich seansów, których wiele słyszałam, uczestnikom wydawało się, że nawiązali kontakt z innym światem. I być może wcale nie ze światem duchów. Pani przecież w to nie wierzy. Być może chodzi o kontakt z tym, co pani nazwała podświadomością. Nie wiem. Ale pozostaje fakt, że takie rzeczy się zdarzają. I, moja droga, na całym świecie domy wariatów pełne są ludzi, którzy mieli styczność *i* okultyzmem.

— Chyba pani żartuje?

Zapadła cisza. Potem z ciemności Chris dobiegł znów spokojny głos jasnowidzki: — W 1921 roku w Bawarii żyła pewna rodzina. Nie pamiętam, jak się nazywali, ale pamiętam, że było ich jedenaścioro Przypuszczam, że można to

sprawdzić w gazetach z tamtego okresu. Krótko po seansie spirytystycznym oszaleli. Wszyscy. Cała jedenastka. Ogarnął ich szal palenia. I gdy spalili już wszystkie meble, wrzucili do ognia trzymiesięczne dziecko. Wtedy nadeszli sąsiedzi i powstrzymali ich. Cała rodzina zostaia umieszczona w domu dla obłąkanych — dokończyła.

— To straszne — westchnęła Chris, myśląc o kapitanie Howdym. Czy był on wytworem wyobraźni Regan? Symptomem choroby psychicznej? Czy już do tego doszło? — Wiedziałam od razu, że powinnam ją zabrać do psychiatry!

— Och, na miłość boską — powiedziała pani Perrin wstępując w krąg światła latarni — niech się pani nie przejmuje tym, co mówiłam. Proszę ją zaprowadzić do swojego lekarza.

Słowa jej wyglądały na próbę uspokojenia Chris, ale nie zabrzmiały przekonująco. — Znam się tylko na przyszłości — uśmiechnęła się pani Perrin — ale jeśli chodzi o teraźniejszość, jestem zupełnie bezradna. — Grzebała w swojej torebce.

— A gdzie są moje okulary? Czy nie widziała ich pani? Zdaje się, że gdzieś je zapodziałam. A, nie, są tutaj. — Odkryła je w kieszeni płaszcza. — Śliczny dom — zauważyła, kiedy włożyła okulary i spojrzała na fasadę. — Daje poczucie ciepła.

— Dzięki Bogu, odetchnęłam! Przez chwilę myślałam, że powie mi pani, że jest nawiedzony!

Pani Perrin zajrzała jej w oczy. — Dlaczego miałabym coś takiego powiedzieć?

Chris przypomniała sobie przyjaciółkę, znaną aktorkę z Beverly Hills, która sprzedała swój dom twierdząc, że jest nawiedzony przez duchy poprzednich właścicieli.

— Nie wiem — uśmiechnęła się niepewnie. — Chyba z racji pani zainteresowań. Po prostu żartowałam.

— To naprawdę piękny dom — zapewniała pani Perrin.

— Kiedyś bywałam tutaj często. Należał do mojego przyjaciela admirała. Pisze do mnie od czasu do czasu z różnych części świata. Wysłali biedaka znów na morze. Zastanawiam się, czy tęsknię za nim, czy za tym domem. A może kiedyś zaprosi mnie pani jeszcze?

— Och, Mary Jo! Bardzo chcę, żeby mnie pani odwiedzała. Naprawdę! Jest pani niezwykłą osobą.

— Tak czy owak, jestem najbardziej natrętną z pani znajomych.

— Ależ skąd! Proszę do mnie zadzwonić w przyszłym tygodniu.

— Zrobię to. Chciałabym dowiedzieć się, co z pani córką.

— Czy ma pani mój numer?

— Tak, mam zapisany.

„O co chodzi?" — zastanawiała się Chris. W głosie Mary Jo wyczuwała dziwną nutę niepokoju.

— W takim razie dobranoc — powiedziała pani Perrin. — Dziękuję za wspaniały wieczór.

Zanim Chris zdążyła jej odpowiedzieć, ruszyła szybko w dół ulicy, do samochodu. Chris spoglądała za nią przez chwilę. Potem zamknęła drzwi wejściowe. Opanowało ją wielkie znużenie. „Co za noc" — pomyślała. *Taka noc... taka noc...*

Weszła do salonu i stanęła nad Willie, która klęcząc tarła plamę szczotką.

— Polałam ją octem — mruknęła Willie. - Dwa razy.

— I schodzi?

— Teraz powinno. Zobaczymy. Z tym nigdy nie wiadomo, dopóki nie wyschnie.

A jednak to piękny dom. Ci jezuici byli wspaniali. No, trzeba się położyć spać.

— Zostaw to, Willie, i kładź się.

— Wolę skończyć, proszę pani.

— Dobranoc, Willie.

Chris przystanęła na schodach.

— Willie, curry było znakomite. Wszyscy bardzo je chwalili.

— Dziękuję pani.

Chris zajrzała do pokoju Regan i przekonała się, że mała śpi. Później przypomniała sobie o spodeczku. Może rzeczywiście powinna go schować albo wyrzucić? *Perrin wyraźnie się tym przejęła.* Chris była przekonana, że wymyślony towarzysz zabaw Regan na pewno nie wpływa dodatnio na stan jej zdrowia. *Być może powinnam to zabrać.*

Mimo to Chris wahała się. Stojąc przy łóżku patrzyła na Regan. Przypomniała sobie, że kiedy jej córka miała trzy latka, Howard zadecydował, iż jest zbyt duża, aby spać ze smoczkiem. Zabrał go i mała szlochała do czwartej nad ranem. Zachowywała się histerycznie przez kilka dni. Teraz Chris obawiała się podobnej reakcji. *Lepiej chyba będzie, jeśli to jej wytłumaczę.* Zdawała sobie sprawę, że mogłaby w ten sposób popsuć kurację. W końcu zdecydowała się jeszcze poczekać.

Chris wróciła do swojego pokoju. Rzuciła się na łóżko i niemal natychmiast zasnęła. Obudził ją przeraźliwy, histeryczny krzyk, przeszywający mózg:

— Mamusiu! Chodź tu! Boję się! Chodź tu!

Chris popędziła do pokoju Regan. Szloch. Płacz. I jakby odgłos poruszanych sprężyn.

— Dziecko, co się stało?! — spytała Chris wpadając do pokoju małej. Zapaliła światło.

O Boże wszechmogący!

Regan leżała sztywno wyciągnięta na plecach, na jej zalanej łzami twarzy malowało się niewysłowione przerażenie, a małe dłonie kurczowo obejmowały krawędzie wąskiego łóżka.

— Mamusiu! — krzyczała — dlaczego ono się trzęsie? Zatrzymaj je! Boję się! Mamo, proszę! Zatrzymaj je!

Materac łóżka raz po raz gwałtownie podnosił się i opadał.

Część II

NA KRAWĘDZI

...Kiedy pogrążeni jesteśmy we śnie, wtedy zapamiętale, kropla po kropli sączy się w nasze serca ból, aż do chwili, gdy na przekór naszej rozpaczy i wbrew naszej woli nadejdzie mądrość, dar straszliwej laski Boga...

Ajschylos

Rozdział I

Ponieśli ją w kąt cmentarza, gdzie kamienie nagrobne tłoczyły się jeden na drugim.

Msza wydawała się równie smutna jak jej życie. Bracia z Brooklynu. Właściciel sklepu warzywnego, który dawał jej kredyt. Patrząc, jak spuszczają trumnę w mroczny dół, Da-mien Karras zaszlochał, dając upust tak długo tłumionemu cierpieniu.

— Ach, Dimmy, Dimmy... Wuj objął go ramieniem.

— Nie trzeba. Ona jest już w raju, Dimmy. Jest szczęśliwa.

Boże, pozwól jej! Boże, błagam, przyjmij ją do siebie! Czekano na niego w samochodzie. Zwlekał z odejściem. Nie mógł pogodzić się z myślą, że zostawi ją samą.

Podczas jazdy na dworzec Pennsylvania jego wujowie rozmawiali o własnych dolegliwościach. Mówili z silnym akcentem imigrantów.

— ... Rozedma... powinienem rzucić palenie... Wiecie, mało żem nie umarł w tamtym roku...

Wstyd nakazał mu stłumić szloch. Patrzył przez okno auta. Mijali punkt zapomogi, gdzie w sobotnie ranki pod koniec zimy przychodziła po ziemniaki i mleko, zostawiając go w domu pogrążonego w głębokim śnie. Central Park Zoo; tu zostawiała go latem, gdy szła żebrać przy fontannie naprzeciwko hotelu Plaża. Mijając hotel Karras nagle wybuchnął płaczem, a potem siłą woli zdusił w sobie wspomnienia. Otarł łzy wyciśnięte przez bolesne wyrzuty sumienia. Dlaczego miłość czekała tak długo, dlaczego przychodzi teraz, kiedy już jej nie potrzebuje, kiedy jej wymiary skurczyły się do wielkości kartki z zamówieniem mszy, wetkniętej w portfel: *In Memorian...*

Teraz wiedział. Ten smutek był spóźniony.

Przyjechał do Georgetown w porze obiadu, ale nie miał apetytu. Krążył po swoim pokoju. Przychodzili koledzy jezuici, aby złożyć mu kondolencje.

Zostawali przez chwilę. Obiecywali modlitwy.

Tuż po dwudziestej drugiej zjawił się Joe Dyer. Przyszedł z butelką szkockiej. Prezentował ją z dumą: — Chivas Regal!

— Skąd wziąłeś na to pieniądze? Ze skarbonki dla biednych?

— Nie bądź niemądry. To by było złamanie ślubów ubóstwa.

— W takim razie skąd ją masz?

— Ukradłem.

Karras uśmiechnął się i pokiwał głową sięgając po szklankę. Wyrzucił fusy, wypłukał szkło nad zlewem i oświadczył: — Wierzę ci.

— Równie silnej wiary jeszcze nie widziałem.

Karras poczuł ukłucie dobrze znajomego bólu. Otrząsnął się z niego i podszedł do Dyera, który siedząc na łóżku otwierał butelkę. Usiadł obok niego.

— Dasz mi rozgrzeszenie teraz czy potem?

— Nalej, a potem rozgrzeszymy się nawzajem.

Dyer nalał whisky do szklanki i filiżanki. — Rektorzy szkół nie powinni pić. Dają zły przykład. Dzięki mnie nasz rektor uniknął wielkiej pokusy. — Karras łatwo mógł przełknąć szkocką, ale nie tę historyjkę. Zbyt dobrze znał rektora. Był to człowiek pełen taktu i wielkiej wrażliwości, której wszak nigdy nie okazywał bezpośrednio. Wiedział, że Dyer przyszedł jako przyjaciel, ale także pełnił funkcję osobistego posłańca rektora. I dlatego, kiedy Dyer mimochodem napomknął, że być może Karras potrzebuje odpoczynku, jezuita przyjął to jako dobrą zapowiedź na przyszłość i poczuł ulgę.

Dyer był dla niego dobry, zmuszał go do śmiechu, opowiadał o przyjęciu u Chris MacNeil, częstował szczodrze nowymi anegdotami o ojcu prefekcie. Sam pił mało, lecz skrzętnie napełniał szklankę Karrasa. I kiedy uznał, że przyjaciel zaśnie bez trudu, podniósł się z łóżka i ułożył go na nim. Potem usiadł przy biurku i mówił dalej, dopóki powieki Karrasa nie opadły, a jego odpowiedzi stały się zupełnie niezrozumiałe. Dyer rozsznurował mu buty, a potem je ściągnął.

— Chcesz teraz ukraść moje buty? — wymamrotał Karras.

— Nie, przepowiadam przyszłość z linii stóp. A teraz bądź cicho i śpij.

— Jezuicki złodziejaszek!

Dyer zaśmiał się cicho i przykrył go płaszczem, który zdjął z wieszaka. — Posłuchaj, ktoś tu musi mieć głowę na karku, a ty i cała reszta potraficie tylko przebierać paciorki różańca i modlić się za hippisów.

Karras nie odpowiedział. Jego oddech stał się regularny i głęboki.

Dyer podszedł do drzwi i zgasił światło.

— Kradzież to grzech — wymruczał Karras.

— *Mea culpa* — odpowiedział miękko Dyer.

Poczekał chwilę i kiedy upewnił się, że Karras śpi, wyszedł z pokoju.

Karras obudził się w środku nocy zalany łzami. Śniła mu się matka. Stał przy wystawie sklepu gdzieś na Manhattanie i widział, jak wychodzi z magazynu po drugiej stronie ulicy. Stała na krawężniku trzymając szarą papierową torbę z zaku-.parni. Szukała go. Pomachał jej ręką. Nie zauważyła. Weszła na jezdnię. Autobusy. Ciężarówki. Wrogi tłum. Była przerażona. Zawróciła do metra i zeszła w dół. Karras wpadł w panikę; wybiegł na ulicę i szlochając wzywał matkę, ale nie mógł jej znaleźć; widział ją bezradną i zagubioną w plątaninie podziemnych tuneli.

Gdy pohamował łkanie, sięgnął po butelkę. Usiadł na łóżku i pił w ciemności. Łzy spływały mu po policzkach. Nie potrafił ich powstrzymać. Na myśl przyszedł mu płacz rozżalonego dziecka.

Przypomniał sobie rozmowę telefoniczną z wujem: „Dimmy, rozedma rzuciła się jej na mózg. Nie puszcza do siebie doktora. Ciągle coś bredzi, gada nawet do tego cholernego radia. Trzeba by ją chyba zawieść do Bellevue, Dimmy. W zwykłym szpitalu nie dadzą sobie z tym rady. Po dwóch miesiącach byłaby jak nowa i byśmy ją wtedy stamtąd zabrali. Posłuchaj, Dimmy, co ci powiem: już żeśmy to zrobili. Dali jej zastrzyk i zanieśli do ambulansu dziś rano. Nie chcieliśmy zawracać ci głowy, ale teraz musisz podpisać papiery.

Teraz... Co? Prywatna klinika? A kto da na to pieniądze? Ty, Dimmy?"

Nie pamiętał, kiedy zasnął.

Obudził się odrętwiały. Miał uczucie, jakby krew wyciekała mu z żołądka. Poszedł do łazienki, wziął prysznic, ogolił się. Włożył sutannę. Było pięć po wpół do szóstej. Otworzył swoim kluczem drzwi do Świętej Trójcy. Wdział ornat i odprawił mszę przy bocznym ołtarzu.

— *Memento etiam...* — modlił się pełen rozpaczy. — Pamiętaj o służebnicy Twojej, Mary Karras...

Za szybką tabernakulum ujrzał twarz pielęgniarki z Bellevue, znów usłyszał krzyki dochodzące z izolatki.

„Jest pan jej synem?"

„Tak, jestem Damien Karras".

„Cóż, lepiej tam nie wchodzić. Ma atak".

Zajrzał przez otwór w drzwiach do pokoju bez okien, z gołą żarówką zwisającą z sufitu. Odrapane ściany, żadnych mebli, prócz łóżka, na którym rzucała się jego matka.

— ...Weź ją pod Twoją opiekę... Wieczne odpoczywanie racz jej dać...

Napotkała jego wzrok i nagle ucichła. Utkwiła w nim spojrzenie pełne pogardy.

„Dlaczego to zrobiłeś, Dimmy? Dlaczego?"

Jej oczy były pełne wyrzutu, ale łagodne jak u baranka.

— *Agnus Dei...* — wymamrotał pochylając się i bijąc w pierś.

— Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, obdarz ją pokojem...

Gdy przymknął oczy i uniósł hostię, zobaczył matkę w sali przesłuchań. Miała ręce splecione na brzuchu, na twarzy niepokój. Sędzia tłumaczył jej zalecenia psychiatry z Bellevue.

„Czy rozumie to pani, Mary?"

Skinęła głową. Nie otwierała ust; zabrali jej sztuczną szczękę.

„I co pani na to, Mary!"

Odpowiedziała z dumą:

„Mój chłopiec będzie mówił w moim imieniu".

Kiedy pochylił się nad hostią, z ust jego wydarł się jęk rozpaczy.

Uderzył się w pierś: — *Domine, non sum dignus*... Nie jestem godzien... Powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja...

Wbrew rozsądkowi i całej swojej wiedzy modlił się, aby istniał ktoś, kto wysłucha jego modlitwy.

Ale zwątpił w to.

Po mszy wrócił do swojego pokoju i próbował zasnąć. Bez skutku.

Później odwiedził go niespodziewanie młody ksiądz, którego nigdy przedtem nie widział. Zapukał i zajrzał przez uchylone drzwi.

— Ojciec jest zajęty? Czy mogę na chwilę?

Oczy wyrażały współczucie, głos brzmiał pokornie. Przez chwilę Karras go nienawidził.

— Proszę, wejdź — powiedział uprzejmie. I pomyślał o swojej słabości, która czyniła go bezradnym w takich sytuacjach. Nie panował nad nią. Miał ją zawsze pod ręką, była niczym zwinięta lina, zawsze gotowa, by ją rzucić, gdy zjawiał się ktoś potrzebujący ratunku. Nie dawało mu to spokoju. Nawet w nocy. Często zasypiając słyszał słaby szloch kogoś pogrążonego w cierpieniu. Niemal niedosłyszalny, ale zawsze ten sam. Potem przez kilka chwil po obudzeniu czuł niepokój, że nie spełnił jakiegoś obowiązku.

Młody ksiądz przestępował niecierpliwie z nogi na nogę. Był onieśmielony. Karras okazał mu wyrozumiałość. Podsunął papierosy i zaproponował kawę. Zmusił się do uwagi, kiedy tamten mówił o tak dobrze znanym psychiatrze problemie: okropnej samotności księży.

Ze wszystkich rozterek, które Karras wysłuchiwał z ust braci, ta była najczęstsza. Odcięci od swoich rodzin, a także od kobiet, jezuici starali się nie okazywać przyjaznych uczuć nawet współtowarzyszom. Obawiali się głębokich i pełnych zrozumienia przyjaźni.

— To tak, jakbym chciał otoczyć ramieniem jakiegoś człowieka, ale obawiał się, że źle to zrozumie. Słyszał ojciec opinie, że wielu ludzi z odchyleniami zostaje księżmi? Dlatego właśnie nie robię tego. Nawet nie chodzę do kolegi z seminarium, żeby posłuchać płyt, porozmawiać, wypalić papierosa. I nie dlatego, że się o niego boję, ale martwię się, że on może przejmować się mną.

Karras czuł, że ciężar, który jego rozmówca zrzucał z siebie, powoli przejmuje na własne barki. Pozwalał na to; pozwalał młodemu księdzu mówić. Wiedział, że będzie do niego wracał: znalazł ujście dla swojej samotności, uczynił Karrasa swoim przyjacielem. Kiedy zda sobie sprawę, że zrobił to bez strachu i niepewności, spróbuje wtedy zawrzeć inne przyjaźnie.

Psychiatrę ogarnęło znużenie. Poczuł, że pogrąża się w bólu. Spojrzał na plakietkę, którą ktoś podarował mu zeszłej Gwiazdki. „Mój brat cierpi. Dzielę z nim jego ból. Spotykam w nim Boga" — przeczytał. Przegrany pojedynek. Obwiniał o to siebie samego. Poznał ścieżki, którymi chadzał niepokój jego braci, ale sam na nie nigdy nie wkraczał. Czy zatem wierzył? Uważał, że ból, który odczuwa, jest tylko jego własnością.

W końcu gość spojrzał na zegarek. Była pora lanczu w refektarzu. Młody ksiądz zbierał się do odejścia. Po drodze do drzwi zwrócił uwagę na książkę leżącą na biurku Karrasa.

— Czy to czytałeś? — spytał Karras.

Potrząsnął głową.

— Nie, jeszcze nie. A powinienem?

— Sam nie wiem. Właśnie ją skończyłem i nie jestem pewien, czy rzeczywiście dobrze to zrozumiałem — skłamał Karras. Wziął książkę i podał mu. — Może weźmiesz ją. Naprawdę chciałbym usłyszeć twoją opinię.

— Ależ oczywiście — powiedział młody jezuita wycierając brzegiem sutanny pył z okładki. - Postaram się odnieść ją za kilka dni.

Jego nastrój chyba polepszył się.

Kiedy drzwi zamknęły się ze skrzypieniem, Karras poczuł ulgę. Wiał swój brewiarz i wyszedł na dziedziniec. Przechadzał się wolnym krokiem, odmawiając modlitwy.

Po południu miał jeszcze jednego gościa: stary ksiądz ze Świętej Trójcy przybył złożyć Karrasowi kondolencje.

— Odprawiłem za jej duszę dwie msze, Damienie. I jedną za ciebie — wysapał z irlandzkim akcentem.

— Bardzo dziękuję za pamięć, ojcze.

— Ile miała lat?

— Siedemdziesiąt.

— Piękny wiek.

Karras utkwił wzrok w karcie ołtarzowej, którą ksiądz przyniósł ze sobą; jedna z trzech używanych podczas mszy. Była oprawiona w plastik, cała zapisana modlitwami. Zastanawiał się, po co ksiądz nosi ją ze sobą.

— Posłuchaj, Damien. Znowu dzisiaj zdarzyła się jedna z tych rzeczy. Wiesz, w kościele: nowa profanacja. Figura Najświętszej Panny została przemalowana na postać nierządnicy — powiedział ksiądz. Potem podał mu kartę ołtarzową. — A to znaleźliśmy następnego ranka po twoim wyjeździe do Nowego Jorku. Zdaje się, że to była sobota. Tak, sobota. Popatrz na to. Właśnie rozmawiałem z policją... I wiesz... Zresztą, zobacz sam.

Kiedy Karras oglądał kartę, kapłan wyjaśnił, że ktoś wsunął kartkę maszynopisu pomiędzy oryginalną kartę a przeźroczystą plastikową okładkę. Porzucony tekst, choć nieco pokreślony i zawierający kilka błędów rzeczowych, napisany był płynną i zrozumiałą łaciną; przedstawiał ze wszystkimi erotycznymi detalami związek pomiędzy Najświętszą Dziewicą a Marią Magdaleną.

— Nie musisz tego czytać do końca — powiedział kapłan wyjmując mu z dłoni kartę, jakby w obawie, że nakłania Damiena do grzechu.

— Ale musisz przyznać, że łacina jest znakomita. Myślę o stylu. Jest prawdziwie kościelny. Sierżant powiedział, że rozmawiał z kilkoma ludźmi,

między innymi z psychologiem, którzy twierdzą, iż osoba, która to zrobiła, może być księdzem, rozumiesz, bardzo chorym księdzem.

Psychiatra zastanawiał się przez chwilę. Potem skinął głową.

— Tak, to bardzo możliwe. Wyraz buntu. Być może w stanie kompletnego somnambulizmu. Tego już nie potrafię powiedzieć, ale to możliwe.

— Czy masz jakieś podejrzenia, Damienie?

— Nie rozumiem, ojcze.

— Posłuchaj, prędzej czy później tacy ludzie przychodzą do ciebie, prawda? Myślę o tych chorych, o ile tacy są u nas. Czy znasz kogoś takiego? Z tego rodzaju dolegliwością?

— Nie.

— No tak, nie sądziłem, że mi powiesz.

— Rzeczywiście, nie powiedziałbym, ale naprawdę nikogo takiego nie znam, ojcze. Somnambulizm jest formą rozładowania stresu. I ma to zwykle wymowę symboliczną. Dlatego naprawdę nie wiedziałbym. Jeśli w grę wchodzi lunatyk, to ma prawdopodobnie głęboką wsteczną amnezję i sam nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi.

— A co by się stało, gdybyś mu o tym powiedział? — spytał kapłan. Skubał się w ucho, jak to zwykł czynić, gdy tylko myślał, że dokonuje czegoś sprytnego. Karras znał ten gest.

— Naprawdę nie wiem — powtórzył psychiatra.

— No tak, a ja naprawdę nie liczyłem na to, że mi powiesz. Podniósł się i ruszył do wyjścia.

— Czy wiesz, kogo przypominacie mi wy, lekarze? Księży! — powiedział z wyrzutem w głosie.

Karras roześmiał się. Kapłan zawrócił i położył przed nim na biurku kartę ołtarzową. — Myślę, że powinieneś to przestudiować — mruknął — może wtedy coś ci się przypomni.

Odwrócił się do drzwi.

— Czy policja wzięła odciski palców? — zapytał Karras. Kapłan przystanął. — Ach, bardzo wątpię. Mimo wszystko, to nie jest przestępstwo. Bardziej prawdopodobne, że mamy tu do czynienia z obłąkanym parafianinem. Jak uważasz, Damien? Czy mógłby to być ktoś z parafii? Bo ja właśnie tak myślę. Że to nie żaden ksiądz, ale ktoś spośród wiernych. — Znowu pociągnął się za koniuszek ucha. No więc?

— Naprawdę nie wiem — powtórzył jeszcze raz Karras.

— Nie myślałem, że mi powiesz.

Jeszcze tego samego dnia ojciec Karras został uwolniony z obowiązków lekarza konsultanta i przyjęty jako wykładowca Wydziału Medycyny Georgetown University. Zalecono mu odpoczynek.

Rozdział II

Regan leżała na wznak na kozetce w gabinecie Kleina. Ręce i nogi miała rozkrzyżowane. Lekarz ujął jej stopę w obie dłonie i lekko wygiął w kostce. Przez moment naciskał, a potem nagle uwolnił. Stopa powróciła do normalnej pozycji.

Powtórzył test kilka razy i wynik był ten sam. Wyglądał na niezadowolonego. Gdy zaś Regan nagle usiadła i wymierzyła mu policzek, kazał pielęgniarce pozostać z pacjentką, a sam wrócił do gabinetu, by porozmawiać z Chris.

Był dwudziesty szósty kwietnia. Przez dwa dni Kleina nie było w mieście i Chris dopiero teraz mogła się z nim skontaktować, żeby opowiedzieć o incydencie na przyjęciu i o podskakującym łóżku.

— Czy ono rzeczywiście się trzęsło?

— Ruszało się!

— Jak długo?

— Nie wiem. Może dziesięć lub piętnaście sekund. Tyle widziałam. Potem Regan wyprężyła się i zmoczyła do łóżka albo zmoczyła się już wcześniej, nie wiem. A po tym wszystkim nagle zasnęła i spała jak zabita do południa następnego dnia.

Doktor powrócił do gabinetu zamyślony.

— I co to jest? — spytała zaniepokojona Chris.

Przed badaniem podzielił się z nią podejrzeniem, że drgania łóżka mogły być skutkiem drgawek klonicznych, przy których następuje naprzemian silne kurczenie się i rozluźnianie mięśni. W zaawansowanym stadium choroby występują patologiczne zmiany w mózgu.

— Test wypadł negatywnie — powiedział lekarz i opisał badanie wyjaśniając, że w przypadku tej choroby zginanie stopy wyzwoliłoby napad skurczów. Usiadł przy biurku. — Czy ona kiedyś upadła?

— Chodzi panu o to, czy upadła na głowę? — spytała Chris.

— Właśnie.

— Nie, przynajmniej ja o tym nie wiem.

— A choroby dziecięce?

— Tylko te zwykłe: odrą, świnka, wiatrówka.

— Lunatykowanie?

— Nigdy się przedtem nie zdarzało.

— Więc jak to było dokładnie? Chodziła we śnie w czasie przyjęcia?

— Tak. I ciągle nie wie, co robiła tamtej nocy. Są jeszcze inne rzeczy, których nie pamięta.

— Coś po tym zdarzeniu?

Niedziela. Regan jeszcze śpi. Telefon z Europy od Howarda.

„Jak się ma Regan?"

„Wielkie dzięki za telefon na jej urodziny."

„Byłem unieruchomiony na jachcie. I na miłość boską, daj już z tym spokój. Zadzwoniłem do niej przecież od razu po powrocie do hotelu."

„Czyżby?" "

„Nie powiedziała ci o tym?"

„Ty z nią rozmawiałeś?"

„Tak. I dlatego właśnie pomyślałem, ze lepiej zrobię, jeśli zadzwonię do ciebie. Co, u diabła, z nią się dzieje?"

„A o co ci chodzi?"

„Nazwała mnie śmierdzącym kutasem i odwiesiła słuchawkę."

Opowiadając o tym incydencie doktorowi Kleinowi. Chris dodała, że kiedy Regan się w końcu obudziła, nie pamiętała ani o telefonie, ani o tym, co się działo podczas przyjęcia.

— W takim razie nie kłamała mówiąc o przesuwających się meblach — spostrzegł Klein.

— Nie rozumiem.

— Bez wątpienia sama je przesuwała, ale robiła to właśnie w takim stanie: nie wiedziała, co robi. Jest to znane jako automatyzm, stan podobny do transu. Pacjent nie zdaje sobie sprawy albo nie pamięta nic z tego, co robi.

— Ależ doktorze, właśnie sobie coś uświadomiłam. W jej pokoju stoi duże, ciężkie biurko z tekowego drewna. Na pewno waży z pół tony. I teraz niech mi pan powie, jak ona je zdołała ruszyć z miejsca?

— W patologiach często spotyka się objawy nadnaturalnej siły.

— Doprawdy? A skąd to się bierze?

Lekarz wzruszył ramionami.

— Tego nikt nie wie. — A poza tym — ciągnął — niech mi pani powie, czy zauważyła pani jakieś inne osobliwości w jej zachowaniu?

— No tak, stała się niechlujna.

— Dziwne — powtórzył.

— U niej jest to naprawdę dziwne. A, jest jeszcze coś; czy pamięta pan, mówiłam kiedyś o spodeczku spirytystycznym, którym się ciągle bawiła, i o kapitanie Howdym?

— Ten wymyślony towarzysz zabaw — internista przytaknął głową.

— Teraz ona już go słyszy — oznajmiła Chris. Doktor przechylił się do przodu opierając ręce o blat biurka. W miarę opowieści Chris jego oczy stawały się czujne.

— Wczoraj rano — ciągnęła Chris — słyszałam, jak rozmawiała z Howdym w swojej sypialni. To znaczy mówiła coś, a potem czekała na odpowiedź — jak przy zabawie spodeczkiem. Ale kiedy zajrzałam do pokoju, nie używała spodeczka i była sama. Doktorze, kiwała głową jak gdyby zgadzała się z tym, co on mówi.

— Czy robiła wrażenie, że go widzi?

— Nie wydaje mi się, raczej nie. Przechylała głowę trochę na bok. Robi tak, kiedy słucha płyt.

Doktor w zamyśleniu potakiwał głową. — Tak tak, rozumiem. A czy

zaszło coś jeszcze? Czy widziała coś albo wyczuwała?

— Wyczuwała — przypomniała sobie Chris. — Tak, utrzymuje, że w jej pokoju ciągle coś nieprzyjemnie pachnie.

— Swąd spalenizny?

— Tak! Rzeczywiście! — zawołała Chris. - Skąd pan wie?

— Często jest to symptom zaburzeń chemoelektrycznych czynności mózgu. W przypadku pani córki zaburzenia występują w płatach czołowych — przyłożył ręce do przedniej części czaszki — to tutaj, w tej części mózgu. Jest to rzadkie schorzenie, ale właśnie ono powoduje dziwne halucynacje, a przedtem zwykle pojawiają się konwulsje. Często bierze się to za schizofrenię. Ale to nie jest schizofrenia. Dzieje się tak z powodu zmian chorobowych w płatach skroniowych. Dlatego test na klonus nie jest miarodajny. Myślę, że zrobię jej EEG.

— Co to takiego?

— Elektroencefalograf. Pokaże nam odbicie fal mózgowych. Zwykle takie badanie najpewniej wykrywa zaburzenia.

— Myśli pan, że to ta choroba

— Płaty skroniowe? W każdym razie sugerują to objawy, pani MacNeil. Na przykład zaniedbywanie się. kłótliwość, zachowanie wbrew przyjętym normom, automatyzm. No i oczywiście te drgawki, które spowodowały ruchy łóżka. Zwykle towarzyszy im moczenie się lub wymioty, albo jedno i drugie naraz. A potem głęboki sen.

— Czy chce pan ją zbadać od razu? — spytała Chris.

— Tak, myślę, że powinniśmy to zrobić natychmiast. Ale przedtem musi dostać coś na uspokojenie. Bo jeśli będzie się ruszała albo rzucała, mogłoby to mieć wpływ na rezultat. Czy mogę w takim razie podać jej dwadzieścia pięć miligramów librium?

— Niech pan robi wszystko, co konieczne - powiedziała stanowczo Chris.

Poszła z lekarzem do gabinetu przyjęć. Kiedy Regan zobaczyła, że Klein

przygotowuje zastrzyk, zaczęła wrzeszczeć obrzucając go stekiem wyzwisk.

— Ależ, kochanie, pan doktor chce ci pomóc — powiedziała zakłopotana Chris. Przytrzymała Regan, kiedy lekarz wbijał igłę.

— Za chwilę wrócę — powiedział i wyszedł, aby przyjąć innego pacjenta. Pielęgniarka wtoczyła aparat EEG. Kiedy wrócił, librium jeszcze nie podziałało.

Lekarz wyglądał na zdziwionego.

— To była dość silna dawka — zauważył. Wstrzyknął następne dwadzieścia pięć miligramów; ponownie wyszedł, wrócił; Regan była teraz uległa i otępiała.

— Co pan teraz robi, doktorze? — spytała Chris, kiedy przykładał do głowy Regan końcówki elektrod wyjęte z roztworu soli fizjologicznej.

— Przykłada się cztery z każdej strony. To pozwala na odczyt fal mózgowych obu półkul i na porównanie ich.

— A po co się je porównuje?

— Ponieważ różnice mogą mieć znaczenie. Miałem kiedyś pacjenta z halucynacjami. Widział i słyszał rzeczy nieistniejące. Porównując zapis prawej i lewej półkuli odkryłem, że halucynacje są wytwarzane tylko przez jedną z nich.

— Niesamowite.

— Lewe oko i ucho funkcjonowały normalnie. Zaś wizje i omamy słuchowe pojawiały się po prawej stronie. Zaraz zobaczymy. — Włączył aparat. Pokazał fale przebiegające po ekranie. Widać obie strony — tłumaczył. — Teraz szukam odchylonych fal — nakreślił je w powietrzu palcem wskazującym.

— Szczególnie są ważne fale o bardzo wysokiej amplitudzie pojawiające się co cztery do ośmiu sekund. Odpowiadają pracy płatów skroniowych. — Oglądał bardzo starannie odczyty, ale nie odkrył arytmii, ostrych fal ani niepełnych impulsów.

Kiedy włączył odczyt porównawczy, wyniki były również negatywne.

Klein ściągnął brwi. Powtórzył badanie. I znowu nic nie wykrył.

Poprosił pielęgniarkę, aby przypilnowała Regan, a sam w towarzystwie Chris wrócił do biura.

— I jaka jest pańska diagnoza? — zapytała.

Doktor przysiadł zamyślony na skraju biurka.

— EEG wykazałoby tę chorobę, ale brak dysharmonii nie jest jednoznaczny z tym, że jej nie ma. Może to być tylko histeria, ale objawy przed i po konwulsjach są nazbyt charakterystyczne.

Chris uniosła brwi. — Wie pan. ciągle używa pan słowa konwulsje. A jak brzmi nazwa tej choroby?

— Cóż, właściwie nie jest to choroba.

— W takim razie, jak to nazywacie? Myślę o nazwie medycznej.

— Pani to zna jako epilepsję, pani MacNeil.

— Och, mój Boże! Chris oklapła na krześle.

— Proszę się tak nie przerażać — uspokoił ją Klein. — Zapewne, jak u większości ludzi, pani pojęcie o epilepsji jest przesadzone i zniekształcone.

— Czy to jest dziedziczne?

— To także jeden z mitów — powiedział spokojnie Klein.

— Zresztą tak też myśli wielu lekarzy. Proszę posłuchać, praktycznie epilepsja nie jest wrodzona. Widzi pani, rodząc się mamy pewien próg odpornościowy na konwulsje, ale ta bariera jest u jednych większa, u innych mniejsza. Tak więc różnica między panią a epileptykiem polega na wielkości stopnia odporności. I to wszystko. Dlatego nie jest to choroba.

— No więc, co to jest? Kaprys mózgu?

— Zaburzenie. Zaburzenie, nad którym można zapanować. Wyróżniamy wiele jego typów, pani MacNeil. Na przykład siedzi pani tutaj i na sekundę traci pani przytomność, nie słyszy pani przez moment tego, co mówię. I to także jest atak epilepsji.

— Tak, ale u Regan jest inaczej — zaprotestowała Chris.

— Dlaczego u niej przebiega tak gwałtownie?

— Proszę posłuchać, ciągle nie jesteśmy pewni, co jej dolega. Możliwe, że to pani miała rację, wskazując na podłoże psychosomatyczne. Choć ja w to wątpię. Odpowiadając na pani pytanie — wiele jest przyczyn, które powodują zaburzenia mózgowe i prowadzą u epileptyka do konwulsji: przygnębienie, zmęczenie, stres emocjonalny; nawet jakieś szczególne brzmienie instrumentu muzycznego. Miałem pacjenta, który doznawał ataku tylko w autobusie, i to dokładnie jeden przystanek od domu. W końcu odkryliśmy przyczynę: było nią drgające światło neonu odbite w szybie autobusu. Dlatego o innej porze dnia lub przy odmiennej prędkości autobusu, chory nie doznawał konwulsji. Jego mózg był uszkodzony po chorobie przebytej w dzieciństwie. W przypadku pani córki takie uszkodzenie może występować z przodu płata skroniowego i kiedy zostaje pobudzony przez jakiś specyficzny impuls, powoduje nagłą anormalną reakcję z głębi płata. Czy rozumie pani?

— Chyba tak — westchnęła Chris zrezygnowana. — Ale powiem panu prawdę, doktorze. Nie rozumiem, w jaki sposób zaburzenie może wpłynąć na zmianę całej jej osobowości.

— Jest to często spotykane. I niekiedy trwa całymi tygodniami. Jednak rzadko dochodzi do agresji. Choć czasami zmiany są tak duże, że dwieście czy trzysta lat temu uważano ludzi dotkniętych epilepsją za opętanych przez diabła.

— Za jakich?

— Za takich, których opanował demon. Wie pani, coś w rodzaju zabobonnego spojrzenia na rozdwojenie jaźni.

Chris zamknęła oczy i pochyliła głowę opierając ją na dłoniach.

— Proszę, niech mi pan powie coś na pocieszenie — szepnęła.

— Ależ proszę się tak nie niepokoić! Jeśli to jest zmiana patologiczna, to można mówić o szczęściu w nieszczęściu, bo wtedy wystarczy tylko usunąć to uszkodzenie.

— Cudownie.

— Lecz również może chodzić tylko o ucisk na mózg i dlatego chciałbym

zrobić prześwietlenie czaszki. Mamy tu radiologa i może uda mi się spowodować, żeby natychmiast panią przyjął. Czy mam do niego zadzwonić?

— Tak, tak, bardzo proszę.

Klein zatelefonował i umówił Chris z radiologiem. Mogła przyjść natychmiast. Lekarz odłożył słuchawkę i wypisał receptę.

— Pokój 21 na drugim piętrze. Prawdopodobnie zadzwonię do pani jutro albo w czwartek. Chciałbym także sprowadzić neurologa. Na razie odstawimy ritalin. Spróbujemy librium — wyrwał receptę z bloczka i wręczył Chris. — I na pani miejscu nie zostawiałbym jej samej, pani MacNeil. Kiedy zapada w trans i zaczyna chodzić, jak już to miało miejsce, może sobie zrobić krzywdę. Czy pani sypialnia przylega do jej pokoju?

— Tak.

— To bardzo dobrze. Czy to parter?

— Nie, pierwsze piętro.

— Czy w jej sypialni są duże okna?

— Tak, jedno, a dlaczego?

— Lepiej niech pani je zamyka, a nawet umocuje zamek. W transie może przez nie wyjść. Miałem...

— Pacjenta — dokończyła Chris z kwaśnym uśmiechem. Uśmiechnął się.

— Zdaje się, że miałem ich trochę za dużo, prawda?

— Trochę tak. Oparła brodę na dłoni.

— Wie pan co? Coś sobie pomyślałam.

— Co takiego?

— Zgodnie z tym, co pan powiedział, po konwulsjach zapada się w głęboki sen, tak jak Regan w sobotę w nocy. Czy nie powiedział pan tego?

— Tak — potwierdził Klein — to prawda.

— Wobec tego jak można wytłumaczyć to, że kiedy wcześniej skarżyła się na podskakujące łóżko, była zupełnie rozbudzona?

— Nie mówiła mi pani o tym!

— No, tak. Wyglądała zupełnie dobrze. Przychodziła w nocy do mojego pokoju i prosiła, abym pozwoliła jej spać w moim łóżku.

— Czy moczyła się lub wymiotowała?

Chris zaprzeczyła.

— Nie, czuła się dobrze.

Klein zmarszczył czoło i przygryzł wargę.

— No dobrze, poczekajmy na wynik prześwietlenia — powiedział w końcu. Nieomal odrętwiała i załamana Chris zaprowadziła Regan do radiologa.

Była przy niej, kiedy robiono zdjęcie. Potem zabrała ją do domu. Po zastrzykach Regan przycichła i Chris próbowała ją rozruszać.

— Chcesz zagrać w monopol albo w coś innego?

Regan pokręciła głową, a potem popatrzyła na matkę nieprzytomnymi oczyma.

— Chce mi się spać — powiedziała głosem, który przypominał wyraz jej źrenic. Potem odwróciła się i poszła do swojej sypialni.

„To wpływ librium" zorientowała się Chris patrząc za córką. Potem westchnęła i zeszła do kuchni. Nalała sobie kawy i przysiadła się do Sharon.

- Jak było?

— Lepiej nie pytaj.

Chris położyła na stole receptę.

— Zadzwoń i zapytaj, gdzie to można dostać. — Następnie powtórzyła słowa lekarza. — Jeśli będę zajęta albo nie będzie mnie w domu, pilnuj jej, dobrze, Shar? On... — Nagły przebłysk. — Coś mi się przypomniało.

Poszła do sypialni Regan. Dziewczynka leżała w łóżku pogrążona we śnie. Chris zbliżyła się do okna i docisnęła klamkę. Popatrzyła w dół. Okno wychodziło na schody zbiegające aż do M Street.

„Chyba lepiej od razu wezwać ślusarza".

Chris wróciła do kuchni i dodała nowe polecenie do listy, którą właśnie sporządzała Sharon. Przykazała także Willie, co ma zrobić na obiad, i

zadzwoniła do swojego menażera.

— Jak ci się podoba scenariusz? — zapytał.

— Jestem zachwycona, Ed. Musimy to koniecznie zrobić. Kiedy zaczniemy zdjęcia?

— Twojej części chyba w lipcu. Już powinnaś się przygotowywać.

— Od razu?

— Tak, Chris. To nie aktorstwo. Jest do załatwienia mnóstwo spraw. Musisz zobaczyć się ze scenografem, projektantem kostiumów, charakteryzatorem i producentem. Potem musisz znaleźć sobie montażystę i operatora i umówić się z nimi na terminy. Zresztą znasz cały ten proceder.

— O, cholera.

— Czy masz jakieś problemy?

— Owszem, mam problemy.

— Co się stało?

— Regan jest bardzo chora.

— Przykro mi. A co jej jest?

— Lekarze jeszcze nie wiedzą. Teraz czekam na wyniki badań. Posłuchaj, Ed: nie mogę jej zostawić.

— A kto ci mówi, że masz ją zostawić?

— Nie, nie rozumiesz, Ed. Chodzi o to, że muszę być z nią w domu. Potrzebuje mojej opieki. Teraz nie mogę ci tego wytłumaczyć, to zbyt skomplikowane. Nie dałoby się na pewien czas odłożyć filmu?

— Nie, nie przejdzie. Producenci chcą mieć premierę przed Bożym Narodzeniem.

— Och, Ed, przecież mogą poczekać dwa tygodnie. Załatw tę sprawę.

— Posłuchaj, jeździłaś mi po głowie, że tak bardzo chcesz reżyserować, i teraz, kiedy już...

— Wiem, Ed — przerwała mu — strasznie chcę to robić, naprawdę. Ale musisz im powiedzieć, że potrzebuję trochę więcej czasu.

— W ten sposób stracimy kontrakt. Takie jest moje zdanie. Nie możesz ryzykować. Sama wiesz, że im specjalnie na tobie nie zależy, robią to tylko dla Moore'a. i jak teraz przyjdę i powiem im, że sama nie wiesz, co robić, on się z tego wycofa. Zrozum. Porozmawiajmy logicznie. Możesz robić co chcesz i ja się nie wtrącam. Prawdopodobnie z tego nie będzie wielkiej forsy, ale jeśli chcesz robić film, nie mogę przesuwać terminu, bo stracimy kontrakt. Teraz wiesz już wszystko i sama zadecyduj.

— Do licha — westchnęła Chris.

— Rozumiem, że nie jest ci łatwo.

— Rzeczywiście, nie jest. Posłuchaj... — Przez chwilę zastanawiała się. — Ed, oni po prostu muszą poczekać — powiedziała zmienionym głosem.

— Czy to twoja ostateczna decyzja?

— Tak, Ed. Zawiadom mnie jak się potoczą sprawy.

— Oczywiście, zadzwonię. I nie zamartwiaj się.

— Ty też się nie przejmuj. Na razie.

Gdy skończyła rozmowę, była zupełnie rozbita. Zapaliła papierosa.

— Ach, czy mówiłam ci, że rozmawiałam z Howardem?

— Zwróciła się do Sharon.

— Kiedy? Powiedziałaś mu co się dzieje z Regan?

— Tak. Powiedziałam, że powinien do niej przyjechać.

— I co?

— Nie wiem. Ale chyba raczej nie przyjedzie. Tak myślę.

— Może jednak zada sobie ten trud.

— Może i tak — westchnęła Chris. — Ale musisz zrozumieć te jego zahamowania, Shar. To tylko o to chodzi, doskonale wiesz.

— Właściwie o co?

— Można to nazwać „kompleksem pana MacNeil", a Regan stanowi jego element. Była zawsze na pierwszym planie, on czuł się odsunięty. Ja i Rags na okładkach magazynów, ja i Rags na spotkaniach, matka i córka, papużki-

nierozłączki.

— Nerwowo strząsnęła popiół z papierosa. — A zresztą, kto wie? To wszystko jest takie skomplikowane. Z nim rzeczywiście trudno się dogadać. Ja przynajmniej nie potrafię.

Sięgnęła po książkę leżącą na stole.

— Co czytasz?

— Proszę? A, to dla ciebie. Podrzuciła ją pani Perrin.

— Czy była tutaj?

— Tak, rano. Żałowała, że cię nie zastała. Spieszyła się do miasta. Obiecała zadzwonić jak tylko wróci.

Chris spojrzała na tytuł: „Studium nad kultem diabła i związanymi z tym zjawiskami okultystycznymi". Otworzyła książkę i natrafiła na liścik Mary Jo Perrin: „Droga Chris, przypadkowo odkryłam tę pozycję w bibliotece uniwersyteckiej i pożyczyłam ją dla Ciebie. Zawiera parę rozdziałów dotyczących czarnej mszy, ale powinnaś przeczytać ją całą. Wydaje mi się, że inne rozdziały też Cię zainteresują. Do zobaczenia. Mary Jo".

— Wspaniała kobieta - powiedziała Chris.

— Tak, rzeczywiście — zgodziła się Sharon.

Chris przekartkowała książkę. — Co tam piszą o czarnej mszy? Jakieś okropieństwa?

— Nie wiem. — odpowiedziała Sharon. - Jeszcze nie czytałam.

— Zapewne takie rzeczy burzą twój spokój wewnętrzny. Sharon przeciągnęła się ziewając.

— Od takich rzeczy robi mi się niedobrze.

— A jak rozwija się twój kompleks Jezusa?

— Och, daj mi spokój.

Chris podała jej książkę przez stół.

— Przeczytasz to i opowiesz mi.

— A potem będą mi się śniły koszmary.

— A myślisz, że za co bierzesz pieniądze?

— Żeby cię bronić.

— Mogę bronić się sama — mruknęła Chris sięgając po wieczorną gazetę. — Trzeba tylko gładko łykać porady menażerów i w odpowiednim momencie je z siebie wyrzygać — zirytowana odłożyła gazetę.

— Mogłabyś włączyć radio, Shar? Chcę posłuchać wiadomości.

Zjadły razem kolację, a potem Sharon wyszła na randkę.

Zapomniała o książce. Chris patrzyła na tom przez chwilę zastanawiając się, czy by go nie przeczytać, ale uznała, że jest zbyt zmęczona. Zostawiła książkę na kuchennym stole i poszła do siebie na górę.

Zajrzała do pokoju Regan; dziewczynka odsypiała zastrzyk. Raz jeszcze sprawdziła okno. Wychodząc z pokoju pamiętała, żeby zostawić drzwi szeroko otwarte. Zanim się położyła, otworzyła drzwi swojej sypialni. Obejrzała jeszcze fragment filmu w telewizji i zasnęła.

Następnego dnia książki o kulcie szatana nie było już na stole.

Nikt nie zwrócił na to uwagi.

Rozdział III

Poproszony o konsultację neurolog obejrzał zdjęcia rentgenowskie szukając charakterystycznych zmian. Doktor Klein stał tuż za nim ze skrzyżowanymi ramionami. Obaj usiłowali dostrzec punkty, w których gromadziłby się płyn mózgowy; szukali również odkształceń szyszynki. Musieli także ustalić, czy nie mają do czynienia z czaszką Luckenshadla, mogącą wywoływać depresję z powodu podwyższonego ciśnienia między oponowego.

Nic nie znaleźli. Był czwartek, dwudziestego ósmego kwietnia.

Neurolog zdjął okulary i włożył je do górnej kieszonki marynarki.

— Tu po prostu nic nie ma, Sam. Nic, co można by zobaczyć.

Klein opuścił wzrok i pokiwał głową.

— Nic nie rozumiem.

— Powtórzysz badania?

— Chyba nie. Spróbuję LP.

— Dobry pomysł.

— Tymczasem chciałbym, żebyś ją obejrzał.

— Jeszcze dzisiaj?

— Tak, jestem... — Dzwonek telefonu. — Przepraszam. — Klein podniósł słuchawkę: — Hallo!

— Dzwoni pani MacNeil. Mówi, że to bardzo pilne.

— Która linia?

— Jest na dwunastce.

Nacisnął przełącznik. — Tu doktor Klein, pani MacNeil. Co się stało?

Była roztrzęsiona, na granicy histerii. — Doktorze! Regan! Czy może pan natychmiast przyjechać?!

— Ale co się stało?

— Och, nie wiem! Tego się nie da opisać! Na miłość boską, niech pan zaraz przyjeżdża!

— Zaraz tam będę.

Połączył się z sekretarką.

— Susan, powiedz Dresnerowi, żeby przejął moje wizyty. — W pośpiechu zakładał marynarkę. — To ona. Chcesz pojechać? To niedaleko, zaraz za mostem.

— Mam godzinę czasu.

— W takim razie jedźmy.

Droga zajęła im kilka minut. Już od progu usłyszeli jęki i krzyki przerażenia dochodzące z sypialni Regan. Sharon wyglądała na przestraszoną. — Jestem Sharon Spenser. Proszę wejść. Ona jest na górze.

Zaprowadziła ich pod drzwi sypialni, otworzyła je i zawołała:

— Chris, są już lekarze!

Na twarzy Chris malowało się przerażenie.

— Och, dzięki Bogu! Proszę wejść. — Jej głos drżał. — Proszę zobaczyć, co się z nią dzieje!

— To jest doktor... — przerwał prezentację w momencie, gdy jego wzrok padł na Regan. Histerycznie krzyczała wymachując rękami, a jej ciało co chwilę unosiło się nad łóżkiem, aby po sekundzie z ogromną siłą spaść na materace. Gwałtowność podrzutów rosła.

— Mamo! Zatrzymaj go! — wyła dziewczynka — Zatrzymaj go! On chce mnie zabić! Zatrzymaj go! Zaaatrzyyymaj go, maaamoo!

— O, Boże, moje dziecko! — szlochała Chris gryząc palce. Podniosła zrozpaczone oczy na Kleina. — Doktorze, co to jest?! Co się dzieje?!

Bezradnie potrząsnął głową wpatrując się w Regan. Niesamowite zjawisko trwało. Dziewczynka za każdym razem unosiła się na około trzydzieści centymetrów, a potem spadała zachłystując się powietrzem, jakby niewidzialne ręce podnosiły ją i rzucały w dół.

Chris drżącymi dłońmi zakryła oczy.

- O, Jezu, Jezu! — powtarzała zduszonym głosem. - Doktorze, co to

jest?!

Nagle Regan przestała wznosić się i opadać. Teraz tarzała się po łóżku. Źrenice podeszły jej pod górne powieki, błyskały tylko białka oczu.

— Och, on mnie pali! ...Pali mnie! - jęczała. — Płonę! Płonę!

Zaczęła gwałtownie podkurczać i prostować nogi.

Lekarze podeszli bliżej i stanęli po obu stronach łóżka. Wciąż miotająca się Regan wygięła głowę do tyłu i zagulgotała z głębi krtani:

— ...metsejtkin ...metsejtkin...

Klein pochylił się, aby zbadać jej tętno.

— Zaraz zobaczymy, co ci jest, kochanie - powiedział łagodnie.

W tej samej chwili zatoczył się, pchnięty z ogromną siłą przez Regan, która niespodziewanie usiadła na łóżku. Jej twarz wykrzywiła się w szkaradnym grymasie.

— Ta dziwka jest moja! — ryknęła chrapliwym, silnym głosem. — Ona jest moja! Odczepcie się od niej! Ona jest moja!

Z jej gardła wydobył się skowyczący śmiech, potem opadła na plecy niczym powalona niewidzialną pięścią. Podciągnęła koszulę pod brodę:

— Pieprzcie mnie! Pieprzcie mnie! — zawyła masturbując się obiema dłońmi.

Gdy potem wepchnęła palce do ust, aby je oblizać, Chris wybiegła z pokoju zanosząc się szlochem. Klein ponownie zbliżył się do łóżka. Wydawało się, że Regan sama siebie uspokaja obejmując się ramionami.

— O, tak, moja perełko! — zawodziła śpiewnie obcym, chrapliwym głosem. Jej oczy były zmrużone, jakby w ekstazie.

— Moje dziecko, mój kwiatuszku.....Moja perełko...

Niebawem konwulsje powróciły. Rzucała się z boku na bok jęcząc i raz po raz powtarzając niezrozumiale sylaby. Naraz usiadła gwałtownie na łóżku. Oczy miała pełne przerażenia. Zamiauczała jak kot.

Szczeknęła. Zarżała.

Nagle, przeginając się w pasie, zatoczyła tułowiem szerokie koło. Potem drugie i następne, i jeszcze jedno. Nie mogła złapać tchu.

— Zatrzymajcie go! — płakała. — Proszę, zatrzymajcie! Boli! Nie mogę oddychać!

Kleinowi to wystarczyło, sięgnął po swoją torbę lekarską, aby przygotować zastrzyk. Neurolog pozostał przy łóżku i był świadkiem, jak Regan znowu opadła na plecy niczym uderzona. Jej oczy wywróciły się białkami do góry. Tarzając się w pościeli bełkotała coś podniesionym głosem. Neurolog pochylił się nad nią próbując rozróżnić słowa. Niebawem Klein przywołał go ruchem ręki.

— Zamierzam podać jej librium — powiedział, precyzyjnie odmierzając w smudze światła dawkę. — Ale musisz ją przytrzymać.

Neurolog przytaknął. Był przejęty. Przechylił głowę, jakby nasłuchując bełkotu Regan.

— Co ona mówi?

— Nie wiem. Zdaje się, że bredzi. — Wydawało się, że sam nie jest zadowolony z tej odpowiedzi. — Ale ma to swój rytm, melodię.

Zbliżyli się z obu stron łóżka. Dziewczynka zesztywniała jak w ataku tężyczki. Lekarze wymienili spojrzenia. Z wolna wygięła się łukowato w tył, aż do nieprawdopodobnej pozycji. Jej czoło dotykało stóp. Wyła z bólu.

Spojrzeli po sobie. Potem Klein dał sygnał. Lecz zanim neurolog zdążył ją pochwycić, opadła zemdlona oddając mocz.

Klein pochylił się nad nią i uniósł powiekę. Zmierzył puls.

— Straciła przytomność — powiedział szeptem. — Myślę, że to były konwulsje, a ty?

— Tak, chyba masz rację.

— Ale lepiej się zabezpieczyć — powiedział Klein zręcznie wykonując zastrzyk.

— I co o tym myślisz? - zapytał neurologa przemywając wacikiem ślad po

igle.

— Płat skroniowy. Może schizofrenia. Ale napady są zbyt gwałtowne, nie miała tego nigdy wcześniej, prawda?

— Nie, nigdy.

— Neurastenia? Klein potrząsnął głową.

— W takim razie, może histeria - zaproponował neurolog.

— Myślałem o tym.

— Oczywiście. Ale musiałaby być gimnastycznym fenomenem, żeby świadomie tak wygiąć ciało - oświadczył. - Nie, ja sądzę, że to jest patologiczne. Sam. Jej nieoczekiwana siła. halucynacje. Schizofrenia, tak; symptomy zgadzają się. Ale płat skroniowy także wchodzi w grę. Zastanawia mnie jedna rzecz... Chociaż... — przerwał.

— Co takiego?

— Nie, nie jestem pewny, ale wydaje mi się. że są to oznaki rozszczepienia osobowości: „moja perełko". „mój kwiatuszku", „dziwka". Miałem wrażenie, iż mówi o sobie. Czy miałeś podobne uczucie?

Klein przygryzł wargę. — Szczerze mówiąc, pierwszy raz spotykam taki przypadek. Nie zwróciłem na te symptomy uwagi, ale teraz, kiedy tak mówisz, myślę, że może masz rację. — Wzruszył ramionami i dodał: — W takim razie zrobię LP, dopóki jest nieprzytomna. Może dowiemy się jeszcze czegoś.

Neurolog zgodził się z nim.

Klein pogrzebał w torbie lekarskiej, wyciągnął kapsułkę i schował ją do kieszeni.

— Czy możesz jeszcze zostać?

David spojrzał na zegarek.

— Mam jeszcze pół godziny.

— Chodźmy więc porozmawiać z jej matką.

Wyszli na korytarz. Chris i Sharon stały oparte o balustradę schodów. Kiedy lekarze podeszli, Chris wytarła nos w wilgotną, zmiętą chusteczkę. Miała

zaczerwienione oczy.

— Zasnęła — powiedział do niej Klein.

— Dzięki Bogu!

— Dostała dużą dawkę środków uspokajających. Prawdopodobnie będzie spała aż do jutra.

— To dobrze — powiedziała cicho Chris. — i, doktorze, przepraszam, że zachowałam się jak dziecko.

— Nic dziwnego — zapewnił ją — takie rzeczy zawsze wytrącają z równowagi. A propos, doktor David.

— Bardzo mi miło — odrzekła Chris delikatnie się uśmiechając.

— Doktor David jest neurologiem.

— Jaka jest panów opinia?

— No cóż, ciągle uważamy, że płat skroniowy i...

— O czym wy, u diabła, mówicie?! — wybuchnęła Chris.

— Przecież ona zachowuje się jak psychopata z rozdwojeniem jaźni. Czy... — Nagle jej ramiona zadrżały, ukryła twarz w dłoniach. — Boże, już nie mogę wytrzymać! Przepraszam bardzo — podniosła na Kleina nieprzytomny wzrok. — Co pan mówił?

Tym razem odpowiedział jej David: — Znamy nie więcej niż sto autentycznych przypadków rozdwojenia jaźni. To jest bardzo rzadka przypadłość, pani MacNeil. Wiem, że wolałaby pani teraz zwrócić się do psychiatry, ale każdy odpowiedzialny psychiatra i tak musi najpierw wykluczyć schorzenie somatyczne. Aby mieć pewność.

— W takim razie, co będziecie robić?

— Punkcję — odpowiedział David.

— Rdzeniową?

Skinął twierdząco. — To, czego nie wykazały zdjęcia rentgenowskie i EEG, można stwierdzić podczas punkcji. Przynajmniej wykluczymy inne choroby. Wolałbym zrobić zabieg teraz, kiedy śpi. Oczywiście przy

znieczuleniu miejscowym. Pacjent nie może się ruszać.

— Ale jak to możliwe, że ona unosiła się nad łóżkiem? — zapytała Chris.

— Zdaje się, że już mówiliśmy na ten temat — powiedział Klein. — W stanach patologicznych mogą wystąpić objawy nienaturalnej siły oraz spotęgowanie reakcji motorycznych.

— Ale nie wiecie, dlaczego tak się dzieje?

— Prawdopodobnie ma to związek z przyczyną choroby — skomentował David. — Nic więcej nie wiemy.

— Dobrze, ale co z punkcją, zgadza się pani? — spytał Klein.

Zaczerpnęła powietrza i wbiła wzrok w podłogę.

- Zaczynajcie — szepnęła. — Róbcie wszystko, co trzeba. Ale pomóżcie jej.

— Będziemy próbować — powiedział Klein. - Czy mogę skorzystać z telefonu?

— Oczywiście. Proszę przejść do gabinetu.

— Aha, trzeba zmienić pościel w jej łóżku.

— Ja to zrobię — powiedziała Sharon.

— Zaparzę panom kawy — zaproponowała Chris, gdy schodzili na dół. — Dałam służbie wolne popołudnie, więc będzie tylko neska.

— Zauważyłem, że nie zabezpieczyła pani okna - wtrącił Klein.

— Właśnie złożyłam zamówienie. Jutro przyjdzie ślusarz z odpowiednimi zamkami.

Przeszli do gabinetu, skąd Klein zadzwonił do biura i polecił asystentce, aby dostarczyła konieczny sprzęt.

— I proszę przygotować w laboratorium wszystko do analizy płynu rdzeniowego. Sam zrobię badania zaraz po zabiegu.

Klein skończył rozmowę z asystentką i spytał Chris o zachowanie Regan od czasu ostatniej wizyty w jego gabinecie.

— We wtorek nie działo się zupełnie nic. Poszła do łóżka i spała do późna

następnego dnia; potem... Ach, nie, chwileczkę, coś sobie przypomniałam. Nie, nie spała. Willie wspomniała, że bardzo wcześnie rano słyszała ją w kuchni. Teraz sobie przypominam; ucieszyłam się, iż odzyskuje apetyt. Ale potem wróciła do łóżka i nie wstawała przez cały dzień.

— Czy spała?

— Nie, zdaje się, że czytała — powiedziała Chris. — Byłam nawet zadowolona, bo wyglądało na to, że librium jej pomogło. Była tylko jakby trochę nieobecna, ale naprawdę widziało się poprawę. Ostatnia noc też przeszła spokojnie — ciągnęła Chris. — Zaczęło się dziś rano. Odetchnęła głęboko.

— I to jak się zaczęło!

Chris opowiedziała lekarzowi, że właśnie siedziała w kuchni, kiedy Regan krzycząc zbiegła ze schodów, schowała się za jej krzesło i chwytając matkę za ramiona poczęła wyznawać przerażona, iż goni ją kapitan Howdy; skarżyła się. że ją szczypie, kłuje, popycha, szepcze brzydkie słowa do ucha i straszy, że ją zabije. „On tu jest!" — trzęsła się wskazując palcem na drzwi kuchni. Później rzuciła się na podłogę, jej ciało drżało, a ona płacząc żaliła się, że Howdy ją kopie. Potem nagle stanęła na środku kuchni z rozpostartymi ramionami i kręciła się w kółko niczym bąk, aż padła wyczerpana na podłogę.

— A potem — kończyła Chris łamiącym się głosem — zobaczyłam w jej oczach po raz pierwszy nienawiść. Nienawiść! I powiedziała, że ja...

Dławiła się płaczem.

— Nazwała mnie... O, Jezu!

Łkając zasłoniła twarz. Łzy spływały po jej policzkach i dłoniach. Klein wziął z barku szklankę wody i wrócił do Chris.

— Cholera, gdzie ja podziałam papierosy! — powiedziała roztrzęsiona ocierając oczy wierzchem dłoni.

Klein podał jej szklankę i małą zieloną pastylkę. — Lepiej proszę spróbować tego — poradził.

— Czy to środek uspokajający?

— Tak.

— Wezmę podwójną dawkę.

— Jedna wystarczy.

— Wielkie dzięki! — Chris próbowała się uśmiechnąć.

Połknęła tabletkę i odstawiła szklankę.

— Dziękuję — powiedziała cicho i oparła podbródek na drżącej dłoni. — Tak, wtedy się rzeczywiście zaczęło — podjęła. — Ta cała historia. Regan zachowywała się, jakby była kimś zupełnie innym.

— Na przykład kapitanem Howdym? — spytał David. Chris spojrzała na niego zaskoczona: — Co pan ma na myśli? — zapytała.

— Właściwie nie wiem. Tak pytam.

Odwróciła się do kominka.

— Nie mam pojęcia — powiedziała zmienionym głosem. — Po prostu zachowywała się jak ktoś inny.

Na krótko zapadła cisza. Wreszcie David wstał mówiąc, że musi obsłużyć umówione wizyty. Rzucił kilka uspokajających słów i się pożegnał.

Klein odprowadził go do wyjścia.

— Czy zrobiłeś badania na cukier? — spytał David.

— Cholera, nie. Ależ ze mnie idiota!

David zaśmiał się cicho.

— Ja też się w tym wszystkim pogubiłem. — Potem dodał nie patrząc na Kleina: — Dziwny przypadek. — W zamyśleniu pocierał dłonią kark. — Daj mi znać, jak wypadły badania.

— Będziesz w domu?

— Tak, przedzwoń. — Skinął mu ręką na pożegnanie i wyszedł.

Kiedy dostarczono aparaturę, Klein dokonał znieczulenia podając nowokainę w okolicę kręgosłupa i, obserwowany przez Chris i Sharon, pobrał płyn rdzeniowy, kontrolując równocześnie manometr.

— Ciśnienie w normie — stwierdził.

Podszedł do okna, aby sprawdzić, czy płyn jest zmętniały.

Był klarowny.

Klein starannie ułożył probówki w torbie.

— Nie jestem pewien, czy zajdzie taka potrzeba — powiedział — ale na wszelki wypadek, gdyby się obudziła w nocy i sprawiała kłopoty, przydałaby się pielęgniarka, by zrobić jej zastrzyk.

— Czy nie mogłabym tego zrobić sama? - spytała Chris.

— Ma pani coś przeciw pielęgniarce?

Chris wolała nie wspominać o swoim braku zaufania do lekarzy i pielęgniarek. — Wolałabym to robić sama — powtórzyła.

— Zastrzyki są zdradliwe. Można wpuścić pęcherzyk powietrza.

— Och, ja umiem to robić — wtrąciła Sharon. — Moja matka prowadziła ambulatorium w Oregonie.

— Serio, Shar? Możesz zostać dziś na noc? — spytała Chris.

— No, dobrze, ale jeśli trzeba będzie uciec się do sztucznego odżywiania? To zależy od tego, jak się będzie czuła — powiedział Klein.

— Czy mógłby pan nam pokazać, doktorze, jak się to robi? — spytała Chris.

— Myślę, że tak.

Wypisał receptę na rozpuszczalną thorazinę. Potem zanotował, w jaki sposób wykonać zastrzyk. — Proszę to natychmiast wykupić — podał Chris dwie karteczki.

Chris przekazała receptę Sharon. — Kochanie, bądź tak dobra i zajmij się tym. Po prostu zadzwoń, a oni przyślą lek. Chciałabym pójść z doktorem i zobaczyć wyniki badań... Czy nie ma pan nic przeciwko temu?

Widział jej podkrążone oczy, bezradne, błagające.

— Wiem, co pani czuje. Przeżywam to samo, kiedy rozmawiam z mechanikiem o swoim samochodzie — spróbował zażartować.

Opuścili dom dokładnie kwadrans po osiemnastej.

Klein dokonał analizy w swoim laboratorium, w szpitalu Rosslyn.

Najpierw sprawdził potas. W normie. Potem policzył ciałka krwi.

— Zbyt wiele czerwonych — wyjaśnił — oznaczałoby krwawienie. A podwyższona liczba białych — infekcję.

Szczególnie dokładnie zbadał możliwość infekcji grzybiczej, częstej przyczyny zaburzeń.

Nie znalazł nic.

Na koniec sprawdził poziom cukru..

— No i jak? — zapytała niespokojnie Chris.

— Zawartość cukru w płynie rdzeniowym powinna być na poziomie dwóch trzecich cukru we krwi. Jeśli norma jest przekroczona oznacza to, że bakterie niszczą cukier w płynie rdzeniowym. To też mogłoby tłumaczyć jej objawy.

Poziom cukru utrzymywał się w normie. Chris wtuliła głowę w ramiona.

— No, to znowu stoimy w martwym punkcie! Klein milczał. Potem podniósł wzrok na Chris.

— Czy trzyma pani w domu jakieś narkotyki?

— Co takiego?

— Halucynogeny? LSD?

— Ależ skąd! Zapewniam pana. Nic mam nic takiego! Odwrócił głowę; potem znowu spojrzał na nią i powiedział:

— Myślę, że nadszedł czas, żeby zwrócić się do psychiatry, pani MacNeil.

Wróciła do domu o dziewiętnastej dwadzieścia; jeszcze w drzwiach zawołała Sharon.

Sharon nie było.

Chris zajrzała do sypialni Regan. Mała ciągle spala głęboko, w bezruchu, przykryta kołdrą. Chris spostrzegła szeroko otwarte okno. Przenikliwa woń moczu. Pewnie Sharon otworzyła, żeby wywietrzyć, pomyślała. Zamknęła je. Gdzie ona poszła?

Na dole spotkała Willie.

— Jak się masz, Willie. Udał się wieczór?

— Zakupy. Kino.

— A gdzie Karl?

Machnęła ręką:

— Tym razem pozwolił mi iść na Beatlesów. Ale samej.

— To dobry film.

Willie uniosła kciuk na znak aprobaty. Dochodziła dziewiętnasta trzydzieści pięć.

Tuż po ósmej, kiedy Chris rozmawiała przez telefon z menażerem, wróciła Sharon obładowana pakunkami. Ciężko opadła na krzesło czekając, aż Chris skończy rozmowę.

— Gdzie byłaś? — spytała Chris.

— A co, nie powiedział ci?

— Kto miał mi powiedzieć?

— Burke. Nie ma go tutaj? To gdzie jest?

— Był tu?

— Chcesz mi powiedzieć, że nie zastałaś go, gdy wróciłaś?

— Poczekaj, mów po kolei.

— Och, głupia sprawa. Nie mogłam znaleźć apteki, która przysłałaby leki, więc kiedy przyszedł Burke, pomyślałam, że przez chwilę może zostać z Regan, a ja wyskoczę po lekarstwa. Skąd mogłam wiedzieć, że się ulotni?

— Mogłaś to przewidzieć. I co kupiłaś?

— Wzięłam przy okazji gumową ceratkę do jej łóżka — wskazała na jedną z paczek.

— Jadłaś coś?

— Nie, właśnie miałam sobie zrobić kanapkę. Dla ciebie też?

— Dobry pomysł. Chodźmy do kuchni.

— A jak wypadły analizy? — spytała Sharon.

— Nic nowego; wszystko w normie. Trzeba będzie znaleźć dobrego psychiatrę — odparła ze znużeniem Chris.

Po kolacji i kawie Sharon nauczyła Chris, jak wykonuje się zastrzyki.

— Musisz pamiętać o dwóch rzeczach. Przede wszystkim upewnij się, że nie ma pęcherzyków powietrza, a potem sprawdź, czy nie trafiłaś w żyłę. Pociągasz leciutko — o tak — i patrzysz, czy nie nabierasz krwi.

Przez pewien czas Chris ćwiczyła na grejpfrucie i była zadowolona ze swoich postępów. O dwudziestej pierwszej dwadzieścia pięć rozległ się dzwonek u drzwi. Willie poszła otworzyć. Wrócił Karl. Kiedy przechodził przez kuchnię, przywitał się i przeprosił, że nie wziął swoich kluczy.

— To nie do wiary — powiedziała Chris. — Po raz pierwszy przyznał się do popełnienia błędu.

Resztę wieczoru postanowiły spędzić oglądając telewizję.

Za piętnaście dwunasta zadzwonił telefon.

Głos młodego asystenta reżysera brzmiał nader poważnie.

— Czy już wiesz o tym, Chris?

— O czym?

— To okropne.

— Co takiego?

— Burke nie żyje.

Był pijany. Potknął się. Spadł ze schodów na tyłach jej domu, aż na sam dół, jakiś przechodzień na M Street widział, jak stacza się i znika w ciemnościach. Skręcony kark. Krwawa, przerażająca scena; dla Burke'go ostatnia.

Chris szlochała bezgłośnie, słuchawka wysunęła się jej z dłoni. Sharon podbiegła, objęła ją i zaprowadziła na sofę.

— Burke nie żyje! — łkała Chris.

— O, mój Boże! — Sharon zaparło dech. - Co się stało? Ale Chris nie mogła mówić. Płakała.

Potem długo rozmawiały. Minęło kilka godzin. Chris piła. Wspominała Denningsa. Na przemian płakała i śmiała się.

— O, Boże! — powtarzała — biedny Burke... biedny Burke...

Przypomniała sobie swój niedawny sen o śmierci. Około piątej nad ranem Chris stała oparta o barek. Czekała na Sharon, która poszła po tackę z lodem. Usłyszała jej kroki.

— Ciągle nie mogę uwierzyć -— westchnęła Sharon wchodząc do pokoju.

Chris podniosła wzrok i zdrętwiała.

Regan sunęła za Sharon pajęczym krokiem; jej ciało było przegięte do tyłu tak, że głowa dotykała stóp. Wydawała przejmujący syk, a jej język błyskawicznie ślizgał się pomiędzy wargami, jak u węża.

— Sharon — powiedziała głuchym głosem Chris wpatrując się w Regan.

Sharon przystanęła. Regan poszła w jej ślady. Sharon odwróciła się i najpierw nie zauważyła nic, ale po chwili krzyknęła, bo poczuła język Regan na swojej kostce.

Chris pobladła jak ściana.

— Zadzwoń do tego lekarza i wyciągnij go z łóżka! Niech natychmiast przyjeżdża!

Gdziekolwiek szła Sharon, Regan podążała za nią.

Rozdział IV

Piątek, dwudziesty dziewiąty kwietnia. Chris czekała na korytarzu przed sypialnią. Doktor Klein i znany psychiatra badali Regan.

Obserwowali ją przez pół godziny. Miotała się. wirowała w miejscu, targała włosy. Czasami wykrzywiała twarz w bolesnym grymasie i zatykała obiema rękami uszy, jak gdyby broniąc się przed nieznanym ogłuszającym dźwiękiem. Wyrzucała z siebie przekleństwa. Wyła z bólu. Wreszcie runęła na łóżko twarzą w dół i podkurczyła nogi. Wydawała chaotyczne jęki.

Psychiatra odsunął Kleina.

— Dajmy jej jakiś środek uspokajający — szepnął. — Może uda mi się z nią porozmawiać.

Internista przygotował zastrzyk: pięćdziesiąt miligramów thoraziny. Lecz kiedy lekarze zbliżyli się do łóżka Regan, jakby wyczuwając ich obecność, odwróciła się nagle. Psychiatra usiłował ją przytrzymać, wtedy poczęła rzucać się z furią. Biła go, kopała, odpychała. Zdołali przytrzymać ją dopiero z pomocą Karla. Klein zrobił zastrzyk.

Ale ta dawka nie wystarczyła. Podali kolejną. Czekali.

Regan uspokoiła się. Zapadła w półsen. Potem zdezorientowana spojrzała na lekarzy.

— Gdzie jest mamusia?! Chcę do mamusi! - zapłakała. Klein poszedł po Chris.

— Twoja mama za chwileczkę przyjdzie - powiedział psychiatra do Regan.

Przysiadł na skraju łóżka i gładził dziewczynkę po głowie.

— Już dobrze, dobrze, kochanie. Jestem lekarzem.

— Chcę do mamusi — szlochała Regan.

— Już idzie. Czy coś cię boli, kochanie? Skinęła głową, wciąż zalewając się łzami.

— Gdzie cię boli?

— Wszędzie — jęknęła — jestem cała obolała.

— Och, moje dziecko!

— Mamusiu!

Chris podbiegła do łóżka i przytuliła córkę. Pocałunki. Próbowała ją uspokoić. Potem sama rozpłakała się.

— Och, Rags, wróciłaś! Teraz to naprawdę ty!

— Mamusiu, jak on mnie męczy! — chlipała Regan.

— Proszę cię, zrób coś, żeby przestał! Proszę!

Zaskoczona Chris przeniosła wzrok na lekarzy. Wyczytali w jej oczach pytanie.

— Jest silnie spremedykowana — powiedział łagodnie psychiatra.

— To znaczy... Przerwał jej.

— Zaraz zobaczymy. — Odwrócił się do Regan. — Możesz mi powiedzieć, co się z tobą dzieje?

— Nie wiem — odpowiedziała. — Nie wiem, dlaczego on mi to robi. — Łzy płynęły z jej oczu. — Zawsze był moim przyjacielem.

— Kto taki?

— Kapitan Howdy! A teraz jakby ktoś inny wchodził we mnie i sprawiał mi ból.

— Czy to Kapitan Howdy?

— Nie wiem.

— Jakaś osoba? Przytaknęła.

— Kto?

— Nie wiem!

— Dobrze, wypróbujemy coś, to taka gra, zgadzasz się?

— Sięgnął do kieszeni i wyciągnął błyszczącą kulkę zawieszoną na srebrnym łańcuszku. — Czy widziałaś kiedyś w kinie, jak się hipnotyzuje? Skinęła głową.

— Dobrze, ja jestem hipnotyzerem, wiesz? Hipnotyzuję ludzi. Oczywiście jeżeli się zgadzają, Myślę, że jeśli cię zahipnotyzuję, będę mógł ci pomóc. Ten ktoś w tobie pokaże się wówczas. Czy chcesz, żeby cię zahipnotyzować? Nie bój się, mamusia będzie obok.

Regan spojrzała na Chris.

— Zgódź się, kochanie. Spróbuj.

— Dobrze — powiedziała Regan do psychiatry - ale tylko troszeczkę.

Psychiatra uśmiechnął się. Nagle odwrócił głowę. Z biurka, na którym doktor Klein opierał ramię, spadł porcelanowy wazon. Lekarz spojrzał na swoją rękę, a potem na skorupy. Był bardzo speszony. Pochylił się, aby pozbierać stłuczki.

— Nic nie szkodzi, doktorze. Willie to zrobi - powiedziała Chris.

— Sam, czy mógłbyś zamknąć okiennice i zaciągnąć story? — poprosił psychiatra.

Gdy w pokoju zrobiło się ciemno, ujął łańcuszek w palce i rozkołysał delikatnym ruchem. Drugą ręką oświetlił kulkę małą punktową latarką. Metal błyszczał w ciemności. Psychiatra rozpoczął rutynowe wprowadzanie w stan hipnozy: — Teraz patrz na to, Regan, ciągle patrz na to. Twoje powieki robią się coraz cięższe...

Niebawem zapadła w trans.

— Jest niezwykle podatna na sugestię — powiedział cicho psychiatra. Potem zwrócił się do dziewczynki: Czy jest ci dobrze?

— Tak. — Jej głos był miękki i cichy.

— Ile masz lat, Regan?

— Dwanaście.

— Czy ktoś jest w tobie?

— Czasami.

— Kiedy?

— O różnych porach.

— Czy jest to jakaś osoba?

— Tak.

— Kto to jest?

— Nie wiem.

— Kapitan Howdy?

— Nie wiem.

— Mężczyzna?

— Nie wiem.

— Ale jest tam?

— Tak, czasami.

— A teraz?

— Nie wiem.

— Jeśli go o coś zapytam, czy pozwolisz mu odpowiedzieć?

— Nie!

— Dlaczego?

— Boję się.

— Czego?

— Nie wiem.

— Jeśli z nim porozmawiam, pójdzie sobie. Czy chcesz, żeby cię opuścił?

— Tak.

— Więc pozwolisz mu mówić?

Pauza. A potem: — Tak.

— Zwracam się do osoby, która jest w Regan — powiedział psychiatra zdecydowanym tonem. — Jeżeli jesteś tam, także ;ię zahipnotyzowałem. Musisz odpowiadać na moje pytania. — Przerwał na chwilę. Potem powtórzył: — Jeśli jesteś tam, jesteś również zahipnotyzowany. Musisz odpowiadać na moje pytania. Ujawnij się i odpowiadaj.

Cisza. A potem stało się coś niespodziewanego: oddech Regan stał się nagle ciężki, cuchnący, wypełnił cały pokój. Psychiatra wyczuwał go z

odległości ponad metra. Skierował światło na twarz Regan.

Chris zaparło dech w piersiach. Rysy jej córki stężały w ohydną maskę: wargi wywinięte na zewnątrz, język biegający między wargami.

— Mój Boże! — wyrwało się Chris.

— Czy jesteś tym kimś w Regan? - spytał psychiatra. Skinięcie.

— Kim jesteś?

— Mikinmetsej — gardłowa odpowiedź.

— Czy to twoje imię?

Potwierdzenie.

— Czy jesteś mężczyzną?

— Kat.

— Czy odpowiedziałeś?

— Kat.

— Jeśli to oznacza „tak", skiń głową.

Potwierdzenie.

— Czy przemawiasz w obcym języku?

— Kat.

— Skąd przybywasz?

— Gób.

— Od Góba?

— Agobdoein — odpowiedziała Regan.

Psychiatra namyślał się przez moment, nim podjął następną próbę.

— Kiedy będę zadawał ci pytanie, odpowiadaj ruchem głowy. Skiń na „tak" lub potrząśnij na „nie". Czy mnie zrozumiałeś?

Potwierdzenie.

— Czy twoje odpowiedzi mają znaczenie? - spytał. „Tak".

— Czy Regan cię zna? „Nie".

— Czy jesteś kimś, o kim wie? „Nie".

— Czy jesteś kimś, kogo wymyśliła? „Nie".

— Czy istniejesz naprawdę? „Tak".

— Czy jesteś częścią Regan? „Nie".

— Czy kiedyś byłeś częścią Regan? „Nie".

— Czy ją lubisz? „Nie".

— Czy jej nie lubisz? „Tak".

— Czy jej nienawidzisz? „Tak".

— Za coś, co zrobiła? „Tak".

— Czy obwiniasz ją za rozwód jej rodziców? „Nie".

— Czy to ma związek z jej rodzicami? „Nie".

— Z przyjacielem? „Nie".

— Ale ją nienawidzisz? „Tak".

— Czy karzesz ją za coś? „Tak".

— Czy chcesz jej sprawić ból? „Tak".

— Zabić ją? „Tak".

— Czy jeśli ona umrze, ty też umrzesz? „Nie".

Ta odpowiedź wyraźnie zaskoczyła lekarza. Zbity z tropu opuścił wzrok. Sprężyny łóżka zaskrzypiały, gdy zmieniał pozycję. W ciszy ciężki oddech Regan nasuwał na myśl powietrze uchodzące z dziurawych miechów. Bliski, ale jednak tak bardzo daleki.

Psychiatra znów podniósł wzrok na ohydnie zdeformowaną twarz dziewczynki. Przyglądał się jej bacznie.

— Czy jest coś, co można zrobić, żeby cię zmusić do opuszczenia jej? „Tak".

— Czy wiesz, co to jest? „Tak".

— Czy powiesz mi? „Nie".

— Ale...

Przerwał nagle porażony niesamowitym bólem. Regan zgniatała jego mosznę ręką zaciśniętą jak metalowe imadło. Oczy psychiatry wyszły z orbit, gdy usiłował się uwolnić. Nie potrafił. — Sam! Sam, pomóż mi! — wył.

Tortury. Udręka.

Chris po omacku szukała kontaktu.

Klein pospieszył z pomocą.

Regan z odrzuconą do tyłu głową zanosiła się demonicznym śmiechem. Potem zawała jak wilk.

Chris włączyła światło. Ujrzała koszmarny obraz. Sceny przesuwały się przed jej oczyma niczym film w zwolnionym tempie. Regan i lekarze szamotali się na łóżku, tworząc bezładną plątaninę. Wykrzywione twarze, głośne oddechy, przekleństwa, skowyt i przerażający śmiech. Regan na przemian czkała i rżała. Potem taśma zaczęta przesuwać się szybciej. Rozkołysane łóżko trzeszczało. Chris patrzyła bezradnie, jak oczy jej córki wywracają się białkami do góry. Powietrze rozdarł ostry krzyk bólu, na łóżko trysnęła krew.

Ciało Regan nagle zwiotczało i mała straciła przytomność. Coś nieuchwytnego opuściło pokój.

Przez chwilę panowała absolutna cisza, nikt nie oddychał, nikt nie śmiał się poruszyć. Wreszcie powoli lekarze wstali. Popatrzyli na Regan. Po chwili Klein sprawdził jej puls. Uspokojony, przykrył ją kołdrą. Opuścili sypialnię i przeszli do gabinetu.

Nikt się nie odzywał. Chris usiadła na sofie. Klein i psychiatra zajęli miejsca w fotelach naprzeciw niej. Psychiatra w zamyśleniu przygryzał wargi. Potem spojrzał na Chris, napotykając jej pusty wzrok. — Co tu się, u diabła, dzieje? — szepnęła, a w jej głosie brzmiała rozpacz.

— Czy rozpoznała pani język, którym mówiła Regan? — spytał lekarz. Chris zaprzeczyła.

— Czy wyznaje pani jakąś religię?

— Nie.

— A pani córka?

— Też nie.

Psychiatra rozpoczął dłuższą serię pytań związanych z psychicznym

rozwojem Regan. Gdy skończył wywiad, sprawiał wrażenie skonfudowanego.

— Co to jest? — zapytała Chris mnąc w dłoniach chusteczkę i zaciskając palce. Jej kostki pobielały. — Na co ona choruje?

— Jest w tym coś bardzo dziwnego - przyznał psychiatra.

— I szczerze mówiąc, byłbym nader nieodpowiedzialny, gdybym próbował postawić diagnozę po tak pobieżnym badaniu.

— Ale przecież może pan coś podejrzewać — upierała się Chris.

Westchnął.—Wiem, że jest pani bardzo zaniepokojona. Dlatego podzielę się moimi wątpliwościami. Są dwie możliwości.

Chris słuchała z uwagą, skręcała brzegi chusteczki.

— Zacznijmy od tego — powiedział psychiatra — że wydaje się prawie niemożliwe, iż dziewczynka udaje.

Klein zgodził się z nim.

— Uważamy tak z wielu powodów — ciągnął psychiatra. — Na przykład anormalne i bolesne wyginanie ciała albo zmiana rysów twarzy, kiedy rozmawialiśmy z tak zwaną osobą. Widzi pani, taki efekt psychiczny jest możliwy tylko wtedy, jeśli ona rzeczywiście wierzy w istnienie tej osoby. Rozumie mnie pani?

— Myślę, że tak — odpowiedziała zbita z tropu Chris.

— Ale nie rozumiem, skąd ta osoba? Słyszy się wciąż o rozdwojeniu jaźni, lecz ostatecznie nigdy nie wiedziałam, na czym to polega.

— Tego nikt nie wie, pani MacNeil. Operujemy pojęciami „świadomość", „osobowość", „jaźń", ale tak naprawdę nie wiemy, co te słowa znaczą. Przynajmniej nie do końca. Nie na pewno. Kiedy więc mówię o podwójnej lub rozszczepionej osobowości, operuję jedynie pewnymi teoriami, które pozostawiają więcej pytań, niż dają odpowiedzi. Freud twierdził, że niektóre zjawiska są w jakiś sposób eliminowane przez umysł, ale pozostają jednak w podświadomości danej osoby: tkwią tam silnie i czasami ujawniają się jako symptomy chorób psychicznych. Właśnie wtedy owe przytłoczone lub powiedz-

my raczej rozszczepione — słowo „rozszczepienie" oznacza oddzielenie się od strumienia świadomości — więc kiedy te bodźce są dostatecznie mocne lub kiedy osobowość danej osoby jest w określony sposób zachwiana i słaba, rezultatem może być psychoza schizofreniczna. Nie ona jest jednak tą podwójną osobowością. Schozofrenia oznacza zaburzenia w osobowości. Ale jeśli to, co pozostawało w odłączeniu, jest na tyle silne, aby na nowo połączyć się w coś w rodzaju indywidualnej podświadomości, wtedy czasami zaczyna ona funkcjonować jako samodzielna osobowość. Może też zawładnąć funkcjami fizjologicznymi ciała.

Zaczerpnął tchu. Chris słuchała go z wielką uwagą. — To tylko jedna z teorii. Jest jeszcze kilka innych. Niektóre zakładają pragnienie ucieczki w nieświadomość. Ucieczki od konfliktów lub problemów emocjonalnych. Wracając do Regan; nigdy wcześniej nie objawiły się u niej symptomy schizofrenii, zaś EEG nie wykazało charakterystycznych dla tej choroby wykresów fal mózgowych. W takim razie musimy zająć się wielkimi obszarami histerii.

— Ostatnio sama zachowałam się jak histeryczka - wyznała cicho Chris.

Psychiatra uśmiechnął się lekko.

- Histeria jest formą neurozy, w której zaburzenia emocjonalne przypisywane są chorobom ciała i w niektórych jej postaciach występuje rozszczepienie jaźni. Na przykład w psychastenii pacjent traci świadomość własnych zachowań, ale potrafi obserwować je tak, jakby robił to ktoś inny. Druga osobowość jest pojęciem niejasnym, ale wydaje się, że Regan jest szczególnym przypadkiem. Doszliśmy do tego, co Freud nazwał konwersyjną formą histerii. Powstaje ona z podświadomego poczucia winy i pragnienia kary. W takich przypadkach rozszczepienie jest cechą spotykaną dość często, pojawia się nawet podwójna osobowość. Jednym z syndromów mogą być konwulsje epileptoidalne, halucynacje, nadpobudliwość motoryczna.

— Rzeczywiście, pasowałoby to do zachowania Regan — przytaknęła ze smutkiem Chris. - Też pan tak myśli? Wszystko prócz tej części dotyczącej

winy. Bo czemu miałaby czuć się winna?

— No cóż, przyczyną może być rozwód. Dzieci wtedy często czują się niepotrzebne i biorą na siebie odpowiedzialność za rozbicie związku rodziców. W przypadku pani córki można przypuszczać, że rozwód jest źródłem poczucia winy. Myślę także o destruktywnej, głębokiej depresji, w jaką wprawiły ją rozmyślania o śmierci. Tanatofobia u dzieci jest często połączona z poczuciem winy za kłopoty rodzinne, a także bardzo często strachem przed utratą rodziców. Rezultatem jest długotrwała frustracja. W wypadku histerii nie zawsze pacjent to sobie uświadamia. Wówczas w grę wchodzi nieuchwytna wina, poczucie ogólnej winy, które się nie odnosi do jakichkolwiek faktów.

Chris odgarnęła włosy z czoła.

— Pogubiłam się — wyznała. — Skąd bierze się ta nowa osobowość?

— Kolejna niewiadoma. Ale zakładając, że konwersyjna postać histerii powstaje na bazie poczucia winy, nowa osoba jest narzędziem wymierzania kary. Gdyby Regan robiła to z własnej woli, znaczyłoby, że jest świadoma własnej winy. Lecz ona pragnie uciec od tej świadomości. Może właśnie do tej nowej osobowości.

— No więc w końcu co to jest?

— Jak już powiedziałem, nie wiem — odparł wymijająco. Dobierał starannie słowa, jakby wznosił skomplikowaną konstrukcję z wielkich, porośniętych mchem głazów. — Niezwykle rzadko spotyka się u dzieci w wieku Regan zdolność zorganizowania takiej nowej osobowości. Zastanawiające też są inne fakty: jej zabawy z talerzykiem spirytystycznym mogą świadczyć o niezwykłej podatności na sugestię. W rzeczywistości ja jej nie zahipnotyzowałem — wzruszył ramionami. — Być może oparła się temu, ale uderzająca jest okoliczność, iż ta nowa osobowość ukształtowała się niezwykle szybko. I nie ma ona dwunastu lat. Jest o wiele, wiele starsza. Poza tym, ten dziwny język. — Patrzył na dywan przed kominkiem przygryzając w zamyśleniu dolną wargę. — Istnieje stan, o którym też niewiele wiemy:

somnambulizm. Pacjent wykazuje nagle wiedzę i umiejętności, których nigdy przedtem nie nabył, a nowa osobowość dąży do zniszczenia pierwotnej. Jakkolwiek...

— Urwał. Spojrzał na Chris. — To jest strasznie skomplikowane. I zdaje się, że zbytnio upraszczam.

— W takim razie, co robić?

— W tej chwili nic. Musi być dokładnie zbadana przez zespół specjalistów, co wymaga dwu, do trzech tygodni pobytu w klinice. Powiedzmy w klinice Barringer, w Dayton.

Chris opuściła wzrok.

— Czy to niemożliwe?

— Nie, nie dlatego — westchnęła. - Po prostu straciłam nadzieję, to wszystko.

— Nie rozumiem pani.

— Taka osobista tragedia.

Psychiatra zatelefonował z gabinetu Chris do kliniki Barringer. Zgodzili się przyjąć Regan następnego dnia.

Lekarze wyszli.

Chris pomyślała o Denningsie. Wspomnienie przyniosło jej wyobrażenie śmierci, robaków, poczucie niewypowiedzianej samotności, ciemności, tam, głęboko pod ziemią, gdzie nie ma już nic... Cicho zaszlochała. Za dużo... za dużo... Potem odegnała od siebie posępne myśli i zajęła się pakowaniem rzeczy.

Zastanawiała się nad odpowiednią peruką i strojem, który mogłaby nosić w Dayton tak, by nie być rozpoznaną, kiedy pojawił się Karl, aby oznajmić, że ktoś chce się z nią widzieć.

— Kto?

— Detektyw.

— I on chce widzieć mnie?!

Potwierdził i wręczył Chris wizytówkę. Zerknęła na nią z roztargnieniem:

William F. Kinderman, porucznik Wydziału Kryminalnego. W lewym dolnym rogu, niczym ubogi krewny, skrył się napis: Oddział Zabójstw. Wizytówka była wydrukowana gotykiem z epoki Tudorów i bardziej nadawałaby się do anonsowania handlarza antykami.

Popatrzyła podejrzliwie na Karla:

— Czy on nie ma przy sobie czegoś, co wygląda na scenariusz? Dużej szarej koperty lub czegoś w tym rodzaju?

Chris przekonała się już dawno, że nie ma na świecie człowieka, który gdzieś głęboko w szufladzie lub tajnej skrytce nie chowałby rękopisu powieści lub scenariusza, albo choćby pomysłu na te rzeczy. Tacy ludzie zjawiali się u niej często; przyciągała ich jak konfesjonał skruszonych pijaków.

Ale Karl zaprzeczył. Chris zaintrygowana zeszła na dół. Burke? Czyżby to miało związek z jego śmiercią?

W hallu ujrzała mężczyznę czekającego w niedbałej pozie i obracającego w krótkich, grubych i wypielęgnowanych palcach rondo pogiętego, wytartego kapelusza. Zażywny jegomość po pięćdziesiątce, pulchne, gładko wygolone policzki. Pomięte, wypchane na kolanach, luźne spodnie, zabawnie kontrastujące z jego schludnym wyglądem. Zbyt obszerny tweedowy, staromodny płaszcz wprost zwisał na nim. Wilgotne brązowe oczy mężczyzny, o skośnym, odwróconym w dół wykroju, wydawały się spoglądać gdzieś w przeszłość. Oddychał świszcząc astmatycznie.

Chris podeszła bliżej. Detektyw wyciągnął rękę miękkim, przyjaznym gestem i przemówił chrapliwym, niezdrowym szeptem:

— Poznałbym pani twarz na każdej konfrontacji, pani MacNeil.

— Czy taka mi grozi? — zapytała Chris ze szczerym zainteresowaniem, podając mu rękę.

— Ależ skąd! — machnął dłonią w powietrzu, jak gdyby odganiał muchę. Zmrużył oczy i przekrzywił głowę. Lewą dłoń oparł na swoim wydatnym brzuchu. — Nie, tylko formalność — zapewnił ją. — Zwykła formalność. Jeśli

jest pani zajęta, przyjdę jutro.

Odwrócił się, gotów do odejścia, ale Chris spytała zaniepokojona: — Ale o co chodzi? O Burke'a? O Burke'a Denningsa?

Niczym nie zmącony spokój detektywa pobudził jej ciekawość.

— To straszne. Naprawdę straszne — westchnął.

— Czy on został zamordowany? — patrzyła na niego z przerażeniem.

— Czy dlatego jest pan tutaj, że Burke'a zabito? O to chodzi?

— Ależ nie, skąd. Formalność. Był znany, trzeba zatem wszystko dokładnie sprawdzić. Takie są nasze obowiązki — bronił się niemal bezradnie. — Jest tylko jedna niewiadoma: spadł sam, czy ktoś go popchnął. — Kiedy to mówił, przechylał głowę z boku na bok, wtórując gestem dłoni, potem wzruszył ramionami i dokończył świszczącym szeptem: — Kto to wie?

— Czy go okradziono?

— Nie, pani MacNeil. W dzisiejszych czasach zabija się ludzi bez powodu. — Jego ręce ciągle były w ruchu, jakby pociągał sznurki niewidzialnej marionetki. — Dzisiaj dla mordercy motyw to tylko zbędne obciążenie. Ach, te narkotyki — narzekał — te narkotyki, LSD.

Wędrując opuszkami palców po swojej klatce piersiowej popatrzył na Chris.

— Proszę mi wierzyć, sam jestem ojcem i to, co się dzieje, rani mi serce. Czy ma pani dzieci?

— Tak, jedno.

— Syna?

— Córkę.

— Tak...

— Przejdźmy do gabinetu — powiedziała Chris wskazując drogę.

Stopniowo traciła cierpliwość.

— Pani MacNeil, czy będę bardzo natrętny, jeśli o coś poproszę?

Odwróciła się z niejasnym przeczuciem, że zażąda jej autografu dla swoich

dzieci. Nikt nie mówił, że chce podpisu dla siebie, każdy zasłaniał się dziećmi.

— Tak, oczywiście - powiedziała.

— Mój żołądek. — Skrzywił twarz. - Czy ma pani może w domu sodę? Ale gdyby miało to sprawić kłopot, proszę się nie fatygować. Nie chcę być natrętny.

— Ale to żaden kłopot — odetchnęła. - Proszę chwilę poczekać — podsunęła mu krzesło i odwróciła się, by pójść do kuchni. — Zdaje się, że gdzieś mam jeszcze jedną butelkę.

— Nie, pójdę z panią. Sam nie znoszę natrętów.

— Żaden kłopot — powtórzyła.

— Wiem, że jest pani zajęta. Pójdę z panią. Ma pani dzieci? — spytał po drodze. — Ach, oczywiście, tak, córkę, mówiła mi pani przecież. Tylko jedno.

— Tak, tylko jedno.

— Ile ma lat?

— Właśnie skończyła dwanaście.

— Zatem nie musi się pani martwić, przynajmniej na razie. Ale później proszę uważać. — Wciąż kiwał głową. Chris zauważyła, że porusza się jak kaczka. — Jak się widzi te wszystkie choroby cały czas! — ciągnął. — Nie do wiary. Niesamowite. Wie pani, parę dni temu spojrzałem na swoją żonę i mówię do niej: „Mary, świat, cały świat cierpi na załamanie nerwowe. Wszyscy. Cały świat" — wykonał nie-sprecyzowany gest.

Weszli do kuchni. Karl czyścił właśnie piekarnik. Nie odwrócił się, zupełnie ich nie dostrzegał.

— Ileż sprawiam kłopotów — powtórzył tym swoim świszczącym szeptem, kiedy Chris otwierała lodówkę. Spojrzał na Karla; dokładnie omiótł go wzrokiem, nie pomijając żadnego detalu. — Spotykam słynną gwiazdę filmową i co robię? — ciągnął. — Proszę ją o sodę oczyszczoną. Co za życie. Chris wyjęła butelkę i rozejrzała się za otwieraczem. — Z lodem? — zapytała.

— Nie, nie, dziękuję. Otworzyła butelkę.

— Pamięta pani ten film, w którym pani grała? „Anioł"? Widziałem go sześć razy.

— Jeśli szuka pan winnego, niech pan zaaresztuje producenta i montażystę — mruknęła.

— Dlaczego, był wspaniały! Bardzo mi się podobał.

— Proszę usiąść. — Wskazała taboret.

— Och, dziękuję. Film był doprawdy świetny. Poruszający. Ale był w nim jeden słaby punkt — odważył się wreszcie — jeden niewielki, słaby punkcik. O, dziękuję.

Postawiła przed nim szklankę sody i zajęła miejsce po drugiej stronie stołu opierając dłonie na blacie.

— Malutka wada — ciągnął przepraszająco — naprawdę malutka. Jestem laikiem. Zupełnie przeciętnym widzem. Co ja mogę wiedzieć? Jednak wydaje mi się, jako laikowi, że wstawki muzyczne przeszkadzały w odbiorze niektórych scen. Były zbyt ekspansywne — zapalił się. — Przypominały o tym, że jestem tylko w kinie. Rozumie pani? Te dziwaczenia z kamerą także nie były potrzebne. Przeszkadzały. A tak a propo,, czy muzyka była ściągnięta z Mendelssohna?

Chris bębniła palcami po blacie. Dziwny detektyw. I czemu bez przerwy wpatruje się w Karla?

— Nie wiem — odpowiedziała — ale cieszę się, że film podobał się panu. Lepiej niech pan wypije — trąciła szklankę. — Gaz ucieka.

— Ach, tak, rzeczywiście. Straszny ze mnie gaduła, a pani jest przecież zajęta. Proszę mi wybaczyć — podniósł szklankę parodiując toast i wychylił ją odginając przy tym mały palec.

— Znakomita — sapał zadowolony. Odstawił szklankę i popatrzył na ptaka wyrzeźbionego przez Regan. Stał na środku stołu z dziobem śmiesznie zanurzającym się w solniczce. — Doskonałe — uśmiechnął się. — Ładne, kto to robił? Jakiś artysta?

— Moja córka — powiedziała Chris.

— Bardzo ładne.

— Proszę posłuchać, nie chciałabym być...

— Tak, naturalnie. Wiem, że przeszkadzam. W zasadzie mam tylko jedno pytanie i już sobie idę. — Spojrzał na zegarek, jakby spieszył się na umówione spotkanie. — Jeśli chodzi o nieszczęsnego pana Denningsa — wysapał — skończył on już zdjęcia i zastanawiamy się, czy miał w tym mieście, poza panią, kogoś znajomego, kogo mógłby odwiedzić?

— Przecież był tutaj tamtej nocy — powiedziała Chris.

— Tak? — uniósł brwi. — Niedługo przed wypadkiem?

— A kiedy to się zdarzyło?

— Tuż po siódmej wieczorem.

— W takim razie myślę, że tak.

— To właściwie wszystko wyjaśnia — obrócił się na krześle, wydawało się, że wnet wstanie. — Był pijany, wychodził i spadł ze schodów. Tak, wszystko się zgadza. Dokładnie. Ale dla protokołu; czy może mi pani powiedzieć, o której dokładnie wyszedł?

Dokopywał się szczegółów niczym stary kawaler przebierający warzywa na straganie. Chris zastanawiała się, w jaki sposób zdołał zostać porucznikiem.

— Nie wiem — odpowiedziała. — Nie widziałam się z nim.

— Nie rozumiem?

— Przyszedł i wyszedł w czasie, kiedy byłam u lekarza w Rosslyn.

— Teraz jasne. Oczywiście. A skąd wiedziała pani, że tutaj był?

— Sharon mi powiedziała...

— Sharon? — przerwał.

— Sharon Spencer, moja sekretarka. Była w domu, kiedy przyszedł Burke. Ona...

— Przyszedł zobaczyć się z nią? — ponownie przerwał detektyw.

— Nie, ze mną.

— A tak, rzeczywiście. Przepraszam — ciągle wpadam pani w słowo.

— Moja córka źle się czuła i Sharon zostawiła Burke'a z nią, a sama poszła wykupić lekarstwa. Ale zanim wróciłam do domu, Burke już poszedł.

— Która była wtedy?

— Około dziewiętnastej piętnaście, może wpół do ósmej.

— A o której godzinie wyszła pani z domu?

— Mniej więcej kwadrans po osiemnastej.

— Kiedy natomiast wyszła panna Spencer?

— Nie wiem.

— A po wyjściu panny Spencer i przed pani przyjściem, czy ktoś był w domu prócz pani córki?

— Nie było nikogo.

— Nikogo? Zostawił ją samą?

Przytaknęła.

— Nie było służby?

— Nie, Willie i Karl poszli...

— Kim oni są?

Chris poczuła, jak ziemia osuwa jej się nagle spod nóg. Zdała sobie sprawę, że zdawkowy wywiad przekształcił się nagle w twarde przesłuchanie.

— Karl jest tutaj — objęła spojrzeniem plecy służącego, który wciąż czyścił piekarnik. — A Willie to jego żona — dodała. — Zajmują się gospodarstwem. Mieli wolne popołudnie i byli poza domem, kiedy wróciłam. Willie... — Chris urwała.

— Co Willie?

— Och, nic takiego — wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok od masywnych pleców Karla. Dlaczego właściwie ciągle czyści ten piekarnik?!

Sięgnęła po papierosa. Kinderman podał jej ogień.

— W takim razie tylko pani córka wie, o której godzinie wyszedł stąd Dennings?

— Czy to naprawdę był wypadek?

— Oczywiście. Zwykła formalność. Pan Dennings nie został okradziony, ani też nie miał żadnych wrogów, o których byśmy wiedzieli. W każdym razie nie tutaj.

Chris rzuciła szybkie spojrzenie w stronę Karla, ale prawie natychmiast przeniosła wzrok na Kindermana. Czy zauważył? Chyba nie. Dotykał palcami rzeźby Regan.

— Ten gatunek ptaka jakoś się nazywa i nie mogę sobie przypomnieć jak. — Dostrzegł wreszcie, iż Chris robi się coraz bardziej niespokojna. - Pani wybaczy, że zabierani czas. Jeszcze minutka i kończymy. A więc pani córka powinna wiedzieć, kiedy pan Dennings wyszedł?

— Nie. Była pod wpływem silnych środków uspokajających.

— Och, to okropne — pod zmrużonymi powiekami czaiła się ciekawość. — Czy to coś poważnego?

— Obawiam się, że tak.

— Czy mógłbym spytać...? — wykonał delikatny gest.

— Ciągle jeszcze nie wiadomo.

— Proszę uważać na przeciągi — poradził jej z powagą.

Chris milczała.

— Przeciągi zimą, kiedy dom jest nagrzany, są wylęgarnią bakterii. Moja matka zawsze to powtarzała. Być może chodzi o wiejski przesąd — wzruszył ramionami — ale dla mnie przesądy są jak wyszukane dania we francuskiej restauracji; ważny jest kamuflaż, bo inaczej nie dałoby się tego połknąć — wyznał z przejęciem.

Chris odprężyła się. Kinderman znowu stał się nieszkodliwy.

— Czy jej pokój jest tam? — zapytał wskazując kciukiem na sufit. — Ten z dużym oknem wychodzącym na schody? Chris potwierdziła.

— Niech pani dobrze zamyka okno i na pewno jej się polepszy.

— Okno w pokoju córki zawsze jest zamknięte i nawet zaryglowane —

powiedziała Chris.

Detektyw szukał czegoś w kieszeni marynarki.

— Polepszy się jej — powtórzył sentencjonalnie. — Proszę tylko pamiętać, odrobina ostrożności...

Chris zabębniła palcami o blat stołu

— Jest pani zajęta. Tak, już kończymy. Jeszcze tylko zanotuję coś do protokołu. Rozumie pani, formalność i już będzie po wszystkim.

Z kieszeni wyciągnął pomięty program przedstawienia „Cyrano de Bergerac". Chwilę grzebał w kieszeniach płaszcza, by znaleźć pogryziony kikut żółtawego ołówka nr 2, którego końcówka wyglądała na ostrzoną nożyczkami. Przycisnął program do stołu i wygładził zagięcia.

— Najpierw nazwiska — sapnął. — Spencer pisana przez c?

— Tak, przez c.

— C — powtórzył notując nazwisko na marginesie programu.

— A teraz służba; John i Willie...?

— Karl i Willie Engstrom.

— Karl. Oczywiście. Karl Engstrom — skrobał coś nieczytelnym pismem. — A teraz czas — powiedział obracając program w poszukiwaniu wolnego miejsca. Czas. A, nie, - nie, przepraszam. Służba. Powiedziała pani, że wrócili? ...

— O tym jeszcze nie mówiłam. Karl, o której wróciliście do domu? — zwróciła się do służącego. Karl odwrócił się, jego twarz wyrażała obojętność.

— Dokładnie o dwudziestej pierwszej trzydzieści, proszę pani.

— A, tak, istotnie. Przecież zapomniałeś klucza. Przypominam sobie, że popatrzyłam na zegar, kiedy zadzwoniłeś do drzwi.

— Czy film był interesujący? — zapytał detektyw Karla. - Nigdy nie czytam recenzji — wyjaśnił Chris biorąc głęboki oddech. — Wolę poznać opinię publiczności.

— Paul Scofield w „Królu Learze" — poinformował go Karl.

— Widziałem. Wspaniały film. Cudowny.

— Tak, w kinie „Crest" — ciągnął Karl. — Przedstawienie o osiemnastej. Zaraz po nim wsiadłem do autobusu na przystanku przed wyjściem z kina.

— Ależ, proszę, to nie jest konieczne — zaprotestował detektyw machając ręką. — Naprawdę, bardzo proszę.

— Mnie to nie robi różnicy.

— No, jeśli pan się upiera.

— Wysiadłem na rogu Wisconsin Avenue i M Street. Była może dwudziesta pierwsza dwadzieścia. Potem poszedłem prosto do domu.

— Nie musiał pan tego wszystkiego mówić. Ale dziękuję. Bardzo wyczerpujące. Czy podobał się panu film?

— Był wspaniały.

— Ja też tak uważam. Wyjątkowy. No cóż, a teraz... — zwrócił się do Chris spoglądając na swoje zapiski. — Zająłem pani czas. Taka moja praca. Jeszcze chwilkę i koniec. Taka tragedia, co za talent! Człowiek, który naprawdę znał się na ludziach. Jestem przekonany, że potrafił z nimi współpracować. I to ze wszystkimi, od których zależy kształt filmu: kamerzyści, obsługa dźwięku, kompozytorzy i wielu innych...

Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale sądzę, że w dzisiejszych czasach reżyser musi mieć naprawdę silną rękę. Czy się nie mylę?

— O, tak! Burke miał charakter — westchnęła Chris. Detektyw złożył program.

— Tak bywa z wielkimi ludźmi, z ludźmi jego wymiaru — ponownie coś zapisał - jednak najważniejsi są ci zwyczajni, ci od których zależą szczegóły. Gdyby nie detale, nie byłoby wielkich efektów. Czy nie uważa pani, że tak właśnie jest?

Chris przyglądała się swoim paznokciom

— Burke dawał swobodę, nigdy nikogo nie poniżał — uśmiechnęła się kwaśno — może tylko wtedy, gdy pił.

— No, to skończone — powiedział Kinderman. — Aha, jeszcze chwileczkę. A pani Engstrom; czy wyszli i wrócili razem? — wskazał na Karla.

— Nie, Willie poszła na film z Beatlesami — powiedziała Chris w momencie, gdy Karl właśnie się odwracał. — Przyszła parę minut po mnie.

— Och, właściwie po co pytałem, to przecież nie ma znaczenia — powiedział detektyw chowając program do kieszeni marynarki. — W takim razie to jest wszystko. Ale kiedy wrócę do biura, na pewno przypomnę sobie, o co powinienem był zapytać. Zawsze tak jest. Najwyżej zadzwonię do pani — sapnął podnosząc się z miejsca.

— Ale ja zamierzam wyjechać z miasta na kilka tygodni — powiedziała Chris.

— To może poczekać — zapewnił ją — naprawdę. Patrzył na rzeźbę uśmiechając się sympatycznie. — Dziwne, bardzo dziwne — powiedział. Pochylił się i potarł kciukiem dziób ptaka.

Chris także się pochyliła, by podnieść z podłogi nitkę.

— Czy znalazła pani dobrego lekarza? — spytał detektyw.

— Oczywiście myślę o pani córce.

Odstawił rzeźbę na miejsce. Chris słuchała go, z roztargnieniem okręcając nitkę wokół palca.

— Mam ich chyba nawet za dużo — mruknęła pod nosem.

— W każdym razie zabieram ją do kliniki, która śledzi równie dobrze jak pan, ale tylko rozwój wirusów.

— Miejmy nadzieję, że robią to lepiej ode mnie. Czy ta klinika jest za miastem?

— Tak.

— Jest reczywiście dobra?

— Zobaczymy.

— Niech pani trzyma córkę z daleka od przeciągów. Dotarli do drzwi

wyjściowych.

— Właściwie powinienem powiedzieć, że to była przyjemność, ale biorąc pod uwagę okoliczności... — skinął głową.

— Bardzo mi przykro, naprawdę. Okropnie mi przykro. Chris skrzyżowała ręce na piersiach i opuściła oczy. Lekko skinęła głową.

Kinderman otworzył drzwi i stanął na progu. Wkładając kapelusz odwrócił się do Chris. — Życzę pani córeczce powrotu do zdrowia.

— Dziękuję — uśmiechnęła się lekko. - Niech się pan tak nie przejmuje całym światem.

Zwiesił ze smutkiem głowę i ruszył przed siebie kołysząc się w biodrach. Chris widziała, jak podszedł do policyjnego wozu zaparkowanego przed hydrantem. Przytrzymał ręką kapelusz broniąc się przed nagłym porywem południowego wiatru. Poły płaszcza Kindermana zafurkotały w powietrzu. Chris zamknęła drzwi.

Gdy wsiadł do auta odwrócił się i jeszcze raz popatrzył na dom. Wydawało mu się, że dostrzegł jakiś ruch w oknie Regan. Za szybą mignęła czyjaś lekka postać i natychmiast zniknęła. Nie był pewien: widział kątem oka tylko jej zarys. Spostrzegł, że okiennice są otwarte. Dziwne. Poczekał chwilę. Okno było puste. Nieco zdezorientowany otworzył skrytkę pod przednią szybą i wyjął brązową kopertę oraz scyzoryk. Otworzył najmniejsze ostrze i trzymając kciuk nad kopertą ostrożnie, niczym chirurg, wydrapał spod paznokcia okruch farby z rzeźby Regan. Gdy skończył tę czynność, zakleił kopertę i dał znak siedzącemu za kierownicą sierżantowi. Wóz ruszył.

Wjeżdżali w Prospect Street. Kinderman schował kopertę do kieszeni.

— Nie przejmuj się — powiedział do kierowcy mając na myśli powstający przed nimi korek. — To praca, nie przyjemność. — Przetarł ręką zmęczone oczy. — Och, co za życie — westchnął — co za życie!

Nieco później, gdy doktor Klein podawał Regan następne pięćdziesiąt miligramów środka uspokajającego, by mieć pewność, że będzie spała podczas

podróży do Dayton, porucznik Kinderman siedział w swoim biurze bijąc się z myślami. Opierał silnie dłonie na blacie biurka. Starał się poskładać w logiczną całość fakty i ułamki informacji. W wąskiej strudze światła starej lampy leżały porozrzucane raporty. Nie zapalał centralnego oświetlenia, wierzył, że w przyciemnionym pokoju będzie mógł się łatwiej skoncentrować.

Każdy oddech przychodził mu z trudem. Błądził pustym wzrokiem po pogrążonych w mroku przedmiotach. W końcu westchnął i zamknął oczy. „Spręż się!" — wydał sobie rozkaz, jak zwykle, gdy miał do czynienia z trudną sprawą. Nie ma zagadek nie do rozwiązania.

Kiedy otworzył oczy, ponownie przeczytał protokół sekcji zwłok Denningsa:

„...przerwanie rdzenia kręgowego ze złamaniem kości czaszki i kręgów szyjnych, liczne obrażenia, rany miażdżone oraz otarcia skóry, wylewy podskórne, uszkodzenie mięśni szyi: szerokiego płatowatego, czworobocznego, mostkowego i innych pomniejszych, z uszkodzeniem kręgosłupa oraz kręgów i wiązadeł szyi..."

Patrzył przez okno na ciemne miasto. Tylko wieża Kapitolu świeciła jasno; Kongres pracował do późna. Przypomniał sobie swoją rozmowę z anatomopatologiem, tuż przed północą w dniu śmierci Denningsa.

„Czy to mogło się stać podczas upadku?"

„Nie, raczej mało prawdopodobne. Mięśnie mostkowy i czworoboczny stanowiłyby osłonę. No i jest jeszcze sporo stawów i wiązadeł".

„Mówiąc po prostu, czy to w ogóle możliwe?"

„Oczywiście, był pijany i mięśnie miał rozluźnione. Być może, jeśli siła pierwszego uderzenia była odpowiednio mocna i..."

„Zatem musiałby spaść z wysokości około dziesięciu metrów?"

„Tak, i natychmiast musiałby w coś uderzyć głową. Wtedy, być może — powiedziałem tylko być może — coś takiego byłoby możliwe".

„Czy człowiek mógłby to uczynić?"

„Tak, ale musiałby to być niesłychanie silny osobnik".

Kinderman przejrzał raz jeszcze zeznania Karla Engstroma. Pora zakończenia przedstawienia zgadzała się z rozkładem jazdy autobusów linii D.C., co więcej, kierowca autobusu, do którego Karl, jak twierdził, wsiadł przed teatrem, zakończył służbę na rogu Wisconsin Avenue i M Street. Tam właśnie Karl, według jego relacji, wysiadł o dwudziestej pierwszej dwadzieścia. Schodzący ze zmiany kierowca zanotował czas zdania służby: dokładnie dwudziesta pierwsza osiemnaście.

Na biurku Kindermana leżał wszak wyciąg z akt sprawy przeciwko Engstromowi z 27 sierpnia 1963 roku stwierdzający, że ukradł on w ciągu kilku miesięcy pracy u lekarza w Beverly Hills, gdzie był zatrudniony wraz z Willie, znaczną ilość narkotyków.

„Urodzony 20 kwietnia 1921 roku w Zurichu. Ożenił się z Wilie Braun 27 września 1941 roku. Córka Elvira, urodzona w Nowym Jorku 11 stycznia 1943 roku, obecny adres nieznany. Oskarżony..."

Dalszy ciąg był dla detektywa zagadką: Lekarz, którego zeznania stanowiły podstawę oskarżenia, nagle wycofał zarzuty.

Dlaczego to zrobił?

Chris MacNeil zatrudniła Engstromów w dwa miesiące później, co oznaczało, że lekarz dał im dobre referencje.

Dlaczego to zrobił?

Nie ulegało wątpliwości: Engstrom kradł narkotyki, ale badania przeprowadzone podczas śledztwa wykazały, iż nie był uzależniony i nigdy ich nie brał.

Dlaczego?

Zamknąwszy oczy detektyw wyrecytował fragment „Jabberwocky'ego" Lewisa Carrolla: „Błyszniało — szlizgich hopuch-świr". Kolejny z jego własnych sposobów, aby rozjaśnić umysł.

Kiedy skończył, otworzył oczy i patrzył na Kapitol, usiłując przez chwilę o

niczym nie myśleć. Ale jak zwykle okazało się to niemożliwe. Westchnął i przeniósł wzrok na raport dotyczący profanacji w Kościele Świętej Trójcy sporządzony prze policyjnego psychologa: *...statua... fallus... ludzkie ekskrementy... Damien Karras...* Podkreślił te słowa czerwonym flamastrem. Po chwili sięgnął po opasły skrypt otwierając go na stronie zaznaczonej zakładką:

„Czarna Msza — forma kultu diabła, rytuał zwykle składający się z (1) egzorty (kazania) nawołującej do czynnego kultu zła, (2) spółkowania z demonem (rzekomo bardzo bolesnego; penis demona zwykle opisywany jako lodowato zimny) i (3) rozmaitych profanacji z reguły o naturze seksualnej: przykładowo można wymienić opłatek o specjalnych wymiarach (sporządzony przy użyciu takich składników jak: mąka, odchody, krew menstruacyjna) używany jako sztuczna vagina. W innych przypadkach figura wyobrażająca Chrystusa była wprowadzana do pochwy wybranej kobiety, z którą potem celebrujący Czarną Mszę odbywał stosunek sodomistyczny.

Rytualną rolę odgrywały także naturalnej wielkości figury Chrystusa i Matki Boskiej. Na przykład do statuy Marii ucharakteryzowanej na podobieństwo ladacznicy, doczepiano piersi, które wyznawcy ssali, a także vaginę. Figury Chrystusa wyposażano w fallusa. Czasami przywiązywano do krzyża żywego człowieka i zmuszano go do bezecnych praktyk. Jego nasienie było zbierane do kielicha służącego potem do bluźnierczych konsekracji. Czarne Msze celebrowano przy ołtarzu pokrytym ekstrementami. To..."

Kinderman przerzucił kilka kartek poszukując wcześniej zakreślonego fragmentu opisującego morderstwa rytualne. Czytał powoli, sunąc palcem wskazującym za słowami, a kiedy skończył, skrzywił się z dezaprobatą. Nieobecnym wzrokiem spojrzał na lampę. Potem zgasił ją. Wyszedł z biura i pojechał do kostnicy.

Młody asystent chrupiący ze smakiem kanapkę z szynką i żółtym serem strzepnął okruszki chleba z rozłożonej na stole krzyżówki.

— Dennings — powiedział detektyw chrapliwym szeptem.

Asystent skinął głową uzupełniając w krzyżówce „pięć poziomo". Potem nie odkładając kanapki podniósł się i ruszył w dół schodami. Kinderman szedł za nim trzymając kapelusz w ręce. W powietrzu unosił się słaby zapach kminku i musztardy. Pojawiły się rzędy szczelnych lodówek, w których sen bez marzeń śniły niewidzące już oczy.

Zatrzymali się przy pojemniku oznaczonym numerem trzydzieści dwa. Nie zmieniając obojętnego wyrazy twarzy asystent otworzył małe drzwiczki w ścianie. Ugryzł kanapkę i kilka pokrytych majonezem okruchów upadło na prześcieradło.

Przez chwilę Kinderman stał w bezruchu. Potem powoli i delikatnie odwinął prześcieradło, by ujrzeć to, co widział już wcześniej i czego wciąż nie mógł zrozumieć.

Głowa Burke'a Denningsa spoczywała twarzą w dół, przekręcona o sto osiemdziesiąt stopni.

Rozdział V

Ubrany tylko w zielone szorty i bawełnianą koszulkę, Damien Karras biegł po zasypanych igliwiem ścieżkach dolinki okalającej budynki uniwersytetu. Był ciepły, słoneczny dzień. Na koszulce Karrasa wystąpiły plamy potu. Przed nim migotała pomiędzy drzewami biała kopuła obserwatorium astronomicznego, w tyle zostały zabudowania wydziału medycznego, położone na stoku wzgórza.

Odkąd został uwolniony od dotychczasowych obowiązków, przychodził tutaj każdego dnia i forsownym biegiem pokonywał całe kilometry w nadziei, że wysiłek przyniesie mu pokrzepiający sen. Prawie uzyskał to, co zamierzał; niemal nie czuł już przejmującego smutku, który przepalał jego serce niczym tatuaż. Wspomnienia odchodziły w przeszłość. Dwadzieścia okrążeń. Odchodziły w przeszłość. Jeszcze! Jeszcze dwa! Odchodziły.

Mocne, umięśnione nogi pokonywały przestrzeń zręcznym kocim krokiem, zmęczenie dawało znać o sobie krótkimi, kłującymi skurczami. Kiedy zamykał okrążenie, zauważył, że ktoś siedzi na ławce, na której pozostawił sweter, ręcznik i spodnie. Był to mężczyzna w średnim wieku, w obszernym płaszczu uzupełnionym pomiętym, bezkształtnym kapeluszem. Wydawało się, że obserwuje księdza. Czy rzeczywiście? Tak, odwrócił głowę, kiedy Karras go mijał.

Przyspieszył kończąc ostatnie okrążenie potężnymi susami. Potem zwolnił, przeszedł w trucht. Nie patrzył na ławkę, gdy

mijał ją z dłońmi lekko przyciśniętymi do bioder. Miał wrażenie, że silne mięśnie jego klatki piersiowej za chwilę rozerwą koszulkę rozciągając w rytm oddechu wyblakły od wielokrotnego prania nadruk: „Filozofowie". Mężczyzna w prochowcu wstał i zbliżył się do księdza. Był to Kinderman.

— Czy ojciec Karras? — zawołał.

Ksiądz odwrócił się i lekko skinął głową mrużąc oczy przed słonecznym blaskiem. Odczekał, aż Kinderman się z nim zrównał i ponownie ruszył wolnym

biegiem.

— Nie przeszkadza to panu? Nie mogę zatrzymać się, złapałby mnie skurcz.

— Ach, tak, oczywiście — odpowiedział detektyw bez entuzjazmu i wepchnął ręce do kieszeni płaszcza. Droga od parkingu zmęczyła go.

— Czy spotkaliśmy się już kiedyś? — spytał jezuita.

— Nie, ojcze, ale ksiądz w seminarium powiedział mi, że wygląda pan jak bokser. Zapomniałem, jak się nazywał. — Wyciągnął portfel — Mam słabą pamięć do nazwisk.

— A pańskie nazwisko?

— William Kinderman, ojcze. — Zamachał legitymacją.

— Oddział zabójstw.

— Naprawdę? — Karras przyjrzał się legitymacji z chłopięcym zainteresowaniem. Jego zaczerwieniona i spocona twarz wyrażała pewną siebie niewinność, gdy odwrócił się do ledwo za nim nadążającego detektywa. — A o co chodzi?

— Hej, ojcze, ojcze! — powiedział Kinderman przyglądając się uważnie grubym, nieregularnym rysom księdza. — Naprawdę wygląda ojciec jak bokser. Przepraszam, ale z tą blizną pod okiem przypomina mi ojciec Marlona Brando w „Powodzi"; doprawdy, cały Brando. Zrobili mu w tym filmie bliznę, że Wyglądał tak, jakby miał jedno oko lekko przymknięte.

— Zademonstrował naciągając kącik powieki. — Robił wrażenie wciąż zamyślonego albo smutnego, tak jak pan. Jest pan podobny do Brando, mówili już to panu, ojcze?

— Nie.

— Boksował się ojciec kiedyś?

— Troszkę.

— Pochodzi ojciec z Waszyngtonu?

— Nie, z Nowego Jorku.

— Klub Złota Rękawica, zgadłem?

— Zgadł pan — uśmiechnął się Karras — co mogę dla pana zrobić?

— Proszę, niech ojciec trochę zwolni, mam astmę — detektyw wykonał nieokreślony ruch w okolicy swojego gardła.

— O, przepraszam — Karras zwolnił.

— Nic nie szkodzi. Czy ojciec pali?

— Tak.

— Nie powinien ojciec.

— Proszę mi jednak powiedzieć, o co chodzi?

— Oczywiście. Ciągle schodzę z tematu. Nie był ojciec przypadkiem zajęty? Być może przeszkadzam?

— Przeszkadza pan, w czym? — spytał rozbawiony Karras.

— Na przykład w cichej modlitwie.

— Szybko pan awansuje — Karras uśmiechnął się tajemniczo.

— Przepraszam, nie zrozumiałem.

Karras potrząsnął głową, ale uśmiech nie znikał z jego twarzy.

— Wątpię, żeby kiedykolwiek pan naprawdę czegoś nie zrozumiał — zauważył. Rzucił Kindermanowi lekko kpiące spojrzenie.

Detektyw przystanął i usiłował nadać swojej twarzy oburzony wyraz, ale widząc rozbawione oczy jezuity spuścił głowę i zachichotał. — Ach, tak, oczywiście... oczywiście... Psychiatra. Kogo chciałem nabrać? — Wzruszył ramionami. — Proszę to zrozumieć, to już mój nawyk, ojcze. Przepraszam. *Schmaltz,* to metoda Kindermana: czysta blaga. Cóż, już nie będę kluczyć i powiem od razu, o co chodzi.

— Zapewne o profanacje — powiedział Karras.

— No to niepotrzebnie się wysilałem.

— Przykro mi.

— Nie szkodzi. Zasłużyłem na to. Tak, chodzi o te rzeczy w kościele — przyznał. — Zgadza się. Ale może coś jeszcze poza tym. Coś poważniejszego.

— Morderstwo?

— Tak, znowu mnie ojciec zastrzelił. Podoba mi się to.

— Cóż, oddział zabójstw — jezuita wzruszył ramionami.

— Nic nie szkodzi, Marlonie Brando, nic nie szkodzi. A tak przy okazji, czy ktoś już ojcu mówił, że jak na księdza, to za duży z pana spryciarz?

— *Mea culpa* — mruknął Karras. I choć detektyw roześmiał się, Karras żałował, że być może uraził jego dumę. Nie zamierzał tego robić. Był zadowolony, kiedy mógł naprawić swój błąd pytając szczerze: — Ale nie bardzo rozumiem, jaki to ma związek ze mną?

— Proszę posłuchać, ojcze, czy może to ojciec zatrzymać dla siebie? To poufne, coś jakby tajemnica spowiedzi.

— Oczywiście — Karras spojrzał mu prosto w oczy. — Więc o co chodzi?

— Czy słyszał ojciec o tym reżyserze, który kręcił tutaj film? O Denningsie?

— Widziałem go.

— Aha, widział go ojciec. Czy wie ojciec też, w jaki sposób zginął?

— No, gazety... — Karras machnął ręką.

— Więc jest to tylko część całej sprawy.

— Słucham?

— Tylko część. Proszę mi teraz powiedzeć, co ojciec wie na temat kultu diabła?

— Co takiego?

— Proszę wysłuchać mnie spokojnie. Zmierzam do czegoś konkretnego. Więc czy wie ojciec coś o tym?

— Trochę.

— Ale nie od strony myśliwych, tylko czarownic.

— Kiedyś napisałem na ten temat artykuł - powiedział Karras — ze stanowiska psychiatry.

— Naprawdę? Wspaniale, świetnie! To bardzo upraszcza sprawę. Może

mi ojciec wiele pomóc. Więcej niż myślałem.

- Proszę posłuchać, ojcze... — Przysunął się bliżej jezuity, wziął go pod ramię i pociągnął w stronę ławki. — Jeśli o mnie chodzi, jestem ignorantem, szczerze mówiąc, nie mam zbyt starannego wykształcenia. Formalnie. Ale dużo czytam. Wiem, co mówią o samoukach, że to ludzie ograniczeni, ale ja nie wstydzę się. Jestem... — Nagle urwał i pokiwał głową. — Znowu zagaduję. Przepraszam. *Schmaltz,* nie mogę się tego pozbyć. Proszę mi wybaczyć, ojciec jest na pewno zajęty.

— Tak, modlę się.

Głos jezuity brzmiał oschle. Kinderman zatrzymał się i spojrzał na niego.

— Mówi ojciec poważnie?

— Nie.

Detektyw patrzył przed siebie.

— W takim razie przechodzę do rzeczy. Profanacje. Czy kojarzą się ojcu z kultem diabła?

— Być może. Przypominają niektóre rytuały z czarnej mszy.

— No właśnie. A teraz Dennings; czy czytał ojciec, jak on zginął?

— Zdaje się, że spadł ze schodów.

— Powiem więc ojcu, ale proszę to zatrzymać dla siebie.

— To zrozumiałe.

Detektywowi ugięły się kolana, kiedy zrozumiał, że Karras nie ma zamiaru zatrzymać się przy ławce.

— Czy moglibyśmy...? — spytał żałosnym głosem.

— Co takiego?

— Czy moglibyśmy usiąść?

Zawrócili.

— A czy nie będzie miał ojciec skurczów?

— Nie, teraz już jest w porządku.

— Na pewno?

— Tak.

— No, jeśli ojciec nalega...

— Więc mówił pan, że...?

— Chwileczkę, proszę, momencik.

Kinderman usadowił wygodnie swoje obolałe ciało na ławce i aż stękał z zadowolenia.

— O, teraz już lepiej! — westchnął, gdy jezuita sięgnął po ręcznik, by wytrzeć spoconą twarz. — Średni wiek, co za życie!

— Zatem Burke Dennings?...

— Dennings, Dennings... — powtarzał detektyw przyglądając się czubkom swoich butów. Potem przeniósł wzrok na Karrasa. Ksiądz wycierał teraz plecy i kark. — Burke Dennings mój ojcze, został znaleziony u podnóża schodów o godzinie dziewiętnastej pięćdziesiąt z głową wykręconą o sto osiemdziesiąt stopni i twarzą obróconą do tyłu.

Z boiska dobiegały przytłumione odległością okrzyki drużyny baseballowej. Karras odłożył ręcznik i wytrzymał twardy wzrok porucznika.

— I nie nastąpiło to wskutek wypadku? — spytał w końcu.

— To możliwe — rzekł Kinderman.

— Ale mało prawdopodobne — domyślił się Karras.

— Czy nie kojarzy się to ojcu w jakikolwiek sposób z kultem szatana?

Jezuita zamyślił się. Po chwili powiedział:

— Zdaje się, że demon łamał w ten sposób karki czarownicom. Ale w końcu to przecież zabobon.

— Zabobon?

— O, w większej części. Choć przypuszczam, że ludzie rzeczywiście ginęli w ten sposób. Na przykład uczestnicy sabatów, którzy zdradzili lub ujawnili sekrety. To jednak tylko hipotezy. Wiem jednak, iż po tym rozpoznawano zabitych przez wysłannika szatana.

Kinderman skinął głową.

— Właśnie, dokładnie tak. Przypominam sobie pewien przypadek z Londynu. Całkiem niedawno, cztery czy pięć lat temu. Czytałem w gazetach.

— Ja też o tym słyszałem, ale zdaje się, że w końcu stwierdzono mistyfikację, czy nie tak?

— Tak. Ale w naszym przypadku możemy doszukiwać się jakiegoś związku z tym, co dzieje się w kościele; myślę o tych profanacjach. Może to ktoś szalony, ojcze, ktoś, kto ma jakiś uraz do kościoła? Jakiś podświadomy bunt, może...

— Szalony ksiądz — mruknął Karras — o to chodzi?

— Proszę posłuchać, ojcze. To ojciec jest psychiatrą. Ojciec może mi to wyjaśnić.

— Bez wątpienia profanacje mają podłoże patologiczne — powiedział Karras wciągając sweter. — I jeśli Dennings został zamordowany, sprawca też pewnie był zboczony.

— I zapewne posiadał wiedzę o kulcie szatana?

— Możliwe.

— Tak — potwierdził detektyw. — Więc kto taki może mieszkać w pobliżu i mieć wstęp do kościoła także w nocy?

— Chory ksiądz — powiedział Karras sięgając po wypłowiałe od słońca, zielone spodnie.

— Ojcze, wiem, że to trudne, ale proszę! Rozumiem to. Ale dla tutejszych księży ojciec jest psychiatrą, zatem...

— Nie, już zmieniłem zajęcie.

— Naprawdę? W środku roku?

— Dostałem takie polecenie — Karras naciągał spodnie.

— Ale powinien ojciec znać kogoś, kto w tym czasie chorował. Rozumie ojciec, co mam na myśli? Przecież wiedziałby ojciec o takim człowieku?

— Niekoniecznie, poruczniku. Jeśli, to tylko przez przypadek. Nie jestem przecież psychoanalitykiem. Zajmowałem się jedynie poradami i naprawdę nie

znam nikogo, kto by pasował do podobnego opisu.

— No tak, etyka lekarska. Nawet gdyby ojciec wiedział, nie powiedziałby mi.

— Prawdopodobnie nie.

— A przy okazji, wspominam o tym zupełnie mimochodem, tego rodzaju etyka jest obecnie uważana za niezgodną z prawem. Nie chciałbym być trywialny, ale ostatnio pewien psychiatra w słonecznej Kalifornii ni mniej, ni więcej został osądzony i skazany za to, że nie udzielił policji informacji o pacjencie.

— Czy to groźba?

— Niech ojciec nie mówi jak paranoik. Przecież tylko o tym wspomniałem.

— Zawsze mógłbym powiedzieć, że chodzi o tajemnicę spowiedzi — powiedział jezuita z kwaśnym uśmiechem. Wstał i włożył koszulę. — Rozmawiamy przecież szczerze — dodał.

Detektyw spojrzał na niego ponuro.

— Chce ojciec być naprawdę aż tak szczery? — unikał jego wzroku. — Tylko jak bardzo? Bo zdaje się, że jest ojciec Żydem. Poznałem to od razu.

Jezuita zachichotał.

— Tak, niech ojciec się śmieje — powiedział Kinderman, ale po chwili sam się uśmiechnął. Wyglądał na wielce zadowolonego z siebie. Przymknął lekko oczy.

— To mi coś przypomina; egzamin wstępny do szkoły policyjnej, ojcze. Było tam między innymi takie pytanie: Kto to jest Goya? I wie pan, co jeden idiota odpowiedział? „Goya to nawrócona Żydówka i trzeba z takimi zrobić porządek". Naprawdę! — podniósł rękę jakby składał przysięgę.

Karras roześmiał się.

— Chodźmy. Odprowadzę pana. Czy zostawił pan wóz na podjeździe?

Detektyw pomyślał z niechęcią o konieczności ruszenia się z miejsca.

— Więc skończyliśmy?

Ksiądz położył stopę na ławce i przechylił się opierając rękę na kolanie.

— Proszę zrozumieć, naprawdę niczego nie ukrywam. Gdybym znał takiego księdza, jakiego pan szuka, to przynajmniej powiedziałbym panu, że taki człowiek istnieje, bez podawania jego nazwiska. Poza tym zameldowałbym o tym ojcu prowincjałowi. Ale nie znam nikogo, kto choćby w minimalnym stopniu odpowiadał pańskim oczekiwaniom.

— No cóż — westchnął detektyw — szczerze mówiąc, wcale się nie upieram, że sprawcą musi być ksiądz. — Pokazał głową w stronę parkingu. — O, tam stoję.

Powstali z ławki.

— Ale gdybym powiedział ojcu, co naprawdę podejrzewałem, wyszedłbym na szaleńca. Sam nie wiem, nie wiem — potrząsnął głową. — Wszystkie te sekty, te kulty, gdzie zabija sie ludzi bez powodu. Mąci mi się od tego w głowie. Żeby zrozumieć dzisiejsze czasy, trzeba być trochę szalonym.

Karras zgodził się z nim.

— Co ojciec ma wypisane na koszulce? — spytał detektyw wskazując na pierś jezuity.

— Gdzie?

— Tu, na koszulce. Ten napis: „Filozofowie"?

— A, po prostu miałem parę wykładów w seminarium w Woodstock i grałem tam w drużynie baseballowej pierwszego roku. Nazywaliśmy się właśnie „Filozofowie".

— A jak nazywała się drużyna drugiego roku?

— „Teologowie".

Kinderman uśmiechnął się. — „Teologowie" - „Filozofowie", trzy do dwóch — zażartował.

— Dwa do trzech.

— Tak, pomyliłem się.

— Pomylił się pan.

— Dziwna sprawa — mówił detektyw pogrążony w zadumie. — Proszę posłuchać, ojcze... — zawiesił głos. — Doktorze... Czy ja zwariowałem, czy też jest możliwe, że odprawia się tu gdzieś w okolicy sabat czarownic? W dzisiejszych czasach?

— Co też pan mówi?!

— Wtedy one by mogły...

— Nie rozumiem.

— Teraz ja się zabawię w lekarza — oznajmił detektyw żywo gestykulując. — Nie powiedział ojciec „nie" i znowu wykręcił się sianem. To dobra obrona, ojcze, ale tylko obrona. Nie chciałby ojciec wyjść na naiwniaka. Rozumiem. Ksiądz wierzący w zabobony w dyskusji z racjonalistą Kindermanem, mistrzem skojarzeń — postukał się palcem w czoło. — Bierze mnie ojciec za skończonego rozumowca, mam rację?

Jezuita spojrzał na niego podejrzliwie, ale z respektem.

— No tak, jest pan bardzo przebiegły.

— Zatem rozumiemy się. No, to pytam ojca raz jeszcze: Czy możliwe, że w Waszyngtonie odbywają się sabaty czarownic?

— Tego naprawdę nie wiem — powiedział Karras krzyżując ręce na piersiach. — Ale fakt, że do dzisiaj w niektórych okolicach Europy organizowane są czarne msze.

— W dzisiejszych czasach?

— Tak, teraz.

— Tak jak dawniej, ojcze? Przypadkowo czytałem o tych rzeczach; seks, posągi, profanacje i cholera wie, co jeszcze. Nie chciałbym być niesmaczny, ale czy oni serio wyprawiali takie rzeczy?

— Nie wiem.

— A jak ojciec myśli?

— No, dobrze. Uważam, że to prawda. Przynajmniej tak podejrzewam.

Ale sądzę, że wszystko ma podłoże patologiczne. Mam na myśli czarne msze. Bo każdy, kto robi takie rzeczy, musi wykazywać jakieś zaburzenia. W dodatku bardzo specyficzne. Istnieje nawet dla nich nazwa kliniczna: satanizm. Określa się tym terminem zaburzenia związane z niemożnością osiągnięcia satysfakcji seksualnej, o ile nie dochodzi do ob-razoburstwa. I nie jest to wcale takie niezwykłe, nawet w dzisiejszych czasach. Czarna msza to tylko pretekst.

— Niech mi ojciec raz jeszcze wybaczy, ale te obrządki dotyczące postaci Jezusa i Maryi!

— Co takiego?

— Czy to prawda?

— Myślę, że może pana to zainteresuje jako policjanta — Karras mówił tonem wykładowcy. - Policja paryska zajmowała się swego czasu dwoma mnichami, którzy przybyli do zajazdu w Crepy, czy gdzieś w tamtej okolicy, i zażądali łóżka dla trzech osób. Tą trzecią była naturalnej wielkości figura Matki Boskiej, którą ze sobą przynieśli.

— To okropne — westchnął detektyw — okropne!

— Ale prawdziwe. I potwierdza to, że książka, którą pan czytał, jest oparta na faktach.

— No dobrze, seks, być może. To jeszcze mogę zrozumieć. Dajmy więc temu spokój. Lecz te morderstwa rytualne, ojcze, czy to też prawda? Proszę powiedzieć, czy używają krwi niemowląt? — Detektyw myślał o przeczytanym opisie potwornej praktyki, gdy samozwańczy kapłan w czasie czarnej mszy nacinał nadgarstek niemowlęcia tak, aby krew spływała do kielicha. Potem używano jej do konsekracji.

— To tak, jak te historie o Żydach. Że niby kradli dzieci chrześcijańskie i wypijali z nich krew. Za przeproszeniem, właśnie księża rozpuszczali takie bzdury.

— Jeśli tak, proszę mi wybaczyć.

— Rozgrzeszam ojca, rozgrzeszam.

Jakby cień smutku, refleks bolesnego wspomnienia przemknął przez twarz księdza. Karras przeniósł wzrok na ścieżkę.

— Niewiele wiem o morderstwach rytualnych — powiedział. — Ale pewna akuszerka w Szwajcarii przyznała się do zamordowania trzydziestu lub czterdziestu noworodków dla uczestników czarnych mszy. Może były to zeznania wydobyte podczas tortur. Kto wie? Ale opowiedziała naprawdę przekonującą historię. Mówiła, że trzymała ukrytą w rękawie długą cienką igłę. Kiedy odbierała dziecko, niepostrzeżenie wbijała ją w ciemiączko. Nie zostawiała żadnych śladów — powiedział spoglądając na Kindermana. — Wyglądało to tak, jakby dziecko urodziło się już martwe. Pewnie słyszał pan, jak bardzo katolicy w Europie byli uprzedzeni do akuszerek. Tak właśnie się zaczęło.

— Przerażające.

— Cóż, wtedy nie było domów dla obłąkanych, ale...

— Chwileczkę, przepraszam. Powiedział pan, że te historie wyznawali ludzie podczas tortur. W takim razie nie można ich uznać za wiarygodne. Najpierw składali podpis, a potem dopisywano zeznania. Wtedy nie było czegoś takiego jak *habeas corpus, czy,* jakby to powiedzieć, praw człowieka. Mam rację?

— Owszem, ale wiele zeznań składano dobrowolnie.

— Któż by się dobrowolnie przyznał do takich rzeczy?

— No właśnie ludzie, którzy cierpieli na zaburzenia umysłowe.

— Aha, kolejne wiarygodne źródło.

— Oczywiście ma pan rację, poruczniku. Przyjąłem rolę adwokata diabła. Ale jest jedna rzecz, o której zdajemy się zapominać, mianowicie to, że ludzie na tyle chorzy, by przyznać się do zbrodni, mogli być także na tyle chorzy, aby je popełnić. Weźmy na przykład opowieści o wilkołakach. To oczywiście śmieszne. Nikt nie może się zamienić w wilka, ale co wtedy, gdy człowiek jest tak obłąkany, że nie tylko wierzy, iż jest wilkołakiem, lecz również naśladuje

zachowanie wilka?

— Okropne, ale czy to teoria, czy fakty?

— Znany jest przypadek niejakiego Stumpfa, Williama lub Petera, nie pamiętam dokładnie. W każdym razie chodzi o Niemca żyjącego w szesnastym wieku, który uwierzył, że jest wilkołakiem. Jeśli się nie mylę, zamordował około dwadzieściorga czy trzydzieściorga dzieci.

— To znaczy przyznał się do tego?

- Tak, myślę, że zeznanie pokrywało się z prawdą.

— Jak to?

— Gdy go ujęto, właśnie zjadał mózgi swoich synowych.

Świeże kwietniowe powietrze przeszywały okrzyki zawodników i odgłosy uderzeń piłki. „Dalej, Mullins, bierzesz, dalej, podaj, nie daj się".

Ksiądz i detektyw zbliżyli się do pojazdu. Milczeli. Kiedy znaleźli się obok wozu policyjnego, Kinderman machinalnie sięgnął do klamki. Naraz zatrzymał się i raz jeszcze spojrzał wymownie na Karrasa.

— Więc w końcu kogo mam szukać, ojcze? - spytał.

— Szaleńca — odpowiedział miękko Damien Karras. — Może narkomana.

Detektyw zamyślił się, a potem przytaknął.

— Podwieźć ojca? — zapytał otwierając drzwi.

— Dziękuję, to tylko mały spacer.

— To niech ojciec pojedzie dla przyjemności — Kinderman wymachiwał rękami starając się nakłonić Karrasa do zajęcia miejsca w wozie. — Będzie mógł ojciec powiedzieć kolegom, że jechał autem policyjnym.

Jezuita uśmiechnął się i wybrał fotel z tyłu.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze — chrząknął detektyw, usiadł obok Karrasa i zamknął drzwi. — Żaden spacer nie jest krótki — dodał.

Karras wskazywał drogę. Jechali do nowoczesnego hotelu na Prospect Street, należącego do jezuitów. Ksiądz mieszkał w nim od niedawna. Uważał, że

gdyby został w swoim dawnym pokoju, nie uniknąłby wizyt ludzi poszukujących u niego pomocy.

— Lubi ojciec chodzić do kina, ojcze Karras?

— Bardzo.

— Widział ojciec „Leara"?

— Za drogi.

— Ja widziałem. Mam darmowe wejściówki.

— Gratuluję.

— Mam także wejściówki na wszystkie najlepsze filmy. Pani Kinderman jest wiecznie zmęczona i nigdy ze mną nie chodzi.

— To przykre.

— Żeby ojciec wiedział! Nie znoszę chodzić samemu do kina. Uwielbiam rozmawiać o filmach, dyskutować, krytykować — patrzył na przemian przez okno i na księdza.

Karras milczał. Patrzył na swoje wielkie, silne dłonie. Trzymał je między kolanami. Minęło kilka chwil. Kinderman spojrzał na niego z wahaniem.

— Nie poszedłby ojciec ze mną do kina? Wstęp wolny... Mam wejściówki — dodał szybko.

Ksiądz patrzył na niego uśmiechając się z lekka.

— Jak to Elwood P. Dowd mawiał w „Żniwiarzu"? Poruczniku, kiedy?

— Och, zadzwonię, zadzwonię na pewno — skwapliwie powiedział detektyw.

Dojechali na miejsce. Karras otworzył drzwi. Proszę zadzwonić. Naprawdę mi przykro, że niewiele panu pomogłem.

— Ależ skąd, bardzo mi ojciec pomógł - zaprotestował Kinderman wymachując ręką w powietrzu. — Był ojciec i tak bardzo miły jak na Żyda, który usiłuje się przebić!

— Jak na Greka, poruczniku — sprostował Karras. Odwrócił się, zamknął drzwi i pochylił się do okna dodając z ciepłym uśmiechem: — Czy kiedyś ktoś

panu mówił, że jest pan podobny do Paula Newmana?

— Wciąż to mówią. I proszę mi wierzyć, że w tym ciele kryje się Newman, który po prostu nie może dojść do głosu. Jest tam tłok. Mam w sobie także trochę Clarka Gable'a.

Karras pomachał mu na pożegnanie i ruszył przed siebie.

— Ojcze! Minutkę!

Karras odwrócił się. Detektyw mozolnie wygrzebywał się z samochodu.

— Och, zapomniałbym — sapnął podchodząc do księdza. — Wyleciało mi z głowy. Wie ojciec, myślę o tej karcie z powypisywanymi świństwami. O tej, którą znaleziono w kościele.

— Chodzi panu o kartę ołtarzową?

— Tak to się chyba nazywa. Czy ciągle jest u ojca?

-— Tak, mam ją w swoim pokoju. Sprawdzałem łacinę. Chce ją pan?

— Tak, to może coś wyjaśnić. Może.

— Sekundę, zaraz przyniosę.

Kinderman zaczekał przy samochodzie, Karras zaś poszedł do swojego pokoju na parterze. Po chwili wrócił i wręczył kartę detektywowi.

— Może są jakieś odciski palców — sapał Kinderman. — Ale, nie, przecież ojciec to trzymał. — Zdawało się, że teraz dopiero zdał sobie z tego sprawę. — No dobrze, lecz przedtem też ktoś ją miał. — Wyciągnął kartę z plastikowej okładki. — Ale! Już wiem! — popatrzył na Karrasa z niepokojem. — Czy wyjmował ją ojciec ze środka, Kirku Douglasie?

Karras uśmiechnął się smutno i skinął głową.

— No cóż, nie szkodzi, może znajdziemy coś poza odciskami ojca. A przy okazji, czy zbadał to ojciec?

— Tak.

— I jakie wnioski?

Karras uniósł ramiona.

— Nie wygląda na wybryk pierwszego lepszego szaleńca. Na początku

myślałem, że to może jakiś student. Ale wątpię. Ktokolwiek to zrobił, cierpi na poważną dolegliwość.

— Jak ojciec już wcześniej zauważył!

— I ta łacina... — Karras zamyślił się. — Choć nie jest bezbłędna, poruczniku, posiada bardzo indywidualny styl. Ten, kto to zrobił, potrafi myśleć w tym języku.

— Czy księża...?

— Och, znowu pan zaczyna.

— Proszę tylko odpowiedzieć na pytanie, ojcze od paranoi.

— No tak, w pewnym okresie nauki, tak. Przynajmniej jezuici i księża z paru innych zakonów. W seminarium niektóre wykłady z filozofii były prowadzone po łacinie.

— Po co?

— Dla lepszego precyzowania myśli. Podobnie prawo.

— Rozumiem.

Karras przybrał nagle poważny wyraz twarzy. — Wie pan co, poruczniku? Powiem panu, kto to naprawdę mógł zrobić. Detektyw przysunął się do niego zaintrygowany. — Kto?

— Dominikanie. Niech pan ich łapie! — Karras zaśmiał się, pomachał ręką na pożegnanie i odszedł.

— Okłamałem ojca! — zawołał za nim detektyw. — Jest ojciec podobny do Sala Mineo!

Kinderman widział jak ksiądz raz jeszcze pomachał mu ręką zanim wszedł do hotelu. Potem detektyw wsiadł do samochodu. Siedział bez ruchu oddychając chrapliwie i wbijając wzrok w podłogę.

—Wykręca się, wykręca się jak piskorz — mruczał pod nosem. Potem spojrzał na budynek hotelu. Odwrócił się i powiedział do kierowcy: — W porządku, wracamy na posterunek. I pospiesz się. Możesz łamać przepisy.

Nowy pokój Karrasa był umeblowany bardzo skromnie: wąskie łóżko,

wygodne krzesło, biurko i półki na książki wbudowane w ścianę. Na biurku stała fotografia jego matki z okresu młodości, a nad łóżkiem, niczym niemy strażnik, wisiał metalowy krucyfiks.

Ten wąski pokój był jego światem. Niewiele dbał o dobra materialne, przykładał tylko wagę do porządku.

Wziął prysznic, szybko ogolił się, a potem ubrał ponownie zielone spodnie i podkoszulek. Poszedł na obiad do refektarza i natknął się na rumianego Dyera, który siedział samotnie przy stole w rogu sali.

— Cześć, Damien — powiedział Dyer. Miał na sobie luźny, pognieciony strój sportowy.

Karras pochylił głowę odmawiając modlitwę. Potem usiadł odpowiadając na powitanie przyjaciela.

— Jak się masz, próżniaku? — spytał Dyer, kiedy Karras rozłożył na kolanach serwetkę.

— Kto jest próżniakiem? Ja pracuję.

— Jeden wykład tygodniowo.

— Liczy się jakość. Co jest na obiad?

— Nie czujesz?

— O cholera, czuję. Kiełbasa z kapustą.

— Liczy się ilość — odparł Dyer pogodnie. Karras sięgnął po aluminiowy dzbanek z mlekiem.

— Nie radziłbym — powiedział Dyer smarując masłem kromkę razowca. — Widzisz te bąbelki? Dodali sody.

— Mnie to dobrze robi — powiedział Karras, wziął szklankę i napełnił ją mlekiem.

— Już przeczytałem tę książkę — usłyszał nad sobą wesoły głos.

Karras podniósł wzrok i doznał rozczarowania. Dziwny skurcz w sercu. Rozpoznał młodego księdza, który przyszedł niedawno do niego po poradę, bowiem nie mógł znaleźć przyjaciela.

— I co o niej sądzisz? — spytał Karras. Odstawił dzbanek z mlekiem wymownym ruchem, jakby mu przeszkadzano w odprawianiu mszy.

Młody ksiądz rozgadał się. W pół godziny później Dyer wstał od stolika i rzucił ostatni żart, który znowu wypełnił refektarz śmiechem. Karras spojrzał na zegarek. — Może byś poszedł po marynarkę? — zapytał młodego księdza. — Pójdziemy obejrzeć zachbd słońca.

Wkrótce stali oparci o barierkę na szczycie schodów wiodących do M Street. Zmierzch dnia. Palące promienie zachodzącego słońca prześwietlały chmury na zachodnim nieboskłonie i igrały purpurowymi błyskami w ciemniejących wodach rzeki. Kiedyś w podobnej scenerii Karras odnalazł Boga. To było dawno temu. Lecz niczym porzucony kochanek przychodził wciąż na miejsce pierwszego spotkania.

— Co za widok! — powiedział młodszy z mężczyzn.

— Tak — odparł Karras. — Staram się przychodzić tutaj każdego wieczoru.

Zegar w miasteczku akademickim wybił godzinę dziewiętnastą.

O dziewiętnastej dwadzieścia porucznik Kinderman ślęczał pogrążony w myślach nad spektograficzną analizą wykazującą niezbicie, że farba z rzeźby Regan jest tą samą, której użyto do sprofanowania figury Matki Boskiej.

O dwudziestej czterdzieści siedem Karl Engstrom z nieprzeniknionym wyrazem twarzy wynurzył się z bramy obskurnej kamienicy w slumsie na północy miasta. Niebawem znalazł się na przystanku autobusowym. Czekał przez chwilę, sztywno wyprostowany. Potem niespodziewanie zapłakał opierając się o uliczną latarnię.

W tym czasie detektyw Kinderman siedział już w kinie.

Rozdział VI

W środę, jedenastego maja wróciły do domu. Regan ułożono w łóżku. Okiennice zaopatrzono w zamki, a z sypialni i łazienki dziewczynki usunięto lustra.

...Postępująca utrata świadomości. Nastąpiło już całkowite przerwanie kontaktu z otoczeniem podczas ataków. Jest to nowy objaw i wydaje mi się, że mamy do czynienia z klasyczną histerią. Wystąpiły już symptomy tego, co określamy jako zjawisko parapsychiczne.

Doktor Klein wyjaśnił Chris i Sharon zasady sztucznego odżywiania Regan podczas snu. Pokazał im, jak należy wprowadzać tubę neogastryczną. — Najpierw...

Chris zmuszała się, aby zapamiętać czynności wykonywane przez lekarza, a równocześnie nie widzieć twarzy córki; aby słuchać tego, co mówi Klein, aby zagłuszyć dźwięczące wciąż w jej uszach słowa, które padły w klinice. Jednak pamięć ich przenikała do jej umysłu równie łatwo, jak mgła przenika przez konary rosochatej wierzby.

— *Powiedziała pani, że jest ateistką. Nie wyznaje pani żadnej religii? Czy dziecku nie mówiono nic na ten temat?*

— *No, może coś o Bogu, ale bardzo ogólnie. Dlaczego pan pyta?*

— *Chodzi o to, że większość jej majaczeń podczas ataków jest w pewien sposób zorientowana religijnie, oczywiście wtedy, kiedy przestaje przeklinać. Czy domyśla się pani, skąd to może pochodzić?*

— *Niech mi pan poda jakiś przykład.*

— *Powiedzmy: Jezus, Maria, sześćdziesiąt dziewięć.*

Klein wprowadził tubę do żołądka Regan. — Najpierw musi się pani upewnić, czy płyn nie dostaje się do płuc — poinstruował Chris naciskając rurę. — Jeśli...

...symptomy tego rodzaju zaburzeń spotyka się niezmiernie rzadko i to

raczej w kulturach bardzo prymitywnych. Nazywamy to somnambuliczną formą opętania. Szczerze mówiąc, nie wiemy nic więcej prócz tego, że choroba zaczyna się od konfliktu wewnętrznego lub poczucia winy. Pacjent jest wówczas pewien, że jego ciało zostało opanowane przez obcą osobowość, popularnie mówiąc — ducha. W dawnych czasach, kiedy wiara w diabła była bardzo rozpowszechniona, najczęściej uważano, że osoby te są opętane przez demona. Teraz jednak częściej spotyka się opętanie przez ducha osoby zmarłej, kogoś, kogo pacjent ***znał lub*** *widział i może podświadomie naśladować jego głos, ruchy, a czasami nawet mimikę. Wtedy...*

Kiedy wielce zatroskany doktor Klein odszedł, Chris zadzwoniła do swojego menażera w Beverly Hills i powiedziała mu z rezygnacją, że nie będzie mogła reżyserować odcinka tryptyku. Potem zatelefonowała do pani Perrin. Nie było jej w domu. Odłożyła słuchawkę z narastającym poczuciem bezradności. Musi gdzieś być ktoś, kto jej pomoże...

... Przypadki opętania przez ducha osoby zmarłej są łatwiejsze do wyleczenia, ponieważ nie łączą się z napadami furii ***ani*** *wzmożoną aktywnością, ani również zaburzeniami koordynacji. Jednak w innych przypadkach opętania somnambulicznego nowa osobowość zwykle stara się stłumić i zniszczyć tę poprzednią. Wtedy jej głównym celem jest dręczenie, a nawet pozbawienie życia...*

Dostarczono komplet pasów bezpieczeństwa. Chris stała niemo obserwując, jak Karl przymocowuje je do brzegów łóżka, a potem do nadgarstków Regan. Potem, kiedy Chris wkładała jej pod głowę poduszkę, Szwajcar wyprostował się i oczyma pełnymi bólu spojrzał na wyniszczoną i odmienioną do niepoznania w straszliwy sposób, twarz dziewczynki.

— Czy ona wyzdrowieje? — zapytał. W jego przejętym głosie brzmiał smutek. Chris milczała. Poprawiając poduszkę wyczuła pod nią jakiś przedmiot.

— Kto włożył tutaj ten krucyfiks?

Objawy te są manifestacją wewnętrznego konfliktu lub winy, co przede

wszystkim należy ustalić. W tym wypadku na/lepsze skutki daje terapia hipnotyczna. Ale Regan się jej nie poddaje. Zdecydowaliśmy się zatem na kurację uspokajającą — musimy podawać narkotyki, ale w gruncie rzeczy to do niczego nie prowadzi.

— *Więc co dalej?*

— *Przede wszystkim czas. Potrzebujemy dużo czasu, obawiam się, że bardzo dużo. "Na razie musimy ją zatrzymać w szpitalu przez...*

Chris znalazła Sharon w kuchni. Dziewczyna pisała na maszynie. Willie kroiła marchewkę do gulaszu.

— Sharon, czy to ty włożyłaś krucyfiks pod poduszkę Rags? — spytała Chris głosem pełnym napięcia.

— O czym mówisz?

— Nie włożyłaś?

— Chris, przecież ja nawet nie wiem, o czym ty mówisz. Powiedziałam ci już, że wszystko, co mówiłam Regan, to to, że Bóg stworzył świat i może coś jeszcze o...

— Dobrze, Sharon, dobrze, wierzę ci. Ale...

— Ja też tego nie wkładałam — zaprotestowała gwałtownie Willie.

— Ale, do cholery, ktoś to musiał włożyć! - wybuchnęła Chris, a potem napadła na Karla, który właśnie wszedł do kuchni.

— Słuchaj, pytam się jeszcze raz — wycedziła przez zęby z hamowaną wściekłością — czy to ty włożyłeś krzyż pod jej poduszkę?

— Nie, proszę pani — odpowiedział beznamiętnie. Wybierał z lodówki kostki lodu. — Nie. Żadnych krzyży.

— Ale ten krzyż sam nie poszedł na górę, do jasnej cholery! Jedno z was kłamie! — ryknęła wściekłym głosem. - A teraz powiedzcie mi, do diabła, kto to zrobił, kto...

Nagle opadła na krzesło zakrywając twarz dłońmi.

— Przepraszam — łkała — nie wiem sama, co robię. O Boże, nie wiem, co

robię!

Willi i Karl spoglądali na nią w milczeniu. Sharon podeszła do Chris i gładziła ją po włosach pocieszająco:

— Dobrze, już dobrze.

Chris otarła łzy rękawem.

— Wiecie, myślę, że ten, kto to zrobił — pociągnęła nosem — chciał jej po prostu pomóc.

— *Proszę posłuchać, powtarzam to panu w kółko doktorze i chciałbym, żeby pan wreszcie zrozumiał. Nie zostawię jej w domu wariatów!*

-- *Ależ to...*

— *Nie obchodzi mnie, jak pan to nazywa! Nigdy nie zostawię jej samej.*

— *Cóż, przykro mi.*

— *Taak! Przykro! Święty Boże, setka lekarzy i każdy tylko potrafi powiedzieć, jak mu jest cholernie...*

Chris zapaliła papierosa, ale po chwili zdusiła go nerwowo i poszła do pokoju Regan. Otworzyła drzwi. W półmroku zauważyła jakąś postać, siedzącą sztywno na krześle obok łóżka. Karl. „Co on tu robi?" — zdziwiła się.

Kiedy podeszła bliżej, nie podniósł wzroku. Jego oczy były utkwione w twarzy dziecka. Jedną ręką dotykał czoła dziewczynki. Chris stanęła przy łóżku. Rękawicą z lodem Karl chłodził skronie Regan.

Wzruszona Chris stała przez chwilę nie wiedząc, jak ma postąpić. A potem, kiedy Karl nie poruszył się ani w żaden inny sposób nie okazał, że zauważa jej obecność, wyszła cicho z pokoju.

Wróciła do kuchni, wypiła mocną kawę i zapaliła jeszcze jednego papierosa. Potem, jakby pchnięta nieodpartym impulsem, poszła do gabinetu. A może... Może...

... Skoro źródłem choroby jest przede wszystkim autosugestia, istnieje pewna nikła szansa. Pani córka musiała coś wiedzieć o opętaniu, uwierzyć w nie i znać niektóre symptomy, dlatego teraz jej podświadomość formuje taki

właśnie zespół. Jeśli dałoby się to ustalić, można by podjąć kurację opartą na sugestii. W takich wypadkach działa ona jak terapia wstrząsowa. Większość lekarzy, jak przypuszczam, nie podjęłaby tego ryzyka. Ale jest to tylko nikła szansa. Lecz skoro sprzeciwia się pani hospitalizacji córki, to...

— *Na miłość boską, niech pan powie, o co chodzi?!*

— *Pani MacNeil, czy słyszała pani kiedykolwiek o egzorcyzmach?*

Książki w gabinecie odziedziczyła po poprzednich właścicielach. Stanowiły element umeblowania. Chris nawet ich nie przeglądała. Teraz odczytywała tytuły. Szukała...

... Jest to dawny, nie praktykowany już rytuał, polegający na tym, że ksiądz lub rabin próbuje wygnać złego ducha z opętanej osoby. Do tej pory tylko katolicy nie zaniechali egzorcyzmów całkowicie, ale Kościół niechętnie o tym wspomina, gdyż współczesnego człowieka zwyczaj ten może bulwersować. Ale myślę, że na kimś, kto jest przekonany o swoim opętaniu, taki rytuał wywarłby odpowiednie wrażenie. Były już nawet przypadki, że wygnano w ten sposób demona, ale oczywiście nie o to chodziło; zadziałała zwykła siła sugestii. Im silniejsze było przekonanie chorego o opętaniu, tym bardziej wierzył w egzorcyzmy. Widzę, że jest pani sceptyczna. Więc może powinienem wspomnieć o prymitywnych plemionach australijskich. Ludzie ci są przekonani, że jeśli czarownik rzuci na nich promienie śmierci, nawet z daleka, to muszą umrzeć. I rzeczywiście tak się dzieje. Po prostu kładą się na ziemi i umierają. Jedyne, co ich może uratować, to podobna sugestia: antypromienie wysłane przez innego czarownika.

— *Czy chce pan powiedzieć, że mam z nią pójść do znachora?*

— *Właśnie tak, jednak trzeba to traktować jako ostatnią deskę ratunku. Z tym, że należy zwrócić się do księdza. Wiem, że daję dosyć dziwną radę, może nawet niebezpieczną, jeśli nie upewni się pani najpierw, czy Regan może wiedzieć coś o egzorcyzmach. Czy sądzi pani, że mogła gdzieś o nich czytać?*

— *Nie, raczej nie.*

— A może widziała w kinie lub telewizji? Albo czy czytała Biblię lub Nowy Testament?

— Nie, dlaczego?

— Ponieważ opisano tam kilka przypadków opętania i egzorcyzmów, zaś symptomy do dziś są właściwie takie same. Jeśli pani...

— Nie, nie zgodzę się. Zapomnijmy o tym. I wie pan, chciałabym, żeby jej ojciec też musiał przejść przez to wszystko, co...

Chris przesuwała palcem po tytułach. Nie, tu nie było ani Biblii, ani Nowego Testamentu, ani...

Zaraz!

Oczyma powróciła na dolną półkę. Książka o kulcie szatana, którą przyniosła Mary Perrin! Chris wyciągnęła ją spomiędzy sąsiednich tomów i położyła na stole. Szybko przebiegła wzrokiem spis treści...

Jest!

Czuła, jak bije jej serce: „Stany opętania".

Zamknęła książkę. Potem przymknęła oczy.

A może... A może właśnie...

Powoli poszła do kuchni. Sharon pisała na maszynie. Chris podsunęła jej książkę.

— Czy przeczytałaś to?

Dziewczyna pisała dalej nie podnosząc wzroku.

— Co? — zapytała.

— Tę książkę o kulcie szatana.

— Nie.

— A czy to ty położyłaś ją w gabinecie?

— Nie, nawet jej nie miałam w rękach.

— Gdzie jest Willie?

— Poszła do sklepu.

Chris wróciła na górę do sypialni Regan. Pokazała książkę Karlowi:

— Czy to ty położyłeś ją w gabinecie, Karl? Na półce?

— Nie, proszę pani.

— To może Willie.

Poczuła lekkie dreszcze. Czyżby lekarze z kliniki Barringer mieli rację? Czyżby rzeczywiście? Czy Regan zasugerowała się tym, co przeczytała w tej książce? Czy to tu znalazła opis niewytłumaczalnych objawów?

Chris usiadła przy stole i otworzyła rozdział o opętaniu.

„Zjawiskiem bezpośrednio łączącym się z wiarą w demona są tak zwane stany opętania. Osobnik znajdujący się w tym stanie wierzy, że jego bezpośrednie funkcje fizyczne i umysłowe zostały przejęte i są kontrolowane albo przez demona, (pogląd najszerzej rozpowszechniony w okresie obecnie omawianym), albo przez ducha osoby zmarłej. Nie było w dziejach ludzkości okresu, w którym zjawisko opętania by się nie pojawiało. Znajdujemy jego szczegółowe opisy w literaturze sprzed wielu wieków i można stwierdzić, że jego obraz jest już w chwili obecnej pełny. Jednak odkąd w 1921 roku Traugott Oesterreich opublikował pracę na ten temat, do dnia dzisiejszego współczesna psychiatria nie znajduje naukowego wytłumaczenia tych zjawisk".

Brak wytłumaczenia? Chris zmarszczyła brwi. Lekarze mówili jej coś innego.

„Wiadomo tylko, że różni ludzie w rozmaitych miejscach i epokach ulegali tak kompletnemu przeobrażeniu, że osoby z ich otoczenia miały wrażenie, iż obcują z kimś zupełnie innym. Zmieniał się nie tylko głos, ruchy, wyraz twarzy i charakterystyczne gesty, ale ponadto sam pacjent był przekonany, że jest kimś innym; podawał imię — człowieka bądź demona — oraz szczegóły biograficzne..."

Ale objawy? Gdzie piszą o objawach? Chris przewracała niecierpliwie stronice.

„Na Malajach, gdzie opętanie nawet w dzisiejszych czasach jest zjawiskiem powszechnym, duch zmarłego często wywołuje u opętanego tak

wierną imitację gestów, głosu i zachowania, iż rodzina zmarłego nie może powstrzymać się od okazywania rozpaczy. Są przypadki częściowego opętania, które można tłumaczyć histerią, paranoją czy oszustwem. Ale jak dotąd nie udało się zinterpretować naukowo zjawiska klasycznego opętania. Jedno z najstarszych objaśnień odwołuje się do sfery duchowej. Nawiedzony zachowuje się zupełnie inaczej niż przed chorobą. Na przykład w tej postaci opętania demon potrafi przemawiać językami zupełnie nieznanymi pierwotnej osobowości".

Jest! Nareszcie coś! Bełkot Regan... Czyżby próbowała mówić jakimś obcym językiem?

„...lub objawiać się parapsychiczną manifestującą się telekinezą, czyli przemieszczaniem obiektów bez używania siły fizycznej..."

Stukoty! Łóżko!

„...W wypadku opętania przez ducha osoby zmarłej występują zachowania opisane przez Oesterreicha. Autor podaje przykład mnicha, który po opętaniu stał się znakomitym tancerzem, choć przed chorobą nie potrafił wykonać nawet jednego tanecznego pas. Wielkie wrażenie zrobiły przypadki, które opisywał Jung. Potrafił je objaśnić tylko częściowo, wykluczył wszak możliwość symulacji..."

To brzmiało niepokojąco. Niepokojąco.

„William Jąmes natomiast, najznakomitszy psycholog, jakiego wydała Ameryka, poparł interpretację spirytystyczną. Uczynił tak po przestudiowaniu „przypadku z Watseka", chodziło o kilkunastoletnią dziewczynkę z Watseka w stanie Illinois, której osobowość okazała się identyczna z osobowością dziewczyny nazwiskiem Mary Roof, zmarłej dwanaście lat wcześniej w domu dla obłąkanych..."

Zajęta lekturą Chris nie słyszała dzwonka. Sharon porzuciła pisanie i poszła otworzyć drzwi.

„...demoniczna forma opętania jest z reguły łączona z początkami

chrześcijaństwa, w rzeczywistości jednak przypadki opętania i egzorcyzmy były znane już przed naszą erą. Zarówno Egipcjanie, jak i inne starożytne cywilizacje Mezopotamii wierzyły, że fizyczne i psychiczne zaburzenia określonego typu są spowodowane przez złe duchy. Na przykład zamawiając choroby dzieci stosowano następującą formułę: „Odejdź Ty, który przyszedłeś z ciemności, którego nos jest odwrócony do tyłu, którego twarz jest wypaczona. Czy przyszedłeś ucałować to dziecko? Ja Tobie nie pozwalam..."

— Chris!

Nie odrywając się od książki zawołała:

— Shar, jestem zajęta!

— Ten detektyw z oddziału zabójstw chce się z tobą widzieć.

— O Boże, Sharon, powiedz mu... - urwała. - Albo nie, poczekaj. Niech wejdzie. Wpuść go.

Cisza.

Kroki.

Oczekiwanie.

„Na co ja czekam?" — zastanawiała się Chris. Miała wrażenie czegoś nieokreślonego, niby sen, którego nie można sobie przypomnieć.

Kinderman wszedł do pokoju razem z Sharon. Miął w rękach rondo kapelusza; sapiący, kiwający się, grzecznie uniżony. — Tak mi przykro. Jest pani zajęta. Pewnie przeszkadzam.

— Jak się miewa świat?

— Bardzo, bardzo źle. A jak pani córka?

— Bez zmian.

— Och, tak mi przykro. — Zatrzymał się przy stole, zmrużył oczy. — Proszę posłuchać, nie chciałbym przeszkadzać; ma pani tyle problemów z córką. Bóg jeden wie, ile my mieliśmy zmartwień, kiedy Ruth, a nie, nie, to było z Sheilą, moją młodszą...

— Proszę siadać — przerwała mu Chris.

— O tak, dziękuję — wydyszał, z ulgą usadowiając się na krześle. Sharon ponownie zajęła się pisaniem listów.

— Przepraszam, co pan mówił? - spytała Chris.

— No, moja córka... Ach, nic ważnego. Jest pani zajęta. Zapędziłem się. Gdybym opowiedział pani kiedyś historię mojego życia, mogłaby pani z tego zrobić film. Naprawdę. To niesamowite. Gdyby pani wiedziała choć część tego, co się wydarzyło w mojej szalonej rodzinie, wie pani - opowiem choć jedną historię. Moja matka w każdy piątek robiła nam rybę po żydowsku, tyle że przez cały tydzień nikt się nie mógł wykąpać, bo matka trzymała żywego karpia w wannie, pływał tam sobie cały tydzień, tam i z powrotem, tam i z powrotem, matka twierdziła, że przez to ryba pozbędzie się trucizny, uwierzy pani? Bo... Ach, już kończę, już kończę — westchnął, wykonując ręką przepraszający gest. — Ale od czasu do czasu trzeba się pośmiać, żeby nie płakać. Chris obserwowała go ze spokojem. Czekała...

— Co pani czyta? — spojrzał na książkę. — Do filmu? — spytał.

— Po prostu czytam.

— Dobre?

— Dopiero zaczęłam.

— A, czarownice — mruknął wykręcając głowę, by odczytać tytuł.

— O co chodzi? — zapytała Chris.

— Tak, przepraszam, pani jest zajęta. Zajęta. Już kończę. Tak jak powiedziałem, nie odważyłbym się pani przeszkadzać, gdyby...

— Gdyby co?

Nagle spojrzał na nią poważnie i położył obie dłonie na stole.

— Burke Dennings, pani MacNeil.

— Co takiego...

— O cholera — warknęła Sharon i poirytowana wyrwała kartkę z wałka maszyny. Zgniotła papier w ręce i wrzuciła do kosza, ustawionego w pobliżu Kindermana. — O, przepraszam — powiedziała, kiedy spostrzegła, że jej

wybuch przeszkodził w rozmowie.

— Czy panna Fenster? — spytał ją Kinderman.

— Spencer — poprawiła go wstając z krzesła.

— Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi — powiedział Kinderman i pochylił się, by podnieść pomiętą kartkę, która upadła obok kosza.

— Dziękuję — powiedziała Sharon.

— Nie ma za co. Czy pani jest sekretarką?

— Sharon, to jest...

— Kinderman — przypomniał detektyw. — William Kinderman.

— A to jest Sharon Spencer.

— Bardzo mi miło — powiedział Kinderman. Blondynka oparła się łokciami o maszynę spoglądając na niego zaciekawiona.

— Może pani będzie mogła mi pomóc — dodał detektyw po chwili. — Tej nocy, kiedy zginął pan Dennings, wyszła pani i zostawiła go w domu samego, zgadza się?

— Niezupełnie. Była tu Regan.

— To moja córka — wyjaśniła Chris.

Kinderman patrzył na Sharon. — Czy on przyszedł, aby zobaczyć się z panią MacNeil?

— Tak, zgadza się.

— Czy spodziewał się, że wkrótce wróci?

— To ja mu powiedziałam, że powinna zaraz przyjść.

— Znakomicie. A o której godzinie pani wyszła, pamięta pani?

— Moment. Obejrzałam wiadomości, więc, jak myślę... Zaraz, zaraz, tak, zgadza się. Przypominam sobie, byłam zdenerwowana, bo w aptece powiedzieli, że goniec już skończył pracę. Pamiętam, powiedziałam, że przecież dopiero jest osiemnasta trzydzieści. A Burkę przyszedł pięć, może dziesięć minut później.

— Więc mógł być tutaj około osiemnastej czterdzieści pięć?

— Dlaczego pan o to pyta? — powiedziała Chris. W jej głosie wyczuwalne było zmęczenie.

— Bo jest to niejasne, pani MacNeil — sapnął Kinderman odwracając głowę w jej kierunku. — Żeby przyjść do kogoś za piętnaście siódma i wyjść już po dwudziestu minutach.

— Och, taki był właśnie Burkę — powiedziała Chris. — To do niego podobne.

— Czy zwyczajem pana Denningsa było też odwiedzanie barów na M Street?

— Nie.

— Tak właśnie myślałem. Przeprowadziłem już mały wywiad. A czy nie było w jego zwyczaju poruszanie się taksówkami? Czy nie zadzwoniłby po taksówkę, gdyby wychodził?

— Tak, myślę, że tak.

— Więc jest to zastanawiające, prawda? Jak to się stało, że znalazł się na szczycie schodów? Jest także zastanawiające, dlaczego dyspozytor taksówek nie odnotował żadnego wezwania z tego domu tamtej nocy, prócz taksówki, którą wezwała panna Spencer dokładnie o osiemnastej czterdzieści siedem.

— Nie wiem — odpowiedziała Chris bezbarwnym głosem.

— Ale pan wszystko wiedział od samego początku — powiedziała ze złością zbita z tropu Sharon.

— Tak, proszę mi wybaczyć — powiedział detektyw. — Jednakże w tej chwili sprawa przybrała poważny obrót.

Oddech Chris był przyspieszony, kiedy wpatrywała się w detektywa.

— Dlaczego? — spytała stłumionym głosem.

Położył na stole kartkę maszynopisu.

— To jest raport z sekcji zwłok, pani MacNeil. Wykazuje on niezbicie, że śmierć, prawie na pewno nie mogła nastąpić przypadkowo...

— Chce pan powiedzieć, że został zamordowany? — powiedziała z

napięciem.

— Pozycja — zdaję sobie sprawę, że jest to dla pani bolesne...

— Proszę mówić.

— Pozycja głowy Denningsa oraz rozdarcia mięśni szyi wskazują...

— O Boże! — zawołała Chris.

— Tak, wiem, że to straszne. Przykro mi, bardzo mi przykro. Ale wie pani, nie mógłby być w takim stanie... Musimy trzymać się szczegółów. Gdyby nie spadł z dużej wysokości, zanim uderzył o schody... Musiał spadać jakieś pięć, dziesięć metrów, zanim stoczył się po schodach w dół. Szczerze mówiąc, wydaje mi się jasne, że... Ale najpierw muszę o coś zapytać...

Zwrócił się do przerażonej Sharon.

— Gdy pani wychodziła, gdzie był pan Dennings? Z dzieckiem?

— Nie, tutaj w gabinecie. Przygotowywał sobie drinka.

— Czy pani córka mogłaby sobie przypomnieć — spytał Chris — czy pan Dennings był w jej pokoju tamtej nocy? Czy rzeczywiście była z nim sama?

— Czemu pan pyta?

— Czy pamięta?

— Raz już panu przecież mówiłam, że była odurzona i...

— Tak, tak, mówiła mi pani, oczywiście. Przypominam sobie. Ale być może obudziła się i...

— To niemożliwe.

— Spała również, kiedy ostatni raz z panią rozmawiałem — skojarzył.

— A tak, spała. Rzeczywiście - przypomniała sobie Chris.

— I co z tego?

— Wydawało mi się, że tamtego dnia widziałem ją w oknie jej sypialni.

— Musiało się panu przewidzieć.

— Możliwe, bardzo możliwe. Nie upieram się.

— Niech pan posłucha, czemu pan o to wszystko wypytuje? — spytała Chris zaczepnym tonem.

— Mówiłem już... Istnieje możliwość, iż denat był tak pijany, że potknął się i wypadł z okna sypialni pani córki.

Chris potrząsnęła głową.

— To niemożliwe. Po pierwsze, tamto okno jest zawsze zamknięte, a po drugie. Burkę bywał często pijany, ale nigdy się nie wywracał, prawda, Shar?

— Tak.

— Burke nawet reżyserował po pijanemu. Jak w takim razie mógł się potknąć i wypaść przez okno?

— A czy spodziewała się pani czyjejś jeszcze wizyty tego wieczora?

— Nie.

— Czy ma pani przyjaciół, którzy wpadają bez uprzedzenia?

— Tylko Burke — odpowiedziała Chris. — A dlaczego pan pyta?

Detektyw pochylił głowę i spojrzał na pomiętą kartkę, którą trzymał w dłoni.

— Dziwne... takie skomplikowane — westchnął — okropnie skomplikowane. Przychodzi z wizytą, jest tylko dwadzieścia minut i nie czekając na panią wychodzi, zostawiając bez opieki poważnie chorą dziewczynkę. I, mówiąc szczerze, jak sama pani zauważyła, nie jest raczej możliwe, żeby wypadł przez okno. A poza tym jedna szansa na sto, że podobny upadek spowodowałby tak szczególne uszkodzenie karku. — Wskazał ręką książkę o kulcie diabła. — Czy już doszła pani do rozdziału o morderstwach rytualnych? Na plecach Chris poczuła zimne dreszcze. Zaprzeczyła.

— Może nie w tej książce — powiedział. — Proszę wybaczyć, ale muszę to powiedzieć, aby potraktowała pani problem bardziej poważnie. Biedny pan Dennings został znaleziony z głową wykręconą do tyłu o sto osiemdziesiąt stopni; to charakterystyczna cecha u ludzi zamordowanych przez tak zwane demony, pani MacNeil.

Chris pobladła.

— Jakiś szaleniec zabił pana Denningsa — ciągnął detektyw, uważnie

obserwując Chris. — Przede wszystkim nie mówię tego, żeby sprawić pani ból. Poza tym wciąż należy zakładać, że mógł to być wypadek. Ale jeśli o mnie chodzi, mam pewność, że nie był to wypadek. Takie przeczucie. Jestem przekonany, że osoba, która go zabiła, była bardzo silna. To po pierwsze. A pęknięcie czaszki i inne szczegóły mogą świadczyć o tym, że został najpierw zabity, a potem wypchnięty z okna sypialni pani córki. Lecz nie było tam nikogo poza dzieckiem. Więc jak to się mogło stać? Czy ktoś przyszedł, kiedy panny Spencer już nie było w domu i wyszedł przed pani powrotem? Mogło tak się zdarzyć? Więc pytam panią raz jeszcze: kto mógł przyjść?

— Och, chwileczkę — szepnęła chrapliwie Chris, ciągle zaszokowana.

— Tak mi przykro. To bolesne. I być może zupełnie się mylę, to też biorę pod uwagę. Ale proszę pomyśleć. Kto? Kto mógł przyjść?

Chris zwiesiła głowę. Myślała intensywnie. Potem spojrzała na Kindermana.

— Nie, nie ma nikogo takiego.

— Więc może pani, panno Spencer? — spytał. — Czy ktoś panią odwiedza?

— Och, nie, nikt — powiedziała Sharon, szeroko rozwierając oczy.

Chris zwróciła się do Sharon. — Czy ten od koni wie, gdzie pracujesz?

— Od koni? — spytał Kinderman.

— Jej chłopak — wyjaśniła Chris.

Blondynka potrząsnęła głową.

— Nie, nigdy tu nie był. Poza tym tamtej nocy wyjechał do Bostonu. Miał jakiś zjazd.

— Czy jest komiwojażerem?

— Nie, prawnikiem.

— A służba? Czy przyjmują jakichś gości? - zapytał Chris.

— Nigdy, żadnych.

— Czy tego dnia spodziewała się pani jakiejś przesyłki? Dostawcy?

— Nie, w każdym razie nic o tym nie wiedziałam. A dlaczego?

— Pan Dennings, wiem, że nie powinno się źle mówić o zmarłych, niech spoczywa w pokoju, ale jak sama pani mówiła, był po paru głębszych, no, powiedzmy, skory do kłótni, złośliwy; w tym wypadku mógł sprowokować na przykład jakiegoś gońca, który przyjechał dostarczyć paczkę. Czy zatem spodziewała się pani czegoś? Rzeczy z pralni? Jarzyn? Napoi? Przesyłki?

— Och, nawet bym o tym nie wiedziała. Tym wszystkim zajmuje się Karl.

— Aha, rozumiem.

— Chce pan go przesłuchać?

Detektyw westchnął i odchylił się na krześle. Ręce wsunął do kieszeni. Spojrzał ponuro na książkę o kulcie szatana. — Nie, nie. Nie trzeba, to nie takie znowu ważne. Pani córka jest chora, nie chcę przeszkadzać — machnął ręką z rezygnacją i podniósł się z krzesła. — Cieszę się, że panią poznałem, panno Spencer.

— Ja również — bez przekonania odpowiedziała Sharon.

— Zagadkowe — powiedział Kinderman potrząsając głową. — Dziwne. — Wydawało się, że o czymś intensywnie myśli. Potem spojrzał na Chris, która także powstała. — Przepraszam, że niepotrzebnie panią niepokoiłem. Proszę mi wybaczyć.

— Odprowadzę pana do drzwi — powiedziała zamyślona Chris.

— Proszę nie robić sobie kłopotu.

— To żaden kłopot.

— Cóż, skoro pani nalega. A przy okazji — powiedział, kiedy wychodzili z kuchni — choć wiem, że to jedna szansa na milion, ale może pani córka... Może mogłaby pani ją jednak zapytać, czy nie widziała pana Denningsa w swoim pokoju tamtej nocy?

Chris załamała ręce. — Ale przecież on nie miał żadnego powodu, żeby w ogóle tam wchodzić.

— Oczywiście, wiem o tym. Ale gdyby pewien angielski lekarz nie

interesował się pleśnią, nie mielibyśmy penicyliny. Więc może jednak pani ją zapyta. Zrobi to pani?

— Zrobię, jeśli poczuje się lepiej, dobrze?

— Oczywiście, naturalnie. A tymczasem... — Zbliżyli się do wyjścia i Kinderman jakby się zmieszał. Przygryzł wargę.

— Proszę posłuchać, trudno mi doprawdy tego od pani wymagać, ale...

Chris poczuła, jak ogarnia ją napięcie, a krew uderza do głowy.

— Co takiego?

— Dla mojej córki... Czy mógłbym dostać pani autograf? — Zarumienił się, a Chris omal nie wybuchła śmiechem, poczuwszy ulgę: zapragnęła śmiać się z siebie, własnego strachu, z ludzkich słabostek.

— Żaden problem. Ma pan coś do pisania?

— Proszę bardzo — odpowiedział, natychmiast podając jej ogryzek ołówka i drugą ręką wyciągając notes z kieszeni marynarki. — Będzie zachwycona! — dodał.

— Jak ma na imię? — spytała Chris opierając notes o futrynę drzwi. Przez chwilę wahał się, słyszała tylko jego sapanie. W oczach Kindermana dostrzegła, że toczy ze sobą ciężką walkę.

— Skłamałem — powiedział wreszcie, uciekając wzrokiem w bok. — To ma być dla mnie.

Zaczerwienił się.

— Proszę napisać: dla Williama, Williama Kindermana. Chris poczuła do niego nagłą sympatię. Napisała: Williamie Kinderman, uwielbiam pana! Złożyła autograf. Potem zwróciła mu notes.

— Jest pani wspaniałą kobietą — powiedział detektyw nieśmiało, nie patrząc jej w oczy.

— A pan jest wspaniałym mężczyzną.

Miała wrażenie, że jego policzki żarzą się.

— O, wcale nie. Jestem natrętem — otworzył drzwi. — I proszę się nie

przejmować tym, co dzisiaj mówiłem. Niepotrzebnie panią zdenerwowałem. Proszę o tym zapomnieć. Musi pani teraz myśleć o swojej córce.

O córce!

Chris poczuła, że ponownie ogarnia ją przygnębienie.

Kinderman przestąpił próg i włożył kapelusz.

— Ale zapyta ją pani? — przypomniał raz jeszcze.

— Tak — odpowiedziała cicho Chris. — Jak obiecałam.

— W takim razie do widzenia. I niech pani dba o siebie.

— A pan o siebie.

Zamnkęła drzwi, ale po chwili znowu je otworzyła, bo Kinderman zapukał raz jeszcze.

— Ale ze mnie uparciuch! Zapomniałem ołówka.

— skrzywił twarz w przepraszającym grymasie.

Chris spojrzała na ogryzek ołówka. Wciąż trzymała go w dłoni. Uśmiechnęła się i oddała ołówek.

— A, jeszcze jedno... — zawahał się. — Być może chodzi o drobiazg, wiem, że przesadzam, ale wolę tak postąpić, niż gdybym potem miał sobie wyrzucać, że pominąłem choć jeden drobny szczegół Czy mógłbym... No noe, to właściwie nieważne, ale jednak... No muszę, powinienem. Czy być może mógłbym zamienić słówko z panem Engstromem? Ci dostawcy. Ten problem z dostawcami. Naprawdę powinieniem...

— Oczywiście — powiedziała Chris oschle. — Niech pan wejdzie.

— Nie, nie, pani jest przecież zajęta. Dość już zabrałem czasu. Porozmawiam z nim tutaj — oparł się o poręcz schodów.

— Skoro pan nalega — uśmiechnęła się Chris. — Jest na górze przy Regan. Zaraz go przyślę.

— Będę zobowiązany.

Chris odeszła i zamknęła za sobą drzwi. — W chwilę później otworzył je Karl. Stanął w progu nie zabierając ręki z klamki i patrzył na Kindermana

zimnymi jasnymi oczyma.

— Słucham — powiedział głosem bez wyrazu.

— Ma pan prawo odmówić odpowiedzi na moje pytania — powiedział Kinderman bez dłuższych wstępów, wbijając wzrok w Karla. — Jeśli zrezygnuje pan z tego przywileju — mówił wyraźnie oddzielając słowa — wszystko, co pan odtąd powie, może być użyte w sądzie przeciwko panu. Ma pan także prawo skontaktować się ze swoim adwokatem, który może być obecny w trakcie przesłuchania. Jeśli żąda pan adwokata, a nie stać pana na wynajęcie go, zostanie panu przydzielony z urzędu. Czy zrozumiał pan wszystko, co powiedziałem?

Z M Street dobiegał odgłos przejeżdżających samochodów zmieszany ze śpiewem ptaków w koronach pobliskich drzew. Szum ten przypominał odległe brzęczenie pszczół. Oczy Karla ani na moment nie zmieniły wyrazu, gdy odpowiadał:

— Tak.

— Czy rezygnuje pan z prawa odmowy zeznań?

— Tak.

— Czy rezygnuje pan z prawa składania zeznań w obecności adwokata?

— Tak.

— Wcześniej powiedział pan, że 29 kwietnia, w noc, kiedy zginął Dennings, oglądał pan film w kinie Crest?

— Tak.

— O której godzinie wyszedł pan z kina?

— Nie pamiętam.

— Wcześniej oświadczył pan, że był na seansie o godzinie osiemnastej. Czy teraz pan sobie przypomina?

— Tak. To był seans na osiemnastą. Pamiętam.

— I widział pan film od samego początku?

— Tak.

— Wyszedł pan po zakończeniu projekcji?

— Tak.

— Nie wcześniej?

— Nie, obejrzałem film w całości.

— Wyszedłszy z seansu wsiadł pan do autobusu linii D.C. na przystanku przed kinem i wysiadł pan z niego na rogu M Street i Wiscontin Avenue około dwudziestej pierwszej dwadzieścia.

— Tak.

— I poszedł pan prosto do domu?

— Tak, poszedłem dalej piechotą do domu.

— I był pan w domu około dwudziestej pierwszej trzydzieści?

— Wróciłem dokładnie o dwudziestej pierwszej trzydzieści — odpowiedział Karl.

— Jest pan tego zupełnie pewien?

— Tak. Patrzyłem na zegarek. Jestem o tym przekonany.

— I widział pan cały film aż do końca?

— Tak. Już mówiłem.

— Pana odpowiedzi są rejestrowane na taśmie magnetofonowej, panie Engstrom. Chciałbym, żeby był pan ich absolutnie pewny.

— Jestem.

— Czy widział pan końcową scenę kłótni pomiędzy odźwiernym a pijakiem?

— Tak.

— Czy może mi pan opowiedzieć, jaka była przyczyna tej kłótni?

— Ten mężczyzna był pijany i awanturował się.

— I co się wydarzyło?

— Wyrzucili go. Został wyrzucony.

— Nie było żadnej awantury. Czy wie pan także, że podczas seansu rozpoczynającego się o godzinie osiemnastej kłopoty natury technicznej

spowodowały przerwę w projekcji, trwającą około piętnastu minut?

— Nie, nie wiem.

— Przypomina pan sobie, jak widownia tupała?

— Nie, wcale. Nie było żadnej przerwy.

— Jest pan pewny?

— Nic się nie wydarzyło podczas projekcji.

— Wprost przeciwnie. Przerwa została odnotowana w rejestrze operatora. Seans nie skończył się tego wieczoru o dwudziestej czterdzieści, ale około dwudziestej pięćdziesiąt pięć, co oznacza, że najbliższy autobus, który mógł pan złapać, dowiózłby pana na róg M Street i Wisconsin Avenue nie o dwudziestej pierwszej dwadzieścia, ale o dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć. I co za tym idzie, w domu mógł pan być najwcześniej mniej więcej za pięć dziesiąta, a nie o dwudziestej pierwszej trzydzieści, jak to potwierdziła pani MacNeil. Czy mógłby pan wyjaśnić tę zagadkową rozbieżność?

Na moment Karl stracił pewność siebie, ale natychmiast odzyskał równowagę i odpowiedział:

— Nie.

Detektyw przyglądał mu się w milczeniu. Potem westchnął i wyłączył mikrofon, przyczepiony od strony wewnętrznej do poły płaszcza.

— Panie Egnstrom — zaczął wyrozumiałym tonem — być może popełniono morderstwo, a pan jest podejrzanym. Dennings znieważał pana. Wiem o tym z innych źródeł. I bez wątpienia skłamał pan budując swoje alibi. No cóż, to się zdarza, jesteśmy tylko ludźmi. A człowiek, który jest żonaty, czasami mówi, że idzie gdzieś, gdzie go potem nie ma. Jak pan zauważył, zorganizowałem to tak, abyśmy mogli rozmawiać na osobności, z dala od osób postronnych. Teraz nie nagrywam, magnetofon jest wyłączony. Może pan mi zaufać. Jeśli zdarzyło się tak, że tamtej nocy był pan z kobietą, która nie jest pana żoną, może mi pan o tym powiedzieć. No, po prostu sprawdzę i będzie po kłopocie. A pana żona o niczym się nie dowie. A zatem proszę mi teraz

powiedzieć, gdzie pan był, kiedy zginął Dennings?

Wpatrywał się w oczy Karla.

— W kinie — odpowiedział Engstrom zdecydowanie, zaciskając wargi.

Detektyw nie spuszczał z niego wzroku. Milczał. Nie uczynił żadnego ruchu. W zaległej ciszy słychać było tylko jego sapanie. Mijały sekundy...

— Czy zamierza pan mnie aresztować? - przerwał milczenie Karl; jego głos lekko drżał.

Detektyw nie odpowiedział, tylko wciąż badał go czujnym spojrzeniem. A kiedy wydawało się, że Karl chce coś powiedzieć, Kinderman nagle oderwał się od poręczy i z rękoma w kieszeniach ruszył do samochodu. Szedł powoli, rozglądając się na prawo i lewo, jak turysta zwiedzający miasto.

Stojąc wciąż na podeście Karl widział, jak Kinderman otwiera drwi samochodu, wyciąga z wnętrza wozu paczkę chusteczek higienicznych, kładzie je na dachu, wyjmuje jedną i wydmuchując noc spogląda gdzieś ponad rzeką, zastanawiając się, gdzie pojechać na lunch, a potem wsiada do auta.

Kiedy wóz policyjny zniknął już za rogiem 35 ulicy, Karl przyjrzał się swojej ręce, nadal spoczywającej na klamce. Dostrzegł, że jego dłoń drży. Chris usłyszała odgłos zamykanych drzwi. Pogrążona w niewesołych myślach stała przy barku, mieszając drinka z wódki i lodu. Kroki. Karl wszedł po schodach. Wzięła szklankę i przeszła do kuchni, ciągle mieszając lód wskazującym palcem. Spoglądała przed siebie niewidzącymi oczami. To coś. Coś okropnego, przerażającego. Pasmo lęku przesączało się do jej duszy, niczym smuga światła spod zamkniętych drzwi. Co jest za tymi drzwiami? Co tam jest?

Nie zaglądaj teraz!

W kuchni usiadła przy stole. Uniosła szklankę do ust. Jestem przekonany, *że został zamordowany przez niezwykle silnego mężczyznę...*

Jej wzrok padł na książkę o kulcie szatana.

Coś...

Znowu kroki. Sharon powróciła z sypialni Regan. Usiadła przy maszynie

do pisania. Wkręciła w wałek papier listowy.

Coś...

— Cholernie skomplikowane — zamruczała Sharon opierając palce na klawiaturze.

Milczenie. Ciężka, dusząca cisza. Chris uniosła szklankę.

Sharon miała napięty, niski głos:

— Na M Street i Wisconsin kręci się mnóstwo hippisów, nawiedzonych, okultystów. Policja nazywa ich „diabelskimi psami". — Zamilkła, jakby czekając na zachętę Chris. Nie podnosiła wzroku znad maszyny. Po chwili dodała: — Zastanawiam się, czy Burkę mógł...

— Och, Boże święty! Shar! Zapomnij o tym, dobrze?! — przerwała jej Chris. — Dość mam zmartwień z Rags! Zrozum to! — Zamknęła oczy i położyła rękę na książce.

Sharon poczęła wystukiwać słowa w szalonym tempie, a potem nagle poderwała się z krzesła i wybiegła z kuchni.

— Idę na spacer! — rzuciła z przedpokoju lodowatym tonem.

— No to trzymaj się, u diabła, z daleka od M Street! — zawołała za nią Chris.

— Pewnie!

— I od N Street też!

Chris usłyszała, jak otwierają się i zamykają drzwi frontowe. Westchnęła. Było jej przykro. Ale wraz z wybuchem uszło z niej napięcie. Nie całe jednak. Wciąż obawiała się czegoś nieokreślonego.

Odegnaj to od siebie!

Chris nabrała głęboko powietrza i usiłowała skupić się na lekturze. Odszukała akapit, na którym przerwała czytanie. Nerwowo pochłaniała strony. Z niecierpliwością szukała opisu objawów występujących u Regan. Opętanie przez szatana... Syndrom... przypadek ośmioletniej dziewczynki... anomalie... Czterech silnych mężczyzn, aby oderwać ją od...

Przewracając stronę Chris uniosła wzrok i zamarła.

Odgłosy. Willie z zakupami.

— Willie!... Wiliie! — przywołała służącą bezbarwnym głosem.

— Słucham panią? — Willie odłożyła torbę. Nie patrząc w jej stronę Chris pokazała książkę. — Czy to ty położyłaś ją w gabinecie na półce?

Willie zerknęła na książkę i twierdząco kiwnęła głową. Systematycznie wyjmowała sprawunki z torby.

— Willie, gdzie ją znalazłaś?

— W sypialni — odpowiedziała Willie wkładając mięso do lodówki.

— W której sypialni?

— Panienki Regan. Znalazłam ją pod łóżkiem, gdy ścierałam kurze.

— Kiedy znalazłaś tę książkę? — spytała Chris, mając wzrok ciągle utkwiony w rzędach drukowanych liter.

— Wtedy pani była z panienką w szpitalu. Zaraz po pani wyjeździe sprzątałam całą sypialnię.

— Nie mylisz się?

— Jestem pewna, proszę pani. Tak, na pewno wtedy.

Chris wstrzymała oddech. Oczyma wyobraźni widziała otwarte szeroko okno sypialni Regan, w noc śmierci Denningsa. Jakie okropne monstrum kierowało jej postępowaniem? Przerażona spojrzała na kolejną stronicę.

Na całej szerokości strony czyjaś nieznana ręka oderwała z chirurgiczną precyzją wąski pasek papieru.

Odwróciła głowę słysząc podejrzany rumor dobiegający z sypialni Regan.

Gwałtowny stukot odbijający się koszmarnym echem, jakby ktoś walił ogromnym młotem w ściany pustego grobowca.

Przeraźliwy krzyk Regan; a w nim śmiertelny strach.

Karl! Karl wrzeszczący wściekle na Regan!

Chris wypadła z kuchni.

Boże Najświętszy! Co tam się dzieje?

Oszalała z niepokoju rzuciła się ku schodom. Pędząc do sypialni Regan słyszała odgłos ciała padającego ciężko na podłogę, któremu towarzyszył skowyt jej córki:

— Nie, nie! Proszę, nie!!! — I chyba głos Karla. Nie! To przecież nie Karl! Ktoś inny! Huczący bas wypełniał cały dom!

Chris pokonała w sekundę korytarz i wpadła do sypialni. Stanęła w progu osłupiała, sparaliżowana strachem. Ogłuszające walenie potężniało przenikając ściany. Karl leżał nieprzytomny na podłodze obok biurka. Na podskakującym łóżku siedziała Regan z rozrzuconymi, sztywno wyprostowanymi nogami. W dłoniach kurczowo ściskała biały jak ludzka kość krucyfiks. Biały krucyfiks skierowany ku jej pochwie. Patrzyła nań z przerażeniem. Rozwarte oczy, płynąca z nosa krew; tuba gastryczna odrzucona na bok.

— Och, proszę! Och, nie! Proszę, nie!!! — krzyczała coraz przeraźliwiej, a jej ręce zbliżały się powoli do ciała. Zdawało się, że dziewczynka walczy z całych swoich sił.

— Zrobisz, co ci każę, dziwko! Zrobisz to!

Te słowa wypowiedziała Regan. Artykułowała je tym chrapliwym, gardłowym głosem, pałającym dziką nienawiścią. Rysy twarzy dziewczynki przekształciły się w demoniczną maskę, która już wcześniej ukazała się podczas seansu hipnotycznego. Oniemiała Chris patrzyła, jak zmieniają się głosy i twarze.

— Nie!

— Zrobisz to!

— Proszę!

— Zrobisz to, suko, albo cię zabiję!

— Proszę!!!

— Zrobisz tak, żeby cię pieprzył! Żeby cię...

I znowu Chris ujrzała twarz Regan. Rozszerzone potwornym lękiem oczy dziewczynki wychodzące z orbit. Drżące, szeroko rozwarte usta. Nagle pojawił

się demon. Niesamowita ostra woń napełniła pokój. Chris poczuła zimny powiew od ścian. Łóżko znieruchomiało, a przerażony krzyk Regan zmienił się w triumfujący, ohydny śmiech. Biały krucyfiks rozdarł łono dziewczynki. Wibrujący niepojętą nienawiścią głos wył: — Teraz jesteś moja, jesteś moja, ty śmierdząca dziwko, kurwo! Niech on cię pieprzy! Niech cię pieprzy!

Paniczny lęk przykuł Chris do podłogi, wbijała paznokcie we własne policzki. Powoli, jak we śnie, uniosła ręce i szatański, ochrypły rechot zadudnił triumfująco, gdy krocze Regan bluznęło krwią przemieszaną ze szczątkami hymenu. Naraz Chris z rozpaczliwym okrzykiem rzuciła się ku łóżku próbując wyrwać krucyfiks z dłoni Regan. Oblicze bestii wykrzywione w diabelskim grymasie zwróciło się w jej stronę z wściekłością, swobodna ręka Regan pochwyciła Chris za włosy i przycisnęła jej głowę do ociekającego krwią, rytmicznymi ruchami podawanego naprzód łona dziewczynki.

— Aaa! Jesteś! Niewinna mamusia małej kurwy! — Gardłowy śmiech: — Liż mnie! Achhh!!!

Potem Chris poczuła gwałtowne szarpnięcie i silne uderzenie w pierś. Przetoczyła się przez pokój uderzając o ścianę. Głos Regan zaśmiał się nieludzko, złośliwie.

Przerażona Chris skuliła się pod ścianą. Widziała rozkołysane, przesuwające się obrazy. Oczy Chris zachodziły mgłą. Próbowała wstać, lecz opadła z sił. Spojrzała na zalane krwią łóżko. Regan siedziała odwrócona do niej plecami. Masturbowała się zmysłowo, powoli. Głęboki, niezwykle gruby glos szeptał:

— Ochhh! Tak, właśnie tak, moja świnko, tak, słodka świnko, świneczko...

Niespodziewanie zapadła cisza. Twarz Chris była umazana krwią, po jej policzkach płynłęły łzy. Obolała pełzła w stronę łóżka. Ominęła leżącego bezwładnie Karla. Nagle przystanęła przygwożdżona paraliżującym strachem. Mimo napełniających jej oczy łez widziała wyraźnie, jak głowa Regan przekręca się powoli na wciąż nieruchomym tułowiu, niesamowicie,

nieubłaganie, aż w końcu ujrzała przed sobą twarz siedzącej nadal tyłem do niej córki.

— Czy wiesz, co zrobiła twoja kurewska córeczka? — wyrzekł z chichotem dobrze znajomy głos.

Chris zamknęła oczy, by nie widzieć spękanych, wywiniętych warg i miotających skry oczu monstrum.

Dopóki nie straciła przytomności, z jej gardła dobywał się dziki krzyk.

Część III

OTCHŁAŃ

Rzekli mu tedy: „Cóż za znak uczynisz, abyśmy zobaczyli i uwierzyli tobie?"

Ewanlgelia św. Jana 6, 30—31

...Gdy brygada miała na swoim koncie prawie 10 tysięcy zabitych (Wietnamczyków), dowódca ogłosił konkurs: za zaliczenie dziesięciotysięcznej ofiary zabójca otrzyma nagrodę — tygodniowy wypoczynek w luksusowej kwaterze pana pułkownika...

„Newsweek", 1969

Nie wierzycie, chociaż widzieliście.

Ewangelia św. Jana 6, 36—37

Rozdział I

Stojąc na moście opierała się łokciami o balustradę. Była zdenerwowana, czekała. Zza jej pleców dobiegał uliczny gwar. Kierowcy naciskali klaksony, a przechodnie mijali ją z obojętnością.

Widziała się z Mary Jo; okłamała ją.

— *Regan czuje się świetnie. Zastanawiam się. czy znów nie zorganizować jakiegoś małego przyjęcia. Przypomnij mi, jak się nazywał ten psychiatra od jezuitów? Chciałabym go zaprosić...*

Spod mostu dobiegł ją śmiech: para młodych ludzi w dżinsach i swetrach płynęła łódką. Nerwowym ruchem strzepnęła popiół z papierosa i omiotła spojrzeniem pobliski wiadukt. Ktoś szedł szybkim krokiem w jej kierunku. Mężczyzna w spodniach koloru khaki i niebieskim swetrze. Ale to nie był ksiądz. Nie on. Przeniosła wzrok na rzekę. Aby zagłuszyć narastające uczucie beznadziejności, spróbowała odczytać nazwę wypisaną na burcie czerwonego kajaka. Wreszcie jej się udało: *Kaprys.*

Kroki. Mężczyzna w swetrze zbliżał się, zwolnił. Kątem oka dostrzegła jego rękę na balustradzie. Szybko skierowała wzrok w przeciwną stronę.

— Odwal się! — krzyknęła ze złością. - Albo, przysięgam, zawołam policjanta!

— Pani MacNeil? Jestem Ojciec Karras.

Odwróciła się powoli i spojrzała na niego zaskoczona. Uśmiechnięta twarz boksera.

— O, mój Boże, przepraszam! Ja...

Zdjęła okulary słoneczne, ale zaraz założyła je z powrotem, zmieszana pod jego spojrzeniem.

— Powinienem był uprzedzić, że nie będę w stroju służbowym. Przepraszam.

Głos jego był kojący, uspokajał. Ujął jej dłoń w swoje mocne ręce,

ściskając lekko na powitanie: miał ręce rzeźbiarza. Spostrzegła, że w niepokojący sposób przyciągają jej uwagę.

— Pomyślałem, że tak będę się mniej rzucał w oczy. Mówiła pani o dyskrecji.

— To ja powinnam bardziej uważać i nie robić z siebie idiotki — odpowiedziała sięgając do torebki. — Zwróciłam się do pana, bo wydał mi się pan taki...

— Ludzki? — przerwał jej z uśmiechem.

— Tak. Wiedziałam to od razu, kiedy zobaczyłam pana na planie — powiedziała sprawdzając z kolei kieszenie kostiumu.

— Dlatego zadzwoniłam do pana. Pan wydał mi się ludzki. — Podniosła wzrok i zauważyła, że obserwuje jej niespokojne ręce. — Czy ma pan papierosa, ojcze?

Sięgnął do kieszeni spodni.

— Może być bez filtra?

— W tej chwili zapaliłabym nawet skręta z herbaty. Wysunął z paczki camela.

— Przyznam się, że ja czasami tak robię.

— Śluby ubóstwa — mruknęła wyciągając papierosa i uśmiechając się nieznacznie.

— Śluby ubóstwa mają swoje dodatnie strony — skomentował wyjmując z kieszeni zapałki.

— Na przykład?

— Na przykład poprawiają smak palonej herbaty — znowu uśmiechnął się. Patrzył na jej dłoń. Drżała. Obracała lekko papierosa w palcach. Wyjął go z jej dłoni i włożył sobie do ust. Zapalił osłaniając przed wiatrem płomyk zapałki. Podał papierosa spoglądając na samochody pokonujące most.

— Tak jest lepiej. Wieje od rzeki — wyjaśnił.

— Dziękuję, ojcze.

Spojrzała na niego z wdzięcznością przemieszaną z nadzieją.

Wiedziała, że może zdoła ją zrozumieć. Obserwowała, jak zapala swojego papierosa — zapomniał osłonić płomień. Oparli się o balustradę.

— Skąd pan pochodzi, ojcze Karras?

— Z Nowego Jorku.

— Ja też. Ale już tam nigdy nie wrócę. A pan? Karras poczuł smak goryczy wypełniającej mu gardło.

— Ja także bym nie chciał — zmusił się do uśmiechu. — Ale decyzja nie zależy ode mnie.

— O Boże, jaka jestem głupia. Przecież pan jest księdzem i musi jechać tam, gdzie panu każą.

— Tak właśnie jest.

— Jak to się stało, że psychiatra został księdzem?

Karras był zaintrygowany, na czym polega problem, o którym wspomniała przez telefon. Była bardzo zdenerwowana, wyczuł to. Ale czym? Nie powinien nalegać. Na wszystko przyjdzie czas... Przyjdzie czas.

— Akurat odwrotnie — poprawił ją uprzejmie. — To towarzystwo...

— Kto?

— Towarzystwo Jezusowe. Jezuici to skrót.

— Aha, rozumiem.

— Towarzystwo skierowało mnie na medycynę wybierając fakultet psychiatryczny.

— Gdzie?

— Do Harvardu; John Hopkins, Bellevue.

Nagle uświadomił sobie, że usiłuje zrobić na niej wrażenie. Zastanawiał się dlaczego. Odpowiedź znalazł w slumsach z dzieciństwa, w podrzędnych teatrach. A teraz, tutaj, mały Dimmy z gwiazdą filmową.

— Nieźle — powiedziała prawie z podziwem.

— No, cóż. Nie składamy ślubów ubóstwa umysłowego.

Wyczuła, że ten temat jest dla niego niezręczny. Odwróciła się powoli.

— Bo właściwie nie znam pana i... — zaciągnęła się mocno dymem, a potem zgasiła papierosa o balustradę. — Jest pan przyjacielem Ojca Dyera, prawda?

— Tak, to prawda.

— Bliskim?

— Bardzo bliskim.

— Czy opowiadał panu o przyjęciu?

— U pani w domu?

— Tak, u mnie.

— A tak, powiedział, że wydaje się pani ludzka. Udała, że nie rozumie żartu.

— Czy mówił panu o mojej córce?

— Nie, nawet nie wiedziałem, że pani ma córkę.

— Ma dwanaście lat. Nie mówił panu o niej?

— Nie.

— I nie powiedział, co zrobiła?

— Nawet o niej nie wspomniał.

— Tak, księża są raczej małomówni, prawda?

— To zależy — odpowiedział Karras.

— Od czego?

— Od księży.

Gdzieś w jego podświadomości błysnęło czerwone światełko. Wiele razy ostrzegano go przed neurasteniczkami, które pod pozorem innych problemów, nawet same nie zdając sobie z tego sprawy, usiłują uwieść księdza, posiąść mężczyznę teoretycznie dla nich nieosiągalnego.

— Proszę posłuchać. Jeśli to, co mam księdzu do powiedzenia, potraktowane będzie jako spowiedź, to nie będzie mógł ojciec opowiedzieć o tym nikomu innemu?

— Tak, to prawda.

— A gdyby to nie była spowiedź, ale... Co by było, gdyby... — jej ręce drżały. — Ja, no... jestem po prostu ciekawa, co by było, gdyby ktoś, kto popełnił morderstwo, przyszedł do księdza po radę, po pomoc... Czy musiałby go ojciec wydać?

Czy szukała porady? Czy chciała rozproszyć jakieś swoje wątpliwości podczas niezobowiązującej rozmowy? Karras znał dobrze ludzi i wiedział, że czasem szukają potwierdzenia swoich lęków i rozgrzeszenia. Jakby rozgrzeszenie miało być niewidzialnym pomostem, bezpieczną drogą nad otchłanią.

— Gdyby przyszedł tylko po pomoc duchową, nie wydałbym go.

— Nie wydałby ksiądz.

— Nie. Ale starałbym się go przekonać, aby przyznał się sam.

— A co sądzi ojciec o egzorcyzmach?

— Słucham?

— Jeśli ktoś jest opętany przez demona, to czy zastosowałby ksiądz egzorcyzmy?

— No cóż, pewnie najpierw wsadziłbym go w wehikuł czasu i wysłał w szesnasty wiek.

Zdziwiła się.

— Co ksiądz ma na myśli? Nie rozumiem!

— To po prostu już się nie zdarza, pani MacNeil.

— Od kiedy?

— Od czasu, kiedy poznano choroby umysłowe, paranoję, rozdwojenie osobowości i to wszystko, czego właśnie uczyłem się w Harvardzie.

— Czy ksiądz żartuje?

W jej głosie wyczuł zmieszanie i niepewność. Pożałował swojej zbyt pośpiesznej i ostrej odpowiedzi. Powinien ugryźć się w język.

— Pani MacNeil — rozpoczął łagodnie — wielu wykształconych

katolików nie wierzy już w diabły. Jeśli natomiast chodzi o opętanie, to odkąd wstąpiłem do jezuitów, nie napotkałem ani jednego księdza, który kiedykolwiek w swoim życiu odprawiałby egzorcyzmy. Ani jednego.

— Czy rzeczywiście ojciec jest księdzem? — spytała ostrym tonem. — A jak ojciec wytłumaczy te wszystkie historie z Biblii opowiadające o Chrystusie wyganiającym z ludzi demony?

Odpowiedział szorstko, bez namysłu.

— Proszę posłuchać, gdyby Chrystus powiedział tym rzekomo opętanym, że cierpią na schizofrenię, to pewnie ukrzyżowano by go trzy lata wcześniej.

— Ach, tak? — Chris drżącą ręką przytrzymała okulary słoneczne. Starała się panować nad swoim głosem. — Akurat tak się złożyło, ojcze Karras, że ktoś, kto jest mi bardzo bliski, został prawdopodobnie opętany przez demona. Wymaga egzorcyzmów. Czy podjąłby się ich ksiądz?

Karrasowi nagle to wszystko wydało się nierealne: most nad rzeką, ruch uliczny i gwiazda filmowa Chris McNeil. Oczekując jego odpowiedzi zdjęła na chwilę okulary. Spojrzał na nią. Z zaskoczeniem dostrzegł zaczerwienione, podkrążone oczy, wpatrzone w niego z rozpaczą, błagalnie. Pojął, że chodzi o coś naprawdę poważnego.

— Ojcze Karras... To... To moja córka — wyrzuciła prędko. - Moja córka!

— Tym bardziej — powiedział miękko — jest to powód, aby całkowicie zapomnieć o egzorcyzmach i...

— Dlaczego?! Boże! Ja już nic nie rozumiem!

Ujął jej rękę w swoją dłoń.

— Przede wszystkim — powiedział uspokajająco — mogłyby tylko zaszkodzić.

— Ale jak?!

— Rytuał egzorcyzmów jest niebezpiecznie sugestywny. Może zasiać przeświadczenie o opętaniu, jeśli przedtem nie występowało, a na pewno może pogłębić chorobę. A poza tym, pani McNeil, zanim Kościół wyrazi zgodę na

egzorcyzmy, należy gruntownie zbadać ich zasadność. A to wymaga długiego czasu. I w tym czasie...

— A czy nie mógłby ksiądz odprawić egzorcyzmów na własną rękę? — powiedziała błagalnie. Wargi jej trzęsły się, oczy wypełniły łzy.

— No, każdy ksiądz może odprawić egzorcyzmy, ale musi jednak mieć zgodę Kościoła. Szczerze mówiąc, jest ona rzadko udzielana, zatem...

— A czy mógłby ksiądz chociaż obejrzeć Regan?

— Jako psychiatra tak, mogę, ale...

— Ona potrzebuje księdza! — zawołała nagle Chris, a rysy jej twarzy zmieniły się pod wpywem gniewu i bólu. — Oprowadziłam ją po setkach tych wymądrzających się, pieprzonych lekarzy w całym kraju. I oni mnie wysłali do księdza, a teraz ksiądz kieruje mnie do nich!!!

— Ale...

— Jezus Maria! Czy ktoś mi w końcu pomoże?!

Tafla wody odbiła echem jej okrzyk rozpaczy. Spłoszone ptaki poderwały się z szuwarów.

— Och! Czy ktoś mi w końcu pomoże?!

Chris przytuliła się do piersi Karrasa i szlochała konwulsyjnie.

— Proszę, pomóż mi, proszę, proszę pomóż!

Jezuita popatrzył na Chris i położył łagodnie dłoń na jej głowie. Kierowcy przejeżdżających samochodów oglądali się za nimi.

— Już dobrze — powiedział Karras gładząc ją po ramieniu. Pragnął przede wszystkim uspokoić łkającą kobietę. Typowy atak histerii. *Jej córka! To przecież ona potrzebuje pomocy psychiatry!*

— Już dobrze, już dobrze — powiedział — zbadam ją.

Szli w milczeniu. Ciągle nie mógł się wyzbyć poczucia nierzeczywistości całej sytuacji. Próbował zebrać myśli koncentrując się na wykładzie, który miał wygłosić następnego dnia na wydziale medycznym.

Wstąpili na schody. Karras spojrzał w dół, dostrzegł hotel jezuitów i

pomyślał, że spóźni się na posiłek. Było już dziesięć po szóstej. Chris włożyła klucz do zamka. Zawahała się, potem odwróciła.

— Ojcze, czy nie lepiej, aby ksiądz był w sutannie? Ten jej głos: dziecinny, naiwny.

— To byłoby zbyt niebezpieczne — powiedział z powagą. Skinęła ze zrozumieniem głową. Otworzyła drzwi i wtedy poczuł to: zimny, ostrzegawczy dreszcz, przeszywający ciało niczym sopel lodu.

— Ojcze Karras?

Popatrzył na Chris. Weszła do środka. Drzwi były otwarte. Stał przez chwile niezdecydowany. Potem uczynił krok do przodu i wszedł do domu z uczuciem, że coś się bezpowrotnie kończy.

Posłyszał jakiś ruch na piętrze. Głęboki, stłumiony, grzmiący bas miotał przekleństwa. Głos pałał gniewem, nienawiścią, bezbrzeżną wściekłością.

Karras spojrzał na Chris. Milczała. Potem r.uszyła przed siebie. Wszedł za nią na górę, przeprowadziła go przez korytarz do sypialni Regan. Naprzeciw, z głową wciśniętą w ramiona, stał Karl. Kiedy podniósł oczy na Chris, Karras dostrzegł w źrenicach Szwajcara przerażenie i rezygnację. Wrzask dobiegający spoza zamkniętych drzwi sypialni był tak donośny, jakby został wzmocniony elektrycznie.

— To nie chce być przywiązane — powiedział Karl do Chris zmęczonym, ochrypłym głosem.

— Za chwilę wrócę — powiedziała Chris do księdza. Zeszła do swojej sypialni. Karras przeniósł wzrok na Karla. Szwajcar obserwował go uważnie.

— Czy jest pan księdzem? — spytał.

Karras przytaknął, a potem szybko uczynił krok w stronę drzwi do sypialni Regan. Ostry wrzask przeszedł teraz w przeciągłe wycie rannego zwierzęcia, które nie może uwolnić się z sideł.

Ktoś ujął Karrasa za rękę.

— To ona — powiedziała Chris. — To Regan.

Podała mu fotografię. Mała, ładna, słodko uśmiechająca się dziewczynka.

— Zrobiono to zdjęcie przed czterema miesiącami — powiedziała beznamiętnym głosem. Odebrała mu fotografię i wskazała głową w kierunku drzwi sypialni.

— Niech pan ją teraz zobaczy. Oparła się o ścianę obok Karla. — Ja poczekam tutaj.

— Kto jest u niej? — spytał Karras.

— Jest sama.

Obrzucił ją uważnym spojrzeniem, a potem ujął marszcząc czoło. W tym momencie wycie nagle ustało. Zawahał się na krótko. W ciszy słyszał bicie własnego serca. Wszedł. Naraz cofnął się o krok. Odór ekskrementów uderzył go w twarz niczym miękka kula.

Zamknął za sobą drzwi przezwyciężając obrzydzenie. Niemal od razu wzrok jego przykuła leżąca na łóżku postać, która kiedyś była dziewczynką. Stworzenie spoczywało wyprostowane z głową opartą wysoko na poduszce. Szeroko rozwarte wytrzeszczone oczy błyszczały szaleństwem, ale dostrzegł w nich także niezwykłą inteligencję, a także zaciekawienie. Osadzone były w twarzy przemienionej w przerażającą, trupią i złośliwą maskę. Karras przesunął spojrzenie na rude, skołtunione włosy, potem spojrzał na wychudzone ręce, nogi, groteskowo wydęty brzuch. I znów te oczy: obserwowały go, przeszywały, posuwały się za nim, gdy podszedł do biurka pod oknem.

— Cześć, Regan — powiedział ciepłym, przyjacielskim tonem. Krzesło od biurka przysunął do łóżka.

— Jestem przyjacielem twojej mamy. Powiedziała mi, że nie czujesz się najlepiej — usiadł. — Czy mogłabyś mi powiedzieć, co ci dolega? Chciałbym ci pomóc.

Jej źrenice płonęły dziko. Powieki miała nieruchome. Żółta ślina ściekała z kącika ust po brodzie. Potem wargi jej rozciągnęły się w złośliwym, ironicznym grymasie.

— Tak, tak, tak — wyszczekała sardonicznie.

Karras poczuł, jak włosy jeżą mu się na głowie. Głęboki, gruby bas, grzmiał niebezpieczną siłą.

— A więc to ty! Przysłali cię... Tak, my się ciebie nie boimy.

— Tak, masz rację. Jestem twoim przyjacielem. Chcę ci pomóc — powtórzył Karras.

— W takim razie, czy mógłbyś poluzować te pasy? — chrapnęła Regan. Uniosła lekko nadgarstki, aby mógł zobaczyć, że przymocowano je do łóżka podwójnymi, mocno naciągniętymi pasami.

— Czy jest ci w nich niewygodnie? — zapytał.

— Okropnie. Przeszkadzają mi. Okropnie mi przeszkadzają. Piekielnie. — W jej oczach błysnęło skrywane rozbawienie. Karras dostrzegł ślady zadrapań na twarzy dziewczynki; rany na wargach, niewątpliwie od zębów.

— Obawiam się,.że mogłabyś zrobić sobie krzywdę, Regan.

— Nie jestem Regan! — burknęła, wciąż z tym złośliwym grymasem, który wydał się Karrasowi nieodłącznym wyrazem jej twarzy. Pomyślał, jak dziwnie nie pasował do niego ortodontyczny aparacik.

— Aha, rozumiem. To w takim razie może poznajmy się. Ja jestem Damien Karras. A ty, kim jesteś?

— Ja jestem szatanem.

— A, to świetnie — Karras pokiwał z aprobatą głową.

— W takim razie możemy porozmawiać.

— Mała pogawędka? Jak sobie życzysz. To bardzo dobre dla duszy. Niemniej jednak powinieneś odgadnąć, że nie mogę swobodnie rozmawiać skrępowany tymi pasami. Jestem przyzwyczajony do gestykulacji. — Śliniła się. — Jak zapewne wiesz, spędziłem wiele czasu w Rzymie, a Włosi gestykulują, mój drogi Karrasie. A teraz bądź tak dobry i odwiąż mnie.

Elokwencja i precyzja rozumowania zaskoczyła Karrasa. Pochylił się na krześle z zawodowym zainteresowaniem.

— Mówisz, że jesteś diabłem? — zapytał.

— Zapewniam cię, że tak jest.

— W takim razie, czemu sam nie uwolnisz się z pęt?

— To byłby zbyt wulgarny pokaz siły. Nazbyt okrutny. Przecież mimo wszystko jestem księciem — chichot. — Wolę posługiwać się perswazją, porozumieć się, wpłynąć. Co więcej, przyjacielu, gdybym sam rozluźnił pasy, pozbawiłbym cię możliwości spełnienia dobrego uczynku.

— Ale przecież spełnianie dobrych uczynków jest cnotą, diabeł zatem powinien ich unikać. Dlatego, pragnąc ci pomóc, nie rozwiążę pasów. Oczywiście, jeśli jesteś naprawdę diabłem — wzruszył ramionami — bo gdybyś nim nie był, to pewnie rozwiązałbym je.

— O, jesteś sprytny jak lis, Karras. Gdybyż drogi Herod mógł być tutaj z nami!

— Który Herod? — Karras zmrużył oczy. Chrystus nazwał Heroda lisem. Czy to miała na myśli? Było ich dwóch; czy mówisz o królu Judei?

— O tetrarsze Galilei! — Wybuch zajadłego gniewu. Wnet na jej twarz powrócił poprzedni grymas. Poczęła zawodzić płaczliwym głosem: — Ach, sam widzisz, jak te okropne więzy mnie rozdrażniają! Rozwiąż je, rozwiąż, a przepowiem ci przyszłość.

— Bardzo kuszące.

— Mam moc.

— Ale skąd mogę wiedzieć, że naprawdę potrafisz czytać w przyszłości?

— Jestem diabłem!

— To już mówiłeś, ale daj dowód.

— Nie ma w tobie wiary.

Karras zesztywniał.

— W co?

— We mnie, Karras, mój drogi, we mnie! - w jej oczach zamigotała drwina. — Ach, wszystkim są potrzebne dowody, znaki na niebie!...

— Możemy to rozstrzygnąć o wiele prościej - zaproponował Karras. — Diabeł podobno wie wszystko, czy nie tak?

— Prawie wszystko, Karras, prawie. Rozumiesz? Mówią, że jestem zarozumiały, jak widzisz nieprawda. No, ale do rzeczy. Co chcesz wiedzieć, lisie? — Żółtawe, przekrwione oczy zalśniły chytrze.

— Myślę, że mógłbym zrobić mały egzamin.

— Ach, tak... Największe jezioro w Ameryce Południowej — recytowała z uciechą w oczach - Titicaca w Peru. Wystarczy?

— Nie. Musiałbym zapytać cię o coś, co może wiedzieć tylko szatan. Na przykład, gdzie jest Regan, czy wiesz?

— Ona jest tutaj.

— Co znaczy tutaj?

— W tej świni.

— Pozwól mi ją zobaczyć.

— Po co?

— Jak to? Aby udowodnić, że mówisz prawdę.

— Chcesz się z nią pieprzyć? Zdejmij pasy, wtedy pozwolę ci to zrobić.

— Chcę ją zobaczyć.

— Bardzo miła cipka — Regan strzeliła oczyma — ale marny z niej partner do rozmowy, mój przyjacielu. Radzę ci z całego serca, żebyś lepiej pozostał w moim towarzystwie.

— W takim razie jest oczywiste, że nie wiesz, gdzie przebywa Regan — skonstatował Karras. — Zatem na pewno nie jesteś diabłem.

— Jestem! — zawyła Regan rzucając się w przód z twarzą pałającą wściekłością.

Karrasa przeszył dreszcz, kiedy głuchy, przerażający krzyk odbijał się echem od ścian pokoju.

— Jestem!

— Więc pokaż mi Regan — powiedział Karras. — To będzie dla mnie

dowód.

— Pokażę ci, pokażę ci, że umiem czytać w twoich myślach — wycedziła przez zęby. — Pomyśl jakąś liczbę od jednego do dziesięciu!

— Nie, to niczego nie udowodni. Muszę zobaczyć Regan. Istota w łóżku zachichotała. Jej głowa opadła na zagłówek.

— Nie, ty Karras nie uwierzysz w żaden dowód. Jakie to wspaniałe. Doprawdy, wspaniałe! A tymczasem ja cierpię, bo mnie swędzi i nie mogę się podrapać. Czy mógłbyś rozwiązać na chwilę choć jeden pas, Karras?

— Nie. Powiedz, gdzie czujesz swędzenie, to ja cię podrapię.

— O, sprytne. Bardzo sprytne. Chcesz sobie pomacać, co?

— Ukaż mi Regan, to być może rozwiążę jeden pas — zaproponował Karras. — Jeżeli...

Nagle zamarł przerażony. Ujrzał tuż przed sobą dziecinne, wystraszone oczy i usta otwarte w bezgłośnym wołaniu o pomoc. Ale zaraz rysy twarzy Regan ściągnęły się w znajomą maskę.

— Czy teraz zdejmiesz więzy? — rozległ się przymilny głos z silnym brytyjskim akcentem. Potem znów powrócił demon.

— Czy wspomożesz starego ministranta, ojczulku? — zaskowyczała i zaniosła się śmiechem odrzucając głowę do tyłu.

Karras poczuł na karku dotyk lodowatych dłoni. Istota, w którą przemieniła się Regan, utkwiła w jego twarzy szydercze spojrzenie.

— Przypadkiem jest tu z nami także twoja matka, Karras. Czy chciałbyś jej przekazać jakąś wiadomość? Dopilnuję, aby ją otrzymała.

Karras zdołał uchylić się przed gwałtownym strumieniem wymiotów. Pobrudziły mu rękaw swetra i dłoń. Krew odpłynęła z twarzy księdza. Regan zanosiła się śmiechem. Wytarł rękę o kołdrę.

— Jeśli to prawda — powiedział stłumionym głosem - powinieneś znać imię mojej matki. Powiedz je.

Istota na łóżku zawyła ochrypłym głosem aż zadźwięczały szyby w oknie.

Oczy wywróciła białkami do góry. Przez chwilę Karras obserwował ją. Wycie nie ustawało. Potem spojrzał na swoją rękę i wyszedł z pokoju.

Chris zbliżyła się do niego szybkim krokiem, patrząc zmieszana na sweter.

— Co się stało? Czy wymiotowała?

— Mogę prosić o ręcznik?

— Tam jest łazienka — wskazała drogę.

— Karl, popilnuj ją — poleciła i poszła za księdzem do łazienki.

— Jest mi tak przykro — powiedziała wyjmując ręcznik z szafy.

Jezuita zanurzył ręce w umywalce.

— Czy ona jest cały czas pod wpływem środków uspokajających? — zapytał.

Chris odkręciła kurek.

— Tak, bierze librium. Niech ojciec zdejmie sweter i umyje się.

— Jakie dawki? — zapytał usiłując ściągnąć sweter niezabrudzoną lewą ręką.

— Proszę poczekać, pomogę księdzu. No cóż, dzisiaj dostała czterysta miligramów.

— Czterysta?

Podciągnęła mu sweter na wysokość piersi.

— Tak, dzięki temu mogliśmy ją związać. Musieliśmy wszyscy...

— Dała pani swojej córce czterysta miligramów naraz?

— Niech ksiądz teraz podniesie ręce do góry — wykonał polecenie, a Chris ostrożnie zdjęła mu sweter przez głowę.

— Nie uwierzyłby ksiądz, jaka ona jest teraz silna! Wrzuciła sweter do kosza z brudną bielizną.

— Willi upierze go. Bardzo mi przykro.

— Nic nie szkodzi. To nie ma znaczenia. — Rozpiął guziki rękawów białej koszuli i podwinął je do łokcia obnażając mocne, umięśnione i silnie owłosione przedramię.

— Bardzo mi przykro — powtórzyła cicho Chris siadając na brzegu wanny.

— Czy dostaje jakiś pokarm? — spytał Karras. Trzymał rękę pod strumieniem gorącej wody i mył ją

dokładnie.

Chris obracała w dłoniach różowy ręcznik. Błękitną nitką wyhaftowano na nim imię — Regan.

— Nie, ojcze. Podajemy jej tylko sustagen, kiedy śpi. Ale wypluła tubę.

— Zdołała wypluć tubę gastryczną?

— Tak, dzisiaj.

Nieco zbity z tropu Karras pochylił się i opłukał dłonie.

— Ona powinna być w szpitalu.

— Ja nie mogę tego zrobić — powiedziała głucho Chris.

— Czemu nie?

— Po prostu nie mogę — powtórzyła zirytowana. — Nie mogę w to wciągać nikogo więcej! Ona jest... — Chris opuściła głowę. Westchnęła głęboko. — Zrobiła coś, ojcze, i nie mogę ryzykować, żeby ktoś się o tym dowiedział. Żaden lekarz," żadna pielęgniarka... — spojrzała na niego wymownie — zupełnie nikt.

Zakręcił kran. *Co by było, gdyby ktoś, kro popełnił morderstwo, przyszedł do księdza...* Pochylił głowę nad umywalką.

— A kto jej podaje lekarstwa? Librium? Sustagen?

— My. Lekarz pokazał nam, jak to trzeba robić.

— Ale przecież musicie mieć recepty na leki?

— Ksiądz może w tym pomóc, prawda?

Karras odwrócił się do niej z uniesionymi rękoma. Wyglądał jak chirurg przed zabiegiem. Na moment ich oczy spotkały się; dostrzegł w źrenicach Chris jakąś straszną tajemnicę, przerażający sekret. Przeniósł wzrok na ręcznik.

— Proszę mi go podać — poprosił.

— Och, przepraszam — wciąż patrzyła na niego z wyczekiwaniem. Jezuita wytarł dłonie.

— I cóż, ojcze? — zapytała wreszcie. — Czy myśli ksiądz, że ona jest opętana?

— A pani tak myśli?

— Nie wiem. Sądziłam, że to ksiądz jest ekspertem?

— A co pani w ogóle wie o opętaniu?

— Niewiele. Tylko tyle, ile wyczytałam. I trochę opowiedzieli mi lekarze.

— Jacy lekarze?

— W klinice Barringer.

— Czy jest pani katoliczką?

— Nie.

— A pani córka?

— Nie.

— A jakie wyznanie...

— Żadne. Ale ja...

— Więc dlaczego przyszła pani do mnie? Kto pani doradził?

— Przyszłam, bo nie miałam już wyjścia! Nikt mi nic nie doradzał.

Karras stał obrócony do niej plecami. W dłoniach wciąż trzymał ręcznik.

— Wspomniała pani wcześniej, że to psychiatrzy poradzili pani zwrócić się do mnie.

— Ach, ja już sama nie wiem, co mówię. Mam kompletną pustkę w głowie.

— Nieważne, w sumie, jakim sposobem pani do mnie trafiła — odparł panując nad swoim głosem. — Dla mnie najważniejsze jest to, jak pomóc pani córce. I mogę powiedzieć już w tej chwili, że jeśli chce pani poprzez egzorcyzmy leczyć córkę szokiem autosugestywnym, to lepiej niech pani od razu zadzwoni po karetkę ze szpitala psychiatrycznego, panno McNeil, bo Kościół nigdy się na egzorcyzmy nie zgodzi i tylko straci pani wiele cennego

czasu. — Karras zacisnął palce na ręczniku, aby powstrzymać drżenie rąk. *Co się dzieje? Co to wszystko znaczy?*

— Nawiasem mówiąc, nie jestem panną — usłyszał oschły głos Chris.

Teraz starał się mówić łagodniejszym tonem.

— Proszę posłuchać, bez względu na to, czy jest to demon, czy zaburzenie psychiczne, zrobię wszystko, żeby jej pomóc. Ale muszę znać prawdę. To ważne dla Regan. Bo teraz poruszam się po omacku, nic nie wiedząc, co zresztą nie jest dla mnie nowe, tak bywa często w mojej pracy. Ale właściwie, dlaczego stoimy ciągle w łazience, a nie zejdziemy na dół, gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać? — uśmiechnął się lekko. — Chętnie napiłbym się kawy.

— A ja drinka.

Sharon i Karl czuwali przy Regan, gdy Chris i ksiądz zeszli do gabinetu. Chris usiadła na sofie, Karras zajął miejsce na krześle obok kominka. Chris opowiedziała mu dokładnie historię choroby Regan, ale starannie omijała wszystkie szczegóły związane z Denningsem.

Ksiądz słuchał mówiąc niewiele. Tylko od czasu do czasu rzucał pytanie, kiwał głową, marszczył brwi.

Chris przyznała się, że z początku rzeczywiście myślała o egzorcyzmach pojmowaych jako kuracja wstrząsowa.

— Ale teraz już sama nie wiem — powiedziała nerwowo wyłamując palce rąk. — Po prostu nie wiem — podniosła spojrzenie na zamyślonego Karrasa. - A jakie jest zdanie księdza?

— Być może to kompleks winy połączony z rozdwojeniem jaźni.

— Ojcze! Słyszałam te wszystkie bzdury już setki razy! Jak może ksiądz coś takiego mówić po tym, co widział przed chwilą?

— Gdyby pani oglądała tyle przypadków chorób psychicznych co ja, nie miałaby pani takiej pewności — przekonywał ją. — Ale wróćmy do tematu. Opętanie przez demona. Przyjmijmy, że to się może zdarzyć. Lecz pani córka

nie twierdzi, że wstąpił w nią szatan, ale upiera się. że jest samym diabłem. To tak samo, jakby mówiła, iż jest Napoleonem Bonaparte. Rozumie pani?

— A jak ksiądz wytłumaczy le wszystkie stukoty i inne zjawiska?

— Ja nic nie słyszałem.

— No, dobrze. Ale słyszeli je lekarze w klinice Barringer. A więc występowały nie tylko w tym domu.

— No, nie musiał być to koniecznie diabeł.

— Więc czym ksiądz je wyjaśni? — upierała się Chris.

— Psychokinezą.

— Czym?

— Słyszała pani pewnie o zjawiskach parapsyehicznych?

— Chodzi o duchy zrzucające z półek talerze i tym podobne?

Karras potwierdził.

— Te fenomeny nie są wcale takie rzadkie i zwykle zdarzają się w otoczeniu osób będących w wieku dojrzewania, kóre cierpią na zaburzenia emocjonalne. Bez wątpienia potęga psychiki może czasem wyzwolić jakąś nieznaną energię i przy jej pomocy przesuwać różne obiekty. I nie ma w tym nic nadnaturalnego. Tak samo jest z niezwykłą siłą Regan. Literatura zna takie przypadki. Można je nazwać panowaniem umysłu nad materią.

— Dla mnie to czarna magia.

— Cóż, w każdym razie nie ma to nic wspólnego z opętaniem.

— No, czy to nie wspaniałe? — powiedziała Chris, bez powodzenia siląc się na ironię. — Siedzą tutaj razem, ateistka i ksiądz, i...

— Najlepsze wytłumaczenie każdego zjawiska — przerwał jej — obejmuje wszystkie fakty, a przy tym jest najprostsze.

— Może jestem głupia — odparowała Chris — ale mówienie o nieznanej mocy, która potrafi rzucać talerzami w sufit nie przekonuje mnie. Więc, co to naprawdę jest? Czy, na miłość Boską, może mi ksiądz powiedzieć, co to jest?!

— No, w ten sposób...

— Co to jest, u licha, rozdwojenie osobowości? Mówił ksiądz o tym, słyszałam, ale dalej nie rozumiem o co w tym chodzi! Czy może mi ksiądz wytłumaczyć to tak, abym wreszcie mogła pojąć?

W jej zaczerwienionych, opuchniętych oczach dostrzegł rozpacz.

— Nikt na świecie nawet nie próbuje udawać, że rozumie te rzeczy — odpowiedział ksiądz łagodnym tonem. — Wszystko, co wiadomo na pewno, to tyle, że choroba występuje, cokolwiek zaś poza samym zjawiskiem jest czystą spekulacją. Ale jeśli pani chce, spróbuję: proszę sobie wyobrazić — mózg ludzki zawiera około siedemnastu miliardów komórek... — Chris słuchała go z zainteresowaniem. — I gdybyśmy zajrzeli w ich głąb, zauważylibyśmy, że w ciągu sekundy przepływa przez nie mniej więcej milion informacji, tyle bowiem występuje bodźców bombardujących nas w tym czasie. Mózg nie tylko łączy dane, ale ponadto czyni to nader precyzyjnie i nigdy nie myli się w doborze odpowiednich reakcji. Wydaje się niemożliwe, aby nie występowały zależności pomiędzy komórkami. A teraz proszę sobie wyobrazić, że ciało ludzkie jest ogromnym statkiem transoceanicznym, a komórki mózgu są załogą. Tylko jedna z nich jest kapitanem i stoi na mostku. Nie wie nigdy dokładnie, co reszta załogi wyczynia pod pokładem. Wie tylko, że statek płynie do przodu. Tym dowódcą jest pani, pani świadomość. W przypadku rozdwojenia jaźni, jedna z 3 komórek, która do tej pory była marynarzem pracującym pod pokładem, wchodzi na mostek i przejmuje komendę. Innymi słowy — bunt. Czy pojmuje pani?

Przyglądała mu się mrużąc oczy.

— Ojcze, te wszystkie wyjaśnienia są tak zawiłe, że już chyba łatwiej jest uwierzyć w diabła.

— Cóż...

— Proszę posłuchać, ojcze: nic nie wiem o tych różnych teoriach, nie przemawiają do mnie - przerwała mu. Jej głos zdradzał napięcie. — Ale powiem coś księdzu. Gdyby mi ktoś pokazał sobowtóra mojej córki: tę samą twarz, głos,

zapach i tak dalej — po chwili wiedziałabym, że to nie jest prawdziwa Regan. Wiedziałabym to! Podpowiadałoby mi serce. I teraz mówię księdzu, że ta istota w sypialni *nie jest mają córką.* Wiem to! Wiem to!

Opadła ciężko na krzesło.

- A teraz niech mi ksiądz powie, co robić? Powiedział ksiądz, że wie na pewno, iż Regan nie potrzebuje egzorcyzmów. Jest ksiądz pewny, że to nic nie pomoże. No więc, niech ksiądz teraz powie, co robić?!!!

Przez dłuższą chwilę Karras nie odpowiadał. Potem rzekł:

— Tak, niewiele jest rzeczy na świecie, które wiem na pewno... — zamyślił się. — Czy Regan z natury ma niski głos?

— Nie, skąd. Powiedziałabym, ze bardzo wysoki.

— Czy uważa pani, że Regan jest nad wiek rozwinięta?

— Wcale.

— Czy zna pani jej iloraz inteligencji?

— W okolicach przeciętnej.

— Jakie książki lubi czytać?

— Książki dla dzieci i komiksy.

— A jak bardzo jej obecny sposób wysławiania się różni się od normalnego?

— Całkowicie. Nigdy nie używała nawet połowy wypowiadanych teraz słów.

— Nie chodzi mi o jej słownictwo, raczej o styl.

— Styl?

— Sposób, w jaki łączy słowa.

— Nie jestem pewna, czy dobrze rozumiem.

— Ma pani jakieś jej listy, wypracowania, może nagrany na taśmę głos?

— Tak. Mam kasetę, którą nagrywała dla ojca. Chciała mu ją wysłać jako list, ale nigdy nie mogła dokończyć. Chce pan posłuchać?

— Tak. Chciałbym też otrzymać jej karty chorobowe ze szpitali.

Szczególnie z kliniki Barringer.

— Ojcze, nie ma przecież sensu powtarzać od początku...

— Rozumiem, chciałbym jednak obejrzeć te wyniki.

— Więc ciągle jest ksiądz przeciwny egzorcyzmom?

— Sprzeciwiam się tylko zrobieniu pani córce krzywdy.

— Ale teraz rozmawia ksiądz ze mną jako psychiatra, tak?

— Nie, mówię także jako ksiądz. Jeśli zwrócę się do władz kościelnych, aby otrzymać pozwolenie na odprawianie egzorcyzmów, przede wszystkim będę musiał przedstawić przekonujący dowód, że stan pani córki wybiega poza schorzenie psychiatryczne. Poza tym sam muszę mieć z góry pewność, że Kościół uzna występujące u Regan symptomy za oznaki opętania.

— Na przykład?

— Sam jeszcze nie wiem.

— Czy ksiądz żartuje? Myślałem, że jest ojciec ekspertem.

— W tej chwili wie pani prawdopodobnie więcej o opętaniu niż wielu księży. Kiedy zatem będzie mi pani mogła dostarczyć dokumenty z Barringer?

— Jeśli trzeba, wynajmę samolot.

— A ta kaseta? Powstała.

— Spróbuję ją znaleźć.

— Jeszcze jedno — dodał Karras - Wspomniała pani o książce, w której jest mowa o opętaniu. Czy sądzi pani, że Regan mogła przeczytać ją nim zachorowała?

Zastanawiała się.

— Myślę, że czytała coś w przededniu, no... zanim się zaczęły kłopoty. Nie mogę być wprawdzie w stu procentach pewna, ale myślę, że mogła to przeczytać... Tak... rzeczywiście, mogła.

— Chciałbym obejrzeć tę książkę. Czy mogłaby mi pani ją pożyczyć?

— Właściwie jest już księdza, bo została wypożyczona z waszej biblioteki. Zaraz ją przyniosę. — Ruszyła ku drzwiom. — A kasetę mam gdzieś na

parterze. Poszukam. Zaraz wracam.

Karras badawczo wpatrywał się we wzór na dywanie. Po pewnym czasie podniósł się z krzesła, wyszedł na korytarz i przystanął w ciemności nasłuchując. Znajdował się jakby w innym wymiarze. Z piętra dobiegało go na przemian chrząkanie świni, wycie szakala, czkawka, wężowy syk.

— O, ksiądz tutaj. A ja szukałam ojca w gabinecie. Karras odwrócił się i zapalił światło.

— Czy ksiądz już wychodzi? — podeszła niosąc książkę i taśmę.

— Przykro mi, ale muszę przygotować się do jutrzejszego wykładu.

— Ach, tak. A gdzie...?

— Na fakultecie medycznym — wziął od niej książkę i taśmę. — Postaram się zajrzeć jutro po południu, najpóźniej wieczorem. A gdyby w tym czasie wydarzyło się coś nieoczekiwanego, proszę do mnie dzwonić bez względu na porę. Zostawię na portierni wiadomość, żeby połączono panią bezpośrednio.

Podziękowała mu.

— A jak z lekami?

— Mam jeszcze recepty.

— I nie zamierza już pani wzywać swojego lekarza?

Chris przymknęła oczy i potrząsnęła głową.

— Nie mogę, po prostu nie mogę.

— Nie mam zezwolenia na prywatną praktykę. I nie jestem internistą. — Czuł jakby narastający niepokój. — No tak, wcześniej czy później będę jednak musiał zawiadomić swoich zwierzchników, że zająłem się tym przypadkiem, szczególnie, że pewnie będę musiał zaglądać tu o różnych porach dnia i nocy.

— Czy naprawdę ksiądz musi im mówić? — patrzyła na niego ze smutkiem.

— W przeciwnym razie mogłoby to dość dziwnie wyglądać, nie uważa pani?

— Tak, wiem co ksiądz ma na myśli — wyszeptała.

— Doprawdy, nie ma czego się obawiać. Powiem tylko, że muszę tutaj przychodzić. Zachowam całkowitą dyskrecję.

Zwróciła ku niemu umęczoną twarz. Jego źrenice wyrażały siłę woli, ale także i ból.

— Dobrze — powiedziała cicho. Szczególny wyraz bólu w jego oczach wzbudził zaufanie Chris.

— Porozmawiamy jeszcze. Do zobaczenia.

Ruszył do wyjścia, lecz zatrzymał się przy drzwiach, jakby coś sobie przypomniał.

— Czy pani córka była uprzedzona o tym, że odwiedzi ją ksiądz?

— Nie. O wizycie ojca nie wiedział nikt prócz mnie.

— Czy pani wiedziała, że moja matka zmarła niedawno?

— Tak, bardzo mi przykro.

— A czy Regan wiedziała o tym?

— Dlaczego miałaby wiedzieć?

— Lecz czy wie o tym?

— Nie, na pewno nie. Milczał.

— Dlaczego ksiądz o to pyta? — spytała nieco zdziwiona.

— Nie, to nic ważnego, po prostu chciałem upewnić się — patrzył na Chris zatroskany. — Czy pani w ogóle sypia?

— Tak, trochę.

— Proszę wziąć jakieś środki. Czy zażywa pani librium?

— Tak.

— Jakie dawki?

— Dziesięć miligramów dwa razy dziennie.

— Proszę spróbować dwa razy po dwadzieścia. I raczej się nie zbliżać do córki. Im rzadziej pani ją ogląda w takim stanie, tym mniejsze ryzyko urazu w uczuciach rodzicielskich. Niech pani myśli o takiej córce, jaką była dotąd. I

proszę się uspokoić. Nie będzie mowy o pomocy Regan, jeżeli sama wpadnie pani w depresję.

Uczyniła nieokreślony ruch głową i spuściła wzrok.

— A teraz proszę mi obiecać, że od razu położy się pani do łóżka.

— Dobrze, obiecuję — patrzyła na niego usiłując się uśmiechnąć.

— Dobranoc, ojcze. Dziękuję. Bardzo dziękuję. Chwilę milczał, a potem szybko odwrócił się i wyszedł. Chris obserwowała go, kiedy przechodził przez ulicę.

Uświadomiła sobie, iż prawdopodobnie przez nią nie zjadł obiadu. Potem zmartwiła się, że zmarznie nie opuścił rękawów koszuli. Na rogu Prospect Streer wypadła mu książka. Pochylił się zręcznie, by ją podnieść. Potem zniknął jej z oczu. Chris było teraz lżej, poczuła ulgę. Nie zauważyła siedzącego samotnie w nie oznakowanym samochodzie Kindermana. Zamknęła drzwi.

Pół godziny później Damien Karras powrócił do swego pokoju trzymając pod pachą kilka książek i czasopism wypożyczonych z biblioteki seminarium. Rzucił je na blat biurka i z hałasem otworzył szufladę poszukując papierosów. Znalazł tylko prawie pustą paczkę cameli. Zapalił, zaciągnął się głęboko. Pomyślał o Regan.

Histeria. To musi być histeria. Wypuścił ustami dym i zerknął na książki. *Opętanie* Oesterreicha, *Diabeł z Loudun* Huxleya, *Opis przypadku Haizmana* Freuda, *Opętanie przez szatana i egzorcyzmy we wczesnym chrześcijaństwie w świetle najnowszych osiągnięć psychiatrii* — McCaslanda oraz nadbitka kwartalnika psychiatrycznego o wykładzie Freuda oraz *Neurotyczne pochodzenie opętania w XVII wieku i Demonologia w nowoczesnej psychiatrii.*

Czy wspomożesz starego ministranta, ojczulku?

Karras otarł czoło, a potem obejrzał swoje mokre od potu palce.

Spostrzegł, że pozostawił otwarte drzwi. Wstał i zamknął je. Potem wziął z półki egzemplarz *Rytuału Rzymskiego,* zbioru modlitw i obrządków. Nie wyjmując z ust papierosa otworzył książkę na rozdziale *Ogólne zasady*

egzorcyzmów, poszukując fragmentu dotyczącego zewnętrznych symptomów opętania. Czytał powoli:

„Egzorcysta nie powinien zbyt łatwo dawać wiary, że pacjent jest opętany przez złego ducha. Należy przede wszystkim zbadać objawy, które mogą odróżnić osobę rzeczywiście opętaną od cierpiącej na chorobę psychiczną. Symptomy opętania bywają następujące: wypowiadanie się w obcym języku lub rozumienia go, gdy używają go inne osoby, zdolność przewidywania przyszłości i wyjawianie nieznanych faktów, demonstracja siły nadnaturalnej oraz ponadnormalnych możliwości. Istnieje też wiele innych objawów, które łączone w całość, mogą być wystarczającym świadectwem opętania..."

Przez pewien czas Karras rozważał przeczytany urywek. Oparty o półkę doczytał rozdział do końca. Potem raz jeszcze wrócił do instrukcji ósmej: „Niektórzy zaś ujawniają też zbrodnie oraz ich sprawców..." Usłyszał pukanie.

— Damien?

— Wejdź. Był to Dyer.

— Cześć. Chris chciała się z tobą zobaczyć. Znalazła cię?

— Kiedy? Dziś wieczór?

— Nie. Po południu.

— A tak, tak. Rozmawiałem z nią.

— To dobrze — powiedział Dyer. - Chciałem tylko się upewnić, że dostałeś wiadomość.

Dyer kręcił się po pokoju raz po raz biorąc do rąk i odkładając różne przedmioty, jakby robił zakupy w supermarkecie.

— Czego szukasz, Joe? — spytał Karras.

— Masz cytrynowe dropsy?

— Co?

— Przeszukałem cały budynek. Nikt ich nie ma. Chłopie, taką mam na nie ochotę — skarżył się Dyer nie zaprzestając myszkowania. Kiedyś przez rok pracowałem jako spowiednik w szkole i ukarałem pewnego handlarza dropsami.

Ale potem sam wpadłem w nałóg. Te małe skurczybyki ziały na mnie tymi dropsami przez całe dnie. I myślę, że to nieuleczalne — zajrzał do puszki po tytoniu, w której Karras schował kilka orzeszków pistacjowych. — A to co? Zeschła fasola meksykańska?

Karras szukał książki na półce.

- Słuchaj, Joe, mam...

— Czyż ta Chris nie jest miła? — przerwał mu Dyer rzucając się na łóżko Karrasa. Wyciągnął się swobodnie i podłożył ręce pod głowę. — Miła kobieta! Spotkałeś się z nią?

— Rozmawialiśmy — rzekł Karras biorąc z półki tom w zielonej oprawie. *Szatan,* zbiór rozpraw francuskich teologów katolickich. Z książką w ręce przeszedł do biurka. — Słuchaj, ja naprawdę muszę...

— Przystępna, nie zarozumiała. Normalna — ciągnął Dyer. — Mogłaby pomóc w realizacji naszych planów, gdy obaj wystąpimy z zakonu.

— A kto ma zamiar występować z zakonu?

— Nie wiesz, że czarny kolor wychodzi z mody? I teraz zamierzam...

— Joe, muszę przygotować wykład na jutro — powiedział Karras układając książki na biurku.

— W porządku. Pójdziemy do Chris MacNeil i zaproponujemy jej zrobienie filmu. Wymyśliłem, że scenariusz oparty na życiu świętego Franciszka Loyoli będzie miał tytuł *Maszerują dzielni jezuici* i ...

— Joe, wynieś się z łaski swojej! — powiedział ostrzej Karras gasząc niedopałek w popielniczce.

— Nie interesuje cię to?

— Mam masę roboty.

— A kto ci, u diabła, w tym przeszkadza?

— Proszę cię, Joe, mówię serio — Karras rozpinał guziki koszuli. — Biorę prysznic i do roboty.

— Nie widziałem cię na obiedzie. Gdzie byłeś?

— W ogóle nie jadłem obiadu.

— Głupio postępujesz. Nie musisz dbać o linię. Pod sutanną i tak nic nie znać. — Podszedł do biurka i pociągnął nosem. — Śmierdzą te twoje pety.

— Czy jest tu gdzieś magnetofon?

— Tu nie ma nawet cytrynowych dropsów. Musisz iść do laboratorium językowego.

— A kto ma klucz? Ojciec rektor?

— Nie, ojciec furtian. Musisz to załatwić dzisiaj?

— Tak — powiedział Karras kładąc koszulę na oparciu krzesła. — Gdzie mogę go znaleźć?

— Chcesz, żebym go poszukał?

— Mógłbyś to zrobić? Ja naprawdę mam masę roboty.

— Nie przejmuj się tak wszystkim, Wielki Znachorze Jezuitów. Idę.

Karras wziął prysznic, a potem ubrał koszulkę gimnastyczną i spodnie. Zasiadając do biurka zauważył na blacie pudełko cameli bez filtra, a obok klucz z plakietką „Laboratorium językowe" i drugi, „Spiżarnia refektarza". Przy nim leżała karteczka „Lepiej ty, niż szczury". Karras uśmiechnął się odczytując podpis — „nałóg cytrynowych dropsów". Odpiął zegarek i położył przed sobą na biurku. Dochodziła dwudziesta trzecia. Rozpoczął lekturę. Freud, McCasland. *Szatan.* Wyczerpujące studium Oesterreicha. Skończył o czwartej nad ranem. Przesunął dłonią po czole. Spojrzał na popielniczkę.

Pełna popiołu i poskręcanych niedopałków. Powietrze w pokoju było ciężkie od dymu. Wstał i wolno zbliżył się do okna. Otworzył je na oścież, a potem zaciągnął się chłodnym rześkim porankiem. Zamyślił się. Regan wykazywała typowe fizyczne objawy opętania. Tyle zdołał ustalić. Nie miał co do tego wątpliwości, w każdym bowiem przypadku, o którym czytał, niezależnie od miejsca i czasu, symptomy opętania były niezmienne. Niektórych wszak objawów Regan dotąd nie zdradzała. Należały do nich między innymi: brak piętna, brak upodobania do spożywania odrażających potraw, brak wraż-

liwości na ból. Lecz pozostałe symptomy występowały nader wyraziście: niekontrolowana pobudliwość motoryczna, cuchnący oddech, pobrużdżony język, wyczerpanie organizmu, wzdęty brzuch, podrażnienie skóry i błony śluzowej. Najdobitniej przejawiały się oznaki zmian w korze mózgowej, które Oesterreich klasyfikował jako opętanie autentyczne. Polegały one na zaskakujących zmianach głosu i rysów twarzy, a także silnej manifestacji nowej osobowości.

Karras przechylił się przez parapet i spojrzał w dół ulicy. Poprzez konary drzew mógł dostrzec dom i duże okno sypialni Regan. U mediów dobrowolnie zgadzających się na opętanie nowa osobowość zwykle była nastawiona przyjaźnie. Tak było z Tia — myślał Karras. Duch tej kobiety opętał mężczyznę, rzeźbiarza. Najpierw opanowywał go na krótko, godzinę dziennie. Aż do momentu, kiedy przyjaciel rzeźbiarza zakochał się do szaleństwa w Tia. Błagał rzeźbiarza, żeby użyczył jej własnej osoby. „Ale nie jest to przypadek Regan" — skonstatował Karras. U niej nowa osobowość była zła. Złośliwa. W typowych przypadkach demon opętujący dąży do zniszczenia ciała swojego gospodarza i często realizuje swój zamiar.

Karras wrócił do biurka i sięgnął po paczkę papierosów.

No, więc dobrze. Zdradza symptomy opętania. Ale w takim razie jak jej pomóc?

Zdmuchnął zapałkę. *To zależy, co było przyczyną.* Przysiadł na skraju biurka. Rozważał przeczytane opisy. Zakonnice z klasztoru w Lilie, opętane, Francja, siedemnasty wiek. Spowiadały się egzorcystom, że w chwilach opętania bezwolnie biorą udział w satanicznych orgiach. Zeznały, że erotyczne ekscesy przybierały różne formy: poniedziałki, wtorki — stosunki heteroseksualne; czwartki — sodomia, fellatio i homoseksualizm; soboty — bestializm ze zwierzętami domowymi i smokami. Ze smokami!...

Jezuita pokręcił głową.

Podobnie jak w przypadku z Lilie uważał, że opętanie ma swoje źródło w

lękach i mitomanii. Niemniej jednak u jego korzeni mogą leżeć choroby umysłowe: schizofrenia, neurastenia, psychozy. Właśnie dlatego kościół zalecał, by egzorcysta pracował zawsze w towarzystwie lekarza psychiatry lub neurologa. Na dodatek, nie wszystkie rodzaje opętania dają się sklasyfikować jednoznacznie. W takich razach Oesterreich opisywał opętanie jako jednostkę chorobową samą w sobie, odrzucając używany przez psychiatrów termin rozdwojenia jaźni, a także stosowane w okultyzmie określenie „opętanie demonem" lub „duchem zmarłego".

Karras potarł palcami czubek nosa. Chris powiedziała, że w klinice w Barringer lekarze byli skłonni uznać zaburzenia Regan za wywołane niezwykle silną sugestią; wtedy choroba byłaby zbliżona do histerii. Uważał, że jest to prawdopodobne. Był przekonany, iż na tym polegała większość przypadków, które przestudiował. Jasne. *Po pierwsze — najczęściej ofiarami opętania padają kobiety. Po drugie — często wybuchają całe epidemie opętania. Ulegają im nawet egzorcyści...* Zmarszczył brwi. Więc oni także bywają ofiarami. Pomyślał o Loudun. Zakon urszulanek. Wysłano do nich czterech egzorcystów, aby opanowali epidemię opętania. Trzech z nich, ojcowie Lucas, Lactance i Tranquille zostali opętani i wkrótce zmarli pod wpływem szoku. Czwarty, ojciec Surin, który w momencie opętania miał trzydzieści dwa lata, postradał zmysły na pozostałe mu dwadzieścia pięć lat żywota. Jeśli przyczyną choroby Regan była histeria, jeśli zaburzenia wynikały z sugestii, to źródłem owej sugestii mógł być tylko rozdział z książki na temat kultu szatana.

Rozdział o opętaniu. Czy ona to czytała!

Wertował książkę. Czy istnieją jakieś relacje pomiędzy zawartymi w niej opisami, a zachowaniem Regan? To mógłby być jakiś dowód.

Mógłby.

Napotkał kilka zbieżności: Ośmioletnia dziewczynka wydawała bycze ryki głębokim chrapliwym basem. *Regan ryczała jak wół!*

Przypadek Heleny Smith, pacjentki wybitnego lekarza, Flournoya.

Opisywał zmiany w głosie i rysach twarzy chorej, jako błyskawiczne przejścia w całą gamę rozmaitych osobowości. *Regan zademonstrowała mi to. la osoba, która mówiła brytyjskim akcentem. Potem szybka zmiana. W ciągu jednej sekundy.* Casus z południowej Afryki opisany przez znanego etnologa Junoda. Pewna kobieta, w nocy zniknęła ze swej chaty, a ranem znaleziono ją przywiązaną lianami do czubka wielkiego drzewa. Potem zsunęła się z drzewa głową w dół, sycząc i wysuwając język niczym wąż. Następnie zawisła nieruchomo na konarze i poczęła przemawiać w języku, którego nigdy przedtem nie słyszała. *Regan posuwała się jak wąż za Sharon. I ten bełkot — czy była to próba użycia nieznanego języka?*

Przypadek Josepha i Thiebauta Burnerów, chłopców w wieku ośmiu i dziesięciu lat. Spoczywali na wznak, a potem nagle poczęli wirować wokół własnej osi z nieprawdopodobną szybkością. Regan wyginała się jak derwisz.

Znalazł jeszcze inne analogie potwierdzające jego domysły. Anormalna siła, wulgaryzmy. W Barringer wyśpiewywała psalmy, w których były wzmianki o opętaniu, co więcej, książka informowała także o rozwoju opętania: Pierwszy stopień — urojenia, agresja, hałasy, zapachy, samoczynne przesuwanie się przedmiotów. Drugi stopień — obsesja: pacjent twierdzi, iż jest atakowany, na przykład utrzymuje, że ktoś go kopie bądź popycha. Regan skarżyła się na stukoty, szczypanie i napaści kapitana Howdy'ego.

Możliwe... możliwe, że o tym przeczy lała. Ale Karras nie był przekonany. *Niecalkiem... Niecalkiem... I Chris. Też wydawała się pełna wątpliwości.*

Znów podszedł do okna. *Jak więc brzmi odpowiedź? Autentyczne opętanie? Szatan?* Wyjrzał przez okno i potrząsnął głową. *Niemożliwe. To nie jest możliwe. Zjawiska parapsychiczne? Czemu nie? Zbyt wielu kompetentnych badaczy je opisywało. Lekarze. Psychiatrzy. Tej miary, co Junod. Ale problem w tym, jak je interpretować?* Przypomniał sobie relację Oesterreicha. Przypadek szamana z Ałtaju. Pozwolił dobrowolnie opętać się i poddał badaniom w klinice. Wykazywał paranormalne możliwości: lewitował. Tuż przed lewitacją puls pod-

skoczył do stu uderzeń na minutę, a potem osiągnął nieprawdopodobną liczbę dwustu uderzeń. Podawano też zmiany w ciepłocie ciała i rytmie oddechu. *Zatem ponadnaturalne zachowanie ma podłoże fizjologiczne? Jest spowodowane przez nieznaną, obcą energię lub siłę? Jako dowodu opętania Kościół żąda wyraźnych i nie podlegających wątpliwości symptomów, które...* zapomniał definicji. Odszukał ją w książce. *O, jest!* — „przekonujące objawy, które poświadczają, że są spowodowane wyjątkową interwencją inteligentnej siły odmiennej niż ludzka". *Czy tak było w przypadku szamana? Nie. A czy jest tak w przypadku Regan?*

Przewrócił kartę uprzednio zakreśloną ołówkiem: „...Egzorcysta winien baczyć, aby nie został pominięty żaden symptom". *Dobrze. No to spróbujmy.* W myślach przebiegł wszystkie objawy choroby Regan próbując równocześnie je objaśnić.

Zadziwiająca zmiana w jej wyglądzie.

Częściowo spowodowana chorobą, częściowo niedożywieniem. Ale fizjonomia dziecka w głównej mierze odzwierciedlała zmiany psychiczne.

— I cóż to, u licha, wszystko znaczy! — powiedział głośno.

Zadziwiające zmiany w glosie Regan.

Nie słyszał dotąd jej naturalnego głosu. Nawet jeśli był cienki, jak twierdziła Chris, bezustanny krzyk mógł wywołać zgrubienie strun głosowych, co w rezultacie bardzo obniża brzmienie. Jedynym punktem niewytłumaczalnym była ogromna siła tego głosu, co nawet przy zgrubieniu wiązadeł jest raczej niemożliwe. *Ale* — tłumaczył sobie Karras — *w stanach patologicznego podniecenia występuje paranormalny wzrost siły mięśni. Czy struny głosowe i krtań nie mogą podlegać tym samym wpływom?*

Regan nagle poszerzyła swój słownik i wiedzę. Kryptomnezja. Przypominanie sobie niegdyś zasłyszanych słów, faktów, wydarzeń, być może nawet z wczesnego dzieciństwa. U somnambulików lub w agonii zarejestrowane w ciągu życia fakty objawiają się z fotograficzną wiernością. *Rozpoznała w nim*

księdza.

Zgadła. Jeśli przeczytała rozdział o opętaniu, mogła się spodziewać wizyty duchownego. Według Junga podświadoma inteligencja i wrażliwość histeryków może czasami przewyższyć tę zwykłą, nawet o kilkadziesiąt razy. Media czytają myśli uczestników seansów spirytystycznych. Podświadomość medium wyczuwa wibrację stolika, na którym opiera ręce osoba, której myśli medium pragnie odczytać. Wibracje układają się w pewien zbiór liter lub numerów. Zatem Regan mogła rozpoznać tożsamość Karrasa z jego zachowania, wyglądu, rąk, zapachu mszalnego wina.

Regan wiedziała o śmierci jego matki. Zgadła. Przecież wyglądał na swoje czterdzieści sześć lat. *Czy wspomożesz starego ministranta, ojczulku?* Wiele podręczników stosowanych w seminariach katolickich zgadza się z występowaniem telepatii jako zjawiska naturalnego.

Nad wiek rozwinięty intelekt Regan.

Podczas obserwacji wielu pacjentów z rozdwojeniem jaźni, u których przejawiały się symptomy okultystyczne, Jung stwierdził, że w histerii somnambulicznej wyostrza się nie tylko podświadoma wrażliwość zmysłów, ale także wzrastają możliwości intelektualne. W kilku opisywanych przez niego przypadkach nowe osobowości były w widoczny sposób inteligentniejsze od rzeczywistych.

Ale — zastanawiał się Karras — *czy opis przypadku można uznać za jego wytłumaczenie?*

Przestał spacerować po pokoju i zatrzymał się przy biurku. Dotarło właśnie do niego, że wzmiankując o Herodzie, Regan powiedziała coś nader znaczącego. Gdy faryzeusze donieśli Chrystusowi o groźbach Heroda, rzekł im: „...Idźcie i powiedzcie temu lisowi, że wyganiam demony."

Karras zatrzymał wzrok na taśmie z nagranym głosem Regan. Zapalił kolejnego papierosa... Wydmuchał dym... Raz jeszcze zastanowił go przypadek braci Burner. I ta ośmioletnia dziewczynka wykazująca objawy zupełnego

opętania. Ale jaką książkę przeczytała tamta dziewczynka? Co pozwoliło symulować opętanie jej nieświadomemu umysłowi z taką perfekcją? I jak to się dzieje, że opętani w Chinach zdradzają takie same objawy, jak opętani na Syberii, w Niemczech, w Afryce? Dlaczego symptomy są zawsze takie same?

Tak się zdarzyło Karras, że twoja matka jest z nami...

Obserwował dym z papierosa, który snuł się w górze, tworząc wzór zawiły, niczym kręte ścieżki pamięci. Ksiądz przechylił się i utkwił wzrok w dolnej lewej szufladzie biurka. Wpatrywał się w nią w natężeniu, a potem pochylił się jeszcze niżej, otworzył szufladę i wyjął stary, zszargany zeszyt szkolny. Kursy wieczorowe dla dorosłych. Zeszyt jego matki. Położył go na biurku i delikatnie wygładził strony. Litery alfabetu. Po kilku stronach proste ćwiczenia:

Lekcja VI.

„Mój adres".

Dalej fragment listu:

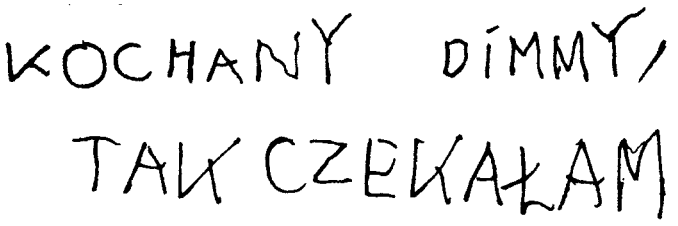

I znowu coś niedokończonego. Podniósł wzrok. Zobaczył w oknie jej oczy. Czekam... czekam.

Domine, non sum dignus.

Teraz ujrzał Regan. Oczy błagające... czekające...

Ale powiedz tylko słowo...

Kaseta z głosem Regan.

Zaniósł ją do laboratorium językowego i odszukał magnetofon. Założył taśmę i wziął słuchawki. Potem pochylił się do przodu, oparł na łokciach i słuchał uważnie, mimo wyczerpania.

Przez chwilę słyszał szmer przesuwającej się taśmy, szum mechanizmu. Odgłos włączanego mikrofonu. Hałasy.

— „Raz, dwa, raz". Potem głos z oddali. Chris MacNeil stała pewnie za plecami córki. ..Nie tak blisko mikrofonu, kochanie; odsuń go." „Czy tak?" „Nie, jeszcze trochę". „Tak?". „Dobrze, możesz już mówić". Chichot. Mikrofon uderzył o blat stołu. Słodki, dziecinny, wyraźny głos Regan MacNeil: „Cześć tatusiu! To ja, mmm". Chichot. Potem szept: „Nie wiem, co mam powiedzieć?" „Powiedz tatusiowi, kochanie, jak się czujesz. Powiedz, co robisz". Znowu chichot. „Mmm. Tatusiu, no chyba dobrze mnie słyszysz i mmm... no, po pierwsze... Poczekaj. Jeszcze raz. Jesteśmy teraz w Waszyngtonie, tatusiu. Tutaj mieszka prezydent. A ten dom... Wiesz, tatusiu? Jest... Nie. Poczekaj. Lepiej zacznę od nowa. A więc, tatusiu, tutaj jest..."

Teraz Karras słuchał nieuważnie, głos dochodził go jakby z daleka, stłumiony szumem krwi w skroniach księdza. Przepełniło go uczucie, nad którym nie mógł zapanować. *To, co widziałem, to nie była Regan!*

Wrócił do swojego pokoju. Pragnął odprawić mszę zanim rozpocznie się codzienny ruch. Kiedy podnosił hostię, ręce mu drżały. Pojawiła się nadzieja, o której nie śmiał niedawno nawet marzyć. A przecież dążył do niej ze wszystkich sił.

— Oto ciało moje... — wyszeptał. *To jest chleb. To tylko chleb!*

Bał się znów pokochać, aby potem nie stracić. Poprzednia strata była zbyt duża, ból — zbyt dotkliwy. Skłonił głowę i przełknął hostię niczym utracone złudzenie. Przez chwilę opłatek tkwił w jego wyschłym gardle.

Po mszy zjadł śniadanie i przygotował notatki do wykładu.

Spotkał się ze studentami w kolegium medycznym. Z trudem prowadził niestarannie przygotowany wykład.

— Rozważając objawy zaburzeń maniakalnych... *Tatusiu... To ja, to ja...*

Karras skończył wykład przed terminem i natychmiast wrócił do siebie. Usiadł przy biurku. Próbował zastanowić się raz jeszcze, jak zareaguje kościół wobec dowodów opętania, które on zdoła przedstawić. — Czy nie pospieszyłem się z wnioskami? — Zastanawiał się. Podsumował najważniejsze symptomy

wymienione w *Szatanie.* — Telepatia... paranormalne zjawiska... telekineza... ciało emanujące fluidy... W dzisiejszych czasach musimy być bardziej ostrożni w ocenie... Nadnaturalne przypadki, jakkolwiek...

Teraz czytał uważniej: „Każda rozmowa z pacjentem musi być starannie przeanalizowana, jeśli bowiem on wykazuje ten sam rodzaj skojarzeń i logikę nawyków gramatycznych, występujących w stanie normalnym, należy podejrzewać, że nie jest to opętanie".

Karras westchnął głęboko. *Nie tak. W ten sposób do niczego nie dojdę.* Spojrzał na rycinę w książce. Straszliwy demon. Potem przeniósł wzrok na podpis „Pazuzu". Karras przymknął oczy. Czuł dziwny niepokój. *Ojciec Tranquille...* Wyobraził sobie śmierć egzorcysty. Agonia... wycie... wężowy syk... wymioty... Spada z łóżka zrzucony przez demony, wściekłe, ponieważ wkrótce umrze i wymknie się ich torturom. *I Lucas!* Lucas klęczący obok. Pogrążony w modlitwie. W chwili śmierci Tranąuilla Lucas poczuł, jak demony przechodzą w niego. Począł rzucać się, wierzgać, jego ciało zanieczyściły wymioty i ekskrementy, sześciu zaś mężczyzn nie potrafiło go związać. Atak ustał, gdy z pokoju wyniesiono zwłoki. — Karras widział to, bardzo wyraźnie.

Czy to możliwe? Czy coś takiego mogło się zdarzyć?

Czy jedynym ratunkiem dla Regan są egzorcyzmy? Czy naprawdę trzeba otwierać zamknięte już dawno wrota, za którymi czai się ból? Nie mógł tego pozostawić bez sprawdzenia. *Ale jak?* „Rozmowy z pacjentem powinny być dokładne..." *Tak, tak. Dlaczego nie. Gdyby dowieść, że zasady wypowiedzi Regan i demona są takie same, można by wykluczyć opętanie, nawet przy innych zjawiskach paranormalnych... Oczywiście... A wyraźna różnica powinna zatem oznaczać, że to rzeczywiście jest opętanie!*

Nerwowo przemierzał pokój. *Co jeszcze? Co jeszcze? Coś trzeba szybko zdziałać! Ona... zaraz, zaraz...* Ręce splótł na plecach. *Ten rozdział w książce o kulcie szatana... Czy to tam wspomniano? Tak, zgadza się:* demony reagują niezmiennie wybuchem wściekłości na hostię, relikwie, na... *Wodę święconą!*

Tak, to jest to!

Pójdę tam i skropię ją zwykłą wodą z kranu. Ale zapowiem, że użyję wody święconej. Naturalnie. Jeżeli zareaguje tak, jak powinien zareagować demon, upewnię się, że nie jest opętana... Że wszelkie symptomy to tylko wpływ sugestii... Że przeczytała tę książkę! Ale jeśli nie, to będzie oznaczało...

Opętanie absolutne?

Może...

Rozgorączkowany sięgnął po kropidło.

Otworzyła mu Willie. Już od progu usłyszał krzyki i przekleństwa dochodzące z sypialni Regan. Ale nie był to znany Karrasowi głęboki, ochrypły bas demona, lecz bardziej zgrzytliwy, lżejszy, z brytyjskim akcentem... Tak! ...Ta osobowość, która objawiła się na moment, kiedy poprzednio widział Regan.

Zaskoczona Willy przypatrywała się jego sutannie i koloratce.

— Gdzie jest pani MacNeil? — zapytał. Wskazała spojrzeniem piętro.

— Dziękuję.

Wszedł po schodach, Chris siedziała na krześle pod drzwiami sypialni Regan. Głowę zwiesiła na piersi i oparła o skrzyżowane ramiona. Kiedy jezuita zbliżył się, podniosła głowę słysząc szelest sutanny.

— Dzień dobry, ojcze — rzekła powstając. Pod oczami miała wielkie sińce. Karras zmarszczył brwi.

— Czy spała pani?

— Tak, troszeczkę. Pokręcił głową z dezaprobatą.

— Nie mogłam — westchnęła. — Ona to robi przez cały czas.

— Czy wymiotowała?

— Nie. — Ujęła go nerwowo za rękaw. — Chodźmy na dół. Tam będziemy mogli...

— Nie. Wolałbym ją zobaczyć — przerwał Karras uprzejmie.

— Tak od razu?

„Coś jest nie w porządku" — zauważył Karras. Chris była spięta i przestraszona.

— Czemu nie teraz? — spytał.

Zza drzwi wydobywał się ostry, oszalały ze wściekłości krzyk:

— Przeklęty nazista! Nazistowska świnia! Chris uciekła ze spojrzeniem. Potem niechętnie skinęła głową.

— Cóż, w takim razie niech ksiądz idzie, niech ksiądz zaczyna.

— Czy ma pani w domu magnetofon? Potwierdziła spoglądając mu w oczy.

— Czy mogłaby pani przynieść go do sypialni i założyć nową taśmę?

Obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem.

— Po co? — a potem dodała: — Chce ojciec powiedzieć, że nagra...

— Tak. A czy to...

— Ojcze! Nie mogę na to pozwolić...!

— Chciałbym porównać próbki mowy — przerwał stanowczo. — A teraz, bardzo proszę, musi mi pani zaufać! — podszedł do drzwi, akurat stek przekleństw nieomal wymiótł Karla z pokoju. Z twarzą poszarzałą i zasmuconą wynosił Szwajcar zaplamione ręczniki oraz pościel.

— Zmieniłeś wszystko, Karl? — zapytała Chris. Służący zamknął za sobą drzwi.

— Tak — spojrzał na Karrasa, a potem podniósł wzrok na Chris. — Tak — powtórzył krótko i odszedł szybkim krokiem.

Chris odprowadzała go wzrokiem. Następnie zwróciła się do jezuity.

— Dobrze — powiedziała zrezygnowanym głosem — przyniosę księdzu magnetofon.

Karras patrzył, jak odchodziła. *Co się tu działo?* Potem uświadomił sobie, że w sypialni zapanowała cisza. Trwała jednak bardzo krótko. Teraz słyszał diaboliczny śmiech. Palcami wyczuwał kropidło w przestronnej kieszeni sutanny. Otworzył drzwi i wszedł do sypialni. Odór był intensywniejszy niż

poprzedniego wieczora. Zamknął drzwi. Spojrzał. Okropne to coś w łóżku. Gdy podszedł bliżej, popatrzyła na niego drwiącymi oczyma, pełnymi złości, nienawiści, siły.

— Cześć Karras!

Usłyszał, jak Regan wypróżnia się na plastykową ceratkę. Stanął w nogach łóżka. Jego głos był opanowany.

— Cześć diable. Jak się masz?

— Cieszę się bardzo, bardzo, że przyszedłeś! — Opuchnięty język wysunął się spomiędzy warg, a przekrwione oczy ogarnęły go zuchwałym spojrzeniem. — Widzę, że wdziałeś służbowe szatki. Bardzo dobrze! — Odgłos defakcji. — Nie przeszkadza ci Karras, że trochę śmierdzi?

— Ani trochę.

— Ale z ciebie łgarz!

— Czy masz coś przeciwko temu?

— Trochę.

— Ale przecież diabły lubią kłamców.

— Ale tylko dobrych, Karras, mój drogi. Tylko dobrych.

— Chichot. — Poza tym kto ci powiedział, że jestem diabłem?

— Czyż nie ty sam?

— Och, być może. Być może. Ostatnio jestem roztargniony. Uwierzyłeś mi?

— Oczywiście.

— Wyrazy współczucia.

— Więc twierdzisz teraz, że nie jesteś diabłem?

— Tylko biednym, szeregowym demonem. To pewna subtelna różnica. Ale należę do naszego Ojca, który jest w piekle. A tak przy okazji, nie wspominaj mu, że się przejęzyczyłem, dobrze? Co? Kiedy już się z nim spotkasz.

— Spotkam go? Czy jest tutaj? — zapytał ksiądz.

— W tej świni? Nie, skądże. Tutaj są tylko biedne, wędrujące duszyczki, mój przyjacielu. Chyba nie jesteś na nas zły, że tu siedzimy? Przecież nie mamy gdzie się podziać. Nie mamy domu.

— A jak długo zamierzacie tu pozostać?

Głowa Regan uniosła się nad poduszką, a rysy twarzy wykrzywiły się wściekle.

Ryknęła:

— Dopóki ta świnia nie zdechnie! — Maska Regan przybrała dawny, obleśny grymas. — A tak, przy okazji, czyż to nie wspaniały dzień na egzorcyzmy, Karras?

Książka! Musiała jednak przeczytać tę książkę!

Wredne oczka patrzyły złośliwie.

— No, to zaczynaj, prędko! Jak najszybciej! *Coś nie gra. Coś się nie zgadza.*

— Naprawdę byś chciał?

— O, bardzo, bardzo!

— A czy egzorcyzmy nie wygnają cię z Regan? Odrzuciła głowę do tyłu głupawo chichocząc. Potem przerwała nieoczekiwanie.

— To wykończy nas oboje!

— Ciebie i Regan?

— Ciebie i nas, mój drogi przyjacielu! — wycharczał demon gardłowym, zduszonym śmiechem. — Ciebie i nas.

Karras nagle poczuł na karku zimne, lodowate dłonie. To strach — pomyślał. Strach. *Ale przed czym?*

— Tak, tak Karras. Dołączysz do naszej małej rodzinki. Bo widzisz, mój kotku, jak ktoś raz ujrzał znaki na niebie, to już nie ma wyjścia. Czy zauważyłeś, że ostatnio rzadko słyszy się o cudach? To nie nasza wina, Karras, nie wiń nas za to. No to co, próbujemy?

Karras odwrócił głowę słysząc głośny trzask. Szuflada biurka wysunęła się

niespodziewanie. Poczuł na plecach zimny dreszcz, kiedy głośno wsunęła się z powrotem. *A więc to tak!* Potem, kiedy otrząsnął się z pierwszego wrażenia, pomyślał: *Psychokineza.* Usłyszał śmiech i spojrzał na Regan.

— Miło się z tobą gawędzi, Karras — oświadczył demon. Czuję się swobodny jak dziwka pod latarnią. Mogę rozwinąć skrzydła. A tak naprawdę, rozmawiam z tobą dlatego, żebyś szybciej znalazł się w piekle, mój wspaniały i nieskazitelny lekarzu!

— Ty to zrobiłeś? Ty wysunąłeś szufladę?

Demon nie zwracał na niego uwagi. Regan patrzyła na drzwi, zza których dochodziły czyjeś kroki. Na twarzy dziewczynki ukazała się nowa maska.

— Przeklęty, śmierdzący bękart! Rzeźnik! — wykrzyknął chrapliwy głos z brytyjskim akcentem. — Zgniły Szwab!

Karl przyniósł magnetofon. Postawił go przy łóżku nie rozglądając się wokół. Natychmiast potem wyszedł.

— Won, Himmlerze! Precz z moich oczu! Idź odwiedzić swoją podkulawioną córeczkę! Zanieś jej kapustę kiszoną! Kapustę i heroinę! Przecież ona to uwielbia! Będzie...

Odszedł. Karl odszedł. Wtem Regan stała się serdeczna i miła. Obserwowała, jak Karras ustawia magnetofon, szuka kontaktu, nakłada taśmę.

— O tak, tak. Hej, hej, hej! Coś się dzieje! — powiedziała zadowolona. Czy będziemy coś nagrywać, padre? Jak fajnie! Och, jak ja lubię grać, wiesz? Och, niesłychane!

— Ja jestem Damien Karras — powiedział ksiądz do mikrofonu. — A ty kim jesteś?

— Pytasz o moje referencje, kaczuszko? Cholernie sprytne, no nie? — zachichotała. — Grałem kiedyś Puka w szkolnym przedstawieniu. — Rozejrzała się dokoła — A propos, nie masz jakiegoś drinka? Usycham z pragnienia.

Ksiądz ustawił mikrofon na nocnej szafce.

— Jak wyjawisz swoje imię, postaram się o drinka.

— A tak, wierzę ci — odpowiedział ubawionym tonem. — A potem sam go wypijesz, no nie?

Karras włączył nagrywanie i powiedział raz jeszcze:

— Powiedz mi swoje imię.

— Parszywy naciągacz — sapnęła.

Tajemnicza osobowość zniknęła. Znowu pojawił się demon.

— I co będziemy teraz robić, Karras? Nagrywamy naszą pogawędkę?

Karras wyprostował się. Przysunął swoje krzesło bliżej łóżka.

— Czy masz coś przeciwko nagrywaniu? — spytał.

— Ależ skąd — skrzeczał demon — zawsze lubiłem piekielne maszyny.

Karrasa uderzył nowy, przenikliwy odór. Był jak...

— Kiszona kapusta, Karras. Zauważyłeś?

To rzeczywiście był zapach kiszonej kapusty.

Jezuita zdziwił się. Wydawało mu się, że woń emanuje z ciała Regan.

Potem zapach rozwiał się i zastąpił go poprzedni zgniły odór. Karras zastanawiał się. *Czyżbym to sobie wyobraził? Uległ sugestii?* Przypomniał sobie o wodzie święconej. *Teraz? Nie. Jeszcze nie. Postaram się nagrać coś więcej.*

— Z kim przedtem rozmawiałem? — spytał.

— To tylko ktoś z rodziny.

— Też demon?

— Nie przeceniaj go.

— Jak to?

— Słowo „demon" oznacza „mądry". Ten jest głupi.

Karras słuchał z napięciem. — W jakim języku „demon" to „mądry"?

— W greckim.

— Mówisz po grecku?

— Bardzo płynnie.

„Jeden z symptomów" — pomyślał podniecony. — „Przemawia w niewyuczonym języku". To było więcej niż się spodziewał.

— Pos egnokas hoti presbyteros eimi? — zapytał prędko klasyczną greką.

— Nie jestem dziś w nastroju, Karras.

— O! A więc nie potrafisz...

— Nie jestem w nastroju! Rozczarowanie. Karras myślał intensywnie.

— Czy to ty sprawiłeś, że szuflada otworzyła się? — spytał.

— To przecież jasne.

— I robi wrażenie — Karras potrząsnął głową. — Z pewnością jesteś bardzo silnym demonem?

— Jestem.

— Zastanawiam się, czy potrafisz to uczynić raz jeszcze?

— Tak, w każdej chwili.

— Proszę, zrób to. Naprawdę chciałbym zobaczyć.

— Teraz?

— A czemu nie?

— Musimy w tobie wzbudzić pewne wątpliwości! — powiedział demon chrapliwie. — Tylko trochę, żeby uwypuklić efekt finalny. — Regan odchyliła głowę i zachichotała złośliwie.

— Jaka to frajda, walczyć przy pomocy prawdy! Co za radość! Lodowate palce lekko musnęły kark księdza. Karras odwrócił się. *Czego się boję? Lęk? Czy to był lęk?*

— Nie, to nie strach — powiedział demon i uśmiechał się.

— To byłem ja.

Zimne dłonie zniknęły. Karras nie dowierzał, ponownie ogarnęły go wątpliwości. Zdusił je w sobie. *To telepatia. Zbadaj to.*

Koniecznie.

— Czy możesz mi powiedzieć, o czym teraz myślę?

— O, to zbyt nudne, żeby o tym mówić.

— Więc nie potrafisz czytać myśli.

— Mogę to zrobić, jeśli chcesz... Jeśli naprawdę chcesz. *Wypróbować*

wodę święconą? Teraz? Słyszał szum magnetofonu. *Nie. Jeszcze go powypytuję. Zdobędę więcej próbek.*

— Jesteś fascynującą postacią — powiedział Karras. Regan sapnęła.

— Tak, tak. Naprawdę. Chciałbym dowiedzieć się o tobie więcej. Na przykład jeszcze mi nie powiedziałeś, kim jesteś.

— Diabłem! — zagrzmiał demon.

— Tak, to wiem. Ale którym? Jak się nazywasz?

— Ach, cóż znaczy imię, Karras. Moje imię jest nieistotne. Jeśli ci będzie wygodniej, nazywaj mnie Howdy.

— Aha, kapitan Howdy. Przyjaciel Regan?

— Jej bardzo bliski przyjaciel.

— Czyżby?

— Naprawdę.

— W takim razie dlaczego zadajesz jej ból?

— Ponieważ jestem jej przyjacielem. Ta świnia to lubi.

— Lubi to?

— Uwielbia!

— Ale dlaczego?

— Zapytaj jej.

— Pozwoliłbyś jej odpowiedzieć?

— Nie.

— To w takim razie komu mam zadać pytanie?

Oczy demona spoglądały podejrzliwie.

— A kim jest osoba, z którą rozmawiałem wcześniej? — spytał Karras.

— Już o to pytałeś.

— Wiem, ale ty mi nie odpowiedziałeś.

— Po prostu jeszcze jeden przyjaciel naszej słodkiej, kochanej świnki, Karras, mój drogi.

— Mogę z nim porozmawiać?

— Nie, właśnie zabawia się z twoją matką. Ona go obciąga, Karras — Regan śmiała się cienko i dodała: — Ma cudowny język i niezłe usta.

To coś patrzyło na niego szyderczo, a Karras poczuł, jak ogarnia go wściekłość. Niepowstrzymana nienawiść. Zdał sobie sprawę, że zwraca się nie do chorej Regan, lecz do demona. *Do demona? Co się z tobą dzieje, człowieku?* W ostatniej chwili opanował się, odetchnął głęboko, powstał z krzesła i wyjął kropidło napełnione wodą z kranu. Demon zerknął zaniepokojony.

— Co to jest?

— Nie wiesz? — zapytał Karras. Odkręcił zatyczkę i spryskał Regan. To jest woda święcona, diable.

Poczęła rzucać się, zwijać, krzyczeć ze strachu i bólu.

— To pali! To pali! Przestań! Skończ z tym! Ty cholerny księżulku! Skończ z tym!

Karras odłożył kropidło. *Histeria. Sugestia. Ona jednak czytała tę książkę.* Spojrzał na magnetofon. I po co to wszystko? Cisza. Spojrzał na Regan. *A to co? Co się dzieje?* Demon zniknął. Ale na twarzy Regan pojawił się nowy wyraz, który choć podobny do poprzedniego, był zdecydowanie odmienny. Oczy wywrócone białkami do góry. Powolne mruczenie, jakby bredziła w gorączce. Karras przystąpił do łóżka z drugiej strony. Pochylił się, by lepiej słyszeć. *Czy to coś znaczy? Nie. Ale jednak... To ma jakiś rytm. Rytm mowy.* Poczuł przeszywający ból w żołądku. *Daj spokój. Nie bądź głupi. Ale jeśli...*

Zerknął na lampkę kontrolną magentofonu. Nie paliła się. Wyregulował głośność. A potem słuchał uważnie, przykładając ucho do twarzy Regan. Majaczenie ustało i słyszał teraz tylko głęboki, chrapliwy oddech.

Wyprostował się.

— Kim jesteś? — zapytał.

— Metsejtkin — zduszony, bolesny szept. Wciąż wywrócone białka, drżące powieki. — Metsejtkin. — Ciężki, dyszący głos wydawał się dobywać z ciemności, z mrocznej przestrzeni poza czasem, ukrytej w wiecznej nocy, jak

jego właściciel.

— Czy to jest twoje imię? — zapytał przejęty Karras. Wargi poruszyły się. Urywane sylaby, bez związku. Potem cisza.

— Czy mnie rozumiesz?

Cisza. Tylko oddech. Głęboki, dziwny, tajemniczy, przypominający oddech pacjenta pod namiotem tlenowym. Jezuita czekał. Miał nadzieję, że usłyszy coś jeszcze. Ale Regan milczała.

Przewinął taśmę i schował ją do kieszeni. Regan spoczywała spokojnie. Zdezorientowany opuścił pokój i zszedł na dół.

Odnalazł Chris w kuchni. Siedziała z Sharon przy stole i piła kawę. Kiedy go zobaczyły, spojrzały pytająco z niepokojem i nadzieją.

— Idź posiedzieć przy Regan, dobrze? — powiedziała Chris do Sharon. Sekretarka wypiła jeszcze jeden łyk kawy, skinęła Karrasowi głową i wyszła. Ksiądz usiadł przy stole.

— No i co? — zapytała Chris próbując pochwycić jego wzrok.

Zanim odpowiedział, spojrzał na Karla, który wśliznął się do kuchni i zbliżył do zlewu pełnego naczyń. Chris podążyła za oczyma księdza.

— W porządku — powiedziała cicho. — Proszę mówić. Jak poszło?

— Dziś poznałem dwie nowe osobowości, których przedtem nie widziałem. Choć zdaje mi się, że jedną z nich dostrzegłem wcześniej, ale tylko przez chwilę. Mówiła z brytyjskim akcentem. Czy nie wie pani, kto to może być?

— Czy to ważne? — spytała.

Znowu dojrzał ten szczególny wyraz napięcia na jej twarzy.

— To jest ważne. Spuściła wzrok.

— Tak. Ktoś, kogo znałem.

— Kto? Podniosła wzrok.

— Burke Dennings.

— Ten reżyser?

— Tak.

— Ten reżyser, który...

— Tak — przerwała mu.

Przez chwilę ksiądz analizował jej odpowiedź. Nerwowo pocierała dłonie.

— Czy napije się ksiądz kawy, ojcze?

Potrząsnął głową.

— Nie, dziękuję. — Pochylił się ku niej i oparł łokcie na stole. — Czy Regan go znała?

— Tak.

— I...

Przeszywający brzęk. Zdziwiona Chris odwróciła się. Karl upuścił patelnię na podłogę. Gdy podnosił ją, ponownie wypadła mu z rąk.

— Na miłość boską, Karl!

— Bardzo przepraszam, proszę pani.

— Och, Karl. Wyjdź stąd! Idź do kina albo gdzie chcesz. Nie możemy siedzieć tu wszyscy i czekać, aż powariujemy! — odwróciła się do Karrasa i sięgnęła po papierosa.

Karl zaprotestował:

— Nie, ja lepiej popilnuję...

— Karl, ja naprawdę cię proszę! — Chris warknęła nerwowo, podnosząc głos, ale nie odwracając głowy. — Wynoś się! Wyjdź z tego domu! Wszyscy musimy prędzej czy później stąd wyjść. No, idź już!

— Tak, idź stąd! — zawtórowała Chris Willie, wyjmując patelnię z rąk męża. Popchnęła go w stronę drzwi.

Przez moment Karl spoglądał na Chris i Karrasa. Potem wyszedł.

— Przykro mi, ojcze — powiedziała Chris przepraszająco. On się tym wszystkim bardzo przejmuje.

— Miała pani rację — powiedział Karras sięgając po zapałki. — Wszyscy powinniście starać się wychodzić z domu. Pani też.

— Więc co mówił Burkę? — spytała Chris.

— Tylko przeklinał. -— To wszystko?

Wyczuł nutę lęku w jej głosie.

— Ale sporo przeklinał — dodał. — A tak przy okazji, czy Karl ma córkę?

— Córkę? Nie, nic o tym nie wiem. Nawet jeśli ma, nigdy o niej nie wspominał.

— Jest pani pewna?

Willie krzątała się przy zlewie. Chris zapytała ją:

— Willie, czy wy macie córkę?

— Ona umarła, proszę pani. Dawno, dawno temu.

— Bardzo mi przykro. Pierwszy raz o tym słyszę — szepnęła Chris do Karrasa. — Ale dlaczego ksiądz pytał? Skąd ksiądz o tym wiedział?

— Regan. Ona mi powiedziała. Chris spojrzała na niego zaskoczona.

— Czy pani córka kiedykolwiek wykazywała nadwrażliwość sensoryczną? — zapytał. — To znaczy, przed chorobą.

— No... — Chris zamyśliła się. — No nie wiem. Nie jestem pewna. To znaczy zdarzyło się parę razy, że myślałyśmy równocześnie o tym samym, ale czy tak nie bywa często wśród osób, które przebywają razem?

Karras potwierdził.

— A teraz, ta druga osobowość, o której wspomniałem. To chyba ta sama, która objawiła się kiedyś podczas seansu hipnotycznego.

— Ten bełkot?

— Tak. Kto to jest?

— Nie wiem.

— Nic pani sobie nie przypomina?

— Absolutnie nic.

— Czy poprosiła pani o te raporty medyczne?

— Dostanę je dziś po południu, samolotem. Trafią prosto do księdza. — Upiła nieco kawy. — To była jedyna droga, żeby je w ogóle wydostać z kliniki.

Musiałam sporo o to zabiegać.

— Tak, spodziewałem się, że będą kłopoty.

— I były. Ale już załatwione. — Znów uniosła filiżankę. Co z egzorcyzmami, ojcze?

Uciekł oczyma i westchnął.

— Tak, nie ma wielkiej nadziei, że biskup wyrazi zgodę.

— Co ksiądz ma na myśli? — Drżącą ręką odstawiła filiżankę.

Sięgnął do kieszeni i wyjął kropidło.

— Widzi to pani?

Skinęła głową.

— Zapowiedziałem, że to woda święcona — wyjaśnił Karras. — I kiedy skropiłem ją, zareagowała bardzo gwałtownie.

— Więc?

— To nie jest woda święcona. To zwykła woda z kranu.

— Może niektóre demony tego nie rozróżniają?

— Czy pani rzeczywiście wierzy, że wstąpił w nią demon?

— Ojcze! Wierzę, że w Regan jest coś, co próbuje ją zabić. A to, że nie rozróżnia sików od wody, chyba nie ma w tym momencie znaczenia, prawda?! Przepraszam, ale pytał ksiądz o moje zdanie. — Zdusiła niedopałek. — A właściwie, jakaż jest różnica między wodą święconą a wodą z kranu?

— Woda święcona jest poświęcona.

— *Mazel tow,* ojcze. Bardzo dobrze ksiądz to objaśnił. Więc mówi ksiądz, że jak na razie nic z egzorcyzmów?

— Proszę posłuchać. Dopiero zacząłem badać tę sprawę

— powiedział Karras. — Ale Kościół ustanowił pewne kryteria, które muszą być spełnione. Z bardzo ważnych powodów. Chodzi o to, żeby nie pomylić opętania z oszustwem. Na przykład słyszy się o lewitujących księżach lub fałszywych cudach. Figury Matki Boskiej płaczące prawdziwymi łzami w Wielkie Piątki. A ja akurat nie chciałbym być wmieszany w coś podobnego.

— Może podać panu librium, ojcze?

— Powiedziałem tylko, jakie jest moje zdanie na ten temat.

— Sięgnął po papierosa.

— Dla mnie też proszę — powiedziała Chris ochrypłym głosem. Wyciągnął ku niej paczkę papierosów. Podał jej ogień, potem zapalił swojego papierosa. Oboje równocześnie wypuścili dym.

— Bardzo mi przykro — powiedział łagodnie.

— Te papierosy bez filtra kiedyś księdza wykończą. Miął w dłoni celofan z opakowania.

— Ale jest kilka symptomów, które Kościół mógłby wziąć pod uwagę. Jednym z nich jest przemawianie w języku, którego pacjent nigdy nie słyszał i nigdy się nie uczył. Właśnie teraz pracuję nad taśmą, zobaczymy, co z tego wyjdzie. Następnym zaś jest jasnowidztwo, choć w dzisiejszych czasach telepatia i zwiększona nadwrażliwość są powszechnie uznane i można podważyć ten punkt.

— Czy ksiądz w to wierzy? — spytała sceptycznie. Spojrzał na nią i wydało mu się, że mówi poważnie. Ciągnął zatem: — A ostatnim dowodem jest siła, niezwykłe dla jej wieku możliwości. To nasz główny punkt zaczepienia. I w tym nie ma nic z okultyzmu.

— A co z pukaniem w ściany?

— Sam ten fakt nie znaczy nic.

— Ą to, że unosiła się nad łóżkiem?

— Też za mało.

— W takim razie, co z tymi znakami na skórze?

— Jakimi znakami?

— Nie mówiłam księdzu?

— O czym?

— To zdarzyło się w klinice — powiedziała Chris. — Pojawiły się, wskazała palcem na klatkę piersiową — coś jakby piętno, po prostu litery.

Pojawiły się na jej piersiach, a potem zniknęły.

Karras pogrążył się w zadumie.

— Powiedziała pani — litery, nie słowa?

— Nie, nie słowa. Tylko litera M, raz czy dwa razy, a potem L.

— Czy pani je oglądała? — zapytał.

— No, nie. Tylko mi o tym opowiadali.

— Kto?

— Lekarze w klinice. Będzie ksiądz to miał w opisie choroby. Nie wierzy mi ojciec?

— Ależ tak, oczywiście. Ale to także jest zjawisko naturalne.

— Gdzie? Chyba w Transylwanii? — powiedziała ironicznie Chris.

Karras zaprzeczył: — Niekoniecznie. Przestudiowałem opisy wielu przypadków i pamiętam, jak pewien psychiatra opisywał swojego pacjenta, więźnia, który potrafił wprowadzić się w tak głęboki trans, że na jego skórze pojawiały się znaki zodiaku. — Karras stuknął się w pierś. — Umiał nawet uczynić skórę wypukłą.

— Widzę, że niechętnie wierzy ksiądz w cuda.

— Przeprowadzono kiedyś następujący eksperyment — ciągnął łagodnie. — Pacjent został zahipnotyzowany i wprowadzony w trans. Potem nacięto mu skórę na ramionach i powiedziano, że lewe ramię powinno krwawić, prawe zaś nie, i co się okazało? Krew pociekła tylko z lewego ramienia. Siła umysłu zdołała powstrzymać upływ krwi. Nie wiadomo dlaczego, ale to się zdarza. Tak więc w przypadku stygmatów, jak u tego więźnia lub Regan, umysł podświadomie kontroluje napływ krwi do skóry, powodując jej miejscowe przekrwienie. Pojawiają się nawet całe napisy i rysunki. Na pewno jest to zagadkowe, ale nie nadnaturalne.

— Naprawdę twarda z księdza sztuka. Czy ktoś o tym mówił ojcu?

Karras potarł palcami koniuszek wargi.

— Proszę posłuchać, może zdoła pani zrozumieć. To Kościół, nie ja, ale

Kościół opublikował ostrzeżenie przed egzorcyzmami. Czytałem go ostatniej nocy. Stwierdzono w nim, że większość ludzi, którzy sądzą, iż są opętani lub których uważa się za opętanych — cytuję — „bardziej potrzebuje lekarza niż egzorcysty". — Popatrzył Chris prosto w oczy. — Czy domyśla się pani, kiedy wydano to ostrzeżenie?

— Nie. Kiedy?

— W roku 1583!

Chris zaskoczona otworzyła szeroko oczy. Zamyśliła się.

— Tak... to rzeczywiście piekielnie dawno. Nieźle — mruknęła. Ksiądz wstał.

— Proszę zatem dać mi trochę czasu, abym mógł przestudiować raporty z kliniki. — A tymczasem — ciągnął — przesłucham taśmy i zaniosę je do instytutu lingwistyki. Być może bełkot ten jest jakimś językiem, choć w to wątpię. Ale wszystko należy sprawdzić. No i muszę porównać próbki mowy... wtedy może będziemy coś wiedzieć. Jeśli nie zachodzi wyraźna różnica, można wykluczyć opętanie.

— A co wtedy? — zapytała niespokojnie.

W oczach Chris dostrzegł przestrach. *Czyżby się bała, że jej córka nie jest opętana?* Pomyślał o Denningsie. Musiało zdarzyć się coś złego. Bardzo złego.

— Nie lubię narzucać się, ale czy mógłbym pożyczyć na trochę pani samochód?

— Może ksiądz pożyczyć całe moje życie — powiedziała nieomal szeptem. — Niech go ojciec weźmie do czwartku. Potem mogę go potrzebować.

Karras przejęty bólem patrzył na jej silnie spuszczoną głowę. Zapragnął wziąć ją za rękę i zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Ale tego nie mógł teraz uczynić.

— Proszę poczekać, dam księdzu kluczyki — powiedziała i wyszła z kuchni. Przypominała mu ptaka o złamanych skrzydłach.

Pojechał do pensjonatu. Zostawił magnetofon, ale zabrał ze sobą taśmę i

wrócił do samochodu. Gdy przejeżdżał obok domu Chris usłyszał Karla wołającego z ganku: — Ojcze Karras! — Obejrzał się. Karl zbiegał po schodach, wkładając marynarkę. — Ojcze Karras! Jedną chwilkę!

Karras otworzył okno. Karl wcisnął głowę do samochodu.

— W którą stronę ksiądz jedzie?

— Du Pont Circle.

— Och, znakomicie, czy mógłby mnie ksiądz podrzucić? Nie sprawię kłopotu?

— Ależ bardzo chętnie, oczywiście. Proszę wsiadać.

— Będę wdzięczny — powiedział Karl. Karras ruszył.

— Dobrze pan zrobił wychodząc z domu.

— Tak, pojadę do kina na jakiś dobry film.

Przez pewien czas jechali w milczeniu. Karras w myślach szukał odpowiedzi na dręczące go wątpliwości. *Opętanie. Niemożliwe. Woda święcona. Jednak...*

— Karl, pan znał Denningsa dość dobrze, prawda?

Karl patrzył przed siebie. Potem sztywno kiwnął głową.

— Tak, znałem go.

— A kiedy Regan... Kiedy ona zamienia się w Denningsa, czy ma pan wrażenie, że naprawdę nim jest?

Długa pauza. Potem zwięzła odpowiedź

- Tak.

Karras poczuł dreszcz strachu.

Nie rozmawiali więcej, wkrótce dotarli do Du Pont Circle. Przystanęli na światłach.

— Tutaj wysiądę, ojcze Karras. Stąd mogę złapać jakiś autobus. — Wysiadł, a potem zajrzał do samochodu przez okno. — Bardzo dziękuję, jestem ojcu zobowiązany.

Stanął na wysepce pośrodku jezdni i czekał na zmianę świateł. Kiedy

ksiądz odjeżdżał, uśmiechnął się i pokiwał mu ręką na pożegnanie. Poczekał, aż samochód zniknie za zakrętem, potem podbiegł do autobusu. Kupił bilet, przejechał parę przystanków, zmienił linię. Wysiadł w ubogiej, północnej dzielnicy miasta zabudowanej czynszowymi kamienicami. Dotarł do jednego z odrapanych budynków.

Zatrzymał się na ciemnej klatce schodowej. Zza jakichś drzwi dochodziły zapachy taniej kuchni, obok rozlegał się płacz dziecka. Zniżył głowę. Z sufitu spadł karaluch i przemaszerował zygzakiem po stopniu. Karl oparł się o mur i przez chwilę miał ochotę zawrócić. W końcu jednak wstąpił na schody. Trzeszczące stopnie świdrowały jego mózg jak wyrzuty sumienia.

Na drugim piętrze stanął przed drzwiami ukrytymi w ciemnej wnęce. Spojrzał na ścianę. Farba złaziła z niej płatami. Na drzwiach nabazgrano ołówkiem: Nicky i Ellen. Pod napisem data i kontur serca. Karl nacisnął dzwonek. W mieszkaniu rozległo się skrzypienie sprężyn łóżka, potem pełne irytacji mruknięcie. Nieregularny odgłos kroków, stukot ortopedycznego buta. Drzwi uchyliły się na długość łańcucha i w szparze ukazała się kobieta z papierosem przyklejonym w kąciku ust.

— A, to ty — powiedziała przepalonym głosem. Zdjęła łańcuch. Karl zajrzał w jej rozbiegane oczy. Studnie pełne strachu i winy. Przesunął wzrokiem po twarzy kobiety. Pusta twarz pięknej niegdyś dziewczyny pogrzebanej za życia w setkach brudnych pokoi hotelowych, budzącej się tysiące razy ze snu, który nie dawał odpoczynku. Twarz pobrużdżona łzami pozbawionego nadziei płaczu, tęsknoty za świetną przeszłością.

— Powiedz im, żeby się odpieprzyli! — chrapliwy męski głos krzyczał w głębi mieszkania. „To ten gówniarz, jej chłopak". Dziewczyna odwróciła głowę i warknęła. — Zamknij się, to tatuś.

— Jest pijany, tatusiu, lepiej nie wchodź. Karl skinął głową.

Oczy dziewczyny zachłannie śledziły jego rękę, kiedy sięgał po portfel.

— Jak tam mama? — spytała zaciągając się papierosem, lecz nie

spuszczała oczu z dłoni Karla. Teraz odliczała dziesięciodolarowe banknoty.

— W porządku — mruknął krótko. — Twoja matka czuje się dobrze.

Kiedy wręczał jej pieniądze, zaniosła się suchym kaszlem. Zakryła ręką usta.

— To te cholerne papierosy!

Karl spostrzegł ślady nakłuć na jej ramieniu.

— Dzięki, tatku.

Patrzył, jak wyjmuje banknoty z jego dłoni.

— Pospiesz no się, do licha! — ryknął mężczyzna na łóżku.

— Słuchaj, tatku, lepiej już idź. Wiesz, jak to z nim jest.

— Elvira!... — Karl nagle przestąpił próg i chwycił ją za nadgarstek. — Otworzyli w Nowym Jorku klinikę — szepnął błagalnie.

Skrzywiła twarz próbując uwolnić się z jego uścisku.

— Och, daj spokój, tatku!

— Wyślę cię tam! Oni ci pomogą! Nie pójdziesz do więzienia! To przecież...

— Jezu! Przestań, tatuśku! — wrzasnęła wyrywając się.

— Nie! Nie! Proszę, posłuchaj, oni... Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Karl został sam w ciemnym korytarzu. Zawiodła go ostatnia nadzieja. Drzwi tłumiły rozmowę w mieszkaniu. Potem cyniczny, drwiący śmiech kobiecy. I kaszel.

Karl odwrócił się i stanął jak wryty. Przed nim stał porucznik Kinderman.

— Może teraz zdołamy porozmawiać, panie Engstrom? — wysapał detektyw. Ręce trzymał w kieszeniach płaszcza. Jego oczy były poważne, zatroskane. — Więc jak, porozmawiamy?

Rozdział II

Karras przewinął taśmę na pustą szpulę magnetofonu. Obok niego stał siwowłosy dyrektor instytutu lingwistyki. Wcześniej Karras starannie podzielił

taśmę na części. Właśnie zamierzał odtworzyć pierwszy fragment. Uruchomił magnetofon i odsunął się o krok od stołu. Słuchali obaj rozgorączkowanego, chrapliwego bełkotu. Gdy taśma się skończyła, Karras zwrócił się do dyrektora: — I co to jest, Frank? Czy to jakiś język?

Siwowłosy mężczyzna przysiadł na skraju biurka. Podczas słuchania taśmy z twarzy jego nie znikał wyraz zaskoczenia.

— Niesamowite. Skąd ty to wziąłeś? Karras zatrzymał magnetofon.

— O, mam to już kilka lat. Pracowałem wtedy nad rozdwojeniem jaźni. Teraz chciałem napisać artykuł na ten temat — powiedział.

— Rozumiem.

— Co o tym sądzisz?

Dyrektor zdjął okulary i gryzł koniuszek oprawki.

— Nie przypomina to, co prawda, żadnego znanego mi języka, jednak... — Zmarszczył brwi. Potem zapytał Karrasa: — Możesz puścić jeszcze raz?

Karras szybko przewinął taśmę i przesłuchali ją ponownie.

— A teraz?

— Tak... to ma rytm...

Karras doznał przebłysku nadziei, ale stłumił ją. — Tak właśnie myślałem — zgodził się.

— Ale nie potrafię rozpoznać dokładnie. Czy jest to coś starożytnego, współczesnego?

— Nie wiem.

— Mógłbyś mi zostawić tę taśmę? Pokażę ją pracownikom.

- Raczej przegraj ją, Frank. Wolałbym zatrzymać oryginał dla siebie.

— Oczywiście.

— A tymczasem puszczę ci coś innego. Masz chwilę czasu?

— Tak, posłuchajmy. O co tym razem chodzi?

— Jeśli zaprezentuję ci fragmenty próbki z pozoru dwóch różnych osób, czy mógłbyś na podstawie analizy semantycznej stwierdzić, że może to być ten

sam człowiek?

— Myślę, że tak.

— W jaki sposób?

— Porównując współczynnik syntaktyczny. Uważam to za dość pewną i sprawdzoną metodę. Po przestudiowaniu wypowiedzi składającej się z tysiąca lub więcej słów można sprawdzić częstotliwość występowania różnych części mowy.

— Czy ta metoda jest miarodajna?

— Tak, nawet bardzo. Tego typu test wykazuje natychmiast zmiany w słownictwie. I nie istotny jest tu zasób słów, ale ich układ oraz styl. Nazywamy to współczynnikiem lokacji. Laik nie byłby w stanie się w tym rozeznać i dlatego odwołujemy się do tej metody. — Uśmiechnął się nieznacznie, a potem wskazał taśmę, którą Karras trzymał w ręce.

— Czy masz tam nagrania dwóch różnych pacjentów?

— Nie. Głos wydobywa się z ust jednej i tej samej osoby. Tak jak mówiłem, jest to przypadek rozdwojenia jaźni. Zarówno brzmienie, jak i zdania wydają się być zupełnie odmienne, ale zapewniam cię, że chodzi o tę samą osobę. Posłuchaj, chciałbym cię prosić o przysługę...

— Chcesz, abym przeprowadził badania? Chętnie. Pokażę to jednemu ze specjalistów.

— Nie, Frank. Zależy mi na naprawdę wielkiej przysłudze; chciałbym, abyś zbadał nagranie sam, i to tak szybko, jak to tylko możliwe. Ta sprawa jest dla mnie bardzo ważna.

Frank odnalazł w głosie kolegi napięcie.

— Dobrze, zajmę się tym.

Przegrali obie taśmy i Karras zabrał oryginały do pensjonatu. W swoim pokoju pod drzwiami znalazł kartkę z informacją, że kliniczne opisy choroby Regan już nadeszły. Zajrzał do recepcji i odebrał grubą kopertę. Gdy tylko ponownie znalazł się w pokoju, natychmiast pogrążył się w lekturze i już

wkrótce nabrał przekonania, że jego wizyta w instytucie lingwistyki była zbędną stratą czasu.

„Obsesja wynikająca z poczucia winy, połączona z histeryczno-somnambuliczną..."

Margines wątpliwości. Znowu margines. Interpretacja. Ale objawy zdradzane przez Regan... Karras skrył zmęczoną twarz w dłoniach. Znaki na skórze, o których wspominała mu Chris, opisano w karcie Regan. Zaznaczono, że jej skóra wykazuje znaczną nadwrażliwość, a zatem dziewczynka sama może wywoływać stygmaty, uciskając ciało palcem w odpowiedni sposób.

Dermatografia.

„Robiła to sama" — pomyślał Karras. Był o tym przekonany. Kiedy Regan unieruchomiono pasami, tajemnicze zjawisko ustąpiło.

Symulacja. Świadoma lub nie, ale jednak symulacja. Podniósł głowę i jego wzrok padł na aparat telefoniczny. Frank. Czy zadzwonił do niego? Wybrał numer. Nie zastał go, zostawił więc wiadomość, aby dyrektor zatelefonował po powrocie. Odłożył słuchawkę, wstał i poszedł do łazienki. Obmył twarz zimną wodą. *Egzorcysta powinien mieć pewność, ze żaden z objawów nie został pominięty...* Spojrzał na swoje odbicie w lustrze. *Czy pominął coś? Co? Woń kiszonej kapusty?* Wytarł twarz. *Autosugestia.* Ciało chorego umysłowo w pewnych szczególnych okolicznościach może wydzielać rozmaite zapachy. Karras ręcznikiem osuszył dłonie. *Stukoty... Wysuwanie szuflady. Psychokineza? Czy rzeczywiście?* Martwił się, że z powodu zmęczenia jego umysł nie pracuje zbyt sprawnie. *Jestem wykończony.*

Nie chciał, aby przypadek Regan skończył się na domysłach, niekontrolowanych fantazjach jego mózgu. Poszedł do biblioteki. Przekartkował katalog czasopism. *D...Du...Duchy.* Zamówił wymienione tytuły i usiadł, aby przeczytać artykuł niemieckiego psychiatry Hansa Bendera na temat zjawisk związanych z występowaniem duchów stukających. Autentyczność zjawisk psychokinetycznych jest niekwestionowana — stwierdził po lekturze. Są

dokładne opisy, filmy, obserwacje w warunkach klinicznych. W żadnej z prac nie łączono psychokinezy z opętaniem. Raczej skłaniano się ku hipotezie, że jest to energia wytwarzana podświadomie i zazwyczaj, jak zauważył Karras, przez ludzi dorosłych, w warunkach silnego wewnętrznego napięcia lub frustracji.

Karras potarł zmęczone oczy. Wciąż miał wrażenie, że pominął coś istotnego. Po raz kolejny przypomniał sobie symptomy, rozważając każdy z osobna, niczym kolekcjoner przeglądający zebrane okazy. „Który pominął? Czego jeszcze brakuje?" — zastanawiał się.

Niestety, nie znalazł odpowiedzi na to pytanie. Powrócił do rozłożonych na stoliku czasopism. Potem zdecydował się ponownie odwiedzić Chris McNeil.

Willie rozpoznała go i zaprowadziła do gabinetu.

— Ojciec Karras — oznajmiła.

— Proszę, proszę wejść.

Chris stała przy barku, odwrócona do niego tyłem, przyciskając dłonie do skroni.

— Witam ojca — powiedziała, pełnym rezygnacji szeptem.

— Czy u księdza wszystko w porządku?

— Tak, dziękuję.

Głos jej zdradzał silne napięcie. Zmarszczyła czoło. Drżącą ręką zakryła twarz. — Co nowego? — spytała.

— Przejrzałem te raporty z kliniki — odczekał chwilę. Milczała.

— Jestem przekonany... — znowu przerwał. — Powiem pani szczerze. Myślę, iż Regan powinna znaleźć się pod intensywną opieką psychiatryczną.

Wolno skinęła głową.

— Gdzie jest jej ojciec? — zapytał.

— W Europie — szepnęła.

— Czy zawiadomiła go pani o chorobie Regan?

Wiele razy myślała, żeby mu o tym powiedzieć. Czuła nieodpartą pokusę. To nieszczęście mogło ich połączyć na nowo. Ale Howard i księża... Dla dobra

Regan zadecydowała, że nie powinien o niczym wiedzieć.

— Nie — odpowiedziała cicho.

— Sądzę, że jego obecność tutaj mogłaby okazać się pożyteczna.

— Proszę posłuchać, jej nie może pomóc żadna ziemska siła! — wybuchnęła nagle, podnosząc ku niemu mokrą od łez twarz. — To musi być moc nadprzyrodzona!

— A jednak jestem przekonany, że powinniśmy go sprowadzić.

— Dlaczego?

— Bo...

— Do jasnej cholery! Jest mi ksiądz tu potrzebny po to, żeby wygnać demona, a nie sprowadzać następnego! — krzyknęła histerycznie. Jej rysy zmienił gniew. — Dlaczego zatem nie mówi ksiądz o egzorcyzmach?

— Obecnie...

— I czego, u diabła, chce ojciec od Howarda?

— Porozmawiamy o tym...

— Cholera, rozmawiajmy o tym teraz! Niech ksiądz mi powie, po jakie licho potrzebny nam tu jeszcze Howard?! Po co?

— Istnieje podejrzenie, że choroba Regan jest spowodowana poczuciem winy z powodu...

— Z jakiego powodu?! — krzyknęła patrząc na niego dzikim wzrokiem.

— Być może...

— Co, rozwód? Te wszystkie psychiatryczne bzdury!

— Obecnie...

— Tak, ma poczucie winy, ale dlatego, że zabiła Denningsa! — wrzasnęła przyciskając ręce do skroni. — Zabiła go! Zabiła go i zabiorą ją stąd, chcą ją stąd zabrać! Och, mój Boże!...

Karras zdążył podtrzymać ją, nim osunęła się na podłogę, i doprowadził do sofy.

— Już dobrze — powtarzał stłumionym głosem. — Już dobrze...

— Nie... oni ją zabiorą i zamkną w... O Boże! O, mój Boże! Pomógł jej położyć się na sofie. Sam przysiadł na skraju i ujął jej rękę w swoje dłonie. W głowie kłębiły się mu rozmaite myśli. Kinderman. Dennings. Jej płacz. Wszystko wydawało się takie nierealne.

— Już dobrze... proszę się uspokoić. Wszystko będzie dobrze... dobrze...

Po chwili Chris się uspokoiła. Pomógł jej usiąść, podał szklankę wody i paczkę chusteczek, które znalazł za barkiem. Potem usiadł obok niej.

— Ulżyło mi — powiedziała pociągając nosem. — O Boże, jak mi ulżyło! Wreszcie to z siebie wyrzuciłam.

Karras poczuł, że w miarę jej dochodzenia do siebie w nim samym narasta napięcie spowodowane usłyszanym wyznaniem. Chris głośno przełykała łzy. Poczuł, jak przygniata go wielki ciężar. Znalazł się w ślepej uliczce. Dojrzewał w nim bunt. *Nie chcę wiedzieć więcej. Nie mów nic więcej.*

— Czy chce pani mi jeszcze coś powiedzieć? — zapytał łagodnie.

Chris skinęła głową. Westchnęła, wytarła oczy. Opowiadała cichym głosem, od czasu do czasu połykając łzy. O Kindermanie, o książce, o tym, jak nabrała pewności, że Dennings był w sypialni Regan. I o widmie Burke'a, które wystąpiło, gdy głowa Regan przekręciła się do tylu na nieruchomym tułowiu.

Chris zamilkła. Teraz czekała na reakcję Karrasa. Przez pewien czas nic nie mówił, starając się skupić na tym, co słyszał. Potem powiedział cicho: — Ale jednak nie wie pani na pewno, że ona to zrobiła?

— Ale jej głowa odwróciła się o 180 stopni! — powiedziała Chris.

— Przecież przedtem uderzyła pani o ścianę. Była pani zaszokowana. To wszystko może być grą wyobraźni.

— Ale ona powiedziała mi, że zabiła Denningsa — upierała się Chris.

Krótkie milczenie.

— Czy powiedziała, jak to zrobiła? — Badawczo patrzył na nią.

— Nie — zaprzeczyła. — Nie.

— W takim razie jej oświadczenie nie ma żadnego znaczenia. I nie będzie

miało; jeśli nie poda szczegółów, których nie mógłby znać nikt poza mordercą.

Popatrzyła na niego niepewnie.

— Sama nie wiem — odpowiedziała — Nie wiem, czy dobrze robię. Bo jeśli raz zabiła, może przecież uczynić to ponownie. Sama nie wiem... Ojcze, co mam robić? — spytała głosem wyjałowionym z nadziei.

Ciężar na jego barkach wzrósł, przygniatał mu plecy. Oparł dłonie na kolanach i zamknął oczy.

— Teraz proszę słuchać mnie uważnie — powiedział opanowanym głosem. — Zrobiła pani już wszystko, co tylko mogła, a teraz proszę zostawić to mnie. — Poczuł na sobie jej spojrzenie i otworzył oczy. — Czy czuje się pani już lepiej?

Potwierdziła.

— Zechce pani wyświadczyć mi przysługę?

— Jaką?

— Proszę wyjść z domu i pójść do kina.

Otarła powieki wierzchem dłoni i uśmiechnęła się.

— Nienawidzę kina.

— W takim razie niech pani odwiedzi przyjaciół. Obdarzyła go serdecznym spojrzeniem.

— Mój jedyny przyjaciel jest teraz ze mną — powiedziała w końcu.

Odpowiedział jej uśmiechem.

— Musi pani odpocząć — doradził.

— Postaram się.

Przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl.

— Czy sądzi pani, że to Dennings zaniósł tę książkę na górę?

— Raczej już tam była. Zastanowił się. Potem wstał.

— No, dobrze. Czy potrzebuje pani wozu?

— Nie, może ojciec go zatrzymać.

— No to dziękuję. Wrócę jeszcze.

— Ciao, ojcze.

Wyszedł z domu przygnębiony. *Skręcenie karku. Regan. Dennings. Niemożliwe! Nie! Ale Chris była o tym taka przekonana— jej reakcje, histeryczne zachowanie... Ale może to tylko gra rozhisteryzowanej wyobraźni? A jednak...*

Był w rozterce i z trudem usiłował logicznie myśleć.

Kiedy mijał strome schody na tyłach domu, usłyszał dźwięk dochodzący znad rzeki. Zatrzymał się i spojrzał w dół. Organki. Ktoś grał *Red River Valley,* w dzieciństwie jego ulubioną melodię. Słuchał póki przejeżdżające samochody nie zagłuszyły muzyki. Wspomnienia przysłoniła teraźniejszość, okrutny świat pełen skarg ludzi błagających o pomoc, świat splamiony krwią i zatruwany spalinami. Wcisnął ręce w kieszenie. Myśli kłębiły się w jego rozgorączkowanej głowie. Chris. Regan. Księża Lucas i Tranquille. *Musi coś postanowić. Co?* Czy mógł wierzyć, że jego zdanie będzie się liczyło bardziej niż opinia lekarzy z Barringer? Ale musi być jakaś nadzieja.

Przypomniał sobie przypadek Achilla, opętanego; jak Regan nazywał siebie demonem. Podobnie przyczyną było poczucie winy — wyrzuty sumienia z powodu zdrady. Doktor Janet stosował kurację hipnotyczną sugerując pacjentowi, że staje przed nim żona i przebacza mu. Tak... Sugestia mogła pomóc Regan. Ale nie poprzez hipnozę. Próbowano już tego w klinice. Jedyną skuteczną sugestią mógł być rytuał egzorcyzmów. Karras był o tym przekonany. Wiedziała, na czym polegały egzorcyzmy, wiedziała, jaki przynoszą efekt. *Jej reakcja na wodę święconą. Dowiedziała się tego z książki!* W tym samym opracowaniu zamieszczono także opisy egzorcyzmów, które zakończyły się powodzeniem. *To mogłoby pomóc! Mogłoby pomóc! Ale jak uzyskać zezwolenie kurii? Jak przedstawić przypadek zatajając śmierć Denningsa?* Nie mógł oszukać biskupa. Ale mógł przecież pozwolić faktom, żeby mówiły same za siebie!

Tylko jakim faktom?

Otarł ręką czoło. Potrzebował snu, ale nie miał czasu na odpoczynek. Czuł pulsujący ból w skroniach. *Cześć, tatku!*

Jakim faktom?

Nagranie, które zostawił w instytucie. *Czy Frank coś odkrył? Czy w ogóle było coś do odkrycia? Chyba nie, ale kto wie? Regan nie odróżniła wody święconej od zwykłej z kranu... To prawda, lecz jeśli czytała moje myśli, dlaczego nie domyśliła się różnicy?* Przyłożył ręce do czoła. Ból głowy. Zamęt. *Boże! Karras! Obudź się! Ktoś umiera! Obudź się!*

Wrócił do siebie i zadzwonił do instytutu lingwistyki. Franka nie było. *Woda święcona. Woda z kranu. Coś...*

Otworzył „Rytuał" i odczytał instrukcję do egzorcyzmow: „Złe duchy... pokrętne odpowiedzi... mogą nasuwać podejrzenie, że osoba wcale nie jest opętana...."

Karras zastanowił się. *O czym, do diabla, oni tu piszą? Co to znaczy ,,złe duchy"?*

Z trzaskiem zamknął tom i sięgnął po karty choroby Regan. Nerwowo przeglądał je, szukając czegoś, czym zdołałby przekonać biskupa.

Tutaj: „Definitywne wykluczenie histerii". *To już jest coś. Ale mało. Coś jeszcze. Musi być coś jeszcze. Jakaś sprzeczność.* Przeszukiwał własną pamięć. I wreszcie znalazł. Nie było to wiele, ale zawsze. Zadzwonił do Chris.

Jej głos brzmiał niezbyt wyraźnie.

— Hej, ojcze.

— Spała pani? Przepraszam.

— W porządku.

— Chris, gdzie jest ten lekarz... Doktor Klein?

— W Rosslyn.

— W szpitalu?

— Tak.

— Proszę, niech pani zadzwoni do niego i powie mu, że odwiedzi go

doktor Karras, aby obejrzeć wyniki EEG Regan. Ale koniecznie proszę powiedzieć „doktor Karras". Zrozumiała pani?

— Oczywiście.

— Potem zadzwonię.

Odłożył słuchawkę, rozpiął koloratkę i zamienił sutannę na spodnie khaki i luźną bluzę. Narzucił płaszcz przeciwdeszczowy, zapinając go pod szyję. Spojrzał w lustro i zdrętwiał. „Ksiądz policjant" — pomyślał i rozpiął prochowiec. Stroje księży miały w sobie coś, czego nie można ukryć. Zdjął buty i założył jedyną parę, która nie była czarna - przydeptane tenisówki.

Samochodem Chris pojechał do Rosslyn. Kiedy zatrzymał się na skrzyżowaniu, zobaczył coś zdumiewającego. Karl wysiadł z wozu policyjnego prowadzonego przez porucznika Kindermana. Karras nacisnął gaz i wjechał na most. Zerknął we wsteczne lusterko. Czy go zauważyli? Chyba nie. Ale co robili razem? Czysty przypadek? Przypadek? A może ma to związek z Regan — z Regan i ...?

Nie myśl o tym. Realizuj plan.

Zaparkował przed szpitalem i odszukał gabinet doktora Kleina. Doktor był zajęty, ale pielęgniarka wręczyła Karrasowi odczyt EEG. Przesuwał taśmę między palcami.

Wszedł Klein. Nie zdołał ukryć zdziwienia, gdy zobaczył strój Karrasa.

— Czy doktor Karras?

— Tak, miło mi pana poznać. Uścisnęli sobie dłonie.

— Jestem Klein. Jak się czuje dziewczynka?

— Nastąpiła poprawa.

— Miło mi to słyszeć.

Karras przeniósł wzrok na zapis EEG. Klein stanął obok pokazując palcem wzory fal.

— Tutaj, widzi pan? Są bardzo regularne, nie ma żadnych fluktuacji.

Karras zmarszczył czoło.

— To bardzo dziwne.

— Dziwne?

— Przyjmując, że mamy do czynienia z histerią.

— Nie rozumiem.

— No jasne, na ten temat w ogóle niewiele wiadomo

— mruknął Karras przeglądając zapis. — Ale w Belgii udowodniono, że histeria objawia się swoistymi zakłóceniami w zapisie graficznym. Są bardzo nikłe, ale niezmienne. Właśnie ich szukam, ale jak dotąd nic nie ma.

— I cóż z tego? — spytał Klein wymijająco. Karras przyjrzał się mu.

— Nie ulega wątpliwości, że kiedy robił jej pan to EEG, zaburzenia już u niej występowały, tak?

— Tak, nie myli się pan. Już była chora.

— Czy zatem nie jest zagadką, że otrzymaliśmy tak dobry wynik? Nawet u osobników całkowicie zdrowych pojawiają się czasem zakłócenia fal. A Regan przecież była wtedy chora. Powinny więc wystąpić jakieś widoczne fluktuacje...

— Doktorze, pani Smith zaczyna się niecierpliwić — przerwała im pielęgniarka.

— Już idę — westchnął Klein.

Nim wyszedł do gabinetu przyjęć, zapytał jeszcze Karrasa:

— Więc sądzi pan, że to histeria?... Przepraszam, muszę już iść.

Wyszedł, a zaraz potem Karras usłyszał jego kroki w korytarzu. Potem odgłos otwieranych drzwi i głos Kleina:

— I jak się dziś czujemy, pani Smith?

Powrócił do studiowania zapisu. Kiedy skończył, zwinął taśmę i oddał pielęgniarce w recepcji. *Coś.* Właśnie znalazł to „coś", czego mógł użyć w rozmowie z biskupem jako argumentu wykluczającego histerię Regan. I był to jednocześnie dowód na jej opętanie. Bo EEG stworzyło kolejny problem. Dlaczego nie wystąpiły odchylenia? Żadne.

Pojechał do Chris. Kilka przecznic przed jej domem, w pobliżu pensjonatu jezuitów, zaskoczony dostrzegł zaparkowany samochód Kindermana. Porucznik siedział przy kierownicy z łokciem wspartym o okno. Karras skręcił w prawo, nim Kinderman zdołał go zauważyć w jaguarze Chris.

Odszukał wolne miejsce, zaparkował i wysiadł. Potem okrążył róg ulicy, pozorując powrót do pensjonatu. „Czy obserwuje dom?" — zastanawiał się Kinderman.

Znów powracała sprawa Denningsa. *Czyi możliwe, by Kinderman podejrzewał Regan?*

Spokojnie. Wolniej. Nie przejmuj się.

Mijając wóz Kindermana, pochylił się i wepchnął rękę przez okno.

— Dzień dobry, poruczniku!

Detektyw drgnął i odwrócił głowę. Sapnął ze zdziwienia.

— Ojciec Karras!

„Udało się" — pomyślał Karras. Czuł, że dłonie wilgotnieją mu od potu. *Bądź na luzie. Nie pozwól mu przypuszczać, że masz kłopoty. Więcej luzu.* — Naraża się pan na mandat? W weekendy pomiędzy szesnastą a osiemnastą nie wolno tu parkować.

— Nie ma problemu — powiedział Kinderman wydychając ze świstem powietrze. — Rozmawiam przecież z księdzem, a tu w okolicy każdy glina jest katolikiem.

— A co u pana?

— Szczerze mówiąc, ojcze Karras, jako tako. A co u księdza?

— Nie mogę narzekać. Czy rozwiązał pan już tamtą sprawę?

— Jaką sprawę?

— Tego reżysera.

— Ach, to. — Detektyw uczynił gest wyrażający zniechęcenie. — Lepiej niech ksiądz nie pyta. A tak, na marginesie, co robi ojciec dziś wieczorem? Mam wejściówki do „Crestu". Dają „Otella".

— Jaka obsada?

— Molly Picon jako Desdemona, Leao Fuchs jako Otello. Zadowolony? I to za darmo, ojcze Brando. Pójdzie ojciec?

— Chyba nie, śpieszę się. Jestem zawalony robotą.

— Rozumiem. Proszę mi wybaczyć, że to mówię, ale wygląda ojciec okropnie. Niedospanie?

— Ja zawsze wyglądam okropnie.

— Ale tym razem trochę bardziej niż zwykle. To co? Niech ojciec da sobie spokój na jedną noc i rozerwiemy się trochę.

Karras zdecydował się spróbować i poruszyć delikatny temat.

— Czy jest pan pewien, że to „Otello"? Mógłbym przysiąc, że w „Creście" grają film z Chris McNeil.

Detektyw nie podjął rękawicy. Powiedział prędko: — Jestem pewny, to Otello.

— Jeśli wolno zapytać, co pana tutaj sprowadza?

— Przyjechałem specjalnie, żeby zaprosić ojca na film.

— Czy nie prościej było zatelefonować? — zauważył Karras. Detektyw uniósł brwi w niewinnym zdziwieniu.

— Telefon ojca był zajęty — wysapał podnosząc dłoń jak do modlitwy.

Jezuita patrzył na niego nieruchomym wzrokiem.

— Czy coś się stało? — spytał Kinderman po chwili milczenia.

Z grobową miną Karras włożył rękę do samochodu i uniósł powiekę Kindermana. Uważnie zbadał jego oko. — Sam nie wiem dlaczego, ale wygląda pan fatalnie. Zdaje się, że zaczyna pan popadać w mitomanię. — Karras cofnął dłoń.

— Nie mam pojęcia, co to znaczy. Czy to coś poważnego?

— W każdym razie nie śmiertelne.

— Ale na czym to polega? Jeśli mi ojciec nie powie, chyba oszaleję z niepokoju.

— Proszę sprawdzić w słowniku.

— Niech ojciec nie będzie taki ponurak — powiedział Kinderman. — Od czasu do czasu należy czytać Szekspira. A ponieważ reprezentuję prawo, mogę nawet ojca aresztować.

— Za co?

— Psychiatrzy nie powinni stresować ludzi. I szczerze mówiąc, pewnie goje też byliby zachwyceni. Kto potrzebuje kogoś takiego jak ojciec? Ksiądz — w szortach i trampkach!

Karras uśmiechnął się lekko i powiedział:

— Muszę już lecieć. Niech pan na siebie uważa!

Postukał na pożegnanie w karoserię, a potem ruszył wolno w stronę pensjonatu.

— Musi ojciec iść do lekarza! — zawołał za nim detektyw chrapliwie i posłał Karrasowi życzliwe, szczerze zmartwione spojrzenie.

Jeszcze przez chwilę obserwował dom Chris, a potem uruchomił motor i ruszył w kierunku centrum. Mijając Karrasa nacisnął klakson i pomachał mu ręką.

Jezuita także podniósł dłoń i patrzył, jak wóz Kindermana znika za rogiem. Przystanął na chodniku pocierając czoło drżącą dłonią. *Czy ona rzeczywiście to zrobiła? Czy Regan mogła zamordować Burkea Denningsa w tak okropny sposób?* Patrzył na okno sypialni dziewczynki. *Co, na Boga, nawiedziło ten dom?! Od jak dawna Kinderman chciał porozmawiać z Regan? Czy widział wcielenie Denningsa? Czy słyszał jego przekleństwa w ustach małej? I w takim razie, ile czasu pozostało, zanim ją zamkną i ubezwłasnowolnią?*

Albo zanim umrze.

Myślał o tym, co powie w Kurii.

Przeciął jezdnię i znalazł się przed drzwiami Chris.

— Pani właśnie się trochę zdrzemnęła — oznajmiła Willie. Karras skinął głową.

— To dobrze, bardzo dobrze.

Poszedł do Regan. Pragnął uzyskać jakąś wiadomość, potwierdzenie domysłów, brakujące ogniwo. W sypialni małej natknął się na Karla siedzącego przy oknie. Z rękami skrzyżowanymi na piersiach Szwajcar obserwował Regan. Przywodził na myśl kamienny posąg.

Karras stanął nad łóżkiem. Błysnęły białka oczu Regan. Usłyszał dźwięki z innego świata. Spojrzał na Karla, potem pochylił się i zaczął rozwiązywać jeden z krępujących ją pasów.

— Ojcze, nie!

Karl pochwycił księdza za rękę.

— Nie można, ojcze, to jest silne, to jest bardzo silne! Proszę zostawić pasy!

W jego oczach ujrzał tak wielkie przerażenie, że uwierzył w potężną siłę Regan. *To nie wymysł, ona mogła to zrobić. Mogła wykręcić kark Denningsowi. Mój Boże, Karras! Pospiesz się! Znajdź jakieś dowody! Myśl! Szybciej, zanim...*

— Ich möchte Sie etwas fragen, Engstrom!

Z obudzoną znowu nadzieją, że wreszcie odnajdzie dowód, Karras odwrócił głowę. Złośliwe oczy demona utkwione były w Karlu.

— Tanz Ihre Tochter gern?

Niemiecki. To coś pytało, czy córka Karla lubi tańczyć. Serce Karrasa biło szybko. Widział, jak policzki służącego nabiegły purpurą. Karl drżał z wściekłości, a w jego źrenicach Karras ujrzał nienawiść.

— Karl, może lepiej, gdybyś wyszedł — poradził mu. Szwajcar potrząsnął przecząco głową. Jego zaciśnięte pięści zrobiły się białe.

— Wyjdź — rzekł stanowczo jezuita mierząc go twardym wzrokiem.

Wreszcie Karl dał za wygraną i opuścił pokój. Chichot za plecami Karrasa ucichł. Ksiądz odwrócił się. Ujrzał go. Zadowolony wzrok demona.

— A więc wróciłeś — słyszał skrzypiący głos. — Jestem zdziwiony. Myślałem, że to całe zamieszanie ze święconą wodą dostatecznie cię

zniechęciło. Ale cóż, zapomniałem, że księża nie znają wstydu.

Karras oddychał szybko, starając się nawet nie myśleć o celu swej wizyty. Wiedział, że poddawanie opętanego testom wymaga inteligentnego dialogu. Należy wykazać, iż pacjent nigdy nie mógłby dać określonych odpowiedzi. *Spokojnie. Zastanów się.* Karras zmusił się do wysiłku umysłowego.

Wspomniał przypadek kilkunastoletniej służącej, która w delirium mówiła w języku zidentyfikowanym jako syryjski. Wzbudziło to sensację, dopóki nie ustalono, że kiedyś dziewczyna sprzątała w hotelowym pokoju studenta teologii, który w przeddzień egzaminów powtarzał na głos lekcje syryjskiego. *Spokojnie. Nie podniecą; się.*

— Sprechen Sie Deutsch? — spytał Karras zaczepnie.

— Znowu zabawy?

— Sprechen Sie Deutsch? - powtórzył.

— Naturlich! — oko Regan łypnęło. - Mirabile dictu! Chyba się zgodzisz?

Uczuł, jak wzrasta mu puls. *Nie tylko niemiecki, ale także łacina! I to we właściwym kontekście.*

— Quod nomen mihi est? — spytał prędko. - Jak się nazywam?

— Karras.

Teraz już nie zdołał opanować podniecenia.

— Ubi sum? Gdzie jestem?

— In cubiculo. W pokoju.

— Et ubi est cubiculum? A gdzie jest pokój?

— In domo. W domu.

— Ubi est Burke Dennings? Gdzie jest Burkę Dennings?

— Mortuus. Nie żyje.

— Quomodo mortus est? W jaki sposób umarł?

— Inventus est capite reverso. Znaleziono go z wykręconą głową.

— Quis occidit eum? Kto go zabił?

— Regan.

— Cjuomodo ea occidit illum? Dit mihi exacte. W jaki sposób go zabiła? Opowiedz mi dokładnie.

— O, na razie masz dosyć wrażeń — usłyszał śmiech demona. — Wystarczy, choć naturalnie pomyślisz, że kiedy zadawałeś mi pytania, równocześnie formułowałeś w myślach łacińskie odpowiedzi. — Oczywiście podświadomie, bo cóż znaczymy bez podświadomości? Czy rozumiesz, do czego zmierzam, Karras? W ogóle nie znam łaciny, a tylko czytam w twoich myślach. Wyjmuję odpowiedzi prosto z twojej głowy. Karras był rozczarowany. Misternie budowana konstrukcja rozsypała się w kawałki. Załamało go niespodziewanie zasiane w jego umyśle zwątpienie. Demon zarechotał.

— Tak, wiedziałem, że dojdziesz do takiego wniosku, Karras — twardy głos huczał w całej sypialni. — Jestem z ciebie zadowolony, lubię rozsądnych — Regan zaniosła się śmiechem, odrzucając głowę w tył.

Mózg jezuity pracował szybko, rozpaczliwie poszukując podchwytliwych pytań. *A gdyby znaleźć takie, na które jest kilka odpowiedzi, a jeśli pomyślę naraz o wszystkich? No, dobrze, w takim razie zadam pytanie, na które sam nie znam odpowiedzi! Polem gdzieś sprawdzę, czy odpowiedziała poprawnie.*

Odczekał, aż ucichnie gruby śmiech.

— Quam profundus est imus oceanus Indicus? Jakie jest najgłębsze miejsce Oceanu Indyjskiego?

Oczy demona rozbłysły. La plume de ma tante. Responde Latine!

— Bon jour! Bonne nuit!

— Quam...

Karras urwał. Oczy Regan uciekły w górę. Teraz pojawiła się osobowość bełkocąca w nieznanej mowie. Zniecierpliwiony Karras rzekł stanowczo:

— Chcę znów mówić z demonem!

Żadnej odpowiedzi. Tylko ten oddech, jak z innego świata.

— Quis est tu? - zapytał ostro. Tylko oddech.

Chcę rozmawiać z Burke'm Denningsem! Czknięcie. Oddech. Czknięcie.

Oddech.

— Chcę rozmawiać z Burke'm Denningsem!

Przeciągłe czkanie. Karras przysiadł na skraju krzesła. Wyczerpany, przejęły, bliski rezygnacji. Czekał... Czas mijał. Karrasowi głowa opadła na pierś. *Nie śpij!* Spod ołowianych powiek spojrzał na Regan. Czkawka urwała się. Cisza. *Śpi?*

Podszedł do łóżka i pochylił się nad dziewczynką. Miała zamknięte oczy i ciężko oddychała. Zbadał puls. Potem delikatnie musnął wargi dziewczynki — były straszliwie spękane. Czekał jeszcze kilka minut. W końcu wyszedł z pokoju.

W kuchni zastał Sharon. Siedziała przy stole jedząc posiłek.

— Zrobić księdzu coś do jedzenia, ojcze Karras? Na pewno jest ksiądz głodny.

— Nie, dziękuję, nie jestem — usiadł i sięgnął po ołówek i papier leżący na stole. — Miała silną czkawkę — powiedział. — Czy macie recepty na compazinę?

— Tak, mamy.

Zapisał dawki. Więc dziś wieczorem podajcie jej 25 miligramów.

— Dobrze.

— Jest bardzo odwodniona — ciągnął. — Potrzebne są kroplówki dożylne. Z rana proszę zadzwonić do apteki i polecić to dostarczyć — podał Sharon receptę. — Na razie śpi, więc można podać sustagen.

— W porządku — powtórzyła Sharon. - Podam jej. Dokończyła kolację i spojrzała na receptę. Karrasowi zaświtał w głowie nowy pomysł.

— Pani jest jej nauczycielką?

— Tak, zgadza się.

— Czy uczyła ją pani łaciny? Była zaskoczona. — Nie. Nigdy.

— A niemieckiego?

— Nie, tylko francuskiego.

— Na jakim była poziomie?

— Dość wysokim.

— Ale ani niemieckiego, ani łaciny?

— Nie, skądże.

— A Engstromowie? Czy oni mówią między sobą po niemiecku?

— Och, na pewno.

— Przy Regan też?

— Chyba tak... — wstała i odłożyła talerz do zlewu. — Właściwie jestem pewna.

— Czy kiedykolwiek uczyła się pani łaciny?

— Nie, nigdy.

— Ale rozpoznaje pani ten język?

— O, tak — opłukała talerz i umieściła go na suszarce.

— Czy kiedykolwiek w pani obecności mówiła po łacinie?

— Regan?

— Tak. Odkąd, oczywiście, jest chora.

— Nie, nigdy.

— A w jakimś innym obcym języku? Zastanowiła się.

— No, mogło mi się wydawać, ale...

— Co takiego?

— Cóż, myślę... — zawahała się — właściwie mogłabym przysiąc, że słyszałam, jak mówi po rosyjsku.

Karras znów poczuł, że ogarnia go fala napięcia.

— A pani mówi w tym języku? — spytał czując suchość w gardle.

Wzruszyła ramionami.

— No, tak, troszeczkę, uczyłam się w szkole, to wszystko.

Karras rozważał tę wiadomość. *Łacinę wyczytała z moich myśli.* Nie zważając na Sharon schylił głowę opierając czoło na dłoni. Wątpliwości. *Telepatia często występuje w stanach wielkiego podniecenia. Pacjent mówi w*

języku znanym jednej z osób przy nim obecnych... Przejmuje moje myśli jak ja... Bon jour. Bonne nuit.... La plume de ma tante.... Udręczony nie wiedział już, co o tym sądzić.

Co uczynić? Powinienem się przespać, potem wrócę i spróbuję znowu... Spróbuję znowu... Spróbuję znowu.

Wstał i umęczonym wzrokiem spojrzał na Sharon. Pogrążona w rozmyślaniach opierała się o zlew.

— Wracam do siebie — oznajmił. — Ale gdy tylko Regan się obudzi, proszę o telefon.

— Oczywiście, zadzwonię do ojca.

— Pamięta pani o compazinie? Potaknęła.

— Zaraz tym się zajmę.

Włożył ręce do kieszeni i zamierzał odejść, gdy zatrzymał go pełen troski głos Sharon.

— Ojcze, co się dzieje? Co to jest? Co naprawdę z Regan?

— Nie wiem — powiedział pustym, wypalonym głosem. Odwrócił się i wyszedł na korytarz. Usłyszał za swoimi plecami kroki.

— Ojcze Karras! — Karl trzymał w ręce jego sweter. — Bardzo przepraszam. Powinienem go oddać ojcu o wiele wcześniej, ale wyleciało mi z głowy.

Sweter był starannie wyprany i przyjemnie pachniał. - To miło, Karl, że pan o tym pomyślał. Dziękuję.

— To ja dziękuję, ojcze Karras. - Głos Szwajcara drżał lekko, a oczy błyszczały. — Za to, że pomaga ojciec panience Regan — dodał.

Odszedł powoli.

Karras przypomniał sobie, że widział go w aucie Kinder-mana. Jeszcze jedna tajemnica, kolejna zagadka. Otworzył drzwi frontowe i wstąpił w ciemności nocy. Przeciął ulicę i poszedł do pensjonatu. Marzył o śnie. Ale kiedy znalazł się w pokoju, dostrzegł pod drzwiami kartkę. Podniósł. Od Franka.

„Proszę, zadzwoń..."

Podniósł słuchawkę i wybrał numer. Czekał. Jego dłonie drżały, był pełen desperackiej nadziei.

— Słucham? — dziecinny, piskliwy głosik.

— Czy mogę rozmawiać z tatusiem? Trzaski w słuchawce, potem pytanie chłopca.

— A kto mówi?

— Ojciec Karras.

— Ojciec Karitis.

Serce biło mu jak oszalałe, ale starał się mówić opanowanie.

— Karras. Ojciec Karras.

Przyłożył dłoń do skroni. Jakiś hałas w telefonie.

— Ojciec Karras?

— Tak. Witaj, Frank. Próbowałem złapać cię wcześniej.

— O, przykro mi, ale pracowałem nad twoimi taśmami w domu.

— Skończyłeś już?

— Tak. I muszę ci powiedzieć, że to jest niesamowicie tajemnicza sprawa.

— Spodziewałem się — Karras starał się stłumić napięcie w głosie. — I co, Frank? Rozpoznałeś coś?

— Po pierwsze, ten współczynnik synktatyczny...

— Tak?...

— No cóż, nie ma dostatecznie dużo materiału, aby mieć absolutną pewność, ale sądzę, że się nie mylę. Przynajmniej na tyle, na ile to możliwe. Te głosy na taśmie należą do dwóch różnych osób. Prawodpodobnie...

— Prawdopodobnie?

— Jasne, nie chciałbym zeznawać tego pod przysięgą w sądzie, bo różnica jest niewielka...

— Nie jest wielka? — powtórzył Karras głucho. *Dalej nic konkretnego.* — A co z tym bełkotem? — spytał nie tracąc jeszcze nadziei. — Czy jest to jakiś

język?

Frank zachichotał.

— Co w tym śmiesznego? — spytał jezuita.

— Czy to był jakiś sprytny psychologiczny test, ojcze?

— Nie wiem, o czym mówisz, Frank?

— Bo wydaje mi się, że pomieszałeś taśmy albo coś w tym rodzaju. To jest...

— Frank, czy to jakiś język? — przerwał mu Karras.

— No, powiedziałbym, że zupełnie normalny język. Karras znieruchomiał. — Chyba żartujesz?

— Nie, wcale nie.

— Jaki to język? — spytał.

— Angielski.

Przez moment Karras nie potrafił wydobyć z siebie słowa, a potem przemówił, z trudem panując nad nerwami.

— Frank, zdaje się, że albo cię nie rozumiem, albo chcesz ze mnie zażartować?

— Czy masz gdzieś pod ręką magnetofon? — zapytał Frank.

Karras obrzucił spojrzeniem biurko. — Tak, mam.

— Czy ma urządzenie do wstecznego odtwarzania?

— Dlaczego pytasz?

— Ma, czy nie ma?

— Chwileczkę — nerwowo odłożył słuchawkę i obejrzał mangetofon.

— Tak. Jest. Ale po co to wszystko, Frank?

— Załóż taśmę i puść ją od tyłu.

— Co?!

— Mieszkają u ciebie chochliki — zaśmiał się Frank. — Przesłuchaj taśmę i porozmawiamy o tym jutro. Dobranoc, ojcze.

— Dobranoc Frank.

— Baw się dobrze.

Karras położył słuchawkę na widełki. Był u krańców wytrzymałości. Odszukał taśmę i włączył magnetofon. Przesłuchał ją w zwykły sposób i potrząsnął głową. Bełkot. Przewinął taśmę i odtworzył nagranie od końca. Najpierw usłyszał własny odwrócony głos. A potem Regan. Mówiła po angielsku!

Merrin, Merrin, Karras... Być nam pozwólcie...

Angielski. Bez sensu, ale angielski. Jak ona zdołała to zrobić?

Przesłuchał całe nagranie. Potem przewinął taśmę i przesłuchał ją powtórnie. I jeszcze raz. Zauważył, że szyk zdania jest także odwrócony. Zatrzymał taśmę i usiadł przy biurku. Przygotował papier i ołówek. Starał się dokładnie zapisywać wszystkie słowa. Raz po raz zatrzymywał i cofał nagranie. Wreszcie zanotował wszystko i uporządkował słowa we właściwej kolejności.

„...Niebezpieczeństwo. Jeszcze nie (niezrozumiałe) umrze. Niewiele czasu teraz (niezrozumiałe). Pozwól jej umrzeć. Nie, nie, nie, to miłe. Tak miło jest w ciele. Czuję. To jest (niezrozumiałe). Lepiej niż nicość. Boję się księdza. Daj nam czas.

Uważajcie na księdza. On jest (niezrozumiałe). Nie, nie ten... ten (niezrozumiałe) ten, który (niezrozumiałe). On jest chory. Och, krew, czuję krew, jak to (niezrozumiałe) śpiewa".

Teraz nastąpiło pytanie Karrasa:

— Kim jesteś?

„Jestem nikim. Jestem nikim."

Znowu Karras:

— Czy to twoje imię?

„Nie mam imienia. Jestem nikt. Jest nas wielu. Pozwól nam być. Pozwól nam ogrzać się w tym ciele. Nie (niezrozumiałe) z tego ciała w nicość, w (niezrozumiałe). Zostaw nas. Pozwól nam być, Karras. Zostaw nas. Merrin? Merrin?"

Odczytywał zapis wciąż od nowa, porażony jego wymową i faktem, że przemawia więcej niż jedna osoba. Odłożył notatkę i przetarł rękoma twarz. *Więc nie był to nieznany język. Odwrotne pisanie nie należało do rzadkości, ale mówienie? Z zachowaniem prawideł gramatyki i fonetyki do tego stopnia, że odtworzenie na taśmie puszczonej wstecz czyniło tekst zupełnie zrozumiałym? Czy taki wyczyn nie przerastał ludzkich możliwości? Może w grę wchodzi przyspieszony strumień świadomości, opisywany przez Junga? Nie... To coś innego.*

Wyjął z półki „Psychologię i patologię tzw. zjawisk okultystycznych" Junga. Pamiętał, że właśnie w tej pracy czytał o podobnym przypadku.

Znalazł. Opis eksperymentu, w którym pacjent zadawał sam pytania własnej świadomości, będącej w stanie odpowiedzieć oraz rozwiązywać anagramy.

Anagramy!

Rozłożył książkę na biurku, pochylił się i przeczytał opis doświadczenia.

DZIEŃ TRZECI.

Kim jest człowiek? — Bąko sotyl.

Czy to jest anagram? — Tak.

Ile zawiera słów? — Dwa.

Jakie jest pierwsze? — Zgadnij.

Jakie jest drugie? — Eeeee.

Zgadnij? Czy mam to zinterpretować sam? Spróbuj.

Pacjent znalazł rozwiązanie. Odpowiedź brzmiała: Tylko sobą. Pacjent był zaskoczony własną sprawnością intelektualną, co naprowadziło go na trop istniejącej w nim niezależnej inteligencji. Pytał więc dalej:

Kim jesteś? Cleila.

Czy jesteś kobietą? Tak

Czy żyłaś na ziemi? Nie.

A czy będziesz żyła? Tak.

Kiedy? Za sześć lat.

Dlaczego ze mną rozmawiasz? Biest toje Cleila w.

Pacjent rozszyfrował tę odpowiedź: Cleila jest w tobie.

DZIEŃ CZWARTY.

Czy to ja odpowiadam na pytania? Tak.

Czy Cleila jest tutaj? Nie.

Więc kto tu jest? Nikt.

Czy Cleila w ogóle istnieje? Nie.

W takim razie z kim rozmawiałem wczoraj? Z nikim.

Karras przerwał lekturę. To, co czytał, nie było opisem zjawiska paranormalnego, a tylko dowodem na nieograniczone możliwości ludzkiego umysłu. Sięgnął po papierosa i usiadł wygodnie. *Jestem nikim. Jest nas wielu.* „Gdzie jest przyczyna tego, co ona mówi?" — zastanawiał się.

Znikąd?

Czy Cleila pochodziła z tego samego miejsca? Zabłąkane dusze? Merrin... Merrin... Czuję krew... On jest chory...

Wziął tom „Szatana" i powoli otworzył na stronie z wypisanym błaganiem: „Nie pozwól, aby rządził mną diabeł". Zaciągnął się papierosem i przymknął oczy. Nie mógł opanować kaszlu. Dym. Był wyczerpany. Miał wrażenie, że jego kości zamieniły się w metalowe rury. Wstał, wywiesił na drzwiach plakietkę „Nie przeszkadzać", zgasił światło, spuścił rolety, błyskawicznie zrzucił z nóg buty i padł na łóżko. Jego myśli ścigały się. *Regan. Dennings. Kinderman. Co robić? Oczekują ode mie pomocy. Ale jak im pomóc? Czy iść do biskupa i przedstawić mu tę niewielką ilość dowodów, jakie zdążył zgromadzić? Chyba nie... Nie zdołam go przekonać.*

Przyszło mu na myśl. że powinien rozebrać się i przykryć kołdrą. Był jednak nazbyt zmęczony. Ten przytłaczający ciężar. Pragnął go z siebie zrzucić. *Pozwól nam być....*

— Pozwólcie mi być — nakazał własnym myślom. Zapadł w ciężki,

kamienny sen.

Obudził go dzwonek telefonu. Na pół przytomny przycisnął kontakt. *Która godzina?* Kilka minut po trzeciej. Zaspany sięgnął po słuchawkę. Dzwoniła Sharon. Poprosiła, by natychmiast przyszedł. Zapewnił ją, że zaraz będzie. Odłożył słuchawkę z nieodpartym wrażeniem, że wraca do pułapki bez wyjścia.

Poszedł do łazienki i obmył twarz zimną wodą. Wytarł się i wyszedł z pokoju. Zawrócił po sweter, włożył go i wyszedł na ulicę. Noc była ciemna. Przechodząc obok śmietnika spłoszył kilka kotów.

Sharon czekała na niego w drzwiach, owinięta w koc. Była wystraszona.

— Przepraszam, ojcze — szepnęła, kiedy wszedł. — Ale pomyślałam, że powinien ksiądz to zobaczyć.

— Co takiego?

— Sam ksiądz zobaczy. Ale teraz proszę zachowywać się cicho. Nie trzeba, żeby Chris się obudziła. Nie powinna tego widzieć.

Jak najciszej stąpał za Sharon po schodach. Gdy wszedł do sypialni Regan, poczuł przenikające do szpiku kości zimno. Pokój był lodowaty. Ze zdziwieniem popatrzył na Sharon. Dziewczyna szepnęła: — Tak, ogrzewanie jest włączone.

Potem jego spojrzenie powędrowało w głąb pokoju i dostrzegł Regan. Białka jej oczu błyszczały niesamowicie w świetle żarówki. Wydawała się pogrążona w śpiączce. Leżała w bezruchu ciężko dysząc. Do jej nozdrzy wprowadzono tubę gastryczną, którą z wolna sączyła się odżywka.

Sharon zbliżyła się do łóżka. Karras, wciąż odrętwiały z zimna, poszedł w jej ślady. Ujrzał krople potu na czole dziecka. Dłonie dziewczynki zaciskały się mocno na pasach bezpieczeństwa.

Sharon pochyliła się i delikatnie rozpięła piżamę na piersiach Regan. Karrasa ogarnął niewypowiedziany smutek na widok wycieńczonego ciała. Na wystających żebrach można było policzyć tygodnie, a może dni życia, jakie jej pozostały.

Poczuł na sobie wzrok Sharon.

— Nie jestem pewna, czy to nie zniknęło — szepnęła — ale proszę patrzeć uważnie!

Jezuita, zdziwiony, podążył za jej spojrzeniem. Cisza. Tylko

oddech. Chłód. Nagle uniósł wysoko brwi. Na skórze Regan wystąpiło najpierw lekkie zaczerwienienie, a potem pojawiły się coraz wyraźniejsze znaki przypominające pismo. Pochylił niżej głowę.

— Zaczyna się — powiedziała szeptem Sharon. Wstrząsnął nim dreszcz. Z rozmazanych znaków ułożyły się kontrastowo odcinające się od bladej skóry czerwone litery. Dwa słowa: „Pomóż mi".

— To jej charakter pisma — wyszeptała Sharon.

O dziewiątej rano tego samego dnia Damien Karras udał się do rektora Georgetown University i poprosił o zezwolenie na przeprowadzenie egzorcyzmów. Gdy otrzymał je, niezwłocznie poszedł do biskupa diecezji, który wysłuchał go z powagą.

— Czy jesteś pewien, że nie mamy do czynienia z czym innym? — spytał biskup.

— Przeprowadziłem szczegółowe rozpoznanie według zaleceń „Rytuału" — odpowiedział Karras z przekonaniem. Wciąż nie wierzył, że zdoła otrzymać pozwolenie. Nie rozsądek, lecz serce przywiodło go w to miejsce. Współczucie i nadzieja na wyleczenie Regan sugestią.

— Czy chciałbyś przeprowadzić egzorcyzmy sam? - spytał biskup.

Karras zawahał się przez chwilę: doznał wrażenia, że oto otwiera się przed nim brama, teraz, kiedy już stracił nadzieję, iż przekroczy próg. A więc być może zrzuci z siebie ten ciężar

— Tak, oczywiście — odpowiedział.

— A jak twoje zdrowie?

— Dziękuję, dobrze.

— Czy kiedykolwiek zetknąłeś się z egzorcyzmami?

— Nie, nigdy.

— No, dobrze, zobaczymy. Lepszy byłby ktoś z doświadczeniem. Nie ma wielu takich ludzi, wiem o tym. Ale być może uda się ściągnąć kogoś z misji. Muszę się rozejrzeć. Zadzwonię do ciebie, gdy będę coś wiedział.

Po wyjściu Karrasa, biskup zadzwonił do rektora. Po raz drugi tego dnia rozmawiali o Karrasie.

— Cóż, on zna najlepiej ten przypadek — powiedział rektor. — Wydaje mi się, że bez obawy możemy pozwolić mu asystować. Tak czy inaczej, powinien być przy tym obecny psychiatra.

— A co z egzorcystą? Masz jakiś pomysł? Bo mnie nic nie przychodzi do głowy.

— Właśnie wrócił Lankester Merrin.

— Merrin? Wydawało mi się, że jest w Iraku. Gdzieś czytałem, że kieruje wykopaliskami w okolicach Niniwy.

— Tak, w pobliżu Mosulu. To prawda. Ale zakończył prace i wrócił przed trzema czy czterema miesiącami, Mike. Jest teraz w Woodstock.

— Wykłada?

— Nie, pracuje nad kolejną książką.

— Bóg nam pomaga. Ale czy nie sądzisz, że jest zbyt wiekowy? I jaki jest stan jego zdrowia?

— Musi czuć się dobrze, skoro odkopywał stare grobowce. Chyba się nie mylę?

— Myślę, że masz rację. A poza tym on ma w tych sprawach doświadczenie. Mike.

— Nie wiedziałem o tym.

— Przynajmniej tak mówią.

— Kiedy to robił?

— Zdaje się, że dziesięć lub dwanaście lat temu. Chyba w Afryce. Egzorcyzmy trwały miesiącami. Podobno omal nie zginął przy tym.

— W takim razie wątpię, czy zgodzi się.

— Mike, u nas nie ma wyboru. Robimy to, co nam każą. Buntownicy trafiają się tylko u ciebie.

— Dziękuję, że mi o tym przypomniałeś.

— Zatem, co dalej?

— Jeżeli chodzi o mnie, to zostawiam decyzję ojcu prowincjałowi.

Wczesnym wieczorem młody kleryk błądził po terenie seminarium w Woodstock. Szukał siwego, szczupłego jezuity. Zastał go na przechadzce w pobliskim lasku i wręczył mu telegram. Stary mężczyzna podziękował, obdarzył młodzieńca szczerym, ciepłym spojrzeniem, a potem powrócił do swoich myśli. Tymczasem mógł jeszcze cieszyć się bliskością natury, którą tak bardzo uwielbiał. Przystawał, aby posłuchać śpiewu drozda, aby podziwiać kolorowego motyla. Nie otwierał depeszy. Znał jej treść. Poznał ją już wcześniej. Odczytał te słowa w pyle świątyni Niniwy. Był gotów.

Nie chciał, żeby cokolwiek zakłóciło mu pożegnanie.

Część IV

„A WOŁANIE MOJE NIECH DO CIEBIE PRZYJDZIE...”

Ten, kto trwa w miłości, trwa w Bogu. A Bóg trwa w nim.

Święty Paweł

Rozdział I

Kinderman pracował przy biurku w swoim gabinecie. Nie zapalił centralnego światła, przysunął tylko bliżej lampę ustawioną na blacie. Przed nim leżały taśmy, skrypty, dowody rzeczowe, teczki policyjne, raporty z laboratorium kryminologii, notatki. Starannie ułożył wszystkie materiały w kompozycję przypominającą kwiat róży, jakby chcąc zaprzeczyć okropnej prawdzie, która nieuchronnie z nich wynikała. Prawdzie, w którą nie mógł uwierzyć.

Engstrom był niewinny. W chwili śmierci Denningsa odwiedzał córkę, żeby dać jej pieniądze na narkotyki. Kłamał, bo pragnął ją ochronić i zataić swoje postępowanie przed żoną, która wierzyła, iż Elwira nie żyje i czuła się już wolna od trosk oraz upodlenia.

Kinderman nie dowiedział się tego od Karla. Gdy spotkali się na korytarzu przed mieszkaniem Elwiry, Szwajcar nie odezwał się ani słowem. Dopiero kiedy Kinderman powiedział jego córce o zamiarze oskarżenia Karla o zabójstwo Denningsa, Elwira wyjawiła mu prawdę. Znaleźli się świadkowie; Engstrom był niewinny.

Kinderman kontemplował kompozycję na biurku. Coś w niej było nie tak. Przesunął kilka kartek i teczek na inne miejsca.

Róże. Elwira. Ostrzegł ją, że jeśli w przeciągu dwu tygodni nie zgłosi się do kliniki, otworzy przeciwko niej śledztwo, które niechybnie zaprowadzi dziewczynę do więzienia. Wątpił, czy osiągnął właściwy skutek. Czasami ślepo ufał w moc prawa i wtedy zapominał, że przecież życiem rządzą inne reguły.

Engstrom był niewinny. Cóż więc pozostało?

Sapiąc wiercił się na krześle. Przez chwilę wyobrażał sobie, że tapla się w ciepłej kąpieli. „Ty półgłówku! — beształ samego siebie. — Skup się i przeanalizuj to raz jeszcze! Przecież musi być jakieś rozwiązanie!"

Usiłował odnaleźć porządek w zgromadzonym chaotycznie materiale

dowodowym.

Punkt 1: Prawdopodobnie śmierć Burke'a Denningsa miała jakiś związek z profanacjami w kościele Św.Trójcy. Ogniwem łączącym te fakty jest kult szatana — obrazoburca mógł równie dobrze być zabójcą Denningsa.

Punkt 2: Znawca kultu szatana, jezuita, odwiedzał dom Chris Mac Neil.

Punkt 3: Kartka maszynopisu ze świętokradczym tekstem znaleziona w kościele Świętej Trójcy została poddana analizie daktyloskopijnej. Odciski znaleziono na obu jej stronach. Niektóre z nich należały do Damiena Karrasa, lecz inne, jak można wnioskować z ich wymiarów, pozostawiła albo osoba o bardzo drobnych dłoniach, albo dziecko.

Punkt 4: Kinderman zlecił porównanie tekstu podrzuconego do kościoła z czcionkami maszyny z nie dokończonego listu, który Sharon Spencer wrzuciła do kosza, kiedy detektyw rozmawiał z Chris — wyjął niepostrzeżenie kartkę i zabrał ze sobą. Czcionki, którymi napisano oba teksty, pochodziły z tej samej maszyny. Jednak raport podkreślał, że pisały dwie różne osoby. Autor bluźnierczego tekstu naciskał klawisze o wiele mocniej niż Sharon. Gdzieniegdzie czcionka przebiła papier, co wskazywało na osobę o znacznej sile.

Punkt 5: Burke'a Denningsa, jeśli przyjąć, że jego śmierć nie była przypadkiem, zgładziła osoba o niezwykłej sile.

Punkt 6: Engstroma wyłączono z grona podejrzanych. Punkt 7: Śledztwo wykazało, że Chris McNeil pojechała z córką do Dayton w stanie Ohio. Kinderman wiedział, iż dziewczynka jest chora i zostanie przewieziona do szpitala.

Jeśli znalazła się w Dayton, to na pewno umieszczono ją w klinice Barringer. I choć dyrekcja odmówiła udzielenia informacji, bez wątpienia chodziło o poważne zaburzenia umysłowe.

Punkt 8: Niektóre rodzaje zaburzeń umysłowych bywają czasem źródłem wielkiej siły.

Kinderman westchnął i zamknął oczy.

Znowu to samo. Znowu wrócił do punktu wyjścia. Niechętnie uniósł powieki i popatrzył w środek papierowej róży. Zwinięty, stary numer magazynu filmowego. Na okładce Chris i Regan. Przyjrzał się małej. Słodka, piegowata buzia, kucyki i kokardy; uśmiechała się demonstrując brak przedniej, mlecznej jedynki. Wstał i wyjrzał przez okno. Mrok i drobna mżawka. Zszedł do garażu i wsiadł do czarnego samochodu bez oznaczeń policyjnych.

Jechał ciemnymi, błyszczącymi od deszczu ulicami. Zaparkował po wschodniej stronie Prospect Street. Pozostał w wozie. Przez kwadrans wpatrywał się w okno Regan. Czy powinien zapukać do drzwi i zażądać rozmowy z małą? Pochylił głowę i w zamyśleniu potarł ręką czoło. *Williamie F. Kindermanie! Jesteś durniem! Idź do domu! Weź lekarstwa! Prześpij się!*

Zerknął ostatni raz na okno i skruszony potrząsnął głową. Oto, gdzie zaprowadziła go chora wyobraźnia. Przeniósł spojrzenie na taksówkę, która zatrzymała się przed domem Chris. Włączył silnik i wycieraczki.

Z taksówki wysiadł starszy mężczyzna w czarnym przeciwdeszczowym płaszczu i kapeluszu. Niósł wytartą walizkę. Uregulował należność, a potem zrobił krok w stronę domu. Przez chwilę stał nieruchomo. Taksówka zniknęła za rogiem 36 ulicy. Kinderman ruszył za nią.

W tym samym czasie Karras i Karl przytrzymywali ramię Regan, podczas gdy Sharon wstrzykiwała librium, uzupełniając dawkę z ostatnich dwóch godzin do czterystu miligramów. Karras zdawał sobie sprawę, że tak wielka dawka jest niemal zabójcza, ale po krótkim okresie spokoju demon obudził się i wpadł w furię. Ksiądz obawiał się, iż osłabiony organizm Regan dłużej tego nie wytrzyma.

Karras był wyczerpany. Po rannej wizycie w Kurii wrócił do Chris, by powiadomić ją o tym, co zdołał załatwić. Następnie zaaplikował Regan sztuczne odżywianie i wrócił do siebie. W pokoju bezwładnie zwalił się na łóżko.

Po półtoragodzinnej drzemce telefon wyrwał go ze snu. Dzwoniła Sharon,

by donieść, że Regan jest nadal nieprzytomna, a jej puls powoli słabnie. Złapał torbę lekarską i pobiegł do domu Chris. Nakłuł ścięgno Achillesa małej, by zbadać reakcję na ból. Nie wystąpiła. Ucisnął mocno paznokieć Regan. Znów żadnej reakcji. Zaniepokoił się. Choć wiedział, że w stanach histerii lub transu zanika wrażliwość na ból, jednak obawiał się śpiączki, z której dziecko mogło się już nie obudzić. Zmierzył ciśnienie: dziewięćdziesiąt na sześćdziesiąt. Potem sprawdził puls: sześćdziesiąt uderzeń. Odczekał nieco i powtarzał badanie, dopóki się nie upewnił, że puls i ciśnienie ustabilizowały się na jednym poziomie, co oznaczało, że Regan nie jest w szoku. Poprosił Sharon, by co godzinę sprawdzała puls. Znów wrócił do siebie i próbował ponownie zasnąć. Lecz i tym razem obudził go telefon — z Kurii poinformowano go, że egzorcystą będzie Lankester Merrin. Karrasowi przypadła rola asystenta.

Wiadomość ta poruszyła go. Merrin! Filozof i archeolog! Wspaniały, otwarty umysł! Jego książki zasiały niegdyś ferment w Kościele, interpretował bowiem wiarę w kategoriach naukowych, w kategoriach materii wciąż ewoluującej w kierunku ducha, aż do ostatecznej przemiany i połączenia się z Bogiem.

Karras natychmiast zadzwonił do Chris, aby podzielić się z nią tą nowiną. Okazało się, że zawiadomił ją już biskup. Merrin miał przybyć nazajutrz.

— Zaproponowałam biskupowi, że ksiądz może zamieszkać u mnie. To chyba nie potrwa dłużej niż jeden dzień, prawda?

Karras milczał przez chwilę zanim odpowiedział: — Nie wiem — a potem dodał: — Nie powinna pani spodziewać się zbyt wiele.

— Jeśli oczywiście to w ogóle podziała... -- w jej głosie wyczuł nutę zwątpienia.

— Ależ nie to chciałem powiedzieć — pocieszył ją. — Mam na myśli, że egzorcyzmy mogą potrwać dłużej.

— Na przykład jak długo?

— To zależy.

Wiedział, że egzorcyzmy ciągną się czasami przez całe tygodnie, a nawet miesiące. I często zawodzą. Spodziewał się raczej porażki i zdawał sobie sprawę, że brzemię kuracji przez sugestię spocznie w końcu na jego barkach.

— To może potrwać kilka dni albo tygodni.

— A ile czasu jej zostało, ojcze Karras?

Kiedy odłożył słuchawkę, był zupełnie zdruzgotany. Położył się wciąż myśląc o Merrinie. Merrin! Karras odczuwał nadzieję, podniecenie, ale także dręczący niepokój. Sądził, że to jemu zlecą egzorcyzmy, a jednak biskup postanowił inaczej. Dlaczego? Czy dlatego, że Merrin miał doświadczenie? Przypomniał sobie, że egzorcysta musi mieć „silną wiarę" i „wysokie walory moralne". Pamiętał także o fragmencie Ewangelii świętego Mateusza; kiedy uczniowie zapytali Jezusa, dlaczego nie powiodło się wygnanie demona, odpowiedział im: „Ponieważ jesteście małej wiary". Ojciec prowincjał i przełożony zakonu wiedzieli o jego problemach. Czyżby donieśli o tym biskupowi?

Przewracał się na łóżku. Zwątpiono w jego kompetencje. I to go zabolało. Nie powinno, a jednak czuł się odrzucony. Potem zapadł w ciężki, pusty sen, który na krótko przyniósł zapomnienie.

Poderwał go dzwonek telefonu. To Chris — Regan znowu dostała ataku. Przyszedł natychmiast. Puls małej był bardzo przyspieszony. Podał jej dawkę librium. I następną. I jeszcze jedną. W końcu poszedł do kuchni napić się z Chris kawy. Czytała jedną z książek Merrina wypożyczoną z biblioteki.

— To dla mnie trochę za mądre - powiedziała cicho. – Ale jest w tym coś pięknego, coś wielkiego! — odszukała fragment, który wcześniej zaznaczyła i podała Karrasowi książkę przez stół. Zaczął czytać.

„Wszyscy wiemy, jaka jest struktura i jakie są możliwości stałej regeneracji otaczającej nas materii. Każda jej część jest niestała, występują w niej rozmaite elementy; pozostaje w ciągłym ruchu. A jednak materia jest niezmienna. Powiązana nienaruszalnym prawem wiecznej odnowy, skazana na śmierć,

przecież wciąż się odradza. Każda zagłada daje początek nowym organizacjom, każda śmierć daje życie tysiącom nowych istnień. Materia może zmieniać się z godziny na godzinę, ale traktowana jako całość jest niewzruszona i pewna. Niczym rzeka, która, choć wciąż płynie, jest ciągle taka sama. Słońce umiera, by znowu wzejść, dzień pochłania noc, aby odrodził się ponownie tak świeży, jakby nigdy nie stracił światła. Wiosna przechodzi w lato i przez jesień, w zimę, po to tylko, by powrócić i dać początek nowemu życiu. Żałujemy majowych kwiatów wiedząc, że muszą przekwitnąć, ale jesteśmy niewzruszenie pewni, że maj zwycięży w następnym roku ponury listopad. Jest to niezmienne prawo wiecznego koła, które nigdy się nie zatrzyma. Wiedza o tym daje nam nadzieję na odrodzenie, na to, iż wszelkie zło musi kiedyś przeminąć."

— Tak, to piękne — powiedział nieśmiało Karras. Spoglądał na kartę książki. Wrzask demona stał się naraz donośniejszy. „Sukinsyn... świnia... wredny świętoszek".

— Zawsze kładła różę na moim talerzu... Rano... zanim wyszłam do pracy...

Karras popatrzył pytająco na Chris.

— Regan — wyjaśniła. Opuściła oczy. — No, tak, zapomniałam... ksiądz jej nigdy nie znał... — wytarła nos i zamrugała.

— Czy chce pan trochę koniaku do kawy, ojcze Karras?

— Nie, dziękuję.

— Kawa jest słaba — szepnęła ledwie powstrzymując się od płaczu. — Pójdę po butelkę. Przepraszam na chwilę...

Wybiegła z kuchni.

Karras został sam. Było mu gorąco w swetrze, który nosił pod marynarką. Czuł się bezradny nie potrafiąc pocieszyć Chris. Wrócił myślami do historii z dzieciństwa. Miał kiedyś psa imieniem Ginger, który konał na jego oczach w skrzynce pod ścianą. Z dnia na dzień był coraz chudszy, wymiotował, miał gorączkę. Karras dbał o niego: nakrywał kocykiem, wlewał do pyszczka ciepłe

mleko. Pewnego dnia przyszedł sąsiad i popatrzywszy na psa powiedział: „To zwierzę trzeba uśpić..." Następnego popołudnia uciekł ze szkoły... Włóczył się po ulicy... Na rogu spotkał matkę... Wcisnęła mu do ręki błyszczącą półdolarówkę... była smutna... Tyle pieniędzy! Potem jej głos... miękki i współczujący... „Gingie nie żyje..."

Popatrzył na parę unoszącą się nad filiżanką. I poczuł się bezradny jak nigdy dotąd.

— Pobożny sukinsyn!

To demon. Wrzeszczał bez ustanku.

Twojego psa trzeba natychmiast uśpić...

Otrząsnął się ze wspomnień i wrócił do sypialni Regan. Pomógł ją przytrzymać, gdy Sharon wstrzykiwała librium. Łączna dawka podana tego wieczoru wzrosła do maksymalnych pięciuset miligramów. Podczas iniekcji Karras z zaciekawieniem obserwował demona. Odniósł wrażenie, że wszystkie okropne przekleństwa nie były kierowane do nikogo z obecnych w pokoju, lecz raczej do kogoś innego. Nie zastanawiał się jednak nad tym.

— Niedługo wrócę — oświadczył Sharon. Myśląc o Chris, zszedł do kuchni. Siedziała przy stole dolewając sobie koniaku do kawy.

— Czy na pewno nie chce ksiądz się napić? - spytała. Odmówił i usiadł. Nie patrzył na nią. Słyszał dźwięczne uderzenia łyżeczki o porcelanową filiżankę.

— Czy rozmawiała pani z jej ojcem?

— Tak, dzwonił — odrzekła po chwili — chciał rozmawiać z Rags.

— I co mu pani powiedziała?

Krótka pauza.

— Powiedziałam, że wyszła do koleżanki.

Cisza. Karras nie słyszał już brzęczenia łyżeczki. Chris wpatrywała się w sufit. Uświadomił sobie, że krzyki na piętrze wreszcie ustały.

— Zdaje się, że librium podziałało — powiedział z ulgą.

Dzwonek do drzwi. Spojrzeli po sobie z niepokojem.

Kinderman!

Mijały sekundy. Czekali. Willie spała u siebie. Sharon i Karl byli na górze. Nikt nie poszedł otworzyć. Nagle Chris poderwała się i przeszła do salonu. Klęcząc na sofie odchyliła lekko firankę, usiłując dojrzeć, kto stoi przed drzwiami. *Chwała Bogu!* To nie był Kinderman. Ujrzała starego, wysokiego mężczyznę w płaszczu przeciwdeszczowym, dźwigającego podniszczoną, staromodną walizkę. Chroniąc się przed deszczem wtulił głowę w ramiona.

Kto to jest?

Otworzyła mu zdziwiona. Zmrużyła oczy usiłując coś dojrzeć przez mgiełkę deszczu. Rondo kapelusza ocieniało twarz przybysza.

— Dobry wieczór, czym mogę służyć?

— Czy pani McNeil? — dobiegł ją głos z ciemności. Był łagodny, czysty i spokojny.

Kiedy sięgnął ręką do kapelusza, Chris skinęła głową. Potem napotkała jego wzrok, który w osobliwy sposób zawładnął nią. Spojrzenie mężczyzny było inteligentne i pełne zrozumienia. Emanowało jakąś mocą, która potrafiła dodawać otuchy.

— Jestem ojciec Merrin.

Przez moment spoglądała zaskoczona na jego szczupłą, ascetyczną twarz, kości policzkowe jak wyrzeźbione z gładkiego marmuru. A potem prędko otworzyła szeroko drzwi.

— O, Boże, proszę, proszę wejść! Och... ja... ja nie wiedziałam... — Zamknęła za nim drzwi. — To znaczy chciałam powiedzieć... ja nie spodziewałam się księdza dzisiaj.

— Wiem — usłyszała jego głos. Odwróciła ku niemu twarz. Uniósł oczy, jak gdyby nasłuchując, Zdawało się, że coś wyczuwał, łowił jakiś fluid w powietrzu, znany mu wcześniej. Obserwowała go ze zdziwieniem. Skórę twarzy Merrina pobruździły zmarszczki wyżłobione przez odległe wiatry i dalekie

słońca — obce dla niej. *Co on robi?*

— Czy mogę wziąć walizkę księdza? Namokła tak bardzo, że musi ważyć chyba tonę.

— Jestem przyzwyczajony — powiedział cicho, wciąż nasłuchując. — Jest już jak przedłużenie mojego ramienia, mam ją od bardzo dawna. Spoglądał na nią ciepłymi, uśmiechającymi się oczyma. — Jestem przyzwyczajony do dźwigania ciężarów. Czy jest tutaj ojciec Karras?

— Tak, teraz jest w kuchni. A przy okazji, czy jadł ksiądz obiad?

Uniósł wzrok, gdy z góry doleciał odgłos otwieranych drzwi.

— Tak, dziękuję, jadłem w pociągu.

— Może jednak, by ksiądz coś przekąsił?

Cisza. Skrzypnęły zamykane drzwi. Opuścił wzrok. — Nie, dziękuję.

— Strasznie pada — powiedziała Chris, ciągle jeszcze zaskoczona jego wizytą. — Gdybym wiedziała, że ksiądz przyjeżdża, wyjechałabym na stację.

— Nic się nie stało.

— Czy długo ojciec czekał na taksówkę?

— Tylko kilka minut.

— Wezmę to, ojcze.

To Karl. Zbiegł ze schodów, wyjął z ręki Merrina torbę i zaniósł ją do hallu.

— Posłaliśmy dla księdza łóżko w gabinecie - paplała Chris. — Będzie księdzu naprawdę bardzo wygodnie. Myślę, że się spodoba, zaraz księdza zaprowadzę - zrobiła parę kroków i przystanęła. — A może woli ksiądz najpierw przywitać się z ojcem Karrasem?

— Chciałbym od razu zobaczyć pani córkę. Była zdziwiona. — Teraz? Zaraz?

Z góry dobiegł rozdzierający głos demona, niczym krzyk

Znów skierował wzrok na sufit, bacznie nasłuchując.

— Tak, teraz.

— Ale ona na pewno śpi.

— Myślę, że jednak nie.

— No cóż, jeśli...

Nagle Chris zadygotała. Z Grzmiący, głęboki, chrapliwy, żywcem grzebanego człowieka.

— Merriiiiinnn!!!

Potem coś z ogromną siłą uderzyło o ściany sypialni.

— Boże najświętszy! — wyszeptała pobladła Chris przez zaciśnięte gardło. Przerażona spojrzała na Merrina. Ksiądz nie poruszył się. Ciągle patrzył w górę. Skupiony i poważny. Ale w jego oczach nie było nawet cienia zaskoczenia. „Raczej — pomyślała Chris — pełna świadomość".

Następne uderzenie wstrząsnęło domem.

— Merrrriiiiinnnnnnn!!!

Jezuita ruszył w stronę schodów, nie zwracając uwagi na zaszokowaną Chris, na Karla wybiegającego z gabinetu, na Karrasa, który wypadł z kuchni.

Niesamowite wrzaski i straszliwy łomot wypełniały dom.

Merrin spokojnym krokiem wchodził po schodach opierając się delikatną dłonią o poręcz. Karras stał obok Chris i oboje widzieli z dołu, jak wchodzi do sypialni Regan i zamyka za sobą drzwi. Na kilka chwil zapadła cisza. A potem naraz demon zaśmiał się straszliwie. Merrin wyszedł. Starannie zamknął za sobą drzwi i zszedł na dół. Drzwi sypialni otworzyły się znowu i Sharon wychyliła głowę patrząc za nim z dziwnym wyrazem twarzy.

Jezuita podszedł do Karrasa wyciągając rękę na powitanie.

— Ojciec Karras?

— Witam, ojcze.

Merrin ujął rękę księdza w obie dłonie i trzymał ją w uścisku patrząc na niego, smutnym skupionym wzrokiem. Z piętra wciąż dobiegał śmiech i przekleństwa, którymi demon obrzucał Merrina.

— Wyglądasz na okropnie zmęczonego, jak się czujesz?

— Ależ nie, wszystko jest w porządku. Dlaczego ojciec pyta?

— Czy masz ze sobą pelerynę? Karras przecząco potrząsnął głową.

— W takim razie weź moją. Chciałbym, abyś poszedł do swojego pensjonatu i przyniósł dla mnie sutannę, dwie komże, purpurową stułę i dwa egzemplarze „Rytuału rzymskiego" — podał swój płaszcz zdziwionemu Karrasowi. — Myślę, że powinniśmy już zacząć — dodał. Karras zmarszczył czoło.

— Natychmiast? Chce ojciec zaczynać od razu?

— Tak trzeba.

— Czy nie woli ojciec zapoznać się najpierw z historią choroby Regan?

— Po co?

Z oczu Merrina wyzierało przekonanie. Karras zdał sobie sprawę, że nie potrafi odpowiedzieć na jego pytanie. Umknął spojrzeniem w bok.

— Dobrze — powiedział. Wciągnął na siebie płaszcz. -Pójdę. Karl szybko przemierzył hali, wyprzedził Karrasa i otworzył przed nim drzwi. Wymienili krótkie spojrzenia. Gdy Karras wyszedł, Merrin zwrócił się do Chris.

— Chyba nie ma pani nic przeciwko temu, żebyśmy już zaczęli?

Patrzyła na niego z zaufaniem i poczuciem bezpieczeństwa.

— Nie. Będę bardzo wdzięczna. Ale przecież ksiądz jest zmęczony.

Pochwycił jej niespokojny wzrok, kiedy szybko zerknęła w górę, skąd ciągle dobiegał wrzask demona.

— Może choć wypije ksiądz filiżankę kawy. Właśnie przygotowałam — nalegała. — Jest gorąca. Czy podać, ojcze?

Obserwował jej nerwowe ruchy.

— Dziękuję, chętnie się napiję — powiedział miękko. Poczuła się pewniej. — Jeśli oczywiście nie sprawi to pani kłopotu.

Zaprowadziła go do kuchni i wkrótce grzał się przy piecu z filiżanką gęstej, czarnej kawy w dłoni.

— Czy dolać księdzu kropelkę koniaku? — sięgnęła po butelkę.

— Hm, lekarze mówią, że nie powinienem... — Podsunął jej filiżankę. — Ale na szczęście mam słabą wolę.

Chris zawahała się, ale gdy ujrzała jego wesołe spojrzenie, przechyliła butelkę.

— Ma pani piękne imię, Chris McNeil. Czy nie jest to pseudonim artystyczny?

— Nie, nie, nazywam się Esmeralda Glutz.

— Dzięki Bogu — mruknął Merrin. Chris uśmiechnęła się i usiadła.

— A imię Lankester, ojcze? Jest takie niecodzienne. Czy przyjął je ksiądz po ojcu chrzestnym?

— Zdaje się, że tak nazywał się jakiś statek — powiedział. — Albo most. Tak, chyba to był jakiś most.

Wyglądał na całkowicie opanowanego.

— Natomiast Damien to piękne imię, chciałbym mieć takie.

— A skąd ono pochodzi, ojcze?

— Damien? Tak nazywał się pewien ksiądz, który poświęcił życie opiece nad trędowatymi na jednej z wysp archipelagu Moluków. Potem sam zaraził się trądem — urwał — piękne imię — podjął znowu. — Myślę, że gdybym miał na imię Damien, to zniósłbym nawet nazwisko Glutz.

Chris zachichotała. Poczuła się dużo lepiej, odprężona. Przez kilka minut gawędziła z Merrinem o zwykłych, powszednich sprawach. Potem do kuchni weszła Sharon i Merrin wstał. Wyglądało na to, że czekał na nią, odniósł filiżankę do zlewu, opłukał i odłożył na suszarkę.

— Dziękuję za kawę, była znakomita — powiedział do Chris, która także wstała z krzesła.

— Zaprowadzę ojca do pokoju. Podziękował.

— Jeśli będzie ksiądz czegoś potrzebował, to proszę powiedzieć.

Położył rękę na jej ramieniu i lekko je uścisnął. Chris poczuła, jak nabiera siły, jak ogarnia ją ciepło i spokój. I to dziwne uczucie. Jakby bezpieczeństwa.

— Jest ksiądz bardzo dobry.

Jego oczy śmiały się.

— Dziękuję pani. Gdy tylko odeszła, ból zniekształcił mu rysy twarzy. Wszedł do gabinetu i zamknął drzwi. Z kieszeni wyciągnął pudełeczko po aspirynie, wyjął z niego tabletkę nitrogliceryny i włożył ją pod język.

Chris wróciła do kuchni i oparła się o futrynę. Sharon trzymała ręce nad kuchenką. Odgrzewała kawę. Chris podeszła do niej.

— Czy nie powinnaś trochę odpocząć, kochanie? - spytała delikatnie.

Sharon, zatopiona w myślach, odezwała się dopiero po chwili.

— Przepraszam, czy coś mówiłaś? Chris dostrzegła napięcie na jej twarzy.

— Co się tam stało na górze, Shar? — spytała.

— O co ci chodzi?

— No, kiedy wszedł ojciec Merrin?

— Ach tak — Sharon zmarszczyła brwi, jakby starała się coś sobie przypomnieć. — To było... zabawne.

— Zabawne?

— No, raczej dziwne. Oni tylko... - urwała. - No cóż, oni tylko patrzyli na siebie przez chwilę, a potem Regan, to znaczy to coś w niej, powiedziała...

— Co powiedziała?

— To powiedziało: „Tym razem przegrasz".

Chris patrzyła na Sharon wyczekująco.

- I co potem?

— Już wszystko — odpowiedziała Sharon. — Ojciec Merrin odwrócił się i wyszedł z pokoju.

— A jak wyglądał?

— Zabawnie.

— Och, Sharon, wymyśl jakieś inne słowo - warknęła Chris. Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale zauważyła, że Sharon odwraca głowę, jakby czegoś nasłuchiwała. Chris podążyła za jej wzrokiem. Cisza. Krzyk demona nagle ustał,

ale było w milczeniu tym coś namacalnego, narastającego. Obie kobiety popatrzyły po sobie.

— Czy ty też to czujesz? — szepnęła Sharon.

Chris skinęła głową. Dom. Coś się działo w domu. Napięcie. Powietrze stopniowo gęstniało. Pulsowanie, jakby cały dom powoli brała w posiadanie tajemnicza moc.

Dzwonek u drzwi wydał im się zupełnie nierealny.

Sharon odwróciła się.

— Ja otworzę.

Wrócił Karras. Niósł kartonowe pudło.

— Dziękuję, Shar.

— Ojciec Merrin jest w gabinecie — oznajmiła Sharon. Karras zapukał i nie czekając na odpowiedź wszedł do środka.

— Przepraszam, ojcze... — zaczął — ale miałem trochę... — urwał naraz. Merrin, ubrany tylko w spodnie i koszulę, klęczał przy łóżku pogrążony w modlitwie. Głowę opierał na dłoniach. Karras stał przez chwilę bojąc się poruszyć. Z przewieszoną przez ramię sutanną i komżą poczuł się jak ministrant. Potem otworzył karton, który nieco rozmiękł od deszczu. Po cichu układał na kanapie zawartość pudła. Gdy skończył, zdjął płaszcz i starannie rozwiesił go na krześle. Spojrzał na Merrina; ten przeżegnał się, a potem wstał i sięgnął po większą z bawełnianych komży, aby przypiąć ją do sutanny.

— Dziękuję, Damienie. — Karras odwrócił się i sięgnął po swoją komżę, Merrin uważnie oglądał pozostałe przyniesione przez jezuitę rzeczy. Karras podał mu sweter. — Proszę to włożyć pod sutannę. Tam czasami robi się bardzo zimno.

— To miło z twojej strony, że pomyślałeś o tym.

Karras podniósł sutannę Merrina z sofy i czekał, aż ksiądz włoży sweter. Obserwując tę zwykłą, prozaiczną czynność wyczuł nagle ogromny wpływ psychiczny, jaki ten człowiek na nim wywierał. Jednocześnie uświadomił sobie,

jak wpływa na niego ten dom, cisza zapierająca dech w piersiach.

Powrócił do rzeczywistości, gdy Merrin wyjął z jego rąk sutannę.

— Damien, czy znasz przebieg egzorcyzmów?

— Tak.

Merrin zapinał sutannę.

— Najważniejsze, aby pamiętać, że nie wolno dać się wciągnąć w rozmowę z demonem...

Demon. Wymówił to słowo z wielką pewnością. Karrasa przeszył dreszcz.

— Można zadawać niezbędne pytania - ciągnął Merrin mocując do sutanny koloratkę — ale nic ponadto. To jest bardzo niebezpieczne, chyba najbardziej.

Karras podał mu stułę.

— Nie wolno słuchać niczego, co mówi. Demon bowiem jest kłamcą. Będzie łgał, żeby nas zbić z tropu, będzie również wplatał pomiędzy kłamstwa prawdę, aby nas skuteczniej zaatakować. Atak psychologiczny, Damien. Bardzo przebiegły. Nie słuchaj. Pamiętaj o tym. Nie słuchaj! Jeśli chcesz jeszcze o coś zapytać, zrób to teraz.

— Nie mam pytań, ale myślę, że może powinienem przedstawić ojcu fenomen występowania u Regan różnych osobowości. Jak dotąd pojawiły się trzy.

— Ale jest tylko jedna - powiedział szeptem Merrin, Stał przez moment patrząc w milczeniu przed siebie. Potem sięgnął po egzemplarze „Rytuału rzymskiego" i wręczył jeden Karrasowi.

— Będziemy odmawiać litanię do Wszystkich Świętych. Czy przyniosłeś wodę święconą?

Karras wyjął z kieszeni małą, szczelnie zakorkowaną buteleczkę. Merrin wziął ją i wskazał drzwi. Idź pierwszy, Damien.

Sharon i Chris czekały przejęte przed drzwiami sypialni Regan. Ubrały obie grube swetry. Na dźwięk otwieranych drzwi gabinetu spojrzały w dół i

ujrzały Karrasa oraz Merrina wkraczających do hallu uroczyście, niby w procesji. Chris odniosła wrażenie, że bije od nich osobliwa moc. Ciemna, jakby granitowa twarz Karrasa kontrastowała z białą komżą. Gdy wchodzili po schodach, Chris ogarnęło wzruszenie. *Oto nadchodzi wysłannik Pana, by zetrzeć w proch głowę twoją, dlatego mówię tobie — pełzaj!* To było coś więcej niż emocje. Czuła, jak szybciej bije jej serce.

Jezuici przystanęli przy drzwiach do sypialni Regan. Karras zatrzymał spojrzenie na swetrze Chris.

— Czy chce pani wejść do środka?

— Tak, myślałam, że powinnam przy tym być.

— Nie, proszę tego nie robić — ostrzegł ją. — Popełniłaby pani wielki błąd.

Chris przeniosła pytający wzrok na Merrina.

— Ojciec Karras wie najlepiej — powiedział egzorcysta. Chris skinęła głową.

— W porządku. Poczekam tutaj.

— Jakie jest drugie imię pani córki? — zapytał Merrin.

— Teresa.

— Wspaniale — powiedział zadowolony. Posłał jej spojrzenie dodające otuchy. A kiedy skierował wzrok na drzwi sypialni, Chris znowu to poczuła: napięcie, gęstniejącą, lepką ciemność. Tam w środku. Za drzwiami. Spostrzegła, że Karras czuje to samo. I Sharon.

— Zaczynamy — powiedział cicho Merrin.

Karras otworzył drzwi i nieomal zatoczył się, uderzony powiewem stęchłego powietrza. W rogu pokoju siedział na krześle skulony z zimna Karl, owinięty w myśliwską kurtkę. Podniósł oczy na Karrasa, jednak jezuita wpatrywał się w usadowionego na łóżku demona. Ale demon nie patrzył na niego. Ponad głową Karrasa wpatrywał się w Merrina.

Karras stanął w nogach łóżka. Merrin wolnym, dostojnym krokiem,

wyprostowany, stanął nieco z boku. Zatrzymał się i spojrzał w oczy Nienawiści.

Wibrująca cisza napełniła pokój. Nagle Regan oblizała wilczym, czarnym językiem popękane, stwardniałe wargi. Rozległ się szelest przypominający tarcie podeszwą buta o bruk.

— A więc jesteś, ty kutasie! — wycharczał demon. — Wreszcie, wreszcie przybyłeś!

Sędziwy ksiądz uniósł rękę i zakreślił nad łóżkiem znak krzyża. Potem pobłogosławił w ten sam sposób cały pokój. Wyjął butelkę z wodą święconą.

— Ach, tak! Święte szczyny! — warknął demon. — Sperma świętych!

Merrin uniósł ampułkę; oblicze demona stężało w nienawiści.

— Co zrobisz, ty sukinsynie?! — wysapal. — Zrobisz to?! Pierwsze krople święconej wody spadły na ciało Regan. Demon uniósł głowę napinając do granic wytrzymałości mięśnie twarzy i szyi.

— Tak! Krop sobie, krop, Merrinie! Dręcz nas! Nurzaj nas w swoim pocie. Przecież twój pot jest błogosławiony, święty Merrinie! Wypnij się jeszcze i obdarz nas swoim świętym powietrzem! No, pochyl się i wypnij święty tyłek! Będziemy go adorować, całować, lizać, błogosławić!

— Zamilcz!

Rozkaz Merrina zabrzmiał jak wystrzał. Karras pełen podziwu spojrzał na niego, wpatrującego się z mocą w Regan. I demon umilkł. Wytrzymywał jeszcze spojrzenie księdza, ale siła jego wzroku wyraźnie słabła. Merrin zatkał ampułkę i zwrócił ją Karrasowi. Uklęknął przy łóżku i rozpoczął cicho modlitwę: „Ojcze nasz..."

Regan splunęła i trafiła Merrina w twarz żółtą kulą plwocin.

... przyjdź królestwo Twoje... — Merrin, nie przerywając modlitwy, bez pośpiechu sięgnął do kieszeni po chusteczkę i starł ślinę z policzka. — ...i nie wódź nas na pokuszenie — dokończył. — Zbaw nas od zła wszelkiego — dopowiedział Karras.

Na moment podniósł wzrok. Oczy Regan wywróciły się białkami do góry,

przedstawiała okropny widok. Karras zawahał się. Czuł, jak lęk ścina mu krew w żyłach. Powtarzał za Merrinem: — Boże, Ojcze Przenajświętszy, zwracamy się do Ciebie o łaskę, byś wspomógł nas przeciwko nieczystemu

duchowi, dręczącemu stworzenie Twoje. Przez Jezusa Chrystusa, Pana Naszego.

— Amen - odpowiedział Karras.

Merrin powstał i ciągnął natchniony:

— Boże, Ojcze nasz i obrońco, wejrzyj w łasce swej na Twą służebnicę Regan Teresę McNeil, pochwyconą w sidła odwiecznego wroga ludzkości, nieprzyjaciela naszej rasy, który...

Karras słyszał syk Regan. Siedziała wyprostowana z wywróconymi oczyma, jej język błyskawicznie wysuwał się i chował jak u węża. Znów poczuł niepokój. Skierował wzrok na tekst.

— ...wybaw służebnicę Twoją — modlił się Merrin czytając wersety z Rytuału.

— ...która ufa Tobie, Boże nasz — odpowiedział Karras.

— I niechaj znajdzie w Tobie Panie oparcie...

— ... by stawić czoła wrogom.

Gdy Merrin rozpoczął kolejną modlitwę, Karrasa dobiegł krótki okrzyk Sharon. Odwrócił się szybko, a potem zdziwiony pobiegł wzrokiem za jej spojrzeniem. Zmartwiał: przód łóżka unosił się nad podłogą.

Patrzył nie wierząc własnym oczom. Dziesięć, piętnaście centymetrów. Pół metra... Potem dźwignęły się tylne nogi łóżka.

— Gottin Himmel! — wyszeptał przerażony Karl.

Ale Karras nie słyszał go i nie widział, jak Szwajcar czyni znak krzyża. Łóżko unosiło się nad ziemią. „Przecież to niemożliwe!" — pomyślał.

Łóżko uniosło się jeszcze o pół metra i zawisło w powietrzu falując lekko, jakby kołysane falami niewidzialnego jeziora.

— Ojcze Karras?

Egzorcysta patrzył na niego z powagą i skinięciem głowy wskazał na modlitewnik.

— Proszę o odpowiedź, Damien.

Karras popatrzył na niego w roztargnieniu. Sharon wybiegła z pokoju.

— I nie pozwól wrogowi zawładnąć jej duszą — powtórzył Merrin łagodnym głosem.

Karras, wciąż jakby nieobecny, spojrzał nieprzytomnie na swój egzemplarz „Rytuału" i wyszeptał odpowiedź.

— A syn ciemności nie będzie mógł jej zranić.

— Panie wysłuchaj modlitwy naszej — ciągnął Merrin.

— ...a wołanie nasze niech do Ciebie przyjdzie...

— Pan z Tobą.

— ...i z duchem Twoim.

Merrin rozpoczął nowe, długą modlitwę, a uwagę Karrasa znów przykuło łóżko. Myślał o swojej nadziei, o wierze i o nadnaturalnym zjawisku, które oto miał przed oczyma. Świadomość materii zawieszonej samoistnie w powietrzu dotarła do niego wraz z mrożącym uczuciem strachu.

Przecież to możliwe! Naprawdę! Tui przede mną! Tutaj! Odwrócił się słysząc odgłos otwieranych drzwi. Do pokoju wpadły Sharon i Chris. Chris stanęła jak wryta.

— Jezu Chryste! — zawołała.

— Wszechmogący Boże, Ojcze nasz...

Egzorcysta szybkim, wprawnym ruchem nakreślił trzy razy znak krzyża na czole Regan, nie przerywając modlitwy.

— ...który wydałeś na świat Syna Swego, by zmiażdżył ryczącego lwa...

Syk ustał i z rozwartych szeroko ust Regan dobył się przeraźliwy zwierzęcy ryk.

— ...i ocal od zguby, i wiecznego potępienia tę sługę, stworzoną na podobieństwo Twoje i...

Wycie narastało przejmując zgromadzonych do szpiku kości.

— Boże i Panie wszelkiego stworzenia. - Merrin uniósł stułę i przyłożył jej koniec do szyi Regan wciąż się modląc... — Który jak błyskawica z wysokości swojej strąciłeś w otchłań Szatana siejącego zniszczenie w winnicy Twojej...

Ryk nagle ustał. Świdrująca cisza. Potem nagle trysnęła z ust Regan lawa gęstych, zatęchłych, zielonych wymiotów wyrzucana w regularnych odstępach. Opryskała rękę Merrina. Lecz on nawet się nie poruszył.

— ...i niech Twa wszechmocna dłoń wygna okrutnego demona z Regan Teresy McNeil, która...

Jak przez mgłę Karras usłyszał, że drzwi się otwierają i Chris wybiega z pokoju.

— Wygnaj tego prześladowcę z niewinnej...

Łóżko zadrżało, rozkołysało się, potem poczęło wirować, a wreszcie gwałtownie uderzyło o podłogę. Usta Regan wciąż miotały nieczystości. Merrin opanowanym głosem ciągnął litanię, nadal trzymając stułę przy szyi Regan.

— I napełnij odwagą sługi Twoje, by mogli pokonać smoka, by nie wygubił on tych, którzy ufają Tobie, i...

Naraz wstrząsy łóżka ustały; lekko niczym piórko osiadło na dywanie.

— Boże, spraw, aby...

Oszołomiony Karras dopiero teraz zauważył, że ręka Merrina była zanurzona w czarnych, cuchnących wymiotach.

— Damien?

Karras podniósł oczy.

— Panie, wysłuchaj modlitwy naszej — mówił egzorcysta. Minęła chwila, nim Karras odpowiedział:

— A wołanie nasze niech do Ciebie przyjdzie.

Merrin wstał, cofnął się o krok, a jego mocny głos wypełnił pokój: — Rozkazuję ci duchu nieczysty, razem ze wszystkimi sługami Szatana i siłami

piekielnymi... — Z ręki Merrina na dywan pociekła ciemna struga. — W imieniu Chrystusa, który uciszył wiatr i burzę, który...

Wymioty u Regan ustały. Siedziała teraz cicho, bez ruchu. Wytrzeszczone oczy patrzyły z lękiem na Merrina.

Karras otrząsnął się z szoku i podniecenia. Pośpiesznie, gorączkowo analizował wszystko to, co ujrzał: fenomen psychokinetyczny, duchy stukające, paranormalna siła umysłu.

Przypomniał sobie o czymś. Pochylił się i ujął nadgarstek Regan. Jak u tego syberyjskiego szamana, o którym czytał, jej puls gnał z niewiarygodną szybkością. Zaniepokoił się. Spoglądał na zegarek i liczył uderzenia serca dziewczynki, niczym umierający rachujący ostatnie sekundy życia.

— Rozkazuję ci w imieniu Tego, który strącił cię z wysokości! — Pełne mocy słowa Merrina docierały do umysłu Karrasa poprzez szalony rytm pulsu Regan. Patrzył na dziewczynkę. Milczała. Nie ruszała się.

Wymiociny parowały w lodowatym powietrzu. Karras nagle poczuł, że cierpną jego ramiona. Bardzo powoli, trzeszcząc, jak gdyby zrobiona z plastyku i poruszana zardzewiałym mechanizmem, głowa Regan poczęła odwracać się ku niemu. Straszliwe, wytrzeszczone oczy, tuż przed nim.

— I dlatego, Szatanie, drzyj ze strachu! — modlił się Merrin.

Głowa dziewczynki z wolna zwróciła się, jak nakręcona, na powrót ku starcowi.

— ...Gwałcicielu prawa! Wysłanniku śmierci! Zdrajco narodów! Oszuście! Ty...

Karras spostrzegł, że światło przygasło i migotało. Teraz zapanował w sypialni pulsujący półmrok. Karras drżał z zimna. W pokoju robiło się coraz chłodniej.

— ...Księciu ciemności! Stręczycielu wszelkiego przekleństwa! Wrogu rodzaju ludzkiego!

Stłumione uderzenie. I następne. Regularne, jak bicie serca niewidzialnego

olbrzyma. Stukot dochodził ze ścian, sufitu, podłogi.

— Odejdź, potworze! Twoje miejsce jest w samotności! Twój dom w gnieździe żmij! Sam Pan rozkazuje ci! Jego krew...

Uderzenia były coraz głośniejsze i szybsze.

— ...na Tego, który rządzi życiem i śmiercią! Na twego Stwórcę, na Stwórcę całego świata, abyś...

Nieprzerwany stukot, raz po raz, raz po raz.

— ...zaklinam cię, wieczny wężu...

Sharon krzyknęła przyciskając ręce do uszu. Walenie powtarzało się w zawrotnym tempie. Puls Regan stał się zbyt szybki, by go zliczyć. Merrin wyciągnął rękę i kciukiem powoli nakreślił krzyż na zabrudzonej wymiotami piersi Regan. Hałas zagłuszał słowa modlitwy.

Karras poczuł, że puls Regan nagle zwalnia, a kiedy Merrin kreślił następny krzyż na jej czole, potworny stukot ustał.

— ...O Boże nieba i ziemi! Boże aniołów i archaniołów... Karras słyszał teraz wyraźnie słowa modlitwy Merrina.

A puls dziewczynki zwalniał, wciąż zwalniał...

— Merrin! Ty głupi sukinsynu! Gnoju! Przegrasz! Tym razem przegrasz! Ona umrze! Ta świnia umrze!

Światło rozbłysło mocniej. Demon powrócił i pełen nienawiści obrzucał Merrina przekleństwami.

— Wredny kutasie! Stary heretyku! Zaklinam cię, byś spojrzał na mnie! No, popatrz na mnie, ty szmato! — Demon przechylił się do przodu i splunął kapłanowi w twarz, wrzeszcząc: — To tak właśnie twój pan uzdrawiał niewidomych!

— Panie i Boże wszelkiego stworzenia... — Merrin sięgnął po chusteczkę i wytarł twarz.

— No, idź za jego nauką, Merrin! Wsadź kutasa w buzię tej świni i ulecz ją! Ulecz! Wsadź go, a będzie uleczona! O, święty Merrinie! Cudu!

— ...i wyzwól służebnicę swoją...

— Oszuście! Ta mała świnia w ogóle cię nie obchodzi! To tylko narzędzie, którym chcesz się ze mną rozprawić! To twoja wina!

— ...ja, Twój marny sługa...

— Kłamca! Kłamiesz, ty sukinsynu! Powiedz, gdzie jest twoja pokora, Merrin? Na pustyni? W grobowcach, gdzie chowałeś się przed ludźmi? Dokąd uciekałeś od słabości własnego umysłu? Czy ty jeszcze w ogóle umiesz rozmawiać z ludźmi, świętoszkowata rzygowino?

— ...wyzwól...

— Twoje miejsce jest między kutasami, Merrinie! Dbasz tylko o siebie! Wróć na pustynię i rozmawiaj z tym, którego uważałeś za równego sobie!

Merrin odmawiał modlitwę nie zwracając uwagi na przekleństwa i wyzwiska.

— Jesteś spragniony, święty Merrinie? Masz — daję ci nektar i ambrozję! Tym przecież karmił cię twój Bóg! — zacharczał demon i wypróżnił się. — Bo to jest ciało moje! A teraz błogosław je, święty Merrinie!

Poruszony Karras starał się skoncentrować na tekście, kiedy Merrin czytał słowa świętego Łukasza:

„...Moje imię jest Legion — odpowiedział człowiek, gdyż wiele demonów nawiedziło go. I błagały one Jezusa, aby nie skazywał ich na wieczną otchłań. A było tam stado świń, które pasły się na zboczu góry. I prosiły demony Pana, by pozwolił im w nie wstąpić. I zezwolił im. I opuściły demony człowieka wstępując w świnie. A stado rzuciło się ze skały w jezioro i utopiło się. I..."

— Willie, mam dla ciebie dobre nowiny! — wychrypiał demon.

Karras spojrzał przez ramię i zobaczył Willie z naręczem ręczników i prześcieradeł.

— Uwolnię cię od niepokoju! — drwił. — Elwira żyje! Ona żyje! Jest...

Willie przystanęła zaskoczona, a Karl poderwał się z krzesła krzycząc: — Nie! Willie! Nie!

— ... ćpa, Willie, to beznadziejna ćpunka...

— Willie, nie słuchaj! — wołał Karl.

— Czy mam ci powiedzieć, gdzie mieszka?

— Nie słuchaj! Wyjdź! — Karl wypchnął Willie z pokoju.

— Idź i odwiedź ją z okazji Dnia Matki! Zrób jej niespodziankę! Idź... — Nagle demon urwał i utkwił spojrzenie w Karrasie. Damien akurat ponownie sprawdzał puls i stwierdził, że można podać następną dawkę librium. Poprosił Sharon o przygotowanie zastrzyku.

— Chcesz ją, Karras? — szydził demon. — Jest już twoja! Tak, ta stajenna dziwka jest twoja! Możesz sobie na niej jeździć, ile zapragniesz. Przecież ona co noc śni o tobie, Karras! Masturbuje się marząc o twoim wielkim księżym...

Sharon spurpurowiała. Unikała spojrzenia Karrasa.

— I proszę przygotować compazinę, na wypadek, gdyby wymioty się powtórzyły.

Sharon, nie podnosząc oczu skinęła głową i ruszyła do drzwi. Kiedy przechodziła obok łóżka, Regan wrzasnęła:

— Dziwka! — Przechyliła się i bluznęła jej w twarz strugą wymiotów. Sharon sparaliżowało i wtedy pojawiła się osobowość Denningsa wykrzykując: — Ty stajenna kurwo! Głupia cipo!

Sharon wybiegła z pokoju.

Dennings w Regan wykrzywił się zdegustowany, rozejrzał się wokół i zapytał:

— Czy ktoś, do cholery, mógłby otworzyć okno? Piekielnie śmierdzi w tym pokoju. To po prostu... Albo nie... nie, nie — błagał, zmieniwszy ton. — Nie, na Boga, bo ktoś do licha mógłby sobie skręcić kark! — Potem zaśmiał się, rzucił dzikie, wymowne spojrzenie na Karrasa i zniknął.

— ...On to jest, który nakazuje ci...

— Doprawdy, Merrin? Doprawdy?

Demon powrócił, a Merrin ciągnął litanię, powtarzał rytuał ze stułą i wciąż

na nowo kreślił znaki krzyża. Demon szalał i obrzucał go wyzwiskami. „Za długo — martwił się Karras — to ciągnie się o wiele za długo".

— O, idzie ta stara locha! Matka naszej świnki! — naigrywał się demon.

Karras ujrzał Chris niosącą lekarstwa i strzykawki. Opuściła głowę, a demon miotał obelgi. Zdenerwowany Karras ruszył ku niej.

— Sharon przebiera się — wytłumaczyła swoją obecność.

— A Karl...

Karras przerwał jej:

— W porządku. — Wrócił do łóżka.

— Ależ proszę, podejdź bliżej, zobacz swoje dzieło, mamusiu — dziwko. No, chodź!

Chris ze wszystkich sił usiłowała zachować obojętność.

— No przyjrzyj się tej wywłoce! Tej morderczyni! — wrzeszczał demon. — Zadowolona jesteś? To twoja wina! To ty sprawiłaś! Ty, ze swoją karierą ponad wszystko, ponad męża, ponad nią...

Karras zwrócił się do Chris, która stanęła skamieniała.

— Nie słuchaj tego! Pomóż mi zrobić zastrzyk! I nie słuchaj!

— ...i ten twój rozwód! A teraz po pomoc do księży, tak? Księża tu nic nie pomogą! — Ręce Chris drżały. — Ona jest wariatką! Obłąkana! Ta mała świnia jest już obłąkana! To ty doprowadziłaś ją do szaleństwa i do morderstwa, i...

— Nie mogę! — Chris patrzyła na strzykawkę, którą trzymała w drżących dłoniach. — Nie mogę tego zrobić.

Karras wyjął jej zastrzyk z rąk.

— Dobrze, więc przytrzymaj jej ramię. O, tutaj — powiedział.

— ...do trumny, ty suko...

— Nie słuchaj! — ostrzegł znów Karras, a demon zwrócił na niego oczy jarzące się nienawiścią. — i ty, Karras!

Chris przytrzymała ramię Regan.

— Dobrze, a teraz wyjdź — polecił jej Karras wbijając igłę w wychudzone

ciało dziewczynki.

Chris opuściła pokój.

— O, wiemy, jak potrafisz być uprzejmy dla matek, drogi Karrasie! — zaskrzeczał demon.

Jezuita pobladł i zamarł na moment, a potem powoli wyjął igłę i spojrzał w oczy Regan; białka uciekały do góry, A z ust małej popłynęła śliczna, piękna piosenka śpiewana słodkim, dziecinnym, chłopięcym głosem: „Tantum ergo sacramentum veneremur cernui..."

Był to hymn wykonywany podczas obrządku chrztu katolickiego. Karras pobladł. Czysty i jasny śpiew sprawił, że nagle ogarnął myślą wszystkie przerażające wypadki tego wieczoru. Podniósł wzrok. Widział Merrina z ręcznikiem w dłoniach, jak delikatnie wyciera wymioty z twarzy i szyi dziewczynki.

„...et antiquum documentum..."

Ten śpiew. „Czyj to głos?" — zastanawiał się Karras. I to, co demon przedtem mówił: „Dennings... okno". Przyszła Sharon i wyjęła ręcznik z rąk Merrina.

— Ja to zrobię, ojcze — powiedziała. — Już czuję się dobrze. Chciałabym ją też umyć, zmienić pościel i ubranie, zanim podam jej lekarstwa. Czy ksiądz mógłby chwilę poczekać na korytarzu?

Wyszli i pogrążyli się w półmroku i cieple korytarza, opierając się ciężko o ścianę. Karras nasłuchiwał nikłego, dziecinnego śpiewu z sypialni. Po chwili cicho przemówił do Merrina.

— Powiedział ojciec... powiedział ojciec wcześniej... że jest tylko jeden demon?

— Tak.

Rozmawiali szeptem, z pochylonymi głowami, jak podczas spowiedzi.

— Wszystkie pozostałe osobowości są tylko formą ataku — ciągnął Merrin. — Ale jest tylko jedna, tylko jedna. I to jest demon!

Cisza. Potem Merrin powiedział:

— Wiem, że w to wątpisz. Ale widzisz, ten demon... Ja już go wcześniej spotkałem. I jest on bardzo silny... Silny...

Po chwili milczenia odezwał się Karras:

— Powiada się, że demon... nie ma władzy nad duszą swojej ofiary.

— Tak. Tak jest. Tu nie ma grzechu. Opętany nie grzeszy.

— Więc jaki jest cel opętania? Co chce osiągnąć demon?

— Któż to może wiedzieć? — odpowiedział Merrin. — Czy można mieć choćby nadzieję, że zdołamy to zrozumieć? — zamyślił się na moment, a potem z wahaniem ciągnął dalej.

— Hm, myślę, że celem ataku demona nie jest bezpośrednio osoba, w którą wstępuje; to raczej my, świadkowie... każda osoba w tym domu. I myślę, że pragnie doprowadzić nas do rozpaczy, abyśmy zwątpili i zaprzeczyli naszemu człowieczeństwu, Damien. Chce zasiać w nas niewiarę, obudzić zwierzęce instynkty, agresję, zło. Demon pragnie widzieć nas upokorzonych, odrażających, nieufnych. I być może głównie chodzi mu o załamanie w nas wiary. Bo tak, jak ja to czuję, wiara w Boga nie ma nic wspólnego z rozumem — raczej z uczuciami, z miłością i z przeświadczeniem, że Bóg także nas kocha...

Merrin przerwał. Po chwili mówił wolniej, jakby w zadumie:

— On wie... Demon wie, gdzie uderzyć... Dawno temu rozpaczałem, że nie potrafię wzbudzić w sobie miłości do innych ludzi. Bo byli tacy, którzy kiedyś... potępili mnie. Jak mogłem ich potem miłować? Myślałem nad tym. Dręczyły mnie wyrzuty sumienia. Przestałem wierzyć w siebie... a potem straciłem wiarę w mojego Boga...

Karras patrzył na Merrina zaintrygowany.

— I co się wtedy stało? — zapytał.

— No cóż... W końcu zrozumiałem, że Bóg nigdy nie żądałby ode mnie czegoś, co jest psychologicznie niemożliwe. Miłowanie bliźnich, które

nakazywał, należy do moich emocji i jako takie nie może być ode mnie zależne, nie mogę sobie narzucić tej miłości. Wręcz przeciwnie. Pojąłem, że Bóg pragnął, aby czynić dobro, co przecież czyniłem dla innych. I że jeśli będę jedynie dobry dla tych, którzy mnie znieważyli, wystarczy to za największy akt wiary. Wiem, że to wszystko musi ci się wydawać bardzo proste i oczywiste. Wiem. Ale dla mnie wydawało się złożone. Byłem ślepy. Popatrz, ile żon i mężów sądzi, że wygasła w nich miłość tylko dlatego, iż serca nie biją im na widok tej drugiej osoby! Och, dobry Boże! — pokiwał głową. — I tu leży tajemnica działania zła, Damien... i opętania. Nie w wielkich wojnach, jak uważają niektórzy, ale w małych, niespodziewanych incydentach, takich jak ten tutaj... Ta dziewczynka... to biedne dziecko... Tak, Damien, ja znajduję działanie szatana w codzienności, w bezsensownych, drobnych sprawach, niezrozumieniu, złych i okrutnych słowach, które raz wypowiedziane, niszczą czasem największe przyjaźnie, miłości. No, dość już o tym — westchnął Merrin. — Wcale nie potrzebujemy szatana, aby powodował wojny, akurat z tym dajemy sobie świetnie radę... sami...

Chłopięcy śpiew nie ustawał. Merrin nasłuchiwał przez chwilę.

— Ale nawet z tego... ze zła, może wyniknąć dobro. W szczególny sposób, którego nawet nie możemy pojąć i zrozumieć... Być może zło jest posłańcem dobra i być może sam Szatan, nie wiedząc o tym, jest narzędziem w ręku Boga.

Nie powiedział już nic więcej. Karras zaś rozmyślał. W jego głowie zrodziła się kolejna wątpliwość.

— A jeśli już wygna się demona? Co powstrzyma go od powrotu? Od ponownego opanowania tej samej osoby?

— Nie wiem — odrzekł Merrin — ale wydaje mi się, że to się chyba nigdy nie przytrafiło. Nigdy, nigdy. — Merrin uniósł rękę i przeciągnął nią po zmęczonej twarzy. — Damien... Co za szczególne imię — mruknął.

Karras wyłowił w jego głosie oznaki wyczerpania. I niepokój. Jakby pragnął przezwyciężyć ból.

Naraz Merrin odsunął się od ściany i przepraszając Karrasa, zbiegł prędko do łazienki. „Co się stało?" — zastanawiał się Karras. Poczuł dla egzorcysty rodzaj uwielbienia i równocześnie zazdrościł mu siły i prostoty jego wiary. Odwrócił się do drzwi. Śpiew umilkł. Czy ta noc też kiedyś się skończy?

Parę minut później Sharon wyszła z sypialni niosąc naręcze cuchnącej bielizny i pościeli.

— Śpi teraz — powiedziała schodząc na dół.

Karras zaczerpnął głęboko powietrza i wrócił do pokoju Regan. Poczuł zimno i odór. Wolno zbliżył się do łóżka. Regan spała. „Nareszcie — pomyślał Karras — można nieco odpocząć".

Ujął w dłoń szczupły nadgarstek Regan i zmierzył jej puls patrząc na tarczę sekundnika.

— Czemu mi to robisz, Dimmy? Serce Karrasa zamarło.

— Czemu to robisz?

Poczuł, że nie może się ruszyć ani odetchnąć. Nie śmiał nawet spojrzeć w stronę, skąd dobiegał ten smutny głos, nie miał odwagi napotkać tego spojrzenia — oskarżającego, samotnego. *Jego matka. Jego matka!*

— Zostawiłeś mnie, żeby zostać księdzem, wysłałeś do zakładu...

Nie patrz!

— A teraz mnie odpędzasz? *To nie ona!*

— Czemu, czemu mi to robisz?

Sparaliżowany strachem Karras zacisnął powieki. Głos stawał się coraz bardziej nalegający, przerażony, błagalny.

— Ty byłeś zawsze dobry chłopak, Dimmy! Proszę! Boję się! Proszę, nie wyganiać! Dimmy, proszę! —- doskonale rozpoznawał jej nieporadną angielszczyznę.

...Nie moja matka!

— Tam na zewnątrz już nic! Tylko ciemno! Dimmy! Ja taka sama! — płakała.

— Nie jesteś moją matką! — szepnął Karras przez zaciśnięte gardło.

— Dimmy, proszę!...

— Nie jesteś moją...

— O, na Boga, Karras!

Dennings.— Słuchaj no, to nie w porządku! Tak nas wywalać, doprawdy! Choćby we własnym imieniu, mogę cię zapewnić, że to całkiem sprawiedliwe, żebym tu sobie siedział! Ta mała suka! Ona zniszczyła moje ciało i przecież to naturalne, że powinna mi zezwolić na korzystanie z własnego, nie uważasz? Och, na miłość Boską, Karras, popatrz no na mnie choć przez chwilę! No! Nieczęsto się zdarza, że wygłaszam mowy! Skorzystaj — wystarczy, jak się odwrócisz.

Karras otworzył oczy i zobaczył przed sobą Denningsa.

— No, teraz już lepiej. Słuchaj, ona mnie zabiła! Nie ten wasz w niej, ta mała. Tak, naprawdę. Robiłem sobie drinka na dole i zdawało mi się, że słyszę jej jęki. Chciałem zobaczyć, co się stało i poszedłem do sypialni. I wiesz, ta cholera chwyciła mnie za gardło, ta dziwka! Chryste, w życiu nie widziałem takiej siły! Zaczęła wrzeszczeć, że pieprzę się z jej matką lub coś takiego, i że to ja spowodowałem odejście jej ojca. Coś w tym rodzaju, nie zrozumiałem dobrze. Ale mówię ci, kochany, wypchała mnie przez to zasrane, pieprzone okno! Zabiła mnie! Do cholery, zabiła mnie! I myślisz, że to jest, psiakrew, w porządku wyganiać mnie teraz! No, Karras, odpowiedz: uważasz doprawdy, że to w porządku? Naprawdę?!!! — ostatnie słowa artykułował już chrapliwy bas demona.

Karras przełknął ślinę.

— No, tak, czy nie? — nalegał demon. — Czy to w porządku?

— A jak to się stało... że miałeś skręcony kark? — spytał Karras z trudem wymawiając słowa.

Dennings niespokojnie przebiegł oczyma po pokoju.

— Och, cóż... to był wypadek... uderzenie... Walnąłem w schody...

wiesz, potworne!

Karrasowi zaschło w gardle. Potem znów ujął nadgarstek Regan i spojrzał na zegarek.

— Dimmy, proszę, nie każ mi być samej! Jego matka.

— Gdybyś zamiast księdzem był lekarzem, to bym żyła w ładnym domu, Dimmy, nie z karaluchami, nie taka sama w mieszkaniu! I...

Wytężał wszystkie siły, żeby nie poddać się działaniu tego głosu. Płakała.

— Dimmy, proszę!

— Nie jesteś moją...

— Nie umiesz nawet spojrzeć prawdzie w twarz, ty śmierdzący klecho! — odezwał się demon. — Wierzysz w te wszystkie brednie Merrina? Wierzysz, że jest taki święty i dobry? On taki nie jest! Jest dumny i zarozumiały! I nie ma w nim wiary! Udowodnię ci to, Karras! Udowodnię ci to, zabijając to małe prosię!

Karras otworzył oczy, ale wciąż starał się nie patrzeć na demona.

— Tak! Ona umrze i ten Bóg Merrina jej nie uratuje! Umrze z powodu jego zarozumiałości i twojego nieuctwa! Znachor! Nie powinieneś był jej dawać tej ostatniej dawki librium!

Karras spojrzał na demona, Jego przebiegłe oczy lśniły triumfem.

— No, zmierz jej puls! — charczał. — Dalej, Karras, zmierz!

Karras nadal trzymał dziewczynkę za rękę. Zaniepokoił się. Puls był bardzo szybki.

— Co, marnie? No, to przyspieszymy! O trzy razy, tak na chwilę. Dla próby.

Karras sięgnął po torbę medyczną i wyjął stetoskop.

— A posłuchaj sobie! Słuchaj dobrze! — syknął demon. Karras słuchał. Tętno Regan dobiegało jakby z daleka, tłumione przez gruby mur.

Nie pozwolę jej spać!

Karras spojrzał na oblicze demona. Po plecach księdza przebiegło zimne mrowie.

— Tak, Karras! Ona nie będzie spała! Nie pozwolę, żeby to prosię spało!

Karras stracił głowę i nie wiedział, co robić. Demon zaniósł się gardłowym śmiechem. Karras nie słyszał kroków nadchodzącego Merrina. Egzorcysta przyjrzał mu się uważnie.

— Co się stało? — zapytał.

Karras odpowiedział z trudem składając słowa.

— Ten demon powiedział... że nie pozwoli jej spać. Serce bije bardzo słabo, ojcze. Potrzebuje natychmiast odpoczynku, inaczej umrze z wyczerpania.

— Czy nie możesz podać jej jakichś środków? Leku nasennego? — Merrin był wyraźnie zafrasowany.

Karras potrząsnął głową.

— Nie, to byłoby zbyt niebezpieczne. Może zapaść w śpiączkę... — odwrócił się, bo nieoczekiwanie Regan zagdakała jak kura. — A jeśli ciśnienie jeszcze spadnie... — nie dokończył.

— Czy możesz coś zrobić? — spytał Merrin.

— Nic... nic — odpowiedział bezradnie Karras. Choć nie wiem, może są już jakieś nowe metody... Zadzwonię po specjalistę kardiologa.

Zszedł na dół. W kuchni zastał Chris. Ze spiżarni dobywał się szloch Willie i głos uspokajającego ją Karla. Wyjaśnił Chris, że musi zwrócić się po poradę do specjalisty, jednak nie powiedział o rzeczywistych rozmiarach zagrożenia, aby jej zbytnio nie niepokoić. Zatelefonował do swego przyjaciela, znanego kardiologa z akademii medycznej w Georgetown i zwięźle opisał sytuację.

— Zaraz będę — odpowiedział lekarz.

Zjawił się, nim minęło pół godziny. Zaskoczony był chłodem i odorem w sypialni Regan. Stan i wygląd dziewczynki przeraził go. Majaczyła coś chrapliwym szeptem. Gdy kardiolog ją badał na przemian śpiewała i wydawała zwierzęce ryki. Potem ukazała się osobowość Denningsa.

— To straszne — jęknął — doprawdy okropne! Mam nadzieję, że będzie pan mógł coś zrobić? Czy można coś zrobić? Bo my nie mamy gdzie iść,

rozumie pan? A to wszystko przez... o cholera, ależ to uparty diabeł! — Gdy lekarz z dziwnym wyrazem twarzy mierzył ciśnienie, Dennings przeniósł wzrok na Karrasa i narzekał dalej: — Co wy, u diabła, robicie? Czy nie widzicie, że ta mała kurewka powinna być w szpitalu? Karras! Jej miejsce jest w domu wariatów, przecież wiesz o tym! Musisz o tym wiedzieć! Przestańcie się do cholery wygłupiać! Wiesz przecież, że jeśli ona umrze, to będzie twoja wina, tylko twoja! Bo ja wiem swoje — on jest bardzo uparty. A ty nie powinieneś zachowywać się jak ciemny klecha! Jesteś lekarzem, Karras! A poza tym bądźmy ze sobą szczerzy; wiesz, jak w dzisiejszych czasach trudno jest o mieszkanie. Jeśli...

Powrócił demon, wył niczym wilk. Kardiolog nie zdradzając żadnych emocji odwiązał rękaw aparatu do mierzenia ciśnienia i dał Karrasowi znać, że skończył badanie.

Wyszli na korytarz. Lekarz jeszcze przez chwilę patrzył na drzwi sypialni.

— Czy możesz mi powiedzieć, co, u diabła tam się dzieje? Jezuita umknął wzrokiem w bok.

— Nie, nie mogę ci powiedzieć.

— Rozumiem.

— A jaka jest twoja diagnoza? Głos kardiologa brzmiał poważnie.

— Ona musi natychmiast odpocząć. Spać. Zanim ciśnienie jeszcze bardziej spadnie.

— Czy mogę coś jeszcze zrobić. Bili?

— Módl się.

Lekarz pożegnał się i odszedł. Każdy nerw, każdy mięsień ciała Karrasa błagał o odpoczynek, o nadzieję, o cud. A przecież wiedział, że cudu nie będzie... *Nie powinieneś był dawać jej tego librium!*

Położył rękę na klamce drzwi sypialni Regan. Własna dłoń wydała mu się tak ciężka, tak bardzo ciężka.

Merrin stał przy łóżku i obserwował rżącą Regan. Usłyszał kroki Karrasa i

spojrzał na niego pytająco. Karras potrząsnął głową. Merrin pojął odpowiedź. Na jego twarzy malował się głęboki smutek, potem jakby akceptacja, a gdy zwrócił się znów do Regan, widać było, że podjął decyzję. Uklęknął przy łóżku.

— Ojcze nasz... — rozpoczął.

Regan splunęła na niego ciemną, cuchnącą śliną. Potem zakrakała: — Przegrasz! Ona umrze! Umrze!

Karras sięgnął po swój egzemplarz „Rytuału" i otworzył książkę. Patrzył na Regan.

— ...ocal służebnicę swoją... — modlił się Merrin. — ...w obliczu wroga.

Karras nie mógł się pozbyć bolesnego uścisku w sercu. „Śpij! Śpij!" — nakazywał Regan całą siłą woli.

Ale Regan nie zasnęła.

Ani do świtu.

Ani do południa.

Ani do zmierzchu następnego dnia.

Ani do niedzieli, kiedy puls osiągnął sto czterdzieści uderzeń na minutę, a podczas ataków nawet więcej. Merrin i Karras powtarzali rytuał niestrudzenie, nie myśląc o własnym odpoczynku. Karras gorączkowo próbował dopomóc dziewczynce i umocował nad Regan prześcieradło ograniczające jej ruchy i nie pozwalał nikomu wchodzić do pokoju, by nie prowokować nowych ataków. Ale nic nie pomagało. Wrzaski Regan były równie gwałtowne jak jej ruchy. Na szczęście ciśnienie utrzymywało się wciąż na niezmienionym poziomie. „Ale jak długo? — martwił się Karras. — O Boże! Nie pozwól jej umrzeć! — wołał bezgłośnie. — Daj jej sen! Daj jej sen!" Nie zdawał sobie sprawy, że w istocie była to modlitwa. Jednak nie została wysłuchaną. W niedzielę o siódmej wieczorem Karras siedział w sypialni obok Merrina, wyczerpany i udręczony. Nie chodziło tylko o poczynania demona. Myślał o swoich lukach w wiedzy, o niekompetencji, o przewinieniach wobec matki. Także o Regan i popełnionym przez siebie błędzie. *Nie powinieneś był dawać jej tego librium!*

Właśnie ukończyli kolejny cykl rytuału. Teraz odpoczywali, Regan zaś śpiewała *Panis angelicus.* Przez te dni rzadko wychodzili z pokoju. Karras raz tylko przebrał się i wziął prysznic. Zimna woda orzeźwiła go trochę. W pokoju panował zaduch, stęchły odór gnijącego ciała. Kiedy podnosił na Regan zmęczone oczy, wydało mu się, że słyszy jakiś lekki, suchy trzask. Dopiero po chwili się zorientował, że ze znużenia opadają mu powieki. Merrin przez minione godziny mówił bardzo mało: kilka razy opowiedział mu historyjki ze swego dzieciństwa, nieco wspomnień, codziennych spraw; opowiadał o kaczce Clancy, którą kiedyś hodował. Karras martwił się o niego. Brak snu, ataki demona. A przecież nie był już młody. Merrin przymknął oczy i pozwolił, by podbródek opadł mu na piersi. Karras z wysiłkiem podniósł się z krzesła i podszedł do łóżka Regan. Sprawdził puls i zajął się mierzeniem ciśnienia. Kiedy owinął rękaw manometru wokół ramienia dziewczynki, zamrugał gwałtownie oczyma, by upewnić się, że to przywidzenie.

— Dziś jest Dzień Matki, Dimmy.

Zdrętwiał i poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. Potem odważnie spojrzał prosto w oczy Regan, ale to już nie była Regan. Napotkał smutny wzrok pełen wyrzutu. To były źrenice jego matki!

— Czy ja niedobra byłam dla ciebie? Dlaczego odszedłeś i pozwoliłeś, żebym tak umarła w samotności, dlaczego, Dimmy, dlaczego?

— Damien! — Merrin lekko potrząsnął jego ramieniem. — Idź trochę odpocząć, Damien.

— Dimmy, proszę, dlaczego?

Do pokoju weszła Sharon, by zmienić pościel.

— No idź, odpocznij trochę, Damien — nalegał Merrin. Karras posłusznie wstał i wyszedł z sypialni.

Na korytarzu musiał przytrzymać się ściany. Potem zszedł na dół i przystanął niezdecydowany.

Kawa? Bardzo chciał się napić kawy. Ale chyba jeszcze bardziej pragnął

się wykąpać, ogolić, zmienić ubranie.

Poszedł do pensjonatu.

Gdy dotarł do swego pokoju, spojrzał na łóżko...

— „Nie. Nie trać czasu na kąpiel. Śpij. Choć pół godziny". Ale kiedy sięgał po słuchawkę, aby zlecić budzenie w recepcji, telefon zadzwonił.

— Tak, słucham — powiedział słabym głosem.

— Ktoś na księdza czeka, ojcze Karras. Niejaki pan Kinderman.

Na moment Karras wstrzymał oddech, potem odpowiedział cicho:

— Proszę mu powiedzieć, że już schodzę. — Kiedy odkładał słuchawkę, dostrzegł na swoim biurku karton cameli i świstek od Dyera:

„Na klęczniku przed świecami wotywnymi znaleziono kartę do Klubu Playboya. Czy to twoja? Możesz odebrać w recepcji."

Bez emocji schował papier, przebrał się i powoli wyszedł z pokoju. Zapomniał zabrać papierosów. W recepcji spotkał Kindermana, który opierając się o kontuar pochłonięty był zmienianiem kompozycji kwiatów w wazonie. Kiedy odwrócił się, aby przywitać Karrasa, trzymał właśnie w ręce różową kamelię.

— Ach, ojcze! — sapnął Kinderman poruszony wyraźnymi oznakami wyczerpania malującymi się na twarzy Karrasa. Odłożył kwiat i podszedł do księdza. — Wygląda ojciec potwornie! Co się stało? To do takiego stanu doprowadziły ojca ćwiczenia fizyczne? Proszę to rzucić! Niech ojciec posłucha! — ujął Karrasa za łokieć i popchnął lekko w kierunku wyjścia. — Ma ksiądz minutkę czasu? — spytał, kiedy wychodzili z budynku.

— Oczywiście — mruknął Karras — a o co chodzi?

— Mała pogawędka. Muszę się poradzić. Po prostu tylko poradzić.

— W jakiej sprawie?

— To zajmie tylko minutkę — Kinderman wykonał nieokreślony ruch dłonią. — No, to sobie pogawędzimy, pooddychamy, pospacerujemy — wziął Karrasa pod rękę i poprowadził na drugą stronę Prospect Street.

— O, jakie śliczne. Proszę spojrzeć! — Wskazał na słońce zanurzające się w wodach Potomaku. Wesoła grupka studentów siedziała na tarasie pobliskiej kafejki. Poszturchiwali się, śmiali, tworząc malowniczą grupę. — Ach studia... — westchnął Kinderman w zadumie. — Nigdy nie byłem studentem... a tak chciałem, chciałem... — spostrzegł, że Karras wpatruje się w zachód słońca. — Nie, ja to mówiłem serio. Ojciec naprawdę źle wygląda. Co się dzieje? Choroba?

„Kiedy on w końcu powie, o co mu chodzi?" — zastanawiał się Karras.

— Nie, byłem tylko bardzo zajęty — odpowiedział.

- Proszę tyle nie pracować!—wysapał Kinderman.—Trzeba zwolnić tempo. Sam ksiądz przecież wie najlepiej. A tak, przy okazji — widział ksiądz występy baletu Bolszoj w Watergate?

— Nie.

— Ja też nie. A chciałbym. Są wspaniali, tacy zręczni. Zbliżali się do mostu. Uwalniając ramię, Karras spojrzał na detektywa, który oparł się o murek i w zamyśleniu spozierał na rzekę.

— No, o czym pan tak rozmyśla, poruczniku?

— No, tak ojcze — westchnął Kinderman. — Obawiam się, że mam problem.

Karras rzucił szybkie spojrzenie w górę, na zamknięte okiennice pokoju Regan. — Zawodowy?

— No... częściowo... Tylko częściowo.

— Co to jest?

— W zasadzie... — Wahając się Kinderman zmrużył oczy. — To właśnie sprawa etyki... Tak można to nazwać, ojcze Karras. Tego właśnie dotyczy moje pytanie.

Detektyw odwrócił się i oparł plecami o kamienny murek.

— Po prostu nie znam nikogo, z kim mógłbym o tym porozmawiać, rozumie ojciec? Przede wszystkim nie z moim szefem. Po prostu nie mógłbym.

Nie mogę mu tego powiedzieć. Więc pomyślałem... — Twarz Kindermana nagle się ożywiła. — Miałem kiedyś ciotkę, niech ojciec słucha, bo to śmieszne. Przez całe lata żyła w panicznym strachu przed moim wujem. Bała się nawet do niego odezwać. Więc ile razy była na niego wściekła, biegła do łazienki — tam rozwieszała jego ubrania i wrzeszczała przez dwadzieścia minut. Wygarniała mu wszystko, co o nim myślała. Wymyślała mu, ile wlezie. Kiedy wychodziła, czuła się o wiele lepiej. Szła do męża, całowała go w policzek i wszystko było w porządku. I co ojciec o tym myśli? Świetna terapia, prawda?

— Oczywiście, bardzo dobra — odpowiedział Karras siląc się na blady uśmiech. — A ja mam panu teraz posłużyć za taką łazienkę? To pan chciał powiedzieć?

— No, może troszkę tak — przyznał Kinderman — odrobinę. Jest ojciec jednak o wiele ważniejszy, bo może odpowiadać.

— Ma pan papierosa? — spytał Karras. Dłonie mu drżały. Detektyw spojrzał na niego zaskoczony. — Ja, przy moim stanie zdrowia, miałbym palić?

— No tak, nie powinien pan — mruknął Karras zaciskając dłonie na murku. *Niech przestaną się trząść!*

— I to ma być lekarz! Boże uchowaj znaleźć się w ojca rękach! Może jeszcze ciągle leczymy gusłami, ojcze Karras?

— Tak, odczyniam uroki.

— Nie jest ojciec dziś w nastroju do żartów — zmartwił się Kinderman. — Jakieś kłopoty?

Karras zaprzeczył nieznacznym ruchem głowy.

— Niech pan mówi dalej — powiedział. Detektyw sapnął i spojrzał przed siebie.

— Właśnie mówiłem... — westchnął drapiąc się kciukiem w brew. — Właśnie mówiłem... Cóż, powiedzmy, że pracuję nad pewną sprawą. Zabójstwo.

— Dennings?

— O, to tylko hipoteza. Ojciec nie powinien w ogóle o tym wiedzieć. Nie

ojciec.

Karras skinął głową.

— Bo, wie ojciec, to wygląda zupełnie na sekciarskie morderstwo rytualne — ciągnął Kinderman. Zastanawiał się, starannie dobierając słowa. — Powiedzmy, że w pewnym domu — oczywiście to czyste przypuszczenie — mieszka pięć osób i jedna z nich musi być mordercą. I ja to wiem! Wiem to na pewno! — zrobił pauzę na wydech. — Ale tu zaczyna się problem. Wszystkie poszlaki i dowody... wskazują na dziecko, ojcze Karras. Małą dziewczynkę, dziesięcio — lub dwunastoletnią... zwykłe dziecko. Mogłoby być równie dobrze moje...

— Wbił wzrok w chodnik. — Tak, wiem... to brzmi nierealnie, śmiesznie... ale to prawda. I teraz do tego domu przyjeżdża ksiądz, bardzo znany — to też tylko przypuszczenie, ojcze Karras. Wywnioskowałem też na podstawie swojej domniemanej inteligencji, że ksiądz ten leczył kiedyś bardzo nietypowy rodzaj choroby, choroby w zasadzie umysłowej. To powinno ojca zainteresować z zawodowego punktu widzenia.

Karras pobladł.

— W tej chorobie... chodzi o szatana... w grę wchodzi też ogromna siła. I ta wymyślona dziewczynka, powiedzmy... no, była zdolna skręcić komuś kark. Tak, mogła to zrobić. I tu właśnie powstaje pytanie... widzi ojciec... Ta dziewczynka nie jest odpowiedzialna za zbrodnię... jest chora. To jeszcze dziecko! Dziecko, ale w tej chorobie może być niebezpieczne... Może przecież zabić jeszcze kogoś. Kto wie? — zmrużył oczy.

— I to jest problem. Co robić? Oczywiście, to tylko hipoteza, proszę tego nie brać na serio. No, bo na przykład, niech się tak stanie, że dziewczynka wyzdrowieje... Ojcze, nic wiem, nie wiem... — Sięgnął po chusteczkę i wysiąkał nos. — Straszna decyzja, okropna. I to ja muszę być tym, który ją podejmie. Ojcze, co powinienem zrobić w takiej sytuacji? Oczywiście tylko hipotetycznej. Ale jak ojciec myśli, co należałoby w takim przypadku uczynić?

Jezuita poczuł jak ogarnia go niechęć do tego człowieka. Z trudem się opanował. Spojrzał Kindermanowi w oczy i powiedział cicho: — Zostawiłbym na pana miejscu całą sprawę w rękach kogoś bardziej kompetentnego.

— Domyślam się, że właśnie ktoś taki tym się zajął?...—Kinderman wypuścił powietrze.

— I ja już bym to zostawił.

Ich spojrzenia spotkały się. Kinderman włożył chusteczkę do kieszeni.

— Hm, właściwie spodziewałem się, że coś takiego od ojca usłyszę. — Znowu wskazał głową na zachodzące słońce.

— Piękny widok — odsunął rękaw płaszcza i popatrzył na zegarek. — No, muszę już iść. Pani K. będzie zła. Obiad stygnie. Dziękuję, ojcze. Teraz czuję się lepiej. A tak przy okazji, czy mógłby mi ojciec wyświadczyć przysługę? Chodzi o przekazanie wiadomości. Gdyby pan spotkał człowieka o nazwisku Engstrom, proszę mu powiedzieć tylko to: „Elwira jest w klinice. Czuje się dobrze". On już będzie wiedział, o co chodzi. Zrobi to ojciec dla mnie? Naturalnie, jeśli go ojciec spotka.

Karras popatrzył uważnie na detektywa.

— Tak, na pewno powtórzę.

— Ojcze, może jednak kiedyś wybierzemy się do kina?

Jezuita mruknął w odpowiedzi:

— Tak, już wkrótce.

— Wkrótce? Jest ojciec jak rabin, który pytany o nadejście Mesjasza odpowiada w kółko „już wkrótce". Czy mógłby mi ojciec wyświadczyć jeszcze jedną przysługę? — Twarz detektywa nabrała śmiertelnej powagi. — Niechże ojciec przestanie już biegać. Lepiej spacerować. Bardzo proszę. Czy zrobi ojciec to dla mnie?

— Tak, dla pana tak.

Z rękami w kieszeniach płaszcza detektyw przyglądał się płytom chodnika.

— Domyślam się, wkrótce, zawsze wkrótce. — Nie podnosząc głowy

położył rękę na ramieniu Karrasa. — Elia Kazań przesyła ojcu pozdrowienia.

Gdy odchodził, Karras odprowadzał go wzrokiem. Był trochę zaskoczony, miał wszak nieco uczucia sympatii dla detektywa. Zastanawiał się, jak bardzo pogmatwane są labirynty ludzkich serc. Chmury kąpały się w wieczornym blasku słońca, które znikało za rzeką, aby powrócić niczym nadzieja następnego ranka. Ale dla niego nadzieja mogła okazać się spóźniona. Nie patrzył już na słońce. Skierował wzrok na okno Regan i wrócił do domu Chris.

Wpuściła go Sharon, trzymająca naręcze czystej bielizny pościelowej. Oznajmiła mu, że od jego wyjścia nic się nie zmieniło.

— Muszę to zaraz zanieść — powiedziała przepraszająco. Karras zapragnął napić się kawy. I wtedy usłyszał demona wrzeszczącego na Merrina. Popatrzył na schody. Potem przypomniał sobie o wiadomości dla Karla. Gdzie jest Karl? Zamierzał spytać o to Sharon, ale już jej nie było. Z trudem pokonując znużenie ruszył do kuchni. Chris siedziała przy stole oglądając album. Podpierała się rękoma, które zasłaniały przed nim jej twarz.

— Przepraszam — powiedział Karras cicho. — Czy Karl jest w swoim pokoju?

— Nie, jest gdzieś na tyłach domu — szepnęła i pocignęła nosem. — Za chwilę będzie kawa, ojcze — dodała wskazując na ekspres. Potem wstała, przeprosiła i wyszła.

Karras podszedł do stołu i spojrzał na album. Fotografia małej dziewczynki. Zdał sobie sprawę, że patrzy na Regan. Tutaj zdmuchuje świeczki z urodzinowego tortu, a tutaj nad brzegiem jeziora, w lekkiej koszulce, wesoło macha do obiektywu. Na koszulce jakiś napis: „Cam..." — nie mógł odczytać.

Sąsiednia strona wypełniona wklejoną laurką. Dziecinny

charakter pisma: „Gdybym zamiast gliny, Mogła wziąć to, co najpiękniejsze, Niczym tęcza. Chmury zmieszać z ptaków śpiewem, Może wtedy, mamo kochana, Naprawdę wyrzeźbiłabym ciebie".

A niżej dopisek: „Kocham cię!!! Wszystkiego najlepszego w Dniu Matki."

i podpis: „Rags".

Karras zacisnął powieki. To przypadkowe spotkanie z dawną Regan było bardzo bolesne. Zamknął album i czekał, aż zaparzy się kawa, opierając się ciężko o brzeg kuchenki. „Nie myśl o tym — rozkazywał sobie. — Nie myśl o tym. Nie wolno ci o tym myśleć". Ale nie potrafił.

Był przepełniony bólem, współczuciem i bezsilną złością. Przed oczyma miał wciąż obraz cierpiącego dziecka. Rozmyślał o kruchości życia wobec potęgi śmierci.

Gdybym zamiast gliny...

Złość Karrasa zamieniła się w smutek.

Wszystkie najpiękniejsze...

Nie mógł już dłużej czekać na kawę. Musiał iść... Musiał coś zrobić... dopomóc... spróbować raz jeszcze...

Wyszedł z kuchni. Mijając salon zajrzał do środka. Chris siedziała na sofie zanosząc się łkaniem, Sharon próbowała ją uspokoić. Na schodach usłyszał krzyk demona:

— Przegrałeś! Przegrałeś! Musiałeś przegrać i wiedziałeś o tym! Merrin! Ty sukinsynu! Wracaj! Wróć i...

Karras usiłował nie słuchać.

Śpiew ptaków...

Mróz panujący w sypialni uzmysłowił mu, że zapomniał swetra. Spojrzał na Regan. Jej twarz była zwrócona ku niemu.

Wszystkie najpiękniejsze...

Zbiżył się ostrożnie do krzesła i wziął przewieszony przez oparcie koc. Dopiero wtedy spostrzegł, że w pokoju nie ma Merrina. Zrobił krok, aby zmierzyć Regan ciśnienie omal się nie potknął. Merrin leżał twarzą do podłogi. Przerażony Karras uklęknął i odwrócił na wznak egzorcystę. Ujrzał zsiniałą twarz starca, pochwycił jego nadgarstek i w jednej krótkiej, okropnej chwili, zdał sobie sprawę, że Merrin nie żyje.

— Ty święty wymoczku! Chcesz umrzeć? Karras! Zatrzymaj go! — wył demon. — Daj go tu z powrotem! Musimy skończyć! Musimy...

Zawał serca.

— O, Boże! — krztusił się Karras. — Boże!

Zamknął oczy i potrząsnął przecząco głową nie mogąc pogodzić się ze śmiercią Merrina. Potem gwałtownie wbił kciuk w biały nadgarstek egzorcysty, jakby chciał w ten sposób pobudzić zamarłe serce.

— ...zafajdany...

Oddychał głęboko. Dostrzegł rozrzucone na podłodze pigułki. Podniósł jedną i rozpoznał lek. Pojął wtedy, że Merrin wiedział. Nitrogliceryna. On wiedział wcześniej! Piekły go oczy, gdy patrzył na twarz zmarłego. *Idź teraz i odpocznij chwilę, Damien...*

— Nawet robaki nie będą chciały cię *zeżreć,* ty...

Karras usłyszał słowa demona i wstrząsnął nim spazm wściekłości.

Nie słuchaj! Nie słuchaj!

Na czole Karrasa wystąpiły ciemne żyły. Skrzyżował Merrinowi ręce na piersiach. Demon krakał:

— Tak, teraz włóż mu w dłonie kutasa! — Kłąb stęchłej śliny uderzył w oko zmarłego. — To moja ostatnia posługa! — chichotał dziko demon. Karras przyglądał się ściekającej po twarzy Merrina strużce plwocin gorejącymi oczyma. Nie słyszał już nic oprócz huczącej w uszach krwi. Powoli wstał zaciskając pięści. Jego twarz była purpurowa. Pierś Karrasa falowała, gdy wydarł się z niej syk wściekłości i nienawiści.

— Ty sukinsynu! — szept jezuity przeciął powietrze jak ostrze noża. — Ty sukinsynu! — Przypominał gotowe do skoku zwierzę. Żyły na karku księdza nabrzmiały, widać było, jak pulsują. Demon zamilkł i spoglądał na niego złośliwie.

— Przegrałeś, przegrałeś! Zawsze byłeś przegrany!!! — Regan splunęła wymiotami. Nie zwrócił na to uwagi.

— Jesteś mocny, gdy walczysz z dziećmi! — powiedział Karras drżąc ze złości. — Z małymi dziewczynkami! To teraz chodź! Spróbuj czegoś trudniejszego! Chodź! - Wyciągnął przed siebie dłonie, wielkie i silne. No chodź! Chodź! Teraz ty przegrasz! Spróbuj ze mną! Opuść dziewczynkę i weź mnie! Weź mnie! Weź mnie! Wejdź we...

W chwilę później Sharon i Chris usłyszały dziwne dźwięki dobiegające z góry. W tym czasie obie przebywały w gabinecie: Chris siedziała przy barku, a Sharon przygotowywała drinki. Stawiała na blacie wódkę z tonikiem. gdy obie równocześnie spojrzały na sufit. Łomot. Trzask łamanych mebli. Walenie w ściany. I potem głos. Demon? Tak, to demon miotający obelgi, ale jego głos... Jakby inny niż dotychczas. Karras? Tak. Karras. Krzyczał coraz głośniej.

— Nie! Nie pozwolę ci ich skrzywdzić! Nie pozwolę ci! Ty zginiesz razem z...

Chris przewróciła swoją szklankę, która zbiła się o podłogę, pobiegła wraz z Sharon na piętro. Wpadły do sypialni Regan z hukiem otwierając drzwi. Ujrzały otwarte na oścież okno, na podłodze wyłamane okiennice. Wyrwane z zawiasów! Wokół odłamki szkła z wybitej szyby. Zanim podbiegły do okna, Chris zobaczyła Merrina leżącego przy łóżku. Stanęła jak wryta. Potem rzuciła się ku ciału egzorcysty. Uklękła.

— O mój Boże! — zawołała. - Sharon! Shar! Chodź tu szybko, chodź...

Sharon, która w tej samej chwili dopadła okna i wyjrzała przez nie, wydała przeraźliwy okrzyk. Gdy wybiegała z pokoju, Chris podniosła na nią wzrok.

— Sharon! Co się stało?

— Ojciec Karras! Ojciec Karras! — wypadła z histerycznym krzykiem. Chris rzuciła się do okna. Spojrzała w dół i serce w niej zamarło.

Poniżej schodów, na jezdni M Street, otoczone tłumem ludzi, leżało skurczone ciało Karrasa.

— Mamusiu? — słaby, dziecinny głosik rozległ się za jej plecami. Chris oniemiała. Nie mogła uwierzyć.

— Co się dzieje, mamusiu? Och, proszę cię, podejdź tutaj! Proszę, boję się! Boję...

Chris się odwróciła i ujrzała łzy w oczach... swojej córki! W tym samym momencie szlochając rzuciła się w stronę łóżka.

— Och, Rags! Moje dziecko! Moje dziecko! Och, Rags! Sharon pognała na oślep do pensjonatu jezuitów i wywołała Dyera. Gdy zszedł do recepcji, powiedziała mu o wypadku. Pobladł.

— Czy zadzwoniła pani po karetkę?!

— O, Jezu, nie pomyślałam o tym!

Dyer pośpiesznie zlecił zawiadomienie pogotowia telefonistce i wybiegł z pensjonatu. Sharon pobiegła za nim. Po chwili dotarli do schodów.

— Proszę mnie puścić! Proszę zrobić mniejsce! — Dyer przepychał się przez tłum gapiów i słyszał ich komentarze. „Co się stało?", „Jakiś facet spadł ze schodów", „Widziałeś..." „Musiał być pijany...", „Widzisz te rzygowiny?", „Chodź już, spóźnimy się na..."

W końcu przedarł się przez ciżbę i przystanął odrętwiały z bólu. Karras leżał zwinięty, na plecach, z głową w kałuży krwi. Miał otwarte szeroko oczy i usta, zgruchotaną szczękę. Niewidome, zdawało się, źrenice spojrzały na Dyera. Te oczy żyły! I o coś błagały, wyrażały niemą prośbę. Coś bardzo ważnego.

— Odsunąć się, wszyscy! — wołał policjant. Dyer ukląkł i delikatnym ruchem przyłożył dłoń do zmasakrowanej twarzy Karrasa. Tyle ran. Czerwona strużka krwi sączyła się z ust księdza.

— Damien... — urwał, musiał przełknąć łzy. — Znów ujrzał w oczach przyjaciela błaganie. Przysunął się bliżej.

— Czy możesz mówić?

Wolno, bardzo wolno Karras zdołał ująć Dyera za rękę. Wciąż patrząc na jezuitę, uścisnął ją lekko. Dyer opanowywał łzy. Pochylił się i szepnął mu do ucha:

— Damien, czy chcesz się wyspowiadać? Uścisk ręki.

— Czy żałujesz za wszystkie grzechy, którymi obraziłeś Boga Wszechmogącego?

Uścisk.

Dyer odsunął się nieco i zakreślił nad Karrasem znak krzyża: „Ego te absolvo..."

Kryształowa łza błysnęła w oku Karrasa i Dyer poczuł coraz mocniejsze i szybsze uściski na swojej dłoni, kiedy kończył: „...In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti, amen."

Znów pochylił się nisko i przyłożył usta do ucha Karrasa. Czekał chwilę. Potem szepnął:

— Czy jesteś... — przerwał, bo poczuł, że uścisk na jego dłoni nagle zelżał. Cofnął głowę i zobaczył spokojne oczy przyjaciela. Było w nich coś jeszcze, jakaś nadziemska radość. Wciąż otwarte nie widziały już tego świata.

Powoli, delikatnie, Dyer zamknął mu powieki. Usłyszał w oddali sygnał karetki. Pragnął się pożegnać: — Żegnaj... — nie dokończył. Zwiesił głowę i załkał.

Ciało Karrasa ułożono na noszach. Dyer wsiadł do karetki i zajął miejsce obok lekarza.

— Już teraz nie może ksiądz nic dla niego zrobić — powiedział lekarz. — Proszę nie jechać. Tak jeszcze trudniej będzie ojcu to znieść.

Dyer spoglądał na twarz przyjaciela. Potrząsnął przecząco głową i wysiadł.

Karetka odjechała.

Zrozpaczona Sharon stała bezradnie na chodniku. Docierały do niej głosy gapiów.

— Co się stało?

— Kto wie, chłopie. Kto, do diabła, wie?...

Syrena pogotowia zmąciła nocną ciszę. Sygnał niósł się po rzece, aż wreszcie kierowca uznał, że już nie musi się spieszyć. Wyłączył sygnał.

Wody rzeki płynęły cicho i leniwie.

EPILOG

Słoneczny blask ostatniego dnia czerwca wpadał przez okno do sypialni Chris. Rzuciła bluzkę na wierzch spakowanej już walizki i zamknęła wieko. Stanęła w drzwiach.

— W porządku! Wszystko gotowe! - zawołała do Karla, który nadchodził, aby zabrać bagaże. Chris poszła do Regan.

— Hej, Rags, jak tam?

Od śmierci obu księży minęło sześć tygodni. Tyle czasu minęło od tragedii. Tyle samo czasu minęło od śledztwa prowadzonego przez Kindermana. 1 wciąż brakowało odpowiedzi, jedynie niejasne domysły. 1 były przebudzenia w środku nocy, pełne łez. Zgon Merrina spowodował atak serca. Ale Karras...

— Dziwne — sapał Kinderman. - Nie, tego nie zrobiła dziewczynka - zadecydował. Była przecież skrępowana pasami. Bez wątpienia Karras sam wyrwał okiennice, wybił szybę i rzucił się przez okno na spotkanie śmierci. Ale dlaczego? Powodowany lękiem? Czy była to ucieczka przed czymś nieuchronnym, okropnym? Nie, to nie możliwe. Gdyby Karras chciał uciec, miał do dyspozycji po prostu drzwi. A poza tym, nie był człowiekiem, którego łatwo zmusić do ucieczki.

Więc dlaczego tak się stało?

Kinderman poczuł, że znalazł się bliżej rozwikłania zagadki, kiedy Dyer opowiedział mu o wewnętrznych konfliktach Karrasa, jego poczuciu winy wobec matki, jej śmierci, problemach z wiarą. Detektyw połączył fakty Karras od kilku dni nie spał, był w szoku po zgonie Merrina, demon napastował go przyjmując postać matki, poza tym czuł się odpowiedzialny za ewentualną śmierć Regan. Kinderman wywnioskował, że w rezultacie Karras przeżył silne załamanie nerwowe. Podczas śledztwa w sprawie śmierci Denningsa przeczytał kilka prac na temat opętania, z których dowiedział się, że często podczas rytuału egzorcysta sam zostaje opętany i to właśnie w okolicznościach takich, jak w przypadku Karrasa: poczucie winy, podświadome pragnienie poniesienia kary oraz oddziaływanie autosugestii. Karras był w złym stanie

psychicznym. Odgłosy walki i wzburzony głos Karrasa, dziwnie zmieniony, jak opowiadały Sharon i Chris, potwierdzały hipotezę Kindermana. Lecz Dyer nie zgodził się z nim.

Podczas rekonwalescencji Regan, porucznik ciągle odwiedzał Chris i prowadził z nią długie rozmowy. Niezmiennie zadawał pytanie, czy Regan jest już w stanie przypomnieć sobie coś z wydarzeń, które zaszły w jej sypialni tamtej nocy. Ale zawsze słyszał tę samą odpowiedź — Nie. W końcu dał za wygraną.

Chris wsunęła głowę do sypialni Regan. Ujrzała córkę trzymającą pod pachą dwa pluszowe zwierzątka i z dziecinną bezradnością zastanawiającą się, jakby je upchać do rozłożonej na łóżku walizki.

— Kochanie, skończyłaś się już pakować? — spytała Chris. Regan spojrzała na nią. Jedynym śladem minionych przeżyć były cienie pod oczyma dziewczynki i lekko pobladła twarzyczka.

— Nie mogę ich pomieścić! — skarżyła się.

— Ależ kochanie, nie musisz teraz zabierać wszystkiego ze sobą. Zostaw je, a Willie przywiezie resztę bagażu. Pośpiesz się, bo inaczej spóźnimy się na samolot.

Chris zarezerwowała bilety na popołudniowy lot do Los Angeles. Sharon i Engstromowie zostawali na razie, by zająć się pakowaniem pozostałych rzeczy. Potem Karl miał dowieźć resztę samochodem.

— No, dobrze — zgodziła się Regan.

— Jesteś kochaną córeczką.

Chris zeszła na dół. Zadzwonił dzwonek. Otworzyła drzwi.

— Cześć, Chris! — To był Dyer. — Przyszedłem się pożegnać.

— To miło z ojca strony. Właśnie miałem do księdza zadzwonić. Proszę, niech ksiądz wejdzie.

— Nie, nie. Widzę, że się pani spieszy.

Wzięła go za rękę i pociągnęła do środka. — Proszę przestać, właśnie

chciałam się napić kawy.

— No, jeśli tak pani mówi...

Usiedli przy stole w kuchni. Przez kilka chwil miło gawędzili pijąc kawę. Sharon i Engstromowie krzątali się tymczasem po domu. Chris zaczęła opowiadać o Merrinie, o tym, jak była zaskoczona obecnością wielu dygnitarzy Kościoła na jego pogrzebie. Nagle urwała, zamyśliła się. Dyer smutnym wzrokiem patrzył na filiżankę.

— Ona ciągle jeszcze nic sobie nie może przypomnieć — powiedziała cicho Chris. — Nic na to nie poradzę.

Nie podnosząc wzroku jezuita skinął głową. Chris dostrzegła przed sobą na stole spodek. Rano była zbyt zajęta, żeby zjeść śniadanie. Na spodeczku leżała róża. W zamyśleniu wzięła kwiat i obracała łodygę w palcach.

— ...I nawet nigdy naprawdę jej nie znał — powiedziała cicho, jakby do siebie. Przestała bawić się różą i popatrzyła na Dyera napotykając jego wzrok.

— Jak pani myśli, co się naprawdę zdarzyło? — spytał. — Jakie jest pani zdanie, jako ateistki? Czy mała była naprawdę opętana?

Chris się zastanowiła.

— No, mogę tylko powiedzieć, że jeśli chodzi o Boga, rzeczywiście jestem niedowiarkiem. Ale kiedy w grę wchodzi diabeł, to już coś zupełnie innego. Mogłabym uwierzyć w jego istnienie. I chyba wierzę, nawet na pewno. Wcale nie dlatego, że przydarzyło się to akurat Regan. Bóg, jeśli istnieje, daje znać o sobie raz na tysiące lat. Diabeł zaś czuwa. Jest wszędzie... niestrudzony.

Dyer przez chwilę milczał, a potem powiedział miękko:

— Ale jeśli zło, które nas otacza, ma być dowodem, że istnieje diabeł, to czyjego istnienia dowodzi całe dobro, też przeciei występujące na świecie?

To pytanie poruszyło ją.

— Tak, tak — przytaknęła. — Może o to chodzi...

Od śmierci Karrasa nie mogła pozbyć się uczucia melancholii i smutku. Lecz jego odejście zmieniło pogląd Chris na zagadnienie śmierci. Przypomniała

sobie, że zaraz po pogrzebie chciała zaprosić Dyera do siebie. Odmówił.

- „Bardzo chętnie, ale nie chciałbym spóźnić się na ucztę". A widząc jej zdziwienie, wyjaśnił: „Kiedy umiera jezuita, zawsze wydajemy ucztę. Dla niego jest to początek, dlatego się cieszymy".

Chris przyszło coś do głowy.

— Powiedziałeś ojcze, że Karras miał problemy z wiarą?

Dyer potwierdził.

- Trudno mi w to uwierzyć. Nigdy w życiu nie widziałam u nikogo takiej wiary.

— Jest taksówka, proszę pani — powiedział Karl.

— Tak, już schodzę. Dyer się podniósł.

Nie, nie, niech ojciec zostanie jeszcze. Muszę najpierw pójść na górę po Rags.

Gdy wyszła z kuchni, Dyer pomyślał o tajemnicy tkwiącej w ostatnich słowach Karrasa. Te okrzyki, które słyszały kobiety tuż przed jego śmiercią. Coś wtedy było z nim w sypialni Regan. Ale co? Tego nie wiedział. Fakty zapamiętane przez Chris i Sharon były niespójne. Przypomniał sobie zagadkowy blask radości w oczach umierającego Karrasa. I jeszcze coś w tym blasku... Czy triumf? Nie był pewny, ale na myśl o tym poczuł ulgę. Dlaczego?

Wyszedł przed dom i przechylił się przez barierkę. Obserwował, jak Karl układa bagaż w taksówce. Było parno. Otarł pot z czoła. Odwrócił się słysząc kroki na schodach. Chris i Regan trzymały się za ręce. Podeszły do Dyera i Chris pocałowała jezuitę w policzek. Potem pogładziła go po twarzy patrząc mu prosto w oczy.

— Już dobrze - powiedział. - Teraz już wiem, że wszystko jest dobrze.

Chris skinęła głową. Zadzwonię do ciebie, ojcze, z Los Angeles. Uważaj na siebie.

Dyer spojrzał na Regan. Wpatrywała się w niego skupionym wzrokiem, jakby usiłowała przypomnieć sobie coś ważnego. Powodowana nagłym

impulsem wyciągnęła do jezuity ręce. Pochylił się, a wtedy go pocałowała. Potem stała jeszcze chwilę, nie spuszczając wzroku. Dyer zdał sobie sprawę, że właściwie nie patrzy na niego. Jej przenikliwe spojrzenie utkwione było w koloratce na jego szyi.

— Chodź już - powiedziała Chris. - Chodź już, kochanie, spóźnimy się.

Patrzył za nimi, gdy odchodziły. Pomachał ręką. Chris przesłała mu w powietrzu pocałunek, a potem wraz z Regan zajęła miejsce w taksówce. Karl usiadł obok kierowcy. Chris raz jeszcze pomachała Dyerowi na pożegnanie. Auto ruszyło. Dyer patrzył, jak taksówka znika za rogiem.

Usłyszał tuż obok pisk hamulców. Z wozu wysiadł Kinder-man i ociężałym krokiem ruszył w stronę Dyera. Skinął mu ręką i powiedział: „Przyjechałem się pożegnać'".

— Właśnie odjechały.

Kinderman przystanął zawiedziony. - Nie ma ich już?

Dyer przytaknął.

— A jak się czuje dziewczynka?

— Raczej dobrze.

— To świetnie. Bardzo dobrze. Teraz to jest najważniejsze. — Kinderman pokiwał głową. - Cóż, w takim razie wracam do roboty - sapnął. - Trzeba pracować. Do widzenia, ojcze.

Odwrócił się i postąpi! parę kroków, ale naraz przystanął i zapytał

— Lubi pan chodzić do kina, ojcze?

— Oczywiście.

— Mam wejściówki... - zawahał się. - Na jutro, do „Crestu". Chciałby ojciec pójść?

Dyer wsunął ręce do kieszeni.

— A co grają?

— „Wichrowe wzgórza".

— Jaka obsada?

— W roli Heathcliff — Jackie Gleason, Catherine Ernshaw — Lucille Bali. Odpowiada to ojcu?

— Już widziałem ten film — odpowiedział Dyer obojętnie.

Przez moment Kinderman wydawał się rozczarowany.

— Jeszcze jeden — mruknął. Wszedł na chodnik, wziął Dyera pod ramię i ruszyli razem w dół ulicy.

— Właśnie przypomniał mi się kawałek z „Casablanki" — powiedział przyjaźnie detektyw. — Humphrey Bogart mówi do Clauda Rainsa: „Louie — myślę, że jest to początek wspaniałej przyjaźni"

— A, wie pan, jest pan trochę podobny do Bogarta?

— Wreszcie ktoś zauważył.

Czas niósł ukojenie, ale wiedzieli, że zawsze będą pamiętać.